

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 1/231 - 2/232

1967



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

Al. HERTZ : **SZKICE O IDEOLOGIACH**

J. RYCHLEWSKI : **DNO STULECI**

G. HERLING-GRUDZIŃSKI : **PO WYROKU**

A. JANTA : **UCIECZKA Z WIĘZIENIA**

SPIS RZECZY

Aleksander Hertz:	<i>Szkice o ideologiach</i>	3
Janusz Rychlewski:	<i>Dno stuleci</i>	32
Jan Krok-Paszkowski:	<i>Bobuś żywy</i>	51
B. Możejew:	<i>Z życia Fiodora Kużkina (dok.)</i>	73



ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Atlantyck — Pacyfik</i>	107
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	116



WOLNA TRYBUNA

K. A. Jeleński:	<i>Wbrew utopiom i apokalipsom</i>	123
-----------------	--	-----

K R A J

Lwowianin:	<i>Lwów 1966</i>	145
—	<i>Kronika warszawska</i>	152



SĄSIEDZI

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Po wyroku</i>	155
Lew Kopielow:	<i>Nad trumną Anny Achmatowej</i>	160
S. W. Kozłowski:	<i>Przegląd niemiecki</i>	162



SPRAWY I TROSKI

C. Woyno:	<i>Działalność POSK'u</i>	167
-----------	---------------------------------	-----



HISTORIA

Aleksander Janta:	<i>Ucieczka z więzienia</i>	173
-------------------	-----------------------------------	-----



KRONIKA KULTURALNA

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Kafka wraca do kraju</i>	206
—	<i>Komunikaty</i>	212
	a) <i>Polski księgozbiór w Canberra</i>	
	b) <i>Prof. Józef Trypućko</i>	
	c) <i>Konkurs na utwór poetycki o Najśw. Maryi Pannie</i>	



KSIĄŻKI

Adam Czerniawski:	<i>Stanisław Jerzy Lec (1909-1966)</i>	215
Adam Czerniawski:	<i>„Poeci polskiego Baroku”</i>	220
Władysław Oszelda:	<i>Czerwień beskidzkiej jesieni</i>	223
Zygmunt Markiewicz:	<i>Tołstoj a Polska</i>	225
Florian Śmieja:	<i>Dwie cywilizacje</i>	229
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	230



J. Korson:	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	232
—	<i>Nota biograficzna</i>	240

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń-Luty — Janvier-Février 1967

INSTYTUT



LITERACKI

OD REDAKCJI

Otrzymaliśmy na początku grudnia 1966 wiele listów od naszych prenumeratów ze Stanów Zjednoczonych reklamujących, że nie otrzymali *listopadowej* KULTURY. Nie mogąc odpowiedzieć na wszystkie listy podajemy do wiadomości wszystkich naszych czytelników, że KULTURA jest zawsze ekspediowana — jednocześnie do wszystkich krajów — jednego i tego samego dnia. Ekspedycja ma zawsze miejsce między 2 a 4 każdego miesiąca z wyjątkiem nrów podwójnych, z których: styczeń/luty ekspediuje między 6 a 8 stycznia, zaś lipiec/sierpień między 6 a 8 lipca każdego roku.

Opóźnienia w dostarczeniu nie tylko nie są z naszej winy, ale niestety nie mamy na to absolutnie żadnego wpływu ani możliwości reklamacji gdyż przesyłki nie są polecone. Powstają one albo z winy poczty francuskiej (na początku listopada 1966 mieliśmy strajk pocztowy) albo z winy kraju przeznaczenia. Zupełnie nie rozumiemy jak to się mogło stać że właśnie Stany Zjednoczone nie otrzymały w terminie listopadowej KULTURY. Nie wątpimy że ten transport jednak dotrze do rąk adresatów, gdyż inaczej byłaby to dla nas prawdziwa katastrofa.

Przepraszając naszych czytelników za to opóźnienie prosimy o powiadomienie nas o terminie otrzymania przesyłki, może to pozwoli nam na wyjaśnienie tej sprawy.



Administracja KULTURY poszukuje pierwszych trzech roczników „Kultury” tj. za lata 1948, 1949 i 1950 wraz z 1-szym numerem, który ukazał się w r. 1947. Kupimy także poszczególne zeszyty z tych lat — w dobrym stanie.



Jak co roku bieżący zeszyt KULTURY jest podwójny: styczeń-luty 1967. Następnym zeszycie ukaze się w pierwszych dniach marca.

WPŁATY NA FUNDUSZ „KULTURY”

Prof. Janusz K. Zawodny, Philadelphia, Pa. (USA)	F. 123,20
Bogusław Wądołkowski, Lyndhurst, N.J. (USA), po raz siódmy	F. 24,50
Bezimiennie, Victoria, BC (Kanada)	F. 90,00
Dr August Polaczy, Monachium (Niemcy)	F. 70,00
Elza Maybach, Heilbronn (Niemcy), po raz trzeci	F. 69,00
Anonimowo, Paryż	F. 500,00
Bezimiennie, Rzym	F. 41,00
Irena Dyrez, Gloversville, N.Y. (USA), po raz czwarty	F. 24,50

DZIĘKUJEMY!

Szkice o ideologiach

WRACAJĄC DO MAXA STIRNERA

I

Max Stirner jest dziś bardzo rzadko wspominany. Jeżeli nazwisko jego jest wymieniane, to ubocznie, raczej dla celów erudycyjnych, na marginesie uwag odnoszących się do fermentu myślowego połowy wieku ubiegłego. Wiadome jest, że nie odnosili się do niego życzliwie Marks i Engels, i wiadome jest, że wywarł on dość poważny wpływ na rozwój koncepcji anarchistycznych. Historycy filozofii wspominają też o Stirnerze w związku z Nietzsche. Ale anarchizm jest dziś kartą zapisaną do końca, a i Nietzsche szybko ulega zapomnieniu. Kto dziś pamięta o Stirnerze iu czytelników ma jego zasadniczą książkę?

Zdaje się jednak, że w czasach, w których podjęta została wielka dyskusja na temat ideologii, jej roli i sensu historycznego, Max Stirner zasługiwałby na uwagę. Można by przecież w nim widzieć pierwszego i najbardziej konsekwentnego buntownika przeciwko koncepcjom ideologicznym heglizmu. A Hegel stał się punktem wyjściowym dla tych wielkich prądów ideologicznych, jakie miały kształtować oblicze nowej epoki dziejów człowieka.

Zarówno nacjonalizm jak i marksizm swe racjonalizacje i założenia zawdzięczają Heglowi. O tych rzeczach wie dziś każdy student i nie warto się przy nich długo zatrzymywać. Ograniczmy się tu przeto do spraw najogólniejszych i to w zakresie, w jakim może to nam być użyteczne dla zrozumienia roli Maxa Stir-

* Nowa książka Al. Hertza z której drukujemy dwa pierwsze rozdziały.

nera. Jak wiadomo, idealistyczne systemy filozofii niemieckiej były rozwinięciem poglądów racjonalistów wieku XVIII. W systemie heglowskim Rozum stał się kategorią absolutną, oderwaną od konkretnego człowieka, wartością metafizyczną, stanowiącą o procesach rozwojowych wszechświata. Była to zarazem kategoria dynamiczna, której istotną treścią był nieustanny ruch, ciągły rozwój. Proces ten tym samym decydował o fakcie historycznego stawania się, wyznaczając kierunek historii człowieka i nadając jej sens.

Była to filozofia niezmiernie mętna. Odpowiadało to zresztą doskonale klimatowi intelektualnemu niemieckiej — a i nieniemieckiej — elity umysłowej tego czasu. Mętność ta szła w parze z potężnym napięciem emocjonalnym, jakie przenikało cały system i doskonale odpowiadało nastrojom epoki. Nie było to bez znaczenia dla faktu, że Hegel mógł stać się studnią, z której czerpały wszelkie najbardziej sprzeczne kierunki filozoficzne czy ideologiczne. Im jakiś system jest mętniejszy, im jest bardziej zawiłany w sprzecznościach, im bardziej jest oderwany od rzeczywistości i silniej przepojony treściami emocjonalnymi, tym lepszym staje się narzędziem dla wszelkich możliwych racjonalizacji. Hegel był pod tym względem wyjątkowo użyteczny. Każdy mógł w nim znaleźć, co było mu potrzebne.

Z Hegla mógł wyjść Treitschke i jego szkoła, łącząca skrajny konserwatyzm polityczny z niemniej skrajnym nacjonalizmem i szowinizmem. Sądził przecież Hegel, że celem rozwoju historycznego jest wolność, która swe pełne urzeczywistnienie znajduje w państwie pruskim. Komunistyczna koncepcja wolności jako celu ostatecznego różni się od treitschkowskiej tylko tym, że widzi jej urzeczywistnienie nie w państwie pruskim ale w komunistycznym. W obu wypadkach „wolność” jest pojmowana bardzo pokrewnie i w obu wypadkach może się powoływać na Hegla. Z Hegla też mogli wyjść Marks i Engels, porwani ideą dialektyki historycznej i tworzący koncepcję koniecznego rozwoju dziejowego, którego końcowym etapem i celem miało być społeczeństwo bezklasowe.

We wszystkich tych wypadkach było się zwolnionym od surowych wymagań anglosaskiego empiryzmu. Konstrukcje rozumu absolutnego i rozwoju dziejowego dawały gwarancję konieczności tego, co się stawało i co stać się miało. I jakkolwiek u Marksa i Engelsa idea była tylko nadbudową a rozwój sił produkcyjnych rzeczywistym motorem, to nie mniej w ostatecznej instancji rozwój ten podlegał prawom dialektyki historycznej. Przy całym swym genjuszu obserwacyjnym, przy całej swej wnikliwości w dostrzeganiu faktów i ich analizowaniu, Marks nie był empirykiem we właściwym tego słowa znaczeniu. Dostrzegając fakty,

sprowadzał je do apriorycznych konstrukcji. Niestety urodził się w Niemczech i swoją zaprawę myślową zawdzięczał Heglowi.

Chciał jednak Marks postawić Hegla na nogach. Nie będąc empirykiem, Marks był realistą i realizm swój czerpał z początków tej wielkiej rewolucji społeczno-gospodarczej, której miał się stać analitykiem i komentatorem. Zjawiska nowej rzeczywistości gospodarczej i społecznej wymagały, by heglowski Absolut przeszedł do świata rzeczy immanentnych. Pomocą filozoficzną była w tym Marksowi działalność pisarska Ludwika Feuerbacha.

I ten wyszedł ze szkoły heglowskiej. Ale młodszy od Hegla i już żyjący w innej epoce usiłował z filozofii absolutnej wyciągnąć wnioski bardziej zbliżone do konkretnej rzeczywistości. Za interesowania jego były przede wszystkim natury teologicznej. Jak jednak już to nieraz bywało, od teologii prowadziła droga do spraw innych.

„Das Wesen des Christentums” było próbą nowej interpretacji religii i jej instytucji. Feuerbach przypuszczał, że w tej dziedzinie robi rewolucję, analogiczną do tej, jaką w innej dziedzinie zrobił Kopernik. Była to koncepcja antropologicznego — słuszniej byłoby powiedzieć antropocentrycznego — ujmowania faktu religii. Punktem centralnym w fakcie przeżycia religijnego i w fakcie instytucji religijnych jest sam człowiek. Istotą religii jest projekcja natury człowieka, jej uobiektywienie w osobie Boga i Jego atrybutów. Studiując religię, poznajemy człowieka — jego właściwości, jego treści psychiczne, jego rozwój historyczny. Nie człowiek jest odbiciem Boga, ale Bóg jest odbiciem człowieka.

Tak w najogólniejszym skrócie dadzą się ująć poglądy Ludwika Feuerbacha. Wywarły one potężny wpływ zapładniający na umysł młodego Marksa. Tu była możliwość postawienia Hegla na nogach. Świat ducha — idee, religijne i wszelkie inne — przestawał tu być kategorią absolutną i autonomiczną, której prawa rozwojowe wyznaczały rozwój człowieka. Była to nadbudowa, ideologiczna projekcja rzeczywistości ludzkiej i procesów jej stawiania się.

Jeżeli nazwisko Feuerbacha dziś się wymienia, to tylko w związku z rolą, jaką odegrał on w rozwoju myśli młodego Marksa. Jest z resztą rzeczą wątpliwą, by „Das Wesen des Christentums” mogło dziś znaleźć zbyt wielu czytelników. Nie jest to pociągająca lektura dla człowieka dzisiejszego. Poza specjalistami od Marksa tylko niektórzy teologowie protestanccy do niego sięgają. Ale w stopniu jeszcze mniejszym wraca się do dziś do myśliciela, któremu teraz nieco uwagi chcemy poświęcić. Myśliciel ten Johann Kaspar Schmidt — lepiej w swoim czasie znany jako Max Stirner — wyciągnął z Feuerbacha bardzo radykalne wnioski, bardzo zresztą różne od wniosków Marksa i Engelsa.

II

O Stirnerze da się powiedzieć, że był autorem jednej książki. Albowiem tylko jedno z tego co pisał — pisał z resztą niewiele — jest rzeczą zasługującą na uwagę. Gdy ją ogłosił — tytuł jej jest „Der Einzige und sein Eigentum” — wywołała ona oburzenie i szybko została zapomniana. Dopiero później wrócił do niej entuzjastycznie Nietzsche, który w Stirnerze znalazł jednego ze swych głównych inspiratorów. Nietzsche rozbudził też pewne zainteresowanie dla Stirnera. W końcu wieku XIX i w pierwszych latach XX nastąpiło — krótkie zresztą — odrodzenie Stirnera i stirneryzmu. „Odkrył” go na użytek szerszej publiczności anarchizujący Anglik Henry Mackay, który napisał o Stirnerze większą monografię i wydał na nowo po niemiecku „Der Einzige und sein Eigentum”. Idee książki wywarły silne wrażenie w kołach anarchistycznych, głównie w Rosji i Niemczech. Przekład rosyjski „Der Einzige” ukazał się w kilku wydaniach i był pilnie czytany. Anarchiści widzieli w Stirnerze ojca swoich koncepcji, a w jego dziele wykładnię założeń własnej filozofii. Poza anarchizmem jedyny bodaj Gustaw Landauer pozostawał — przynajmniej w pewnym okresie — pod urokiem stirneryzmu. Nawiasowo zauważmy, że Landauer należy do bardzo licznej grupy niezmiernie interesujących umysłów, które szybko uległy zapomnieniu. Niektóre z tych umysłów dopiero na długo po śmierci są „odkrywane” i czasem nawet nie są zapominane ponownie!

„Der Einzige und sein Eigentum” jest książką bardzo niezwykłą. Pisana w epoce romantyzmu, robi wrażenie emocjonalnej erupcji buntownika, który odrzuca wszystko i któremu wszystko obrzydło. I choć są w niej doskonale napisane ustępy, jako całość jest chaotyczna, pełna powtórzeń i — co gorsza — sprzeczności. W swej treści nie da się oderwać ani od jej podłoża romantycznego, ani od atmosfery heglowskiej, ani od marzeń rewolucyjnych, jakie znalazły dla siebie wyraz w wypadkach roku 1848.

Jest ona komentarzem do „Das Wesen des Christentums” i zawiera długie rozważania na temat idei Feuerbacha. Stirner próbuje z feuerbachowskiego antropologizmu wyciągnąć wnioski końcowe. Feuerbach wykazał, że religia jest projekcją natury człowieka — ani Feuerbach ani Stirner nie troszczyli się o wykazanie, co przez „naturę człowieka” należy rozumieć — i że w religii znajdują swe odbicie właściwości tej natury. Czy jednak może tu chodzić tylko o religię i co właściwie stanowi sens tej projekcji?

Przede wszystkim — sądzi Stirner — Feuerbach wybitnie zwęził zakres swego dociekania. Co jest słuszne dla interpreto-

wania religii, będzie tak samo słuszne dla interpretowania wszelkich wartości kultury, wszelkich pojęć ogólnych, abstrakcji, wszelkich idei. Stirner wszystkie te rzeczy określa jako „Begriffe”. W jego terminologii „Der Begriff” nie jest kategorią logiczną, ale wszelką wartością ogólną, idealną, w jakiś sposób — podobnie jak religia — wyznaczającą działalność człowieka.

W rzeczywistości każdy element naszej kultury jest tu traktowany jako „Begriff”. Są tu więc takie zjawiska, kategorie czy wartości jak: państwo, naród, własność, obyczaje i wszelkie reguły moralne, koncepcje estetyczne, prawne, normy i formy współżycia ludzkiego, i t.d. Każdy z tych „Begriff” ma jak najdalej posunięte następstwa praktyczne dla każdej jednostki ludzkiej. Na nich opierają się instytucje współżycia ludzkiego, one wyznaczają jednostce z całą precyzją, jak ma się ona zachować w każdej sytuacji życiowej. „Der Begriff” jest nakazem o charakterze imperatywnym. Jednostka musi mu się podporządkować, musi go przyjąć i stać się wykonawcą jego woli.

Nie czyni to jej szczęśliwą. Niewolnik szczęśliwy być nie może. Jednostka jest pozbawiona swobody. Jej wszelkie działanie, myślenie, ocenianie — wszystko to jest rygorystycznie wyznaczone przez świat pojęć.

A przecież świat ten składa się z czystych abstrakcji, z konstrukcji myślowych, najzupełniej dowolnych. Nie są to przecież niezmiennie idee platońskie, są to zwyczajnie projekcje natury ludzkiej. Co jest konkretne, to jednostka — „Der Einzige”, nie abstrakcyjna jednostka, ale żywa istota ludzka. „Der Begriff” i „Der Einzige” są dwoma przeciwstawnymi biegunami. Jedno jest abstrakcją, drugie — konkretem. Jedno jest ideą, generalizacją, drugie rzeczywistością, indywidualnym faktem istnienia. Ale jednocześnie „Der Einzige” jest niewolnikiem „Der Begriff”, ślepo wykonywującym to, co abstrakcja wykonywać mu każe.

Dla jednostki jest to sytuacja zarówno tragiczna jak i bezsensowna. Czy jest ona jednak konieczna? Odpowiedź na to Stirner znalazł w dziele Feuerbacha. Więc idee są projekcją natury człowieka. Ale „natura” to nie „Begriff”, nie abstrakcja, to zespół właściwości żywego, konkretnego człowieka, żywej, konkretnej jednostki ludzkiej. Mówienie o „projekcji” czy „odbiciu” jest znów wracaniem do abstrakcji. Trzeba jasno powiedzieć, że „Der Begriff” jest zwyczajnie dziełem człowieka. Wszystkie nasze wartości, cały świat naszej kultury, nasze instytucje i normy współżycia — to dzieła człowieka, to jego produkty.

Jak dotąd, wnioski wyciągane przez Stirnera z dzieła Feuerbacha nie są zbyt dalekie od wniosków, jakie z tego samego dzieła wyciągnął młody Marks. Sprowadzają się one do stwierdze-

nia, że zjawiska kultury są społecznie uwarunkowane, że są „dziełami” człowieka. W dalszym jednak ciągu rozważań drogi Stirnera i Marksa bardzo się rozeszły.

„Der Begriff” jest więc dziełem człowieka. Znaczy to, że jest jego własnością. Jestem właścicielem tego, co sam zrobiłem. Ale własnością moją mogę swobodnie rozporządzać. Obowiązuje tu rzymska reguła o *ius utendi et abutendi*.

Faktem jest jednak, że jednostka stała się niewolnikiem swego dzieła, swojej własności. Dzieło zrobiło z Twórcy — Niewolnika. Nasuwają się tu analogie ze współczesnymi nam koncepcjami człowieka, który staje się niewolnikiem stworzonej przez siebie techniki. Ale Stirner żył w epoce, która była dopiero u samego progu powstawania nowej technologii. Jego „Der Einzige” był niewolnikiem nie techniki ale idei. Skrępowani jesteśmy siecią reguł i instytucji, które każą nam postępować tak a nie inaczej. I zgodnie z tymi nakazami popełniamy czyny szalone, które nas unieszczęśliwiają. Państwo, prawo, moralność, ustrój gospodarczy — wszystko to wiąże człowieka, pozbawia wolności i zarazem sprawia, że w ich imię plemię ludzkie zadaje sobie straszliwe cierpienia.

To nie ma sensu. Właściciel ma nieograniczone prawo rozporządzania swoją własnością. Jeżeli ona mu nie odpowiada, jeżeli skierowała się przeciw niemu — może i powinien ją zniszczyć. „Der Einzige”, by być wolnym, powinien odrzucić „Der Begriff”.

III

Znaczeniowo najbliższym w języku polskim odpowiednikiem „Der Einzige” jest „Jedyny”. Jednostka jest tu rozumiana jako coś niepowtarzalnego, jako swój własny kosmos, istniejący dla siebie i przez siebie. Podręczniki historii filozofii, które znajdują miejsce dla Stirnera (jest to zazwyczaj bardzo krótki ustęp), określają zwykle jego koncepcję jako solipsyzm moralny. Mogłyby tak samo mówić o solipsyzmie społecznym. „Jedyny” istnieje dla siebie, racją jego istnienia jest jego jedyność. Odrzuca on wszelkie normy zbiorowego współżycia i wszelkie instytucje tego współżycia jako sprzeczne z jego jedynością, wiążące go i niszczące jego swobodę. Była to wizja epoki romantyzmu, szczególnie niemieckiego.

Nic dziwnego, że poglądy Stirnera nie mogły być przyjęte przez Marksa i Engelsa, i nic dziwnego, że przemówiły silnie do wyobraźni anarchistów. Założeniem wszelkiego anarchizmu jest odrzucenie przemocy, rozumianej jako narzucenie woli jednych drugim. *Non-violence*, bierny opór i tp. poprzez Tołstoja korze-

niami swymi sięgają do gleby anarchistycznej. Tam gdzie jest przemoc — głosił anarchizm — nie ma swobody indywidualnej i stąd wszelkie formy przemocy są zaprzeczeniem samego istnienia jednostki. W pierwszym rzędzie odnosi się to do państwa, które jest systemem zorganizowanej przemocy.

Anarchizm — że pominiemy nieliczne wyjątki — nie szedł jednak tak daleko jak Stirner. I podobnie Gandhi czy Dr Martin Luther King nie idą tak daleko jak anarchizm. Anarchizm przyjmował fakt współżycia ludzkiego i uznawał, że musi ono mieć jakieś formy instytucyjne. Widział on je w swobodnych asocjacjach jednostek ludzkich, w związkach, z których system przymusu zostałyby usunięty i ludzkie stosunki sprowadzałyby się do dobrowolnie zawieranych umów zbiorowych. Stirner w zasadzie nie odrzucał możliwości takich umów i opartych na nich swobodnych asocjacji. Były to jednak dla niego rzeczy o znaczeniu podrzędnym. Dominantą jego książki jest niezależność Jedyne go od jego Tworu — świata norm i wartości. Jediną normą i wartością jest sam Jedy ny.

W rzeczywistości sprawa nie przedstawia się prosto. Stirnerowska socjologia, antropologia i psychologia mogą budzić poważne wątpliwości. Szczególnie w czasach dzisiejszych. Budziły one jednak wątpliwości i w czasach ówczesnych.

Wspominaliśmy już o pewnych zbieżnościach w poglądach Stirnera i młodego Marksa. Idee wolności indywidualnej bynajmniej nie były obce Marksowi tego okresu. Ale Marks widział jednostkę jako pozostającą w stanie ciągłego stawania się, jako historycznie uwarunkowaną i związaną z innymi jednostkami. Jego koncepcja była wybitnie dynamiczna i społeczna. W jego oczach koncepcja Stirnera była statyczna i zawieszona w próżni.

W gruncie rzeczy socjologia Stirnera wychodzi z socjologii Rousseau i jest jej przerzuceniem na teren połowy wieku XIX. Nie jest rzeczą przypadkową, że i późniejsi anarchiści, włączając do nich nawet Tołstoja, mogli być odniesieni jako do swego prarodzica — do Filozofa Genewskiego. To do czego zmierzał autor „Der Einzige und sein Eigentum”, było próbą odzyskania pierwotnego szczęścia człowieka natury. W formie rebeliancko-romantycznej mamy tu parafrazę rousseauwskiego ideału. Rousseau bolał nad tym, że człowiek tworząc cywilizację oderwał się od natury, zatracił swe szlachetne właściwości i stał się niewolnikiem. Stirnerowi oczywiście obcy jest sentymentalizm Rousseau’a. Jest buntownikiem, który rzuca wyzwanie światu kultury w imię wolności jednostkowej. Są to jednak bardziej różnice tonu i różnice epok, w których obaj ci ludzie żyli, niż różnice samej treści.

Związki między Stirnerem i Rousseau sięgają jeszcze dalej: obaj są ofiarami tego samego nieporozumienia. „Człowiek natury”

Rousseau'a był fikcją, która nigdy nie istniała. „Jedyny” Stirnera był zarówno fikcją jak i konstrukcją abstrakcyjną. Stirner nie dostrzegał, że jego „Der Einzige” był w rzeczywistości jednym z tego, co nazywał „Der Begriff”. Nie była to żywa osobowość ludzka, ale „rzecz sama w sobie” wyprana ze wszystkich tych cech konkretnych, jakie składają się na określonego człowieka. A ten, posługując się określeniem Arystotelesa, jest zwierzęciem politycznym, nie istniejącym i istnieć nie mogącym w oderwaniu od innych ludzi, w oderwaniu od świata wartości, które tworzy razem z nimi i które wyznaczają jego oblicze i całe zachowanie się. Człowiek tworzy kulturę, ale zarazem jest przez nią tworzony. Te rzeczy były rozumiane przez młodego Marksa, który do koncepcji Stirnera odniósł się bardzo krytycznie.

Możliwe że „Der Einzige” Stirnera jest bardziej ludzką istotą niż szlachetny dzikus Rousseau'a. Stirner wyraźnie wzorował go na sobie samym. Ale w ostatecznej instancji wszystkie właściwości „Der Einzige” sprowadzają się do dążenia do wolności, do odrzucania wszelkich przeszkód na drodze do jej osiągnięcia. Indywidualista i buntownik, Stirner był tu dzieckiem swych czasów. Czy jednak Stirner w swej książce pisał tylko o sobie, o własnych aspiracjach i postawach? Z lektury książki to nie wynika. Nie jest to książka autobiograficzna, czy wykładnia uczuć osobistych autora. „Der Einzige” ma być wszelkim człowiekiem, książka ma być wykładnią uczuć, dążeń i postaw każdego z nas. I to sprawia, że lektura „Der Einzige und sein Eigentum”, choć wysoce pasjonująca, budzi w czytelniku tyle wątpliwości i nie daje pełnego zaspokojenia. Jest to bardzo kiepska socjologia, psychologia czy antropologia. „Jedyny” jest konstrukcją myślową na wskroś abstrakcyjną.

IV

Wszystkie te jednak grzechy Stirnera nie zmieniają sprawy, że czytelnik dzisiejszy może znaleźć w jego książce bogaty materiał dla przemyślenia i że pewne jej aspekty wydadzą mu się wybitnie współczesne. Co było dziwaczne i niezrozumiałe w jego czasach, zaczyna nabierać sensu w czasach naszych.

W moim przekonaniu, najważniejszym osiągnięciem Stirnera było dostrzeżenie faktu alienacji człowieka w stosunku do idei, którymi on żyje. W szerszym ujęciu, można tu mówić o alienacji kulturalnej.

W czasach dzisiejszych stwierdzanie faktu alienacji człowieka w stosunku do narzędzi, jakimi się on posługuje, stało się truizmem. Sama nazwa „alienacja” jest dziś jednym z banałów przez

każdego powtarzanych. Technologia wytworzyła i wciąż na coraz większą skalę wytwarza niezliczone ilości narzędzi i produktów pracy, których zadaniem ma być ułatwienie życia ludzkiego. Ale równocześnie technologia stała się czymś autonomicznym i nadrzędnym w stosunku do człowieka. Ten staje się sługą rzeczy martwych, które stworzył, by mu służyły. Twórca zatracił związek ze swoim tworem, stał się jego sługą, stał się częstką wielkiego mechanizmu. Narzędzie przestało być uzupełnieniem jego umysłu i mięśni, przeciwnie — on sam stał się uzupełnieniem narzędzia.

Zaobserwowanie tego faktu nie jest czymś nowym. O odrywaniu się narzędzia od twórcy mówili i Marks i Proudhon i inni. Proudhon szukał sposobów humanizacji narzędzia, jakiegoś organicznego związania go z twórcą. Jednakże Proudhon nie umiał znaleźć praktycznej metody rozwiązania tego zagadnienia. I choć na temat alienacji porobił szereg bardzo wnikliwych uwag, w końcowych wnioskach nie umiał wyjść poza ogólniki.

Bardziej konkretnie brzmiała odpowiedź, jaką dał Marks. Podobnie jak Proudhon widział on źródło alienacji w fakcie własności prywatnej. Jednakże własność prywatna była dla niego kategorią historyczną, uwarunkowaną przez układ stosunków klasowych danej epoki. Alienacja jest tylko wynikiem jednego z etapów rozwoju historycznego społeczeństw ludzkich, jest nierozdzielnie związana z ustrojem kapitalistycznym. Nie znały jej, lub znały w słabym stopniu, poprzednie epoki, w których twórca był panem swego narzędzia pracy i był z nim silnie emocjonalnie związany. Dla usunięcia alienacji niezbędne jest uspołecznienie narzędzi pracy. W ustroju socjalistycznym narzędzie pracy przejdzie z rąk nielicznej grupy posiadaczy do całej społeczności ludzkiej. Tym samym w ustroju bezklasowym narzędzie znów wróci do człowieka, rozumianego jako społeczność.

Od czasów Proudhona i Marksa upłynęło całe stulecie. Co prawda społeczeństwa bezklasowe, tak jak je rozumieli Marks i Engels, wciąż jeszcze nie mamy. Ale w całym szeregu społeczności narodowo-państwowych nastąpiła likwidacja własności prywatnej środków wytwarzania, które przeszły do zbiorowości. Czy jednak zjawisko alienacji w nich zanika? To wydaje się bardzo wątpliwe.

Zależność człowieka od technologii, jej narzędzi i produktów, zachodzi zarówno w systemach, w których maszyny są w rękach gigantycznych prywatnych organizacji anonimowych, jak i w tych, gdzie są one w rękach gigantycznych organizacji państwowych. Zjawiska społeczno-kulturalne i psychologiczne, wyznaczone przez rozwój technologii współczesnej, zachodzą w Stanach Zjednoczonych i w Związku Sowieckim w sposób równoległy i raczej ana-

logiczny. Istniejące różnice wynikają głównie — choć nie wyłącznie — ze stopnia zaawansowania się w tym rozwoju każdego z dwóch kolosalnych krajów. Wynikają z różnic lokalnych natury prawnej, społecznej, obyczajowej. Są to jednak różnice uboczne. Zasadnicze tendencje wyglądają bardzo podobnie i zdają się iść w tym samym kierunku.

Cała książka Stirnera jest poświęcona zagadnieniu tego co dziś nazywamy alienacją. Chodzi mu o alienację „Jedynego” i „Pojęcia”, alienację człowieka w stosunku do jego idei, jego wartości, całej jego kultury. I tu twór oderwał się od twórcy. Nie tylko się oderwał, ale i go ujarzmił. Trzeba zauważyć, że w stirnerowskim świecie „Begriff” znalazła się i własność prywatna.

Lekarstwo na przezwyciężenie alienacji, jakie proponuje Stirner, jest wysoce radykalne: wyzbycie się czy odrzucenie całego świata wartości. „Jedyny” ma żyć zgodnie ze swoją naturą. To jednak nie ma nic wspólnego z preceptami stoickimi. Stirnerowska „natura” ludzka jest całkowicie zindywidualizowana i nie-racjonalizowana. Żyjąc zgodnie ze swoją naturą, „Jedyny” kierowałby się swymi instynktami, emocjami, nie odrzucając jednak zarazem swego intelektu. Można by powiedzieć, że „Jedyny” jest istotą na swój sposób racjonalną, uznającą racjonalność tego, co w niej irracjonalne.

Niestety nie jest to recepta budząca do siebie zaufanie. Możliwe że przezwyciężymy alienację przez odrzucenie wszelkich wartości. Ale do nich będziemy musieli włączyć samych siebie. Cóż bowiem z nas zostanie, gdy wyrzekniemy się świata kultury? Logiczną byłaby droga, jaką wybrał dla siebie jeden z bohaterów „Biesów” Dostojewskiego: utwierdzenie swej wolności indywidualnej znalazł on w strzale samobójczym.

V

Spróbujmy jednak na stirnerowskie ujmowanie alienacji spojrzeć z pewnej perspektywy historycznej. Kulminacyjnym momentem epoki, w której żył Max Stirner, były wypadki roku 1848. Stirner żył w atmosferze niemieckiej intelektualnej bohemy, przeżywającej *Sturm und Drang Periode*. Młodzi ci ludzie byli pełni idei, których głównym źródłem był Hegel. Byli w stanie niezwykłego napięcia ideologicznego. Będąc skrajnymi rewolucjonistami, byli zarazem ludźmi działania. Ich indywidualizm sprowadzał się do bojowego nonkonformizmu, rzucającego wyzwanie istnjącemu porządkowi rzeczy i jego wartościom.

Były to czasy rodzenia się nowych ideologii, które miały wyznaczyć klimat nadchodzącej epoki. Występowali prorocy nacio-

nalizmu i socjalizmu, panowała mistyka rewolucyjna. Zaczynała się era ideologii.

Niewątpliwie cały ten ferment ideologiczny ograniczał się wtedy do ciasnych zespołów bohemowych — politycznych, artystycznych, literackich czy w ogóle kawiarnianych. Szersze środowiska społeczne stały poza tym wszystkim. Ale znaczenie tych bohem było znacznie większe niż mogłoby to wynikać z ich liczebności. Wszystkie wielkie prądy ideologiczne i polityczne wieków XIX i XX miały swe początki w małych zespołach bohemowych i miejscem ich rodzenia się była kawiarnia czy *Bierstube*. Nie należy niedoceniać roli, jaką instytucje te odegrały w historii naszych czasów. Z bohem i kawiarni mieli wyjść przywódcy i ideolodowie wielkich ruchów społecznych, ich prorocy i filozofowie.

Wśród swoich współczesnych Max Stirner zajął miejsce przedstawiciela najbardziej skrajnego nonkonformizmu. Na to mógł sobie pozwolić. Nie miał pretensji przywódczych, był po prostu literatem. Granicą dla każdego nonkonformisty staje się konieczność praktycznego działania. To ostatnie zmusza do stawiania konkretnych celów i do liczenia się z rzeczywistością przy ich stawianiu i osiąganiu. Stirner był bardziej indywidualnym buntownikiem niż rewolucjonistą, prorokiem i wodzem wielkiego przewrotu. Nie mając dalszych aspiracji, mógł sobie pozwolić na swobodne sianie fermentu w umysłach swych kawiarnianych przyjaciół. Ale nawet w tym powodzenie jego nie było zbyt wielkie. Szybko uległ zapomnieniu.

A jednak w czasach wyjątkowego napięcia ideologicznego rebelianctwo jego było pożyteczne. Jeżeli nie dla jego epoki, to dla epoki późniejszej. Było podstawą buntu antyideologicznego. Wszystko bowiem to, co Stirner starał się odrzucić, jego „Pojęcia”, to nic innego jak podstawowe elementy rodzących się ideologii. Państwo, władza, klasa, ludzkość, naród, moralność, sprawiedliwość, i td. i td. — wszystko to miało stać się założeniami i podstawowymi elementami nowych ideologii i ruchów na nich opartych. Stirner — jak nikt w jego epoce — był zaniepokojony perspektywami praktycznych następstw dla człowieka tych konstrukcji ideologicznych. Na progu ery ideologii w osobie Maxa Stirnera znalazł się człowiek, który wyczuł jej niebezpieczeństwa. Bardziej wyczuł niż rozumiał. Swoim przeczuciom nadał on formę niezbyt składną. Ale nieskładność ta przestaje być rażąca, gdy się do niego wraca w czasach dzisiejszych.

Albowiem w antyideologizmie Maxa Stirnera zawierały się — w formie co prawda zaczątkowej i niezbyt sprecyzowanej — motywacje, jakie występują obecnie w stanowiskach współczesnych nam krytyków ideologii i ideologizmu. Niewątpliwie koncepcje Raymonda Aron'a we Francji, Daniela Bell'a w Ameryce

i całego szeregu przedstawicieli pokrewnych stanowisk różnią się bardzo zasadniczo od tego, co zostało powiedziane w „Der Einzige und sein Eigentum”. Czasy Stirnera przypadły na początek epoki, która zdaniem Arona ma dziś mieć się ku końcowi. Co u Stirnera było tylko przecuciem, to u dzisiejszych autorów ma być przedmiotem empirycznej metody rozpatrywania faktów i tendencji, które rzeczywiście zaszły. Autorzy ci ponadto są uzbrojeni w potężny aparat współczesnej humanistyki z socjologią na czele. Rebelia Stirnera zamykała się w ciasnych ramach spekulacji Hegla i Feuerbacha.

W czasach, w których Stirner pisał swoją książkę, wielkie prądy ideologiczne naszej epoki były dopiero *in statu nascendi*. O ich praktycznej weryfikacji nie mogło być jeszcze mowy. To mogło nastąpić znacznie później, po upływie całego stulecia, w czasach dzisiejszych. My dziś możemy patrzeć w przeszłość, Stirner mógł tylko przeczuwać przyszłość. I jej się obawiał.

Nie jestem przekonany, by czasy dzisiejsze rzeczywiście stały pod znakiem końca ery ideologii. Przypuszczam, że ideologie — w takiej czy innej postaci — będą nadal ważną motywacją i racjonalizacją działań zbiorowości ludzkich. Nie wdając się jednak w proroctwa (ileż z nich się sprawdziło!), to zdaje mi się niewątpliwe, żeśmy dziś weszli w okres głębokiego kryzysu tradycyjnych koncepcji ideologicznych, których świadkiem rodzenia się był Max Stirner. Rola tych koncepcji i systemów ideologicznych w czasach, które nadeszły po ukazaniu się książki Stirnera i które trwają aż dotąd, była kolosalna.

Ideologie zostały dziś praktycznie zweryfikowane przez procesy historyczne i zostały przez te ostatnie zdystansowane. Ideologie te stają się dziś anachronizmami — jeżeli nie wszędzie, to w każdym razie w obrębie pewnych systemów cywilizacyjnych. Czy i co z nich zostanie, czy długo zachowają swoją żywotność w obrębie innych systemów cywilizacyjnych — jest inną sprawą.

Dyskusja, jaka dziś się toczy na temat ideologii i ich roli, jest sama przez się stwierdzeniem faktu istnienia wielkiego kryzysu. Do tego samego sprowadzają się dyskusje toczące się w obrębie określonych systemów ideologicznych. Co bardziej może świadczyć o kryzysie ideologii komunistycznej niż treść dyskusji, jakie się toczą między „rewizjonistami” wszelkich odcieni i „ortodoksami” wszelkich odcieni?

W tych warunkach warto jest wracać do autora „Der Einzige und sein Eigentum”. Reprezentował on stanowisko krańcowego i absolutnego antyideologizmu. Odrzucał on *a priori* wszelkie koncepcje ideologiczne. Był on w tym kiepskim socjologiem — przynajmniej z naszego punktu widzenia — i nie rozumiał funkcji historycznych tego co odrzucał. Ale ganiąc go za to wszystko,

nie możemy go lekceważyć i nie powinniśmy go odrzucać. Wciąż zasługuje on na czytanie. Jak nikt w jego czasach, i mało kto po nim, rozumiał on fakt alienacji człowieka w stosunku do konstrukcji ideologicznych, które stały się motywacją działań zbiorowych tegoż człowieka.

Z PERSPEKTYWY PRZESZŁOŚCI

I

Kiedy w Hiszpanii zwiedza się zabytki wielkich cywilizacji arabskiej i żydowskiej, słyszy się od miejscowej ludności czy przewodników melancholijne uwagi na temat szaleństwa tych, którzy przed stuleciami zniszczyli to co było wielkie. Toledo — ongiś ćwierćmilionowe miasto, kwitnące i znane na całym świecie, wielki ośrodek wiedzy żydowskiej — dziś jest muzealnym miasteczkiem prowincjonalnym, ściągającym do siebie masy turystów z racji swego wyjątkowego piękna, jedyne go śladu wielkiej przeszłości. Dawna synagoga — nikt się w niej dziś nie modli, nikt w niej nie naucza — jest tylko pieczołowicie chronionym narodowym zabytkiem muzealnym. I nim jest też dawna dzielnica żydowska, na którą — już po wygnaniu z niej dawnych mieszkańców — spadł splendor, że za siedzibę wybrał ją sobie wielki przybysz El Greco.

Nie inaczej wyglądają Kordoba czy Granada. Te ongiś ogromne miasta, wielkie ośrodki myśli i sztuki, wielkie skupiska działalności gospodarczej, dziś są średniej wielkości miastami prowincjonalnymi, żyjącymi w cieniu swej minionej wspaniałości. Przypadek raczej sprawił, że wielka moszeja Kordoby została uratowana. W części jej wybudowano kościół i to ocaliło resztę. Przez długie lata to, co zostało z cudów maurytańskiej Granady, było w zupełnym zaniedbaniu. Alhambra, precudowne ogrody Granady — są dziś dumą Hiszpanii, która ongiś wygnała twórców tych wspaniałości.

Ze świata Majmonidesa, ze świata Avicenny i Averöesa pozostały jedynie te muzealne mury i muzealne ogrody. Twórcy tych wielkich cywilizacji musieli odejść, szukając po świecie innych siedzib dla swej wiedzy i sztuki. A gdy odeszli z Hiszpanii, w ich opuszczonych siedzibach zapanowały pustka i upadek.

Niewątpliwie różnice w ocenach faktu wygnania Arabów i Żydów, jakie zachodzą między Hiszpanami końca wieku XV i Hiszpanami drugiej połowy wieku XX wynikają z oczywistej rzeczy: pierwsi przewidywali następstwa swego działania, drudzy

mogą je empirycznie stwierdzić. Pierwsi byli wizjonerami, drudzy siłą rzeczy stali się realistami. Wizja jest czymś bardzo różnym od konkretnej rzeczywistości. Religijność Hiszpanów wieku XX — bez względu na ich przywiązanie do katolicyzmu — jest bardzo różna od religijności ich przodków. Wybitnie zmodyfikowała ją — między innymi — znajomość konkretnych faktów, których przodkowie ich nie przewidzieli. Racjonalizacja, jaką ci ostatni posługiwali się, dla ich potomków stała się czymś głęboko bezsensownym. Co dla jednych było ideą, dla drugich stało się brutalną rzeczywistością. Niewątpliwie Toledo, Kordoba, Granada są dziś religijnie i narodowościowo zespolone z resztą Hiszpanii, ale zarazem straciły cały swój splendor, przestały być wspaniałymi centrami myśli filozoficznej, prawniczej, medycznej, centrami sztuki i literatury, centrami ożywionej działalności gospodarczej. I współczesny Hiszpan zaczyna dochodzić do wniosku, że cena, jaką się zapłaciło za dzisiejszą jednolitość, była bardzo wysoka. I zaczyna wątpić, czy miało sens ją płacić.

I współczesny Hiszpan nie jest w tym powątpiewaniu odosobniony. Albowiem wszystkie obszary naszej cywilizacji są pokryte takimi Toledami, Kordobami i Granadami. I są pokryte ruinami. I ile takich miast w ogóle bez śladu zniknęło z powierzchni tej ziemi? Najstraszliwsze z tych zniszczeń są bardzo świeżej daty. Całe dzieje człowieka — bez względu na to, gdzie on przebywa — mogą być postawione pod znakiem pytania, czy cena, jaką się płaciło za urzeczywistnienie wizji, nie była zbyt wysoka. A ileż to wizji zakończyło się katastrofalnie, zostawiając po sobie tylko ruiny i cierpienia? Aby jednak takie pytania mogły być postawione, musi przejść jakiś okres czasu, umożliwiający praktyczną weryfikację wizji. Dopiero kiedy to nastąpi, powstaną takie dzieła jak „Doktor Żiwago”, dzieła smutnej refleksji nad szaleństwem człowieka, człowieka-wizjonera i ideotwórcy.

II

Wygnanie Arabów i Żydów z Hiszpanii nie może być sprowadzane do operacji statystycznej. Nie chodzi o to, jak liczbowo dać się przedstawić rozmiary tego wydarzenia. Bez względu na to ilu Arabów i Żydów wygnano z kraju, w którym od wieków przebywali i z którym tak mocno byli zrośnięci, bez względu na następstwa materialne, mierzone w dobrach gospodarczych, groza wydarzeń była w indywidualnych tragediach, indywidualnych cierpieniach każdej jednostki ludzkiej, która musiała pójść na tułaczkę. I to jest najważniejsza strona wszelkiej wielkiej we-

ryfikacji, jakiej rzeczywistość historyczna poddaje wizje i ideologie.

Obiektami edyktu królów arcykatolickich były żywe jednostki ludzkie, każda z nich stanowiąca swój własny świat. Najrozmaitsze węzły i nici łączyły je z innymi jednostkami ludzkimi. Każdy z tych ludzi kochał i nienawidził, cieszył się i smucił, popełniał akty rozważa i szaleństwa. W życiu każdego z nich zachodziły wydarzenia, uważane przez nich za niezmiernie doniosłe, nieraz decydujące o całej ich przyszłości. Podejmowali decyzje i uciekali przed nimi. Edykt królewski postawił ich wobec sytuacji, która nie mieściła się w ramach ich wiekowych doświadczeń i która do odwiecznego cyklu narodziny-śmierć wносиła coś zupełnie nowego.

Każdy z nich stał teraz przed koniecznością podjęcia niesłychanie trudnej decyzji. Mogli albo przyjąć nową religię i przyjmując ją korzystać z łaski monarszej, albo trwać w uporze i iść na wygnanie. Byli pod tym względem w sytuacji znacznie pomyślniejszej niż ich następcy za naszych czasów. Hitlerzy i Stalini takiej alternatywy swym ofiarom nie dawali, a przynajmniej olbrzymiej ich większości. Królom hiszpańskim chodziło o zbawienie dusz i jako dobrzy katolicy wierzyli, że każda dusza jest powołana do zbawienia. Ale jeżeli ci królowie byli ludźmi gorącej wiary, to w niemniejszym stopniu byli nimi Arabowie i Żydzi hiszpańscy. Dla ogromnej ich większości odstępstwo od wiary przodków było czymś równie przerażającym, jak byłoby dla ich prześladowców. Oznaczałoby tak samo zagubienie duszy, potworną renegację. To była alternatywa, jaka przed nimi została postawiona.

Niewiele wiemy o indywidualnej tragedii każdego z tych, kto stawał przed taką alternatywą. Niewątpliwie były to tragedie bardzo poważne, sięgające do głębi duszy każdego z nich. Przychodziły chwile rozpacz, wahania, zmagania się z samym sobą. I trzeba było dać odpowiedź. Bez względu na to jaka ona była, było z nią połączone cierpienie osobiste. Rozmiarów tego cierpienia żadna statystyka ująć nie potrafi.

Możemy przyjąć jako wysoce prawdopodobne, że władcy Hiszpanii i wielu z wykonawców ich wyroków byli wolni od uczuć sadystycznych. Zapewne boleli nad cierpieniami tych, których skazywali na wygnanie. Możliwe jest też, że przynajmniej w pewnych wypadkach usiłowali jakoś złagodzić ich niedolę. Cała przecież operacja wpływała z uczucia miłości chrześcijańskiej. Przed Arabami i Żydami droga była otwarta: mogli uratować swe dusze i ponadto pozostać na miejscu! Jeżeli drogi tej nie wybierali, to musieli ponieść następstwa swego uporu i zaślepienia.

Późniejszym pokoleniom motywacje przodków wydały się

czymś nieuzasadnionym i absurdalnym. Cała akcja była przykładem okrucieństwa, zasługującego na powszechne potępienie. Mie-rzone statystycznie, następstwa edyktu zostały ocenione jako katastrofalne, a sam edykt jako nonsens. Widziane w świetle cierpień indywidualnych, budziły uczucia zgrozy i świadomość narodowej odpowiedzialności za szaleństwo przodków.

A przecież te późniejsze pokolenia same powtarzały podobne szaleństwa. Warunki były nieco inne, nieco inne były motywacje i hasła, odmienne były racjonalizacje. Ale rezultaty były podobne. W ćwierć wieku po zakończeniu wojny domowej, która wielką część Hiszpanii zamieniła w ruinę i spowodowała śmierć i wygnanie setek tysięcy Hiszpanów, Hiszpanie dzisiejsi z obu ówczesnych obozów zadają sobie pytanie, czy wszystko to miało sens, czy cena, jaką się zapłaciło, nie była zbyt wysoka. Wielki miernik działań ludzkich — czas — zmusza do nowych, bardziej chłodnych refleksji i rodzi wątpliwości. I każe mierzyć konsekwencje wojny domowej nie tylko w statystycznym jej ujęciu. Pokazuje jej bezsens w śmierci największego poety nowoczesnej Hiszpanii i w śmierci i cierpieniu setek tysięcy innych istot ludzkich. Przed Hiszpanią znów staje tragiczne pytanie, jakie Borys Pasternak postawił w swym „Doktorze Żiwago”.

Hiszpania jest tylko małym fragmentem dziejów szaleństwa człowieka i wstydu, jaki czas przynosi, demonstrując praktyczne następstwa tego szaleństwa. Marian Zdziechowski ogłosił przed laty studium „O okrucieństwie”. Była to bezpośrednia reakcja mądrego i prawego człowieka na wiadomość o tym, co działo się w Brześciu nad Bugiem. Zdziechowski w zwięzłej formie dał niejako katalog wszelkich potworności, jakich człowiek w imię urzeczywistnienia swych ideałów dopuścił się w ciągu wieków. Jest to lektura głęboko zawstydzająca. I może najbardziej zawstydzą w niej świadomość bezsensu tych ideałów, motywacji i racjonalizacji, jakimi człowiek się posługiwał przy popełnianiu tych potworności.

Zdziechowski, pisząc swe studium, nie mógł przewidzieć tego, co miało nadejść w ciągu lat następnych. Los oszczędził temu szlachetnemu człowiekowi stania się świadkiem — a może i ofiarą — okropności, jakie dopiero przyjąć miały. Zdziechowski całym swym doświadczeniem, wiedzą i poglądem na świat tkwił w wieku XIX. Co rejestrował, wydało mu się wystarczająco potworne, by wzbudzić głębokie oburzenie moralne. Jego pesymizm był zasadniczo chrześcijański. Wynikał on z przeświadczenia o ułomności człowieka, o tym że serce człowieka jest — używając wyrażenia Chestertona — siedzibą wszystkich szatanów. Ale zarazem wierzył w zdolność człowieka do walki z szatanami i w możliwość zwycięstwa nad nimi. Cierpiał, gdy człowiek ulegał

w tej walce. Widział w tym upadek człowieka, pohańbienie tego, co w nim największe.

Ale Zdziechowskiego ponadto przerażał bezsens tego, co rejestrował. Te wszystkie okropności, widziane z perspektywy historycznej, były bezcelowe. Historia po kolei odrzucała wszelkie racjonalizacje, które starały się uzasadnić i usprawiedliwić męki niezliczonych istot ludzkich. Stale wracało odwieczne pytanie „Doktora Żiwago” — jakie było uzasadnienie tej ceny, jaką ludzkość płaciła w cierpieniu każdego człowieka.

Pytanie to czerwoną nicią przechodzi przez całe nasze dzieje. Stawiał je już Hiob. Ale u Hioba odpowiedź była jasna. Jego cierpienie miało sens. Służyło ono sprawie wykazania wyższości Boga nad Szatanem. I taki sens w swych cierpieniach widzieli wszyscy ci, którzy w imię swej prawdy przyjmowali na siebie koronę męczeńską. Od Hioba różniło ich to, że sprawcą cierpienia było Zło a nie Dobro. Nie mieli jednak wątpliwości, że w ostatecznej instancji zwycięży Dobro, że męka ich jest niezbędna dla powalenia zła. Od Sokratesa poprzez świętych-męczenników chrześcijaństwa aż do mnichów wietnamskich, oblewających się naftą i podpalających samych siebie, idzie droga dobrowolnego przyjmowania na siebie cierpienia i męczeństwa. Czy zawsze te akty najwyższego heroizmu w imię idei wydawały się uzasadnione w oczach potomstwa, jest zupełnie inną sprawą.

Męczennicy ci dobrowolnie wybierali drogę cierpienia i wiedzieli, w imię czego giną. Ale Żydzi ginący w Majdanku i Treblince byli pozbawieni nawet takiej pociechy. Byli ofiarami ideologii i racjonalizacji innych. Sami wiedzieli tyle tylko, że los ich jest przypieczętowany i że ucieczki od niego nie ma. Jeżeli nawet wierzyli, iż wojna zakończy się klęską Niemiec, to nie mieli żadnej pewności, by męka ich mogła mieć na to jakiś wpływ. To, co ich spotykało, było bezsensownym kataklizmem.

Zagłada Żydów europejskich przerażała swym ogromem statystycznym. I przerażała stwierdzeniem brutalnego faktu, jak niezmierznie cienka była powłoka moralna, pod którą kryło się zracjonalizowane szaleństwo człowieka. Ale cała historia ludzkości pełna jest Żydów z Majdanka czy Treblinki, obojętne jakiej rasy, kultury, wyznania czy narodowości. Nie zawsze tylko ofiary były tak imponująco statystycznie reprezentowane. Ofiary te rzadko rozumiały, co je spotyka. Były jednak zawsze świadome swego cierpienia, rozpacz i beznadziejności swego losu. Mogły to być w naszych czasach ofiary „czystek” stalinowskich, ofiary łagrów i więzień sowieckich. W innych epokach mogli być nimi Ormianie z okolic jeziora Wan, albo mieszkańcy pięknej Prowansalii, cierpiący za herezje Waldensów i Katarów, mogli to być katolicy

i nonkonformiści z czasów Cromwella, mogły to być ofiary terro-ru z czasów Wielkiej Rewolucji, i td. i td. bez końca.

Bronisław Malinowski opowiadał o rozmowie, jaką po pierw-szej wojnie światowej miał na Nowej Gwinei z szefem jednego z miejscowych plemion. Malinowski próbował mu opisać ogrom ofiar, jakie wojna przyniosła. I mówił, że w samej bitwie o Verdun zginęło pół miliona ludzi. Dzikusowi liczba ta brzmiała raczej abstrakcyjnie. Zrozumiał jednak, że zginęła ogromna ilość ludzi. I był wstrząśnięty: „Jakiż głód musiał tam panować, że aż tylu ludzi trzeba było zabić? I jak mogli zjeść tylu naraz?” — „Nie — tłumaczył mu Malinowski — tych ludzi nie miano żadnego zamiaru zjadać”. — Teraz dopiero dzikus poczuł się zupełnie zgubiony: „To po co ich zabijano?” — Była to inna postać pytania, jakie stawiał sobie Doktor Żiwago. Jaki był sens tego bezsensu?

III

Nowogwinejski przyjaciel Malinowskiego był osobą wysoce racjonalną. Zabójstwo drugiego człowieka uznawał za rzecz słusz-ną i uzasadnioną, gdy odczuwał potrzebę zaspokojenia głodu. Za absurd jednakże uważał zabójstwo dla zabójstwa. Można by nawet przypuścić, że nie zabiłby dwóch ludzi, gdyby dla zaspoko-żenia głodu wystarczył mu jeden człowiek. Możemy przyjąć, że ofiary jego uznawały takie motywy. Ostatecznie na jego miejscu nie postąpiłyby inaczej.

Nie wynika stąd, by przyjaciel Malinowskiego nigdy się nie posługiwał racjonalizacjami ideologicznymi. Racjonalizacje takie są w użyciu we wszystkich cywilizacjach i na wszelkich szczeb-lach rozwoju kulturalnego. Turystów, zwiedzających zabytki daw-nych cywilizacji meksykańskich, oburzają ślady materialne po kultach, które wymagały krwawych ofiar ludzkich. Ale kapłani meksykańscy kierowali się w tym potężnymi racjami, choć obiek-tywnie słabiej dającymi się zweryfikować niż racje nowogwinej-skie. Zabijali dużo, ale nie więcej niż to wynikało z potrzeb kultu. Mało wiemy o postawach ich ofiar, ale jest rzeczą wysoce prawdopodobną, że i one uznawały racje swej ofiary. Przyjmowa-ły swoją śmierć jako środek zachowania całej społeczności. W na-szych oczach wartość tego sposobu wydaje się wielce wątpliwa. Nie mniej miał on swoje racjonalne czy pseudoracjonalne uzasad-nienie, niezbyt różne od racjonalizacji, jakimi posługiwali się wszelcy ideologowie, przeprowadzający masowe „czystki” czy wy-syłający swe ofiary do komór gazowych. Główne różnice były w następstwach statystycznych.

Wszelkie wojny zaborcze operowały racjonalnymi uzasadnieniami. Od najdawniejszych czasów wypracowywane były racjonalizacje tych wojen i ustalane były reguły zarówno samej racjonalizacji jak i walki. Od Rzymian, którzy w opracowywaniu takich metod byli wielkimi pedantami, zaczyna się *ius belli* i w dalszym ciągu prawo międzynarodowe.

Często były to wojny bardzo krwawe. Wycinano ludność wielkich obszarów, zapędzano ją w niewolę, niszczone kwitnące cywilizacje. Dla ludzi, którzy byli ich ofiarami, były to straszliwe kataklizmy. Nie były to jednak wojny totalne w sensie drugiej wojny światowej. Przede wszystkim technologia sztuki wojennej ograniczała zasięg zniszczenia. W całej masie wojen jego obiektami były wyłącznie tereny bezpośrednich działań wojennych. Inne obszary pozostawały na uboczu. A i na terenach bezpośrednich działań wojennych jakaś część ludności mogła się jakoś schronić, uciec, przynajmniej uratować życie jeżeli nie mienie. Wojny najczęściej sprowadzały się do niewielu bitew o decydującym znaczeniu. Nawet najbardziej długotrwałe wojny nie oznaczały ciągłej, nieprzerwywanej się walki. W rzeczywistości w ciągu ich bywały bardzo długie okresy spokoju dla cywilnej ludności. Jeżeli Wojna Trzydziestoletnia zniszczyła Niemcy, to była to rozprawa ideologiczna, nacechowana fanatyzmem po obu stronach. A ponadto bez porównania więcej Niemców zginęło wtedy od chorób epidemicznych i głodu niż od oręża.

Wielcy realiści, Rzymianie, zburzyli Kartaginę, ale unikali ruiny podbitych krajów. Niewątpliwie prokonsulowie łupili je jak mogli, ale łupiestwo takie było stosunkowo skromną ceną za *Pax Romana* i dobrobyt prowincji. Prowadząc wojnę, Rzymianom szczególnie zależało na braniu żywych ludzi, którzy mogli być wyzyskani jako siła robocza. Ludzie ci niekoniecznie z tej racji byli szczęśliwi, ale w ostatecznym wyniku wielu z nich wychodziło na tym nie najgorzej.

Oczywiście nie trzeba wpadać w przesadę i łatwe generalizacje. Serca monarchów Wschodu radowały stopy obciętych głów pokonanych wrogów. Były to jawne dowody ogromu triumfu. Na ogół jednak w wojnach zaborczych działał moment przewidywanych korzyści, który zmuszał do ekonomii w niszczeniu czy mordowaniu. Były to względy wysoce racjonalne, które zapewne spotkałyby się z aprobatą nowogwinejskiego rozmówcy Bronisława Malinowskiego.

Gulliver w czasie swych wiekopomnych podróży trafił do kraju, którego obywatele wyrzynali się nawzajem w wojnie domowej. Racje tej wojny były głęboko ideologiczne. Chodziło o to, od którego końca należało rozpoczynać rozbijanie ugotowanego jajka — od ostrego czy od tępego. Zwolennicy jednej metody

oskarżali swych przeciwników o wszelkie możliwe herezje, odstępstwo od prawomyślności, zdradę ideałów narodowych, poniewieranie najwznioślejszych uczuć. Naród był podzielony na dwa przeciwstawiające się stronnictwa i walczyły ze sobą dwie przeciwstawiające się ideologie. Światopogląd tępego końca jajka nie mógł tolerować światopoglądu ostrego końca jajka. Oba wyłączały się nawzajem i ludzie tępił się nawzajem.

Neutralny obserwator z innego świata — Gulliver — dziwił się temu niezmiernie. Nie sądził, by różnice w metodzie rozbijania jajka były wystarczającą racją dla rozpętania okrutnej wojny domowej. Ale Dziekan Swift, opisując niezwykle przygody swego bohatera, miał już za sobą pewien odstęp czasu, który go dzielił od wojny domowej we własnej ojczyźnie. Niewątpliwie racje tej wojny były donioślejsze niż sprawa rozbijania jajka z jednego czy drugiego końca. Czy jednak były na tyle doniosłe, by usprawiedliwiać takie ofiary i takie cierpienia? Swift oczywiście nie mógł przewidzieć, że w dalszych konsekwencjach Anglia będzie zawdzięczać wojnie domowej bardzo cenne osiągnięcia. Były one jednak w zupełnie innej dziedzinie niż ta, która uzbroiła przeciwko sobie Kawalerów i Okrągłogłowych, Konformistów i Nonkonformistów. Osiągnięte wyniki były bardzo różne od zamierzeń, jakie sobie stawiały walczące strony. Te zamierzenia uległy później surowej weryfikacji przez czas. I w świetle tej weryfikacji sceptycyzm Swifta wydawał się uzasadniony.

Był on uzasadniony gdy chodziło o przesłanki ideologiczne, jakimi posługiwały się obie strony. Każda z nich przyjmowała określoną filozofię religijną i polityczną, którą uważała za prawdę absolutną. Kto tę prawdę odrzucał, mógł być słusznie uznany za potwora nie zasługującego na pobłażanie. Biedą było to, że każda ze stron uważała swoją prawdę za absolutną i jej przeciwnika za potwora nie zasługującego na pobłażanie. W rezultacie lała się krew.

IV

Wojny na tle ideologicznym — domowe i niedomowe — odznaczają się szczególną krwiożerczością i fanatyzmem. Nie chodzi w nich przecież o rzeczy przyziemne — lub nie tylko o nie chodzi — w rodzaju zwykłego rozboju, podbicia nowych terytoriów, zagarnięcia niewolników. Chodzi w nich o rzeczy o najwyższym znaczeniu: o prawdy absolutne, zasady moralne, zbudowanie doskonałego świata, odrodzenie ludzkości. Nie zawsze i nie wszyscy uczestnicy tych walk traktują głoszone ideały zbyt poważnie. Walkom ideologicznym stale towarzyszą bardziej przy-

ziemne akty ordynarnego rozboju. Ale ogromna ilość ich uczestników — wśród nich nie brak i takich, którzy ideały doskonale potrafią pogodzić z rozbojem — jest ogarnięta entuzjazmem idealistycznym, gotowa jest oddać swoje życie dla swej prawdy absolutnej i z entuzjazmem torturuje i morduje tych, którzy z mniejszym entuzjazmem gotowi są oddać swoje życie dla swojej prawdy absolutnej.

We wszystkich tych rzeziach racje ideologiczne są uznawane za sankcjonujące popełniane okropności. Chodzi tu przecież o najwyższe wartości duchowe, o prawdy absolutne. Od niepamiętnych czasów państwowe akcje rozbójcze zwracały się do wielkich ideałów dla swego uzasadnienia i racjonalizacji. Nazwanie rozboju rozbojem brzmiało bardzo źle. Ale nazwanie go aktem woli bożej, sprawiedliwości, wolności, miłosierdzia i tp. brzmiało znacznie lepiej.

Jednakże w zwykłych wojnach zaborczych rzeczy te sprowadzały się do postaci czysto deklaratywnej i nie były brane zbyt poważnie. Były one sprawą zawodowych ideologów-propagandystów, teologów i prawników. Większość tych, którzy w wojnach tych brali rzeczywisty udział, mało się interesowała wzniosłymi formułkami deklaracji swych władców. Dzięki temu wojny takie mogły być prowadzone bardziej na zimno, rzeczowo czy fachowo, bez wybuchów nieopanowanego fanatyzmu.

Inaczej zupełnie przedstawiały się walki ideologiczne, nawet takie, w których motywy ideologiczne szły w parze z wysoce praktycznymi. Amerykańska wojna domowa nie była rozprawą wyłącznie ideologiczną. Lincoln był człowiekiem bardzo praktycznym, który poszedł na wojnę dla uratowania Unii. W rzeczywistości był do wojny zmuszony przez fanatyzm obu stron. W toku wojny usiłował on ten fanatyzm jakoś utrzymać w ryzach. Nie była to sprawa łatwa. Obok fanatyków byli i tacy, którzy rozamiętnienie ideologiczne swych rodaków umieli zgrabnie wykorzystać dla celów zgoła przyziemnych.

Amerykańska wojna domowa miała swoje głębokie przyczyny w faktach natury nieideologicznej. Jednakże racjonalizacje ideologiczne odgrywały w niej ogromną rolę. Przez ogromną ilość uczestników tej wojny nie były one traktowane deklaratywnie. Południowcy walczyli o zachowanie swej lokalnej cywilizacji i jej instytucji. Jedną z tych instytucji było niewolnictwo, którego wartość gospodarcza była w stanie zaniku. Północ w cywilizacji Południa widziała niebezpieczeństwo dla swoich ideałów, dość zresztą mętnie ujmowanych. Obie strony umiały się wykazać fanatyzmem, który zostawił po sobie ślady, dające się zauważyć nawet w naszych czasach.

W dziejach Stanów Zjednoczonych była to najkrwawsza roz-

prawa wojenna. W stosunku do całego zaludnienia kraju przyniosła ona więcej ofiar ludzkich niż wszystkie wojny, w których w ciągu swej historii uczestniczyły Stany Zjednoczone, włączając w to obie wojny światowe. Była krwawsza od wojen, które w tej epoce toczyły się w Europie — od Krymskiej zaczynając i kończąc na francusko-pruskiej. Była wojną domową, w której ludzie walczyli — czy sądzili że walczą — o ideały.

Każda wojna ideologiczna jest krucjatą, obojętne czy chodzi w niej o zbawienie ludzkości czy o rozbijanie jajka. Każda strona walcząca, mierząc w ludzi, mierzy nade wszystko w idee. Wrogie idee nie mogą współistnieć z naszymi, albowiem przez sam fakt swego istnienia zaprzeczają racji istnienia naszych. Tylko w naszych ideach zawarta jest prawda absolutna. A skoro jest absolutna, powinna być uznana przez wszystkich. Kto ją odrzuca, czyni to z zaślepienia, złości czy pychy. Wszystkie inkwizycje świata oskarżały przeciwników o złość i pychę, same z kolei będąc o to przez nich oskarżane. Język, jakim w walce z heretykami posługuje się Mao Tse-tung, niczym się nie różni od języka Ojców Inkwizycji. Jednakże Kościół katolicki w swej długiej drodze dziejowej zdołał dojść do postanowień Drugiego Soboru Watykańskiego.

Rzezie ideologiczne stale mają swoich proroków, wizjonerów, którzy w swym dziele widzą spełnienie własnej misji. Każda rozprawa ideologiczna wymaga charyzmy i charyzmatycznego wodzostwa. Wojny zaborcze, zwyczajne rozboje, mogą bez tego się obyć. Są one przedsięwzięciami racjonalnymi, choćby nawet posługiwały się frazeologią charyzmatyczną. Ale charyzma i charyzmatyczne przywództwo stanowią samą treść walk ideologicznych. Przeciwnik swymi uroszczeniami do charyzmy ośmiela się przeczyć naszej charyzmie. Jego pretensje są nie tylko uzurpacją, ale i bluźnierstwem. I dlatego musi on być starty z powierzchni ziemi. Tylko w ten sposób może być wykazana rzekomość i fałszywość jego charyzmy. A zarazem nasze zwycięstwo jest weryfikacją naszej charyzmy i charyzmy naszych proroków i wodzów.

Wojna ideologiczna jest zarazem wojną rewolucyjną. Gulliver spotkał się z rozprawą ideologiczną, w której ścierały się filozofie różnych sposobów rozbijania jajka. W praktyce — choć obiektywnie rzecz biorąc stawką mogą być sprawy zbliżone do rozbijania końca jajka — przeciwnym filozofiom chodzi o rzeczy z gruntu zmieniające życie człowieka. Mogą to być sprawy porządku pozaziemskiego — najlepsza droga do osiągnięcia wiecznego zbawienia, i mogą to być sprawy doczesne — jak na tej ziemi zbudować doskonały porządek współzycia ludzkiego. W każdym wypadku cele i metody są wybitnie rewolucyjne. Starają się one coś zmienić, przebudować. I nawet gdy walczą w obronie

istniejącego porządku rzeczy, nie przestają być rewolucyjnymi w swych metodach i celach. Próbują odrzucić coś, co jest im narzucone. Rewolucyjne oblicze miały zawsze wojny religijne, wyzwolenie walki narodowościowe i wielkie przewroty społeczne.

Rewolucjom obce są ograniczenia, jakie są właściwe zrationalizowanym rozprawom zaborczym. Nie mogą one sobie pozwolić na umiarkowanie. We wszystkich rewolucjach umiarkowani giną. Nie są tu na miejscu. Reprezentują oni element racjonalny, któremu obce są postawy charyzmatyczne i płynący z nich fanatyzm. Umiarkowani nie bywają prorokami i wizjonerami. Próbują myśleć, szukają rozwiązań praktycznych, są stale skłonni do kompromisu, który jest zaprzeczeniem prawdy absolutnej. Do głosu w najlepszym razie dochodzą na ruinach tego, co zostało się po wielkich rozprawach ideologicznych.

Umiarkowani ponadto nie są perfekcjonistami. Powątpiewają, by można było osiągnąć doskonałość. Szukają tego, co możliwe do osiągnięcia. Ideologowie natomiast są perfekcjonistami. Jako posiadacze prawdy absolutnej, nie mogą się zadowolić niczym mniejszym niż doskonałość. Możliwe i praktycznie osiągalne byłoby zaprzeczeniem ich charyzmy. Stąd dążenie do perfekcji stale dominuje we wszelkich rozprawach ideologicznych. I jest potężnym czynnikiem wzmożenia ich krwiożerczości. Ileż to cierpień doznały miliony istot ludzkich z racji stworzenia porządku doskonale sprawiedliwego i humanitarnego!

Wszystko to razem stanowi zespół okoliczności, które tłumaczy, dlaczego wielkie rozprawy ideologiczne sprowadzały na ludzi taki ogrom cierpień, rozpacz i zagłady. Pokolenia, które były świadkami czy uczestnikami takich wydarzeń jak rewolucja rosyjska i hitleryzm, powinnyby te sprawy widzieć wyraźniej. Zaczynają one być widziane wyraźniej dopiero z perspektywy czasu. Ale doświadczenia przeszłości szybko tracą swoją wymowę, gdy wybucha nowa rozprawa ideologiczna i zjawiają się nowi prorocy czy wodzowie. Sceptyków w rodzaju Swifta nigdy nie było za dużo.

V

Przez długie stulecia wielkie konflikty ideologiczne miały postać wojen religijnych. Motywacją ich była właściwa droga służenia Bogu i osiągnięcia zbawienia. Niewątpliwie działały tu i względy bardziej przyziemne. Krzyżowcy szli do Palestyny nie tylko dla wyzwolenia Grobu Pańskiego. W Wojnie Trzydziestoletniej, w rewolucji cromwellovskiej nie tylko chodziło o władzę papieża, postać komunii czy organizację kościoła. Działały tam stale

potężne racje nieideologiczne — gospodarcze, społeczne, polityczne — i one to w ostatecznym wyniku decydowały o obliczu i kierunku przemian powodowanych przez wojny religijne. Nie inaczej zresztą bywało i we wszelkich innych wielkich konfliktach ideologicznych. Jednakże świadomość tych racji nie zaznaczała się, lub zaznaczała się w bardzo słabym stopniu, w postawach olbrzymiej większości uczestników wielkich konfliktów. Motywacje ich opierały się na racjach religijno-ideologicznych.

Nie sądzę, by dało się przeprowadzić granicę między konfliktem religijnym a konfliktem ideologicznym. Walka religijna jest walką ideologiczną, i w każdej najbardziej laickiej i ateistycznej rozprawie ideologicznej mieszczą się potężne treści religijne. Każda ideologia jest przeświadczeniem wiary — obojętne czy jej inspiracje i cele są natury pozaziemskiej czy ziemskiej. I stąd nie znamy rewolucji, której by obce były potężne akcenty religijne. Nie tylko w postaci negatywnej — walka z istniejącym systemem wierzeń religijnych jako częścią rzeczywistości, którą się burzy, ale i w postaci pozytywnej — wprowadzania nowego systemu wierzeń i nowego rytuału.

Rewolucja francuska oficjalnie ustanowiła kult Rozumu. Faszyzm dał Włochom kult Państwa i Wodza, hitleryzm dodał do tego kult Rasy i Narodu. Rewolucja komunistyczna dała kult Klasy i cały skomplikowany system rytuału partyjno-państwowego. Wszystkie te rewolucje były pod znakiem charyzmy i mesjanizmu, co je wybitnie zbliżało do wielkich ruchów religijnych.

Niewątpliwie laicyzacja życia zbiorowego, jaka stała się dominującym elementem rozwoju kulturalnego świata euroamerykańskiego, coraz bardziej zwężała zakres oddziaływania tradycyjnych systemów religijnych. Czy je usunęła całkowicie — to da się dopiero stwierdzić w świetle przyszłych doświadczeń, będących następstwami Drugiego Soboru Watykańskiego. Jednakże nowe ideologie, stając się laickimi, nie przestały być wyrazami postaw religijnych i nie zatraciły charakteru sakralnego.

Od końca wieku XVIII rewolucyjne konflikty ideologiczne przyjmują jako wartość naczelną koncepcję wolności zbiorowej, opartej na koncepcji zbiorowej sprawiedliwości. Chodzi tu o wyzwolenie i zjednoczenie narodowe oraz o wyzwolenie społeczne, wyrażające się w ustanowieniu sprawiedliwego porządku społecznego i ekonomicznego. Z tych zasadniczych wartości wywiodła się niezliczona ilość systemów i ruchów ideologicznych o mniejszym lub większym zakresie oddziaływania, o mniejszej lub większej doniosłości historycznej. Niektóre z tych systemów były zjawiskami efemerycznymi i marginesowymi. Inne umiały wywierać potężny wpływ na kształtowanie się historii naszej epoki.

Dzieje najnowsze stały pod znakiem dwóch wielkich prą-

dów ideologicznych. Jeden z nich jako naczelną wartość przyjął ideę Narodu, drugi — ideę Sprawiedliwości społecznej. W praktyce oba te prądy niejednokrotnie zlewały się w jedno, tworząc *mixtum compositum*. W każdym jednak takim wypadku jedna z dwóch naczelných wartości wysuwała się na czoło, dając specyficzne zabarwienie całemu systemowi ideologicznemu i ruchowi na tym systemie opartemu. Ideały nacjonalistyczne mogły w konkretnych wypadkach zawierać w sobie wizję sprawiedliwości społecznej, nie mniej jednak wizje te były podporządkowane wartościom narodowym i z nich wypływały. I to samo da się powiedzieć o ideałach sprawiedliwości społecznej w odniesieniu do wartości narodowych, które się z nimi łączyły. W czasach dzisiejszych w świecie nowych narodów pokolonialnych związanie takie jest szczególnie silne. Niejednokrotnie trudno jest tam powiedzieć, która z dwóch wartości jest dominantą przyjętej motywacji.

Przy wszystkich swych afiliacjach, obie ideologie ustosunkowały się do siebie wybitnie antagonistycznie. Każda strona oskarżała przeciwną o wszelkie możliwe zbrodnie i nikczemności. Socjaliści byli zaprzeczeniem prawdy absolutnej, która nazywała się Ojczyzną, nacjonałiści byli zaprzeczeniem prawdy absolutnej, noszącej nazwę Sprawiedliwości. Obie strony wierzyły w Wolność, odnosząc ją jednak do różnych faktów społecznych, i w imię Wolności mordowały się nawzajem.

Kulminacyjnymi momentami w rozwoju tych dwóch wielkich prądów ideologicznych były — jak dotąd — dwie rewolucje, z których jedna miała miejsce w Rosji, druga — w Niemczech. Czy trzecim punktem kulminacyjnym okaże się rewolucja chińska, łącząca w sobie wartości nacjonalistyczne i socjalistyczne, o tym dziś mówić byłoby przedwczesne. Obie poprzednie rewolucje były namiętne, krwawe i okrutne. W epoce niezmiernie złożonych i wielostronnych stosunków społecznych, w epoce bardzo rozwiniętej technologii, rozmiary krwi i cierpień, jakie obie rewolucje przynosiły, były szczególnie wstrząsające. Przy całym swym okrucieństwie i bezwzględności, owoce dawniejszych rozpraw ideologicznych wyglądały raczej skromnie w porównaniu z masowością rzezi hitlerowskich czy komunistycznych. Nigdy w swych dziejach ludzkość nie osiągała takiej perfekcji w niszczeniu i zadawaniu męczeń, jak w hitlerowskiej maszynie fabryk śmierci. Osiągnięcia nowej technologii wszędzie tu znajdowały swe pełne zastosowanie.

Technologia masowego mordowania była w dawniejszych wielkich konfliktach ideologicznych na niezbyt wysokim poziomie. Ograniczało to rozmiary mordów. Ale rozmiary te w jeszcze większym stopniu były ograniczone przez fakt zostawiania przez ideologie jakiejś furtki ratunku. Droga do ratunku prowadziła przez renegactwo. Rzymianie wymagali od chrześcijan spalania

kadzidła przed ołtarzem Romy czy innym posągami Geniusza Rzymu. Niewątpliwie duża część pierwszych chrześcijan wołała przyjąć palmę męczeństwa niż spalić tę garść kadzidła. Wiemy jednak, że nie brakło dusz słabszych, które taką furtkę ziemskiego ocalenia wybierały.

Dla Islamu wystarczało w tym celu wyrecytowanie krótkiej formuły. Oczywiście dla wielu wygłoszenie takiej formułki było nie do przyjęcia, ale dobrze wiemy, że ilość tych, którzy ją przyjęli, była bardzo imponująca. Islam zresztą przy całej swej wojowniczości nie szedł zbyt daleko w nietolerowaniu innowierczych poddanych. Wypadki masowych prześladowań religijnych były raczej wybuchami fanatyzmu, który nie zawsze prowadził do wielkich masakr. Jeżeli Turcja w wieku XIX drogo za nie zapłaciła, to posłużyły one jej wrogom za użyteczne racjonalizacje dla operacji czysto rabunkowo-zaborczych.

Ale i Kościół katolicki zostawiał furtkę dla swoich przeciwników. I tu przejście przez nią wymagało odrzucenia posiadanej prawdy absolutnej i renegację. Do tego konwersja nie była czymś tak prostym jak spalenie kadzidła w Rzymie czy wygłoszenie zwięzłej formuły Islamu. Wymagała całkowitego wewnętrznego przestawienia się i dużych zmian w stylu życia. Ale możliwość ratunku cielesnego była tu bardzo realna. Kościół katolicki jest systemem uniwersalnym. Jego celem jest zbawienie każdej duszy ludzkiej. I każda istota ludzka jest wezwana do zbawienia. W praktyce Kościół, z wyjątkiem pewnych okresów swych dziejów, wykazywał znaczną elastyczność w traktowaniu upartych grzeszników. Inkwizycja traciła na swym znaczeniu, by w końcu zniknąć zupełnie. Kościół w swej akcji apostołskiej przeszedł do metod perswazji moralnej, które zresztą dały mu znacznie lepsze wyniki.

To samo da się powiedzieć o Prawosławiu i o Protestantyzmie. Jedynie Prawosławie rosyjskie stosunkowo bardzo długo — bo aż do roku 1905 — uciekało się do środków bardziej brutalnych. Sekciarze rosyjscy byli ofiarami prawosławnej inkwizycji w czasach, kiedy jej katolicki odpowiednik nawet w Hiszpanii przeszedł do przeszłości. Protestantyzm — szczególnie w jego purytańskiej odmianie — umiał się zdobyć na własną inkwizycję, której nie powstydziliby się Torquemada. Były to jednak zjawiska mniej lub więcej epizodyczne.

W nowoczesnych wielkich konfliktach ideologicznych furtka ratunku albo nie istniała albo była ledwo odchylona. Wróg przestał tu być zbłąkanym grzesznikiem, przed którym stała możliwość wyrzeczenia się błędów i konwersja. Nie był jednostką, ale całą zbiorowością. Był całą kategorią ludzką, wraz z olbrzymią gromadą, jasno zdefiniowaną i przez samą definicję skazaną na zagła-

dę. Były to rasa, klasa, obca narodowość — już przez sam fakt swego istnienia będąca wrogiem i zaprzeczeniem naszej prawdy absolutnej. Dla nie-Aryjczyków hitleryzm furtki nie zostawił. I nie zostawiał jej dla tych Aryjczyków, którzy należeli do ras gorszych czy stawiali opór misji niemieckiej. Tu nie mogło być mowy o pokucie i konwersji. Komunizm stworzył mit wroga klasowego, którego należało tępić. Niewątpliwie w komunizmie były pewne elementy uniwersalizmu, których brakło w nacjonalizmie, szczególnie w jego hitlerowskim wariacie. Komunizm, niszcząc wroga klasy, zostawiał furtkę odchylną dla jednostek, które wyrzekały się swego dawnego klasowego uczestnictwa. Było to konieczne choćby dla względów praktycznych. Twórcy komunizmu z Leninem na czele nie mogli wykreślić samych siebie. Uchodzący z tępionych klas byli potrzebni jako ideologowie, organizatorzy czy członkowie aparatu administracyjnego. Niemniej cień pochodzenia klasowego stale padał na tych, którzy stanęli po stronie nowej wiary. I był wyzyskiwany jako pożyteczna racjonalizacja przy wszystkich rozprawach wewnętrznych czasów Stalina i Mao Tse-tunga.

Tu jest zasadnicza różnica między dawnymi wielkimi konfliktami ideologicznymi o charakterze religijnym a konfliktami nowymi. Dawne filozofie były uniwersalistyczne i miały na celu każdą jednostkę ludzką. Nowe albo odrzucały zarówno uniwersalizm jak i wartość każdej jednostki, albo — jeżeli nawet zachowywały uniwersalizm — nie przypisywały znaczenia jednostkom, widząc w nich jedynie komórki wielkich zbiorowości społecznych.

VI

Wszystko co zachodziło w dziejach człowieka, znajdowało dla siebie życzliwych komentatorów czy apologetów. Faktom najwyższej podłości usiłowali oni nadać postać godną szacunku. Byli oni w tym bardzo dalecy od prostej i wysoce racjonalnej postawy papuaskiego rozmówcy Bronisława Malinowskiego. Mówili przeto o wojnach sprawiedliwych i niesprawiedliwych (każda wojna, którą my rozpoczynamy, jest sprawiedliwą), mówili o posłannictwie, o słuszności odwetu, o konieczności utrzymania porządku, o wolności i o pomaganiu tym, którzy o nią walczą. Ilość możliwych racjonalizacji jest tu niezliczona.

Wiek Oświecenia przyniósł szereg systemów filozoficznych, potępiających w imię Rozumu walki międzyludzkie i okrucieństwa. Potępił je w swych utworach poetyckich Fryderyk Wielki. Jednakże Fryderyk-praktyczny polityk nie zupełnie się zgadzał z Fryderykiem-poetą. Ci z filozofów wieku XVIII, którzy wyszli

ze szkoły Lukrecjusza, przyjmowali za swym mistrzem, że u początku dziejów było *bellum omnium contra omnes*. Ale niemożliwość praktyczna utrzymania takiego stanu rzeczy sprawiła, iż ludzie, powołując do życia instytucje prawnopństwowe, położyli kres stanowi anarchii pierwotnej. Jeżeli wciąż ona istnieje w stosunkach międzynarodowych, to Postęp i nastanie rządów Rozumu dokonają tu zmian zasadniczych. Były to koncepcje wybitnie optymistyczne.

Ten optymizm był podzielany nawet i przez tych, którzy — jak Hobbes — pesymistycznie oceniali naturę człowieka. W ostatecznym wyniku Rozum będzie musiał zatriumfować i lew w szlachetnej harmonii współżyje z jagnięciem. Filozofie te przetrwały w wieku XIX (nie był on ubogi w krwawe wojny) i ślady ich i dziś jeszcze dadzą się odszukać.

Optymizm ten w czasach późniejszych nie mógł znaleźć dla siebie zbyt przekonującego uzasadnienia. Krwawe rozprawy i okrucieństwa bynajmniej nie zanikały pod rządami dobrotliwego Rozumu. I największe zbrodnie były popełniane właśnie w imię Rozumu. W wieku XIX właśnie w imię Rozumu i Cywilizacji były popełniane potworne okrucieństwa na terenach kolonialnych Afryki i Azji.

Zresztą w wieku XIX zaczęły się pojawiać nowe filozofie, widzące w przemocy i walce konieczne narzędzia postępu dziejowego. Były to koncepcje mistyki rewolucyjnej — nacjonalistyczne i socjalistyczne. Obie uznawały, że walka jest czymś nie tylko uzasadnionym, ale i niezbędnym dla osiągnięcia celów rozwoju człowieka.

Punktem wyjściowym dla pierwszych był Fichte i jego „Reden an die deutsche Nation”. Aby osiągnąć swoją tożsamość, zbiorowość narodowa musi stać się wolna, co zarazem umożliwi jej wykazanie swej mocy i zdolności spełnienia swej misji. Jest to niemożliwe bez walki. Przez walkę o wolność zbiorowość narodowa zdobywa swoją jedność i staje się podmiotem historii. Przez walkę wykazuje ona dalej swoją moc i zdolność do wpływania na rozwój dziejowy całej ludzkości. Wczesny romantyzm niemiecki w powszechnym zwyczajstwie wolności i pokoju widział cel końcowy tej walki. Późniejsze filozofie nacjonalistyczne i imperialistyczne znacznie jednak odeszły od tych idealistycznych założeń „Reden an die deutsche Nation”.

Walka i przemoc znalazły tu dla siebie uzasadnienie i usprawiedliwienie filozoficzne. Niewątpliwie towarzyszą im cierpienia olbrzymich ilości jednostek ludzkich. Muszą być one jednak uważane za nieuniknione następstwa działania pewnego porządku nadrzędnego i muszą mu być podporządkowane. Tylko przez krew

i żelazo mogą być osiąganе wielkie cele narodowe, które jedynie mogą mieć znaczenie.

Ale walka i przemoc miały też swoje uzasadnienie i usprawiedliwienie historyczne. Są one motorem dziejów. Jest to fakt empiryczny, stwierdzony przez cały rozwój człowieka. Ludwik Gumpłowicz w swej teorii dziejów jako walki ras dał tej koncepcji socjologiczne uzasadnienie. W takiej czy innej postaci teoria ta spotkała się z powszechnym i życzliwym przyjęciem. Oczywiście człowiek powinien był dążyć do zredukowania okropności towarzyszących walce, ale musi się pogodzić z samym faktem konieczności walki.

Tak więc koncepcje mistyki rewolucyjnej szukały uzasadnienia i usprawiedliwienia walki i przemocy w konieczności historycznej. Dla Marksa i Engelsa całe dotychczasowe dzieje ludzkości to historia walk klasowych. I tu walka jest motorem dziejów. Dopóki istnieją klasy, dopóty musi być walka. Zniknie ona, gdy klasy znikną. Ale powstanie społeczeństwa bezklasowego czyli społeczeństwa pokoju da się osiągnąć jedynie przez ostateczny i najbardziej gwałtowny zryw rewolucyjny, będący następstwem najwyższego napięcia przeciwieństw i konfliktów klasowych.

Georges Sorel w „Reflexions sur la violence” rozwinął cały system empirycznego uzasadnienia przemocy jako zasadniczego narzędzia postępu. Negowanie konieczności przemocy jest naiwnym sentymentalizmem i niezdolnością rozumienia historii. Sorel pisząc „Reflexions sur la violence” był oczywiście nieświadomy tych wniosków praktycznych, jakie z jego dzieła wyciągnęli pewni czytelnicy.

Wszystkie te filozofie stały się częścią integralną i podstawową wielkich systemów ideologicznych naszych czasów. Posłużyły one za racjonalizację zarówno dla rzezi hitlerowskich jak i komunistycznych. Racjonalizacje te mieściły w sobie potężne treści emocjonalne i odpowiadały napięciu emocjonalnemu mas ludzkich naszych czasów. Dawały emocjom i ich praktycznym następstwom przekonywujące uzasadnienia filozoficzne i historyczne. Człowiek stale szuka racjonalnego uzasadnienia dla swych jak najbardziej irracjonalnych działań.

Oto nieco najbardziej ogólnych uwag, które nam posłużą za wprowadzenie do dalszych rozważań na temat ideologii współczesnych i tego co określamy jako ich kryzys. Do niektórych z tych uwag wypadnie nam jeszcze niejednokrotnie wracać.

Aleksander HERTZ

Dno stuleci

*Memu pierwszemu wydawcy
Doktorowi Janowi Gebethnerowi,
ostatni jego autor.*

Motto: „Byliśmy realistami do przesady; kładliśmy nadmierny nacisk na zwierzęce cechy człowieka i na najgorsze strony społeczeństwa”.

Hippolyte Taine: „Listy”.

Trapi mnie ta myśl i trapi i dalibóg nie wiem od czego tu zacząć. Bo najlepiej to byłoby pójść do jednego takiego domu, mieści się przy Alejach Ujazdowskich, do tej komisji, nawet głównej, której pieczy powierzono, aby udokumentowała zbrodnie czasu ostatniej wojny. Aż dziw bierze, że trzeba tworzyć podobne biura, a w tych biurach zajmować dziesiątki ludzi, aby spisywali i zbierali ździebko po ździebku okruchy złego wiatru posianego ćwierć wieku temu.

Ale znowu kiedy zajrzę do tego biura, kiedy wypiszę numer kartoteki i urzędniczka w paputkach wyłoży na stół cały pakiet zapisków, zdjęć, protokołów i fotografii, boję się, że przytłoczy mnie ogrom tego zła i się z tego nie wyzwolę, i budzić się będę po nocach spocony; znam to, tego trzeba za wszelką cenę uniknąć. A więc zawierzyć pamięci?

Czy jeśli tak postąpię, uchybię w czymkolwiek sprawie? Pytam, boć człowiek stale czegoś nie pewien, stale błądzi i nieraz w zdumieniu przygląda się dzieciom albo pozbawionym rozsądku, którzy zawsze wszystko wiedzą najlepiej i wybierają nieomylnie.

Trudno mi nawet przypomnieć sobie, czy to była wczesna

jesień czy wczesna wiosna. Wiem, że wracałem z Białegostoku, lało, samochód wysuszył się przez noc w garażu, ale był zbrukany po dach, nazajutrz dzieci napisały paluszkami, czego nie zauważyłem: jestem brudas, z czego się przechodnie śmiali, a ja robiłem głupią minę, bo nie wiedziałem o co chodzi, a na skrzyżowaniu Świerczewskiego zagwizdał milicjant i podszedł do okienka: takim zachłapanym nie wolno jeździć. Pan pojedzie umyć. Pierwszy raz słyszałem, aby milicjant groził mandatem za zachłapanie wozu, ale zawsze kiedyś coś pierwszy raz się słyszy, nawet chyba nic nie mruknąłem, a co pomyślałem było niekaralne, bo jeszcze za myśli się nie karze, i pojechałem pod sąd. Nie, to jednak musiała być chyba wiosna, bo ten facet był w kusym paletku. Kuse paletko w modną kratę, ale wyglądało jak z koca i te pałkowate nogi z napiętymi łydami, co było widoczne przy nadmiernie zwężonych spodniach. Chce mi się napisać, że „spodzień” był zbyt kusy, ten „spodzień” bardzo przystaje do tej figurki, o której będzie mowa.

Otóż ten facet mnie zirytował. Przeszedł na skos przed samym sądem, kpiąc jawnie z nadjeżdżającego, trochę wprowadzie uskok, bo we wgłębieniu szyn było nieco błota i bał się, by nie prysnęło, a ja tu musiałem przyhamować, a ciężarówka za mną musiała przyhamować, co uczyniła z piskiem i w lusterku widziałem, jak coś potwornego wali mi się na zderzaki, i jeszcze ktoś hamował, bo to była cała kawalkada, jak to przy zielonym świetle. A ten kusunogi dreptał sobie w swych obcisłych porteczkach przez szyny i ani się obejrzał.

Sala była siedemnasta. Ale czy na pewno siedemnasta? Bo siedemnasta bez wątplenia była ta w Collegium Minus, kiedy lat temu... inaczej, kiedy pokolenie wstecz, dopiero co immatrykulowany zasiadłem w środkowej ławie, aby wysłuchać pierwszego w życiu wykładu z prawa rzymskiego; to musiało być nie byle prawo, kiedy tyle wieków do niego wracamy. Więc nie upierajmy się przy cyfrze sali, w ogóle nie upierajmy się przy małych sprawach, dużych i tak jest za dużo, aby nad nimi się głowić. A więc krótko: pamięć zawodzi. Wyobraźnia trwalsza. Pokłóciłbym się tu z Vercorsem, który mówi: *C'est extraordinaire combien la fantaisie est une qualité fragile*. Ja bym tę *fantaisie* zamienił na *mémoire* i byłoby wszystko w porządku. Więc nieważne siedemnasta czy któraś inna, dość że obszerna z balaskami oddzielającymi prasę od gawiedzi.

Był to już któryś z rzędu dzień rozprawy, człowiek sądzony był schorowany, wprowadzać go mieli milicjanci obutego w bambosze i okutanego kocami, pielęgniarka podawać mu miała w czasie rozprawy lekarstwa i kawę a czasem kompot, a on sobie drzemał, bo najgorsze co nad nim wisało było jedno, nie było

wyboru, więc się z tą myślą chyba oswoił, a ta komedia, która się przed jego oczyma toczyła, była już kiedyś przeżyta, można by ten rachunek zdawać zupełnie inaczej, tak jak zdał *Il Duce*, doraźnie i bez pardonu, ale kiedy człowieka wzywają przed trybunały, a jeszcze przedtem państwo żąda ekstradycji, a inne państwo tego głosu wysłucha, to wówczas ten, którego odstawiają, nabiera wagi, trzeba dbać, aby mu się głowa nie załupieżyła, bo co by na to prasa całego świata. Tak to w praktyce wygląda zdawanie rachunku za swe niegodne człowieka czyny, pod jednym warunkiem, aby ten zdający rachunek był kimś niezwykle ważnym, *primus inter pares*. A ten w bamboszach był właśnie niezwykle ważny, nosił tytuł gauleitera, czyli na ludzką mowę władcy życia i śmierci milionów podległych mu istot, był oczywista *parteigenosse* pierwszej gildy i osobisty wybraniec tego z kosmykiem. Zachowane dokumenty przekazują nawet konterfekt gauleitera z podobnym kosmykiem, jako że był zapatrzony w mistrza i był jego na swoim terenie odbiciem i tubą. Tak, ruchy miał podobne i gest wyrzucania dłoni na *heil* był ten sam, jaki zachowaliśmy w pamięci z kronik poprzedzających wojnę. I ta cza-pa mocno wciśnięta na oczy i koalicyjka na płaszczu długim po pęciny, kiedy trzeba kciuk przetknięty przez koalicyjkę, bo tak mógł przetykać kciuk Bonaparte, tak może po gauleiterze przetykać sam mistrz Adolf, dlaczego by Adolf nie miał przejąć czegoś od Ericha?

Wracałem na ten proces właśnie z Białostocczyzny, gdzie Erich sprawował swą powabną funkcję, wiele gadano o zbrodniach, ale milion straconych istnień to jest abstrakcja, pokażcie jednego skrzywdzonego, to dopiero szarpnie. A mnie pokazano garbuska nazwiskiem Kalina, ale wołali na niego Postrzałek. Brałem udział w polowaniu na dziki (to jednak byłaby nie wiosna?) i ten Kalina false Postrzałek okazał się bohaterem polowania, co już kiedyś gdzieś opisałem, prątkował, taszczył na plecach nieproporcjonalny bochen, a mimo to był pierwszym naganiaczem, ileś tam kilometrów gnał stado dzików pod nasze breneki, rozegrał się zwierzęcy dramat na lodzie wbrew regulaminowi, bo breneką nie wolno sieć do kotła, a tu strzelano do kotła i dwóch z gębami oprawców dzieliło się potem łupem, każdy zagarniał po dwa tysiące czy ileś, a w młynie, przy bigosie okazało się, że Postrzałek zarobił piętnaście złotych za polowanie i zajczyka, ale tego zajczyka ściągnął mu z płota pies i „z czym ja tera, panoczku, wróć do chałupy”. Wgarnięty do młyna zmiatał z talerzy resztki bigosu, spijał co zostało w musztardówkach, a kiedy już miał w czubie, zaczął pisać żurawiejki i nagle zawył: to czarne i to czarne! Temu tak tropię i gnam! Kiedy śnieg spadnie a mróz chyci, tedy na czarnego! Szabla na bok, lanca w dłoń i czarnego

goń, goń, goń! Urzęśliście się Postrzałek, powiedziałem cicho, skąd wam ułany w głowie. A on: bo od tego mi spuchła. Pan nie widzi tej racy za uchami. O czym wy? A o wojnie. Szwaby wzięły mnie do obozu i kazowały śpiewać. W Baranowiczach stał kiejś pułk ułanów. Jak tylko szef był zły, to cały obóz: Postrzałek, idź, wyj! Powiadał, że takiej pokraki świat jeszcze nie widział. Raz jak przyjechał gałajter podobny był do hyclera, to mnie też zaciągnął i po polowaniu kazował śpiewać. A co z tą głową? To właśnie wtedy. Poszedł zakład pośród nich. Mówili o jakimś Wilhelmie, pewnikiem królu, też musi być garbaty albo co. Wtedy mi nad garb przypieni jabłko. Niby agrafką do kołnierza. I tak. Strzelali? pluli, odparł z goryczą. A jeden, psia sobaka nie trafił w jabłko. Chorowałem ze trzy miesiące abo i dłużej, nie baczę. Uwziemi się, żebym był zdrow, choć jeden psia sobaka powiadał, że jakby moje gnaty wygotowali i za szkło i posłali temu gałajtrowi, to by miał do swoich zbiorów. Ale zaś jakoś rozeszło się po kościach, był inszy smród... Temu tak ich gnam. To byli czarne! Uhuhu! — zasłonił oczy i wył. — To nie była abstrakcja i cyfra z wieloma zerami, to był jeden nędzny żywot skazany na jeszcze większą nędzę, której dno nazbyt było widoczne. Wtedy postanowiłem zobaczyć czarnego z wąsikami, który na pewno byłby się ucieszył, gdyby mu w jego gauleiterowskim pałacu postawiono obok wypchanego żubra wygotowany szkielet poddanego, do którego strzelali dla zabawy i jeden spudłował, a garbaty nawet nie wiedział, że na podobny rozkaz strzelał kiedyś ojciec do syna, że były jakieś kantony Szwyc, Uri czy Unterwalden, i że ten łuk i ta strzała, co przebiła jabłko na głowie syna, miała przejść do historii, powszechnej i literatury.



Tyle już pisali o tym u nas i zagranicą, że już wszystko znało się na pamięć i nawet nie dziwiło, że naraz za którąś tam rzeką pisali dobrze o tym, co dzieje się nad tą rzeką, nad którą leżało miasto dwakroć za czasów Ericha skazane na zagładę, które miało skazać na zagładę tego Ericha, ale uczynić to chciało z całą powagą, na jaką stać młode państwo. Ta sanitariuszka, lekarstwa, kawa, kompot, bambosze i koc na nogach, dopełnione kompletną obojętnością zainteresowanego, wprawiały jednak w osłupienie. Nie przesadzajmy — chciało się krzyczeć — i byłbym, choć jako żywo nic nie mam z bisurmana, wszczął jakąś awanturę, aby odmienić tok, zagrzać do boju; byłem kiedyś na przyjęciu, gospodarze chwalili się parą nad podziw miłujących się pekińczyków, ale dla zabawy gości pan domu złapał oba kudłate łebki, roz-

dzielił i trzasnął pyszczkiem w pyszczek, i zaczęły się tarzać z wściekłością, kasać, rzucać, aż samczyk powalił samiczkę i postawił nogę, przednią prawą na powalonym ciałku swej dziewczyny, taki gest misericordii i patrzył, czy doceniamy gladiatora, podobnie i tu chciało się sprowokować sanitariuszkę, aby chlusnęła kawę z kubka w tę maskę z wąsikami w to czarne, aby coś się działo u diabła i ktoś postawił nogę na ciele powalonego, ale przenikała obawa, czy powalonym na pewno będzie ten, którego należy powalić.

Były zeznania, pamięć uroniła ich wagę, potem wystąpił znawca przedmiotu, zapewne prawnik a może socjolog, mówił dużo o eksterminacji, bardzo uczenie, i jak to się mówi *sine ira et studio*, choć w nas ta *ira* pulsowała coraz gwałtowniej i nowe pojawienie się sanitariuszki sprawiało, iż odwracać trzeba było oczy. Tu za cel postawili sobie wyczesać całą inteligencję (wyczesać — co za słowo), sprowadzić naród do roli bydłęcia, a imię kraju zmieść z map świata, a my mu a to coraminę, a to psycho-glutał, a to largaktil. Niech to jasne pioruny!... A znawca przedmiotu mówił beznamiętnie, dobrym polskim językiem, ale jakby matowym, bez cienia barwy, o zbrodniach systemu, ale mu przerwano nagle i sanitariuszka zwróciła się do obrońcy, obrońca do sędziego, sędzia do prokuratora, ten do ławników. Na koniec sędzia zarządził przerwę w obradach, spojrzał na oskarżonego, potem na sanitariuszkę i dodał: przerwa potrwa dwadzieścia minut. Erich jął się podnosić, milicjanci podawali mu usłużnie ramiona, on się na nich wspierał, widać było wysiłek wątlejszego milicjanta, stawiali go na nogi, usuwali krzesło, ten silniejszy wziął koc na rękę, ten koc przejęła sanitariuszka, i oskarżony, z nogami w tył wyciągniętymi jak pijak albo owładnięty niemocą, włókł te nowe bambosze nieokreślonego koloru, a ktoś z gawiedzi powiedział dosadnie, co Erich będzie robił przez dwadzieścia minut i czemu go wyprowadzają, sądu już nie było, wyszedł, i ktoś z gawiedzi zarechotał: to musi być duża kupa jak na dwadzieścia minut.

To był już któryś z kolei dzień procesu i ławki dziennikarskie świeciły pustkami. Obok mnie siedział młody, uważny mężczyzna, bawił się kluczykami z emblematem austina, myślałem, że Anglik, ale to był Niemiec, czasami coś notował, nudziło go, odkładał słuchawki, spytałem czy z NRF czy z NRD. Powiedział, że wszystko jedno, jest Niemcem i odór części gnilnych obchodzić musi jednakowo mieszkańców tej i tamtej strony Łaby, trochę jakby mnie pouczył, byłem zły, na kim by tu się odegrać, wyszedłem na korytarz.

Redaktor popularnej popołudniówki dopytywał, co dziś było, czy zdarzył się jaki szlagier, ale mu powiedziano: nudy na pudy,

więc poszedł do kapitana w milicyjnym mundurze, nie wiem czy był na sali czy gdzie na zapleczu, ten mu krótko opowiedział, że już są zmęczeni, że milicjanci się buntują, że nie chcą być razem fotografowani, że oni nie fagasy, żeby takiego zdechłego knura wyprowadzać i wprowadzać. Trochę mi ten odruch zwykłych szeregowych był na rękę, patrzyłem odtąd na nich życzliwym okiem, a nawet jednemu zagadnął, czy on, niby ten Erich tak śmiertelnie człapie kiedy jest sam. Ale gdzie, skurwel — powiada ten milicjant, drałuje kulasami niech ino nikt nie patrzy. Cholerze bym arszeniku do tej kawy... — Ja też — uśmiechnąłem się i ten nasz sojusz był prawdziwy choć bezpodstawny, bo gdzie idzie o rzetelną wagę przewin, trzeba kierować się dowodami nie odruchem, aleśmy przecie ludzie z wszelkimi uchybieniami dwunoga.

Ale kiedy mi powiedzieli, że ten Erich kiedy sam to drałuje kulasami, coś się we mnie zbuntowało, nie wiedziałem co może być, ale znam siebie, coś zrobię, krew chyba gruźelkowata płynie mi w żyłach, bo czasami jestem ustępliwy i łagodny jak karzeł, a czasem budzi się szatan i tylko mi dać szpikulca abym kłuł. Wtedy też czułem, jakby mnie ktoś uzbroił, wyszedłem przed balaski, byłem uprzywilejowany, blisko ołtarza i wtedy zobaczyłem, jak sanitariuszka otwiera szeroko drzwi, aby ci dwaj, wąty i rosły, mogli wciągnąć czy przydźwigać oskarżonego; wierzcie mi, każde słowo na wagę mej pamięci, ten oskarżony dał się tak prowadzić z tymi bamboszami w tył, trochę tam niby przebiegał ale jak mucha w smole, a złe mi podszeptało i wraziło szpikulec, więcem, sam nie wiem jak to się stało, podszedł śpiesznymi krokami w orbitę jego oczu, źle się wyrażam, wszedłbym w orbitę jego spojrzenia, gdyby patrzył, ale ten biedak, zdjęty cierpieniem i niecierpliwością (co za nuda taki proces!) oczy miał półotwarte, więc nie powinien widzieć na co się zanoś... A ja tak podskoczyłem w ciężkich, podkutych butach (to chyba była jednak jesień) i ten rosły milicjant zatrzymał się, jakby chciał spytać: co to jest? ale Erich już się dźwignął, już stanął energicznie podciągawszy śpiesznie stopy, i zasłonił zwałym ruchem brzuch, jakby się bał ciosu. To wystarczyło, powiedziałem milicjantom: chciałem tylko sprawdzić, nie wiem czy zrozumieli, ale oskarżony pojął, że został zdemaskowany i potem, kiedy już siedział i niemrawymi ruchami poprawiał koc na kolanach, lustrował znów spod półprzymkniętych oczu, kto mógł to jeszcze widzieć. Potem, w czasie tego dnia niejednokrotnie spod ociężałych powiek spoglądał na mnie, aby wreszcie uśmiechnąć się porozumiewawczo, za co, gdyby to nie był sąd, powinien dostać w pysk.

Zeznawała jakaś kobieta i wydawało się, że chciałaby sobie

popołgować w słowach, ale sąd przywoływał ją parokrotnie do porządku, zdaje się, że nic ważnego nie wniosła, potem ktoś jeszcze i ktoś jeszcze, sprawa żydowska dostała się na wokadę, ktoś, czy nie ten sam socjolog czy prawnik, podawał znów cyfry: ilu dostało się do getta, ilu załatwiono bez getta.

Nie umiem objąć wyobraźnią cyfr większych od tysiąca, więc baraszkowałem myślami, kto to Erichowi nadesłał, bo mówili, że na jego konto nadeszło do więzienia coś około dwudziestu ośmiu tysięcy złotych. Wyobraźnia co do pieniędzy mi nie szwankuje i wiem, co za to można kupić, choć znowu nie wiedziałbym na ile to starczy, jeśli cyfra była prawdziwa, ile to starczy na przykład na czekolady. Bo oskarżony spluwał do chusteczki i to szczególnie głośno, kiedy jakiś zarzut śmielszy padał pod jego adresem i za jednym zamachem wypychał do ust kawałek nierówno ułamanej czekolady, sędzia to widział, ale odwracał oczy, obrońcy udawali, że nie widzą, choć byli z urzędu, tylko kiedy oskarżony zdejmował słuchawki, ktoś tam za zielonym suknem siedzący stukał ołówkiem, więc nakładał te słuchawki, ale tak raczej na szyję niżli na organy słuchu. A to tupeciarz, myślałem sobie, taki pomiot diabli miał czelność, e, może to tylko takie gadanie prosić sąd, aby na proces przyjechała jego żona i syn, aby ich umieszczono na jego koszt w Bristolu, i może by się i jego, przecież ojca i przecież męża udało tam na ten czas umieścić, no, niechby pod strażą albo na słowo honoru. Że też nasz sąd na to nie przystał, myślałem, dziwne, a ty, choreńki masz nas chyba za ostatnich capów i kalkulujesz, ileś błędów popełnił nie zlikwidowawszy tych, którzy teraz ciebie.

Kto mógł mu do więzienia nadsyłać te pieniądze, pogrobowcy tego z kosmykiem? a więc idea nie umarła? Przecież pod tą kopicą świeżo umytych włosów nie widać nawet śladu siwizny, ty może nawet dumę jakąś obnosisz, żeś uszedł cudem spod stryczka Norymbergi, żeś był przez parę lat skromnym buchalterem w jakimś nadmorskim miasteczku i bardzoś dobre zaskarbił sobie referencje. Wtedy woźny otworzył drzwi i wywoływał jakieś nazwisko. Mógłbym wprawdzie wyłowić z akt przy Ujazdowskich, jak się nazywał ten człowiek i co mówił, ale powiedzcie sami, czy gdybym odtworzył jota w jotę to co mówił ten człowiek, czy by to było prawdziwe?; zapewne, powiecie, prawdziwsze od tego, coś sobie zapamiętał; tak, odpowiem, ale odtwarzając z pamięci trafiam w istotę rzeczy, a zdania odnotowane przez protokółanta mogą być jeszcze bardziej chrome, a już na pewno pozbawione owej otoczki misterium, misterium z czeluści i jądra zła, jakieśmy wtedy przeżyli, a może to pluralis tu niepotrzebna, nieraz przekonywałem się, że jakaś szczypta zasłyszanego dramatu udzieliła się tylko mnie, a tłum komento-

wał ilość, aleśmy przecie detaliści po to, aby ten detal przemnożyć przez wiele innych danych i dopiero rzucić przed oczy. Więc nazwijmy tego człowieka Schmackpfeffer, był ze mną w szkole ktoś o takim nazwisku, a szkoła była dla zamożnych, bardzo droga, nie chodził na religię i myśmy nie wiedzieli dlaczego i Glazer nie chodził i Sabina, ta czarnula, co jej ojciec miał sklep kolonialny i czasem we witrynie od ulicy wywieszano dzika z pyskiem owiniętym pergaminem, czemu oni nie chodzili na lekcję religii i żarli figi; bo oni chodzą do bóżnicy, wrzasnął Mężydło i huczał, Mosze Glazer powiedz żydka rabin niesie, a myśmy się nie śmiali, dopiero po chwili, bo to było takie zabawne, pierwszy kalambur w życiu, bo albo Żydka rabin niesie, albo Żyd karabin niesie, co w obu wypadkach było takie śmieszne i wtedy Sabina rozdzieliła między nas dziewięciolatków całą torbę fig, a ksiądz kanonik, co po chwili nadszedł, głaskał po głowie Schmackpfeffera, bo on był bardzo blady i powtarzał: no nie płacz, chłopcze, nikt ci nic złego nie zrobił, widzisz, dzieci są dobre, jedzą wasze figi, no, nie płacz, nie płacz, ale naraz i Sabina, ta czarnula się rozryczała i Glazer i ksiądz kanonik zachęcił ich, aby nie szli się bawić na podwórze, ale aby usiedli i słuchali, jak to Pan Bóg siódmego dnia spojrzął z góry i uradował się, że tak mu się powiodło ze stworzeniem świata. Tylko Mężydło, pamiętam to dobrze, chował się za plecy Styrbickiego, co miał ząb z przodu w złotej ramce i patrząc na Glazera nieprzyzwoitym ruchem trząsał ramieniem. Więc chyba mi wolno pożyczyć nazwisko od tego chłopca, który płakał i był taki blady, bo to jest ta sama sprawa, tylko w wielkim powiększeniu. A więc woźny zawołał: świadek Schmackpfeffer, jest tu świadek Schmackpfeffer? no, nie było tu świadka, wszedł na salę i obwieścił: nie ma świadka Schmackpfeffera, czy sąd każe wołać następnego? Ale w tej chwili wszedł wywoływany i śmiałym krokiem parł ku zagrodce świadków. Oczy Ericha jakby ożyły, lewa brew uniosła powiekę, chyba ten Erich nosił kiedyś monokl i z niezwykłą jak na tę ospałość uwagą oko wbiło się w postać zeznającego. Teraz dopiero spojrziałem i ja, to był ten krzywonogi w obcisłych porteczkach i kusym paltociku w kratę. Jakaś niechęć, szkoda, że ci trochę tych portek nie ochlapałem, ten świadek był już w swej figurze niepoważny, ciekawe, co tam ma w zanadrzu, szkoda, tu by się ktoś wiarogodny przydał, choć może... nigdy nie wiadomo, w jakiej postaci pojawi się bóg prawdy. Nazwisko — pytał sędzia i brodą przekazał nakaz, aby protokółanci to odnotowali, imię, ojca, matki, gdzie się rodził, wyznanie, bezwyznaniowy ale urodził się, proszę zapisać: mojżeszowego. Czy był w okresie... — tu jakaś data, jakiś punkt niezwykle ważny, bo wtedy miano w Białymstoku rozpocząć sądny

dzień, co się w nomenklaturze nazich nazywało: rozwiązaniem kwestii żydowskiej. Czy nigdy nie przychodziło wam na myśl, że nikt tak jak tyrania nie dobiera podobnych eufemizmów? *Das Judenfreieeuropa*. Cóż za ponętny skrót, szkoda tylko, że nasza pamięć nad każdą z liter dodaje kominy, a te kominy dymią przeraźliwie, niczym na rysunkach dzieci, jeszcze domu nie ma, a komin już dymi. „Budowałem na piaskach i zawaliło się, budowałem na skale i zawaliło się, teraz zacznę budować od dymu z komina”, jest to wyznanie proroka, który patrzył wstecz, a myśmy go pożywali, bo umiał odmierzać przeżyte słowami, a słowa były zwyczajne, choć sprawa była dnem stuleci. Co świadek ma do powiedzenia w sprawie Ericha? O, dużo mam do powiedzenia, wysoki sąd pozwoli, że będę czytał. Sąd nie wiedział: pozwolić czy nie pozwolić, sędzia dyskretnie spojrzał na zegarek i przechylił się ku jednemu z ławników, tamten wzruszył ramionami i przekazywał to samo sąsiadowi, tamten postawił oczy i coś śpiesznie bazgrał na kartce, ta kartka powędrowała do protokółanta, ten podszedł do woźnego. A świadek dukał, nie bardzo mu szło z odczytywaniem, a był to rodzaj wstępniaka w gazecie, coś jakby: już starożytni Grecy ostrzegali przed nacjonalsocjalizmem, bo nacjonalsocjalizm to zbrodnia sama w sobie, bo to ibermensze, tylko oni, a reszta to, za przeproszeniem uszu wysokiego sądu, to gnój, przepraszam, mierzwa, nawóz, to co się rozrzuca po polu, aby lepiej rosło. Tak tam coś klepał, a mól latał w powietrzu i nawet Erich się ożywił i klepnął łapkami, zdaje się zabił, bo spojrzał na sędziego, ale sędzia go skarcił wzrokiem, więc bardziej się wtulił w koc, słuchawki mu zjechały zupełnie za kołnierz, aleśmy i tak wiedzieli, że są niepotrzebne, bo oskarżony doskonale zna nasz język, nawet czyta „Życie Warszawy”, co o nim piszą. Sąd zwraca uwagę świadkowi, aby się streszczał. Więc już nie Grecy ale Fenicjanie, a potem Sparta, Termopile, powstanie w getcie, nie podobna aby taka posturka powoływała się na najświętsze, panowie z trybunału poruszyli się, to było jednak ściąganie z ołtarzy tego, co tam celebrowano, nie wolno strzępić gęby i uczyć się obcych słów i cudacznych sformułowań, takich jak „neony Nerona”, bo przecież, jeśli każdy będzie sięgał do tego lamusa, co zostanie dla tych, którym wypadnie oddać sprawiedliwość rzeczy, która się stała? Poczułem rodzący się sojusz mój z panami z za zielonego sukna, skrzyżowałem z sędzią spojrzenie, ten patrzył spod okularów na mego sąsiada, a potem z kolei klasyfikował moje buty. Ubranie modnego kroju, mogłem być zagranicznym gościem, ale te buty były seryjne z Chefmka i wtedy ten pan przestał się mną interesować. Sąd zwraca powtórnie świadkowi uwagę, aby się streszczał. Panowie z za zielonego stołu to stawiali, to kładli

długopisy, nadymali się resztkami cierpliwości, znów jeden odwracał się do drugiego, szeptali, patrzyli na świadka, a ten dukał coś o morzu czerwonym, chyba to była przenośnia, żałowałem, że poszły mi poprzednie zdania mimo uszu, wyciągnąłem papierosa. Niemiec z NRD albo NRF, wszystko jedno skąd, sięgnął po zapalniczkę, ale ja tylko tak, na rozprawie nie wolno palić, wziąłem tę zapalniczkę i patrzyłem długo, był tam przylutowany emblemat z bandą korporacyjną, trójkolorową rittera — on jednak musiał być z NRF — i przypomniały mi się lata młodości mego ojca, w mieście u ujściu Nekar do Renu, i polana i sekundanci, i ta szrama, którą odtąd miał ojciec za uchem, i kiedy byłem mały, mówił, że spadł z konia i stąd.

Sąd po raz ostatni wzywa świadka... A kiedy padły słowa „A ty wiesz stada chmurna córki Syjon, aż do ciebie przydzie i przydzie władza pierwsza, królestwo córki Jeruzalem...” stało się zamieszanie. Sąd stanowczo zabrania dalej czytać. Musiało się coś tam zdarzyć, nie pamiętam, bom śpiesznie ten werset zapisywał na rąbku gazety, nie byłem pewien, z którego to testamentu Starego czy Nowego, czy może z proroctw, alem Wulgatę całe życie studiował i karmię się nią nadal, a czego nie rozumiem, to mi dopowiada ksiądz Wujek, zawsze czterysta lat mądrzejszy, więc przypominałem sobie z wysiłkiem te objaśnienia, że ta wieża to Eder w pobliżu Betleem, co by tu oznaczało Jerolimę, a ta władza pierwsza to by chyba było królestwo Dawidowe. Więc pomyślałem sobie, kto mu napisał tę całą mowę, ktoś kto jakieś swoje cele podkładał pod cudzy dramat i poczułem zapaszek mistyfikacji, przed którym gdzieś się wreszcie uchronić? *Salus Reipublicae* nie jedną taką musi przetrwać, ale ja już swoją porcję przetrwałem, na świętego nikt mnie pasować nie będzie, zresztą pasuje się na rycerza nie na świętego. Spojrzałem na korporanta, który bawił się emblematem austina i pomyślałem, jakie mu też zadali pytania nim balotował z fuchsa na rittera. Bo mnie zadali: w jakich okolicznościach komiliton użyje cylindra, a w jakich chapeau-claca. Odpowiedziałem chyba jak należy, że na pogrzeb cylinder, może się dziś mylę, psiakrew, trzeba było założyć fabrykę cylindrów tamtymi laty, co by to był za interes! A tam potyczka z tym świadkiem trwała, nie wiem czy trwała tak długo, czy mnie tak szybko myśli latały, bo czasami zdążyś przemyśleć zawilgości świata, a tu tramwaj zaledwie przejechał od Koszykowej do Wspólnej. A mnie się wtedy przypomniało, że byłem chyba może piątym, może szóstym, dokąd pamięć rodzinna sięgała, pokoleniem, które skłaniało się ku studentckim formom zachodu, i myśl mnie taka przeniknęła, czy dużo tam tego zostało. Przecież, nie, tego nigdy nie opisałem, na wojnę jechałem znad Gopła po Radom w dekle ze znakiem

gnostyków wyhaftowanym jak byk, bo to była Helionia od helios czyli słońce, i myśmy byli dumni, że nasza korporacja poznańska miała łamaną oś w emblemacie i to na długo przedtem nim tamci to zaanektowali, ale skrzydła były w lewo nie w prawo, albo odwrotnie, jakąż krucha ta pamięć, kolego Vercors. I tuż po feriach, po których nadeszły dalsze pięcioletnie studia na nieludzkim uniwersytecie wdziałem ten dekiel, bardziej z niego będąc dumny, niżli z munduru z wymarzoną gwiazdką. A kiedy trzeciego września szedłem w tłumie zmobilizowanych do koszar, w tymże Radomiu, trzy dni i dwie noce stale jadąc, dążyliśmy aby zdążyć na swoją kaźń podbiegł jakiś porucznik w za dużym mundurze, łagodnie ściągnął mi ten dekiel z głowy i krzyknął do ucha: „Nikt tego nie zrozumie, proszę to schować do kieszeni, mógłby to ktoś uznać za prowokację”. Patrzyłem na to oczyma takiego, co szedł wojować, prawdopodobnie tyle było wyzwania w mych młodych oczach, że powiedział *vivat, crescat floreat in aeternum*, a ja mu na to *quot felix Faustum fortunatumque sit* i w tym wyraziło się całe nasze korporacyjne tromtadactwo, bo potem był egzamin, nie pytajcie jaki, jeśli piekło istnieje, to wygląda tak, jak tego dnia pod Zagnańskiem. Sąsiad opuścił kluczyki od austina, powiedział dwornie *excusez-moi*, co było ładne z jego strony, bo jego ojczysty język byłby tu nie na miejscu, sędzia spojrzał na te kluczyki i stuknął ołówkiem: teraz świadek będzie odpowiadał na pytania. Czy świadek rozumie? Rozumiem. Czym jest świadek z zawodu? Ja jestem szewiec. Kto? Szewiec. — Szewc, chciał świadek powiedzieć, ale ten się upierał, że szewiec, i to nie zwyczajny, a taki lepszy od baetek. — Od czego? — Od baetek albo point. — Płęt, poprawił go ten sam głos, ale on przeciwstawiał się transkrypcji fonetycznej i powtarzał: point, jak się mówi: poił konie, tylko nie eł a ente na końcu. Więc dobrze i co z tymi baetkami? Też mówię, proszę wysokiego sądu, że byłem szewiec od baetek i te baetki wysyłaaliśmy, to znaczy ja i ojciec i jeden ze szwagrów, nawet do Wiednia, do operetki, przed wojną. — Do Wiednia do operetki? — sędzia wyciągnął ramiona przed siebie i spojrzał nie wiedząc, czy dać wyraz irytacji czy zdziwieniu. Jakiej znowu operetki? — A tej nad Dunajem, nie dodał modrym, pięknym, ale coś było z zaśpiewu w tej frazie. — Proszę świadka — sędzia z uwagą położył rozpostartą dłoń na stole i pochylił się nad nią. Niech świadek zda sobie sprawę, że sąd nie może wysłuchiwać jakichś historyjek to czytanych z kartki, to o operetce: co te buty, czy ten zawód, jaki świadek reprezentuje, mają wspólnego z meritum... znaczy z całokształtem sprawy... A mają, mają, ten znów. Bo ja żem dostarczał te baetki tym wszystkim, co nas mogli albo wywieźć albo dać pod mur, to ile razy taka rzecz nadchodziła,

to ja żem z baletkami do jednego z... — oprawców? — dopowiedział sędzia i mruknął: no, niech świadek teraz opowiada, sąd — tu spojrzął po twarzach ławników — jest cierpliwy. Proszę: A więc ile razy było już tak, że ciut ciut a mogą nas głąbnać, to ja żem z baletkami. Każdy miał jakąś dziewczuchę, to jej dawał, a jak nie, to dobierał kobitę do buta i wszyscy byli zadowoleni. Nie, nie, to ma związek z oskarżonym, ale jak nie mogę czytać. Już się streszczam. Te moje baletki były różnego koloru, bardzo letkie i z podbiciem albo na lewą albo na prawą stronę, niby do walczyka... — Sędzia stuknął gniewnie: Czy tego dnia, znów tu padła ta arcyważna data, świadek widział oskarżonego w Białymstoku? — Tak jest! — Czy go świadek poznaje? — Tak jest! — Proszę kończyć odpowiedź znanym świadkowi zwrotem. — Tak jest, proszę wysokiego sądu, świadka poznaje. Tu wyrzucił jednym tchem imię i nazwisko tego ze słuchawkami na karku, dodał jego stopień funkcyjny i nawet chwilę jakby mierzyli się wzrokiem. Erich przetarł powiekę i ziewnął, świadek stał jakby na półbaczość. — Świadek Schmackpfeffer będzie opowiadał zwracając się do sądu, nie do oskarżonego. Proszę opowiedzieć, jak to było. — Ja to mam, proszę wysokiego sądu, napisane. — Nie będziemy słuchali tego, co tam ktoś świadkowi napisał. Do rzeczy. Kiedy i w jakich okolicznościach... — Zeznający pochylił się nad splecionymi dłońmi, które trzymał nad pulpitem, chwilę trwał namysł i naraz, jakby to nie ten sam człowiek, zaczął sam z siebie, uszy mu się rozprażyły i wydawały się teraz nieproporcjonalnie duże, a on zaczynał swoją spowiedź. Nastąpiła jakaś przemiana osobowości, wierście mi, tak było, ten człowiek teraz wcielił się w osobę, którą nazначzył los krogulczym pazurem, mówił teraz głucho, wyrzucał całymi płatami obrazy pokryte mrokiem, czasami jakby przełykał dławiające go łkanie, a my, świadkowie spowiedzi tego świadka, przeżyliśmy śliną wstyd, że mogły się takie rzeczy zdarzyć, i że słucha tego zagraniczny dziennikarz, prawda że ten dziennikarz powinien się jeszcze bardziej wstydzić, ale był naszym gościem, bawił w naszym kraju, a my mu tu taką porcję łusek, czadu i zapiekłej krwi. Więc mówił ten świadek o getcie, które stworzyli na rozkaz tego oto starszego pana okrytego kocem, i o tym, jakie panowały warunki, darujcie, nie będę powtarzał, i to, że tylko specjaliści-rękodzielnicy mogli byli jakoś przedłużać sobie cykl dni, to znaczy do czasu ukończenia dzieła. Był jeden taki, który wyprawiał skórę z tatuażami i robił piękne torebki, a nawet wisioriki z kobiecych piersi, ale feler polegał na tym, że tak je podrabiał pod świńską skórę, że nikt nie chciał dać wiary, że to była żywa, ludzka i ten szef się wściekł i przy jego nazwisku postawił ptaszka. — Ptaszka to znaczy...? — spytał naraz jeden z ławni-

ków. — No, kaput, proszę wysokiego sądu, nie wiem, kula czy kij, co tam było pod ręką. — A świadkowi pomagały te baletki? Proszę o tym.

Jak to się zaczęło — znów ten dzień niezwykle ważny. — Miriam, niby moja, przyleciała ze strasznym płakaniem. — Symka — tak mi było wtedy imię, Symka, ty bierz te różowe pointy i ty leć na wachę. — Na jaką wachę, tobie się chyba klepki pomieszały. — Ale ona powiada-mówi: na wachę i na wachę, idź do samego doktora Manntischa. Do Manntischa, myślę sobie, to może być myśl, ale wezmę jeszcze kopyto. Już wyjaśniam, proszę wysokiego... Doktor Manntisch był chyba zastępcą komendanta obozu... Czy narzekali? No, Żydki narzekali, bo on właśnie stawiał te ptaszki, ale żeby bił, to nie powiem, nie, on chyba nigdy nie bił, on był bardzo czysty, manicurę nosił, czasem podobno strzelał, ale nigdy z bliska. On był bardzo, jak to się mówi, schludny, jest takie słowo? No to ja żem z tym kopytem, ale tego dnia gauleiter, niby oskarżony, tu dyg w stronę Ericha i stuk ołówka w stół, przyjechał i zaczęło się. Zjechały takie liczby bud, a w każdziuchnej tyle szkiebra, a każdy jeden z rozpylaczem, że tu już nie było żadnej dziury, to pomyślałem, że Miriam ma prawdę, no to żem z tym kopytem przedostał się przez wachę. Znali mnie, każdy już odebrał po parce dla swojej hury, to mnie puścili, ale każdy szturchał, żebym leciał *schneller*, bo przyjechał gauleiter i może być gienza, że i butów z tej gienzy nie uszyjesz. To schowałem się za śmietnik, a potem to wzięli mnie do rozpostarcia chodnika przy dojściu do pawilonu, minęła godzinka, potem mi krzesła kazali ustawiać, a tam strzelali. Boh ty moj! jak strzelali! Myślałem, co z Miriam, co z Juditką, bośmy mieli córeczkę, nie miała roczku, pierwszy ząbek jej się, jak to się pozywa, no, panowie już wiedzą, i wtedy nadszedł doktor Manntisch. Jak wysoki sąd mówi, że doktor Manntisch nie był doktorem a piekarzem? Nie będę się sprzeczał, ale w Białymstoku wszyscy mówili doktor, to ja miałem mu mówić felczer? On był bardzo frech, kiedy mu się mówiło bez tytułu. Każdy jeden ma swoją piętę. To ja do niego herr doktor, tak i tak, mam robić dla herr doktora buty, ale nie wiem, czy kopyto mam dobre. A on się tak zamachnął i powiada mówi, toś ty Szloma — powiada — dziś musiał z tym przylecieć, wiesz, co dziś za uroczystość? Słyszałem co za jedna, bo strzelali z paru stron i krzyk szedł straszny od lasu, gdzie my od dwóch tygodni kopali takie wielgachne doły, och, jakie to było nieprzyjemne prosić tego doktora, aby dał sobie zmierzyć nogę. No nie chciał, powiedział-mówi: schów się w mysia dziurę, znam niemiecki tak dobrze jak polski, schów się, Szloma cholerny, żeby cię nie wytropili, bo na sobotę buty mają być *fertig*.

To ja mu wcisnąłem te różowe pointy, co mi moja dała i on mnie pchnął, abym się schował, bo szedł patrol. To ja zem chwycił kosz na śmieci i tak z tego wszystkiego zrobiłem się głupi, że ten kosz chciałem wnosić do tego pawilonu, gdzie się miała odbyć cała uroczystość. Ale się zmiarkowałem, że jak ktoś w środku, to chwilowo bezpieczny, więc żeby tu gdzieś się schować, wpadłem do tego pawilonu, poprawiłem trochę krzesła, i taką, jak to się pożywa, o, girlandę, tam było napisane *willkommen!* i chybką po schodach na pięterko. Tam były zwinięte takie kokosowe chodniki, chciałem się w jeden wkręcić, ale tak się trząsałem i tak mi ręce latali, bo tam całymi seriami szło i dym dostawał się aż tu i takie mi się coś stało, że mi krew zaczena z nosa sikać i tak jakoś zesłałem czy jakoś, że leżałem jak nieżywy, i myślałem, że już się nie obudzę, ale jak się obudziłem, to było wielkie gadanie na tej sali, gdzie ustawiałem krzesła. To było jednak szczęście od Boga, że się tam zadekowałem, bo te schodki nigdzie nie wychodziły, takie jakieś głuche schodki, a mnie tam nikt nie szukał, kto by zresztą mógł przypuszczać, aby jakiś Żydek był taki myszugene dać się nadziać niby na sam ząb... Proszę wysokiego sądu, ja się streszczam, teraz będzie sam, nie cymes to nie, jak się to pożywa, o, finisz. Tak, widziałem świadka, stał na trybunie, ta trybuna była kole drzwiów, bardzo dobrze widziałem, na krzesłach siedzieli z przodu oficerowie, z tyłu nie widziałem i oskarżony, poznaję tak jak dziś, mówił. Ach, jak on gładko i letko mówił, ja znam dobrze niemiecka mowa, rozumiałem kaździutkie jedno słowo. Onego czapka leżała tak jakby tu, ciemne okulary tak jakby tu, a on mówił: dzisiaj, *meine kameraden*, możemy wykazać się przed fuehrerem, że jesteśmy godni być jego armią i tak dalej, że dziś zaczynamy na naszym terenie oczyścić się z wrogiej naleciałości, że dana jest władza nad tym terenem z wyroków Opatrzności i że to może być przykre, bo metody nie są specjalnie przyjemne, ale wierzcie mi, że jedyne, i że jaka to ludzkość będzie szczęśliwa, kiedy wypleni się zarazę. Nie, proszę wysokiego sądu, jak się obudziłem, to może z pół godziny słuchałem za tym kokosowym chodnikiem tego, co mówił, nie, z całą stanowczością nie powiedział ani raz: strzelać albo unicestwiać, tylko oczyścić ludzkość z zarazy i temu podobne. O, ja dobrze wiem, strzelać jest *schiessen*, a tamto drugie *vernichten*. Raz tylko, kiedy dym dostał się przez okno i pod lasem zaczęli śpiewać *El mole rachamim*, na chwilę przerwał i uniósł ręce ku niebu: no, wysłuchaj Stwórco głosu wybranego narodu, no, gdzie jest cud? Przycupnąłem, bo mogli mnie zobaczyć, chyba uczynił jakiś ruch albo co, bo cała sala aż zatrząsała się od śmiechu, a ja wiedziałem, że sala jest pełniuszka do ostatniego miejsca, a krzesel było chyba ze

trzysta. Potem śpiewali *Deutschland erwache* i wyszli do kantyny. Czy mnie kto zaczepił? Nie, ja zaraz zszedłem i zacząłem te krzesła ustawiać, jakby mi to kto kazał, jeden myślał, że przysłał mnie drugi, a ja się uwijałem, nawet na jednym krześle został pakiet z butersznytami, w rogu stało piwo, a byłem głodny, to tak... To by było wszystko. — Więc świadek nic już nie miałby do dodania. To był ten dzień z całą stanowczością? — Tak jest, proszę... — Więc według świadka obecność oskarżonego przesądziła termin likwidacji Żydów na tym terenie? — Tak jest, proszę wy... — Sędzia spojrzał ze zrozumiałą irytacją na sanitariuszkę, ta znów tańczyła wokół chorego, zupełnie go zasłaniając od strony stołu, podana kawa okazała się zbyt gorąca, więc ją mieszał aluminiową łyżeczką, wprawiając salę w stan taki, że pięści zwijały się same. Schmackpfeffer stał zawstydzony i niepewny, bo ten dźwięk łyżeczki jakby ośmieszał całe jego, zeszkrobane z samego dna wyznanie, i rwał się, aby jeszcze coś dodać, aleśmy wszyscy mieli już dosyć, ileż wreszcie można tragedii bodaj cudzej udźwignąć, ale ten nie odchodził od swej zagrodki i kłaniał się i unosił rękę. Jakiś szum poszedł po sali, sąsiad dziennikarz odwrócił się, nogę miał założoną na kolano bardzo wysoko, widać było skarpetkę taką, jaką czasem fotografują na wkładkach reklamowych, *Paris-Match'a* i mruknął niespodzianie: *Ruhe!* czego się zawstydził i znów było *excusez-moi*, ale tym już nie zatarł wrażenia. A Schmackpfeffer znów unosił rękę, znów chciał gadać, więc sąd już do dna wypompowany spytał, czego by jeszcze chciał, a on pokazał plik zapisanych kartek i unosił to w górę, jakby teraz dopiero miał prawo zacząć. Sędzia spojrzał po towarzyszach i, jakby nie wiedział, czy miał prawo to powiedzieć, ale miał nie tylko prawo, ale obowiązek to powiedzieć, zaświadczam, jako jeden z tych, którzy słuchali, że świadek nie tym, co tam napisane, a tym, co powiedział sam z siebie, wniósł niesłuchanie dużo i dalsze mogłoby tylko osłabić wrażenie. Ale on się upierał, nie było rady, trzeba było, aby jeszcze coś powiedział. Więc sędzia popatrzył po suficie, ukradkiem zerknął na przegub, dochodziła trzecia, a o drugiej powinna być przerwa, spojrzał na sanitariuszkę, czy ta mu się nie zbuntuje, gdyż pacjent miał prawo o tej porze być głodny, wreszcie spytał: więc to wszystko? Jak się świadek wydostał z życiem? Ale krótko. Więc opowiedział, że z tego co wie, uratowało się kilkudziesięciu specjalistów, co jeszcze nie wykończyli swoich zamówień i on się pośród nich wkręcił i ten sierżant, co był od sprzątanía sali, bardzo go chwalił, że uwijał się jak pszczołka i że się może przydać. — Dziękuję — powiedział sędzia prawie już prywatnie i jął się podnosić. Ale ten ławnik, co wtedy spytał, co znaczy ptaszek, zwrócił się do świadka: a co z żoną i dziec-

kiem? Schmackpfeffer przetarł nagłym ruchem czoło i zdumiał się, no, na śmierć zapomniałem, one poszli na pierwszy hip, jak się to całe zaczęło. Po tych słowach przez chwilę nikt się nie poruszył, tylko mój sąsiad masował sobie kostkę u nogi, na palcu miał onyks oprawny w żelazo. Co było wyryte na onyksie, nie mogłem dostrzec. Nareszcie Schmackpfeffer pojął, że nic tu już po nim, że nie dadzą mu czytać, ukłonił się niezdarnie i ta przez kwadrans prawie Dymitrowowa postać stała się znów śmieszna posturką w kusych porteczkach, było widać jego pokraczne nogi i te nazbyt odstające uszy, których wielkość tonowała trochę łysiejąca strzecha. Sąd już ostatecznie przerywa przesłuchania, popołudniowej sesji dziś nie będzie, następna jutro jak zwykle o dziesiątej, sędzia przejechał oczyma po twarzach kolegów, zamknął aktówkę i chwilę się parał z piórem, którego nie mógł gładko wepchnąć do kieszeni na piersiach, bo najpierw łańcuch, potem toga przeszkadzały. Ale wstał i wszyscy wstali i woźny krzyknął niepotrzebnie, proszę wstać, ale powinien krzyknąć proszę sięść, bo oto Erich zastukał w ramię swego obrońcy z urzędu i coś mu szeptał. Sędzia zwrócił czujne oczy, porozumieli się monosylabami i sędzia sapiąc usiadł na powrót, ale twarz jego nalana, ale pełna nieograniczonej cierpliwości, zwróciła się do tego obrońcy. — Czy oskarżony ma jakieś pytanie? — Wiadomo było, że nigdy o nic nie pyta. — Tak jest, wysoki sądzie i wtedy dały się słyszeć słowa Ericha: ten ostatni świadek, jak mu tam, no ten Żyd, on powiedział, że tego a tego dnia miałem być w Białymstoku. No, my mamy dowody, że tego dnia ja byłem wezwany do Reichskanzlei w Berlinie i byłem. To pierwsze, drugie, tego dnia taki był niby sądny dzień, a świadkowi udało się dostać poprzez wachy na teren pawilonów. Mogę panów zapewnić, że to jest niezgodne z duchem porządku panującym w moim dystrykcie i u Niemców w ogóle, trzecie, jeśli nawet założymy, że tego dnia byłem czy nie byłem, w Białymstoku rozpoczął się sądny dzień dla Żydów, to czyż pawilon, w którym miałem przemawiać, mógł być niezabezpieczony? Czyż można przypuszczać, aby odpowiadający za porządek oficer rontowy tak byłby lekkomyślny, aby nie zbadał, czy nikt mi nie podłożył bomby albo nie ukrył się zamachowiec? *meine Herren*, to się nie mogło zdarzyć. Na koniec, *hohes Gerichtshof* zechce zaprotokółować — protokółanci na nowo otwierali teczki, gawiedz na powrót zajmowała miejsca: świadek zeznał, że doktorowi Manntischowi odnosił kopyta. Ja się pytam, czy można dać zaufanie świadkowi, który zwykłego piekarczyka z wytwórni komysniaka może nazwać doktorem, to jedno, drugie, świadek zeznał, że w tym środkowym pawilonie, wspartym, jak mówił, na dwóch filarkach, była aula. To się zgadza, tam był ten pawilon

i była tam aula i więcej niż pewne, że na mój przyjazd mogły być rozwieszone tam girlandy z napisem „willkommen”. Więc świadek wbiegł tam w nieludzkim popłochu, ustawiał krzesła, co mogłoby się zgadzać, a potem wbiegł, jeśli dobrze zapamiętałem, po schodkach na pięterko i schowawszy się za chodnikiem zemdłał, a potem słuchał mego przemówienia. Nie będę wyrażał, *hohes Gewichtschof*, podziękowania za opinię, jaką mi świadek zechciał tu wystawić za moje przemówienie, ale *meine Herren*, proszę zapamiętać, a protokółanci niech to odnotują: ten budynek jest parterowy. *Ich danke!*

Jeśli wielki szlem mógłby być jak w pokerze oparty na bluffie, to był wielki szlem. Schmackpfeffer poderwał się ze swojej ławki, miał łzy w oczach i grdyka mu grała tak bardzo po ludzku i myśmy czuli ten skurcz, ale był, co tu ukrywać, i rąbek podziwu dla tego niby schorowanego, niby nie słuchającego, który tak znakomicie wygrał niesprawdzalne dziś atuty i tak kazuistycznie wywniął. Sędziowie wstawali od stołu, sąsiad dziennikarz powiedział: *excellent*, na co ja mu ze złośliwością: *kolossal*, bo właśnie chciałem coś rzec po niemiecku, a nie inaczej, ale ten dziennikarz adresował swój zachwyt pod adresem nie Ericha a sądu, któremu złożył pełen rewerencji ukłon. Prokurator to dostrzegł i odklonił się lekko i mój sąsiad schylił mi się do ucha: żaden na świecie sąd nie wykazałby takiej klasy... Wiedziałem, że chciałby pójść ze mną na kawę albo na obiad i pogadać co o tym myślę, ale coś mnie od tego odpychało, zawód być może nas łączył, ale inne odpychało, chętnie bym poszedł na obiad ze Schmackpfefferem.

Wyszedł był już z gmachu i czekał koło parkingu logicznie kalkulując, że ktoś, kto pojedzie, zabierze go do centrum: Pan mnie zawiezie do „Konga”? Zjeżyłem się: — Wszędzie, ale nie do Konga, już jedno Kongo było. Powiedziałem, że świece mi nie palą, że trzeba przeczyścić, to mogło się zgadzać, bo wóz był cały utyłtany, więc może i silnik. — Ale pana zjadł! — mruknąłem z nagłą złością. A wtedy on oparł się o błotnik, patrzył na litery wymalowane na gmachu pałacu sprawiedliwości i po długiej chwili wyszeptał: może mnie zjadł, ale to proszpan najprawdziwsza prawda, no, ja nie mam słów, ale aszwur, to jest jak ten brylant słońca. Czy pan mi wierzy? Ja wierzyłem i zapewniłem go, że wszyscy wierzyli, a to, co Erich powiedział na koniec, to był tylko kruczek formalny, to nie ma znaczenia i tak podynda.

Ale Schmackpfeffer nic już nie mówił, nie pragnął jechać do Konga, nie powiedział nawet ani dziękuję ani do widzenia, tylko ruszył wolnym krokiem ku miastu, nie widziałem ani płaszcza w kratę, ani jego pałakowanych nóg, szedł jak lunatyk przy-

walony powtórnie tym samym kamieniem, spod którego kiedyś zmartwychwstał był.

A ja wziąłem ścierkę, żeby zmasać wypisane przez dzieci słowa: jestem brudas, ale zaniechałem tego, błoto tak się wbiło w lakier, że nie dawało się zmasać, wreszcie: mandat, co to jest mandat wobec takich spraw, kto mu te dwadzieścia osiem tysięcy nadsyła, ten sąd w tej sprawie jest rzeczywiście ponad wszelki wyraz, dlaczego by tu się ktoś miał sierzdzić, kiedy już i tak koniec może być jeden, nie, bywa, że oskarżonego skazuje się na pięciokrotną karę śmierci, ale przecież nie można nikogo pięć razy zabić, i dlaczego ci obrońcy odwróciwszy się od sali ściskali ukradkiem dłoń Erichowi, to mnie jątrzyło, rozumiem, jako prawnikom mógł zaimponować tą swoją mową końcową, ale przynależnym do tego narodu, mego narodu, nie wolno im było ściskać ręki oprawcy czy nawet ludobójcy, nikt mi nie powie, że jakaś korporacja może dawać obrońcy taki przywilej.

Prowadziłem odruchami znów w kierunku miasta, znów było czerwone światło i ten sam milicjant, czyżby po przerwie wrócił, podszedł do okienka i powiedział pryskając śliną: panie kierowco, już raz przypominałem, — a idź pan do cholery! — wrzasnąłem głupio, bo kto może wrzeszczeć na milicjanta, chwycił mapnik, myślałem że zapisał, ale nic nie zapisał, bo do dziś żaden mandat nie nadszedł, a ja myślałem i myślałem chodząc po parku powsińskim o rozpiętości spraw świata tego.

Teraz mu pewnie dają obiad kaloryczny, aby nie osłabł zbyt, potem zastrzyk, potem coś na wzmocnienie, i witaminki, dobry byłby też soczek z pomarańczy albo mrożonki. A on sobie podje, poprosi o gazetki, owinie w koc, może zdrzemnie, przejrzy te gazetki, dowie się, jaki był ważny, pokażą mu film z dni jego chwały, będzie tam taki moment, kiedy Adolf ściska mu dłoń i mówi: *mein guter Freund*, potem w wolancie zaprzężonym w szóstkę siwków, w swoim kremowym mercedesie, przy gablocie z ubitym zubrem, gdzie szkoda, że nie ma wypchanego Postrzałka, na polowaniu na dziki i przy składaniu się do ptaka o nazwie batalion bojownik. Będą też zdjęcia z ukochaną żoną i z ukochanym synem i z ukochaną kochanką i długobrewą Sophie. A kiedy będzie miał być obchód lekarza i mierzyć mu będą temperaturę, zdrapie trochę tynku ze ściany albo połknie zardzewiałą pineskę i podniesie mu się temperatura do trzydziestu siedmiu z kreskami, a polskie prawodawstwo nie pozwala wykonać wyroku, jeśli skazany nie jest w normie, czyli nie ma trzydziestu sześciu koma siedem, więc tak może się bawić długie lata, bo tynku na ścianach dosyć.

Krążyłem w kółko po ścieżkach powsińskiego parku i taka

mi myśl tłukła się po głowie, nie wolnej od nadmiaru odpowiedzialności za sumienie świata, że onymi a niedawnymi czasy, kiedy przywrócono bluźnierczo krzyż gnostyków jako symbol czystości krwi, że właśnie wtedy mogła wziąć źródło inna *calamitas* której tamy kontraktów międzyludzkich mogą nie udźwignąć.

Może ta sprawa przycichnąć by znów się odrodzić i to nie w skali: Schmackpfeffer contra Erich, ale w skali, dajmy na to: cynobroocy przeciw lazurookim, kudłaci przeciw łysym, mikropraktyczni przeciw makrodoktrynalnym albo na odwrót.

Może popuścić znów tama w miejscu, które zaklajstrowano kiedyś lepikiem norymbergi, może gdzieś obok, na tym czy tamtym kresie ziemi, ale gdzie, jaki trybunał, *hohes Gewichtschoß*, rozstrzygnie spory świata, których rozpiętość od: miłujcie nieprzyjaciół wasze, po: ludu mój, ludu, cóżem ci uczynił?

Nie zaczynamy już więcej od dymu z komina. Powiedział kiedyś romantyk przy szabli: idą czasy, których znamieniem będzie wyścig pracy tak, jak kiedyś był wyścig krwi... Rzecz w tym, aby ta praca nie obracała się przeciwko krwi.

Człap... człap... Buty z Chełmka nasiąkłe białowieską wilgocią ciążyły coraz bardziej, piach je oblapiał, to nie był piach, to gleba, gleba wszelkiego dopustu... aż nagle błysnęła nad powsińskimi świerkami jaskrawa kropka, chwilę zapalała się i gasła, mój Boże, pewnie pojazd międzyplanetarny, doprawdy? a więc *nil desperandum?*

Znów nowe myśli i monolog na pustyni.

Człap... Człap...

Krążyłem w kółko po ścieżkach powsińskiego parku, gdzie stały puste o tej porze *weekend*'owe domki, i żywego ducha nie było, a słońce, ku któremu dążył przed chwilą migocący błyszczący miało się ku zachodowi, i wtedy zobaczyłem Schnackpfeffera, jak szedł wyprostowany niczym lunatyk ku temu słońcu, ale wtedy jakaś chmura przesłoniła słońce, a to nie była chmura tylko twarz tego z kosmykiem i usta ścięte sardonicznym grymasem, usta, które kończyły sprawę: *Ich danke!*

Janusz RYCHLEWSKI

Warszawa, w kwietniu 1964.

Bobuś żywy

Bobusia oddzielały teraz od Rzeźnika duże, oszklone drzwi. Za tymi drzwiami Rzeźnik się przeobrażał. Wyglądało to tak, że Bobuś całymi dniami siedząc w milicyjnej poczekalni, wzroku od szyby w drzwiach oderwać nie mógł.

Wiadomo, rzeźnik za biurkiem wygląda inaczej niż rzeźnik za ladą. Ale to co działo się z Heniem w gabinecie Powiatowej Komendy Milicji Bobusia fascynowało. Więc siedział Bobuś w poczekalni i patrzył.

Za biurkiem spoczywając wyglądał Rzeźnik jak kałamarz, tylko trochę większy. Gdy zaś wstał, rósł do rozmiarów szafy. Wystarczyło, by przeszedł na lewo, w kierunku okna — wydłużał się wtedy i promieniał jak tęcza. A w prawym kącie, gdzie światła było niewiele, stawał się Rzeźnik poziomą kreską wydętą nieco w środku.

Po kilku dniach Bobuś zauważył, że Rzeźnik przeobraża się nawet wtedy, gdy siedzi w miejscu, a on, Bobuś chodzi po poczekalni.

Po tygodniu potrafił już nawet Szczeniak wypuszczać z głowy Rzeźnika tęczę, sam tylko głową ruszając.

Ach — mawiał do siebie Bobuś. Złudzenie optyczne. Szybka w drzwiach falista.

Ale nie, w głębi serca Bobuś wiedział, że Rzeźnik już nie ten

Bobuś należał do tych którzy z wojny wyszli cało. Lecz gdy owej pamiętnej nocy miliony ludzi przesunęły się ze Wschodu na Zachód (jedni goniąc, drudzy uciekając) Bobuś się ukrywał. Pomagali mu w tym ludzie wiedząc, że w Powstaniu był i z niewoli niemieckiej uciekł, ale najbardziej pomocą mu służył Rzeźnik, przyjaciel serdeczny jeszcze z czasów, gdy jeździło się pod Karczew ze słoniną w worku, lub pod Wilanów z pistoletem w garści. Cóż jednak mógł Bobuś zrobić, gdy Rzeźnik, chcąc nie chcąc Komendantem Milicji został? (Patrz „Kultura” nr 9/203).

Bobuś, w rozterce wewnętrznej sprawę rozważał: pozostać z Rzeźnikiem? Do lasu wrócić? Uciec może?

Rozdział drugi przedstawia ucieczkę Bobusia z Pruszkowa do Katowic, a z Katowic do Opola i dalej. Zaraz potem przed Bobusiem i przed Blondynem otwiera się świat nowy.

sam, że mu się Heniusz zmieniał w oczach, że rysy mu opadały, że w pasie jak gdyby grubiał, a w nogach szczupłał. A mundur na Rzeźniku wymięty, spocony. A buty, choć wyczyszczone, przecie nie opinają się na łydce, tylko spadają obwarzankami w dół.

Więc co jest do wuja-starca! Co jest do ciotki-idiotki! Rozpruje cię Heniusz własnoręcznie! — buntował się Bobuś, ale siedział cicho.

Aż któregoś dnia Rzeźnik przechodząc przez poczekalnię rzucił Bobusiowi krótkie słowo — wont. I Bobuś zrozumiał, że wyszło ono Rzeźnikowi prosto z serca.

Słowo wont dla każdego jest zrozumiałe i do Bobusia przemówiło mocno. Z poczekalni jak wyszedł, tak nie wrócił. A gdy po dwu dniach ukrywania się w dziurze ukradkiem do sklepu wpadł (jak po ogień) od zapłakanej Rzeźnikowej otrzymał list, taki:

Szczeniaku! — pisał Rzeźnik. Powiedziałem ci w poczekalni wont, żebyś nie siedział jak baran, bo bym cię musiał jak barana brać. Donosy na ciebie płyną i na moim biurku się piętrzą. Co będę z nimi robił? W piecu będę nimi palił? Łysy już je oglądał i powiedział: brać. Więc odpłyn Bracie Kochany, a gdyby co, to się jeszcze spotkamy, *w tej samej łodzi*. Twój druh i przyjaciel, Henio.

Zapłakałby nad tym listem Szczeniak, widząc upadek Rzeźnika. Ale nie zapłakał, bo właśnie gdy się Rzeźnik haniebnie opuszczał, w życiu Bobusia pojawił się ktoś inny. A było tak:

— „Nazywam się Jan Smit. Nie, nie jestem Niemcem. Rodzina mego ojca pochodzi z Holandii. Wyznanie? Jestem protestantem. Nic w tym dziwnego. Cała wieś, w której urodził się mój dziadek była protestancka. Tak, chcę pójść na ochotnika do Marynarki Wojennej. Co? Że mam chore płuca? Panie poruczniku, panie doktorze, to niemożliwe... Ojciec mego ojca, to jest mój dziadek był rybakiem...

— „Nazywam się Hans Smit. Nie, nie jestem Niemcem. Ale to pomyłka. Zostałem zatrzymany przypadkowo. Oto moje papiery. Formalnie mam obywatelstwo Polski, to jest Generalnej Gubernii, ale z pochodzenia jestem Szwedem, nordykiem czystej krwi. *Herr Hauptmann, Herr Doktor*, proszę mnie puścić... Papiery mam w porządku...

— „Nazwisko? Smit, Jan Smit. Nie, nie jestem Niemcem. Co? Nigdzie nie uciekam! Chciałem jechać do domu. Rodzice mieszkają na Bornholmie. Skąd umiem po polsku? Gdzie się nauczyłem? Matka Polka, ale ojciec zwykły rybak, ubogi rybak

na Bornholmie. Towarzysze, pozwólcie mi odjechać. Papierów nie mam w porządku, ale mam świadectwo urodzenia... Towarzyszu majorze, inżynierze kochany, o co chodzi? Jestem komunistą jak wy! Z przekonania i z rodzinnej tradycji. Mój ojciec... Co? Do Warszawy? Do ambasady? Doskonale, tam mnie rozpoznają, tam sprawdzą. Ja nigdzie nie uciekam...

Gdy tylko z ust Rzeźnika padło słowo wont (jeszcze tam, w poczekalni) Bobuś jak gdyby nigdy nic lekko się z krzesła podniósł i niby za własną potrzebą za odpowiednie drzwi się wsunął. A gdy je za sobą zamknął, otrząsnął się z pierwszego wrażenia i sam do siebie szepnął: — ostrożność nie zawadzi. W drzwiach trele-morele. Mogą zagrozić. Przez okno skoczę. I skoczył!

Poczuł się też zaraz raźniej. Więc jak kot, szurgnął za śmietnik, więc nóg nie żałując puścił się wzdłuż malin, a potem chyc przez parkan i już spokojnie od Powiatowej Komendy oddalać się zaczął.

(Ma się to wyszkolenie).

Bobusia nikt nie gonił, ale Bobuś mając jeszcze w oczach obrzękniętą twarz Rzeźnika, na której uśmiechu, choćbyś chciał, dopatrzyć się nie możesz, wiedział, że to nie żarty.

Więc gdzie iść! Do sklepu iść? Czy do Cygana? Bobuś niepotrzebnie pytaniami się zadręczał, bo przecie, choć kluczył, w prawo, lub w lewo skręcając, to długimi nogami szybko przebiegając zmierzał prosto do lasu, a w lesie do dziury.

Ot i już las! Jakże inny niż w zimie! Nie biały, lecz czarny. Nie srebrny już, tylko matowy. I ziemia pod nogami nie skrzypi, tak jak wtedy, lecz trzaska cienkim lodem i chlupie błotem.

Wiosna, więc słońce blade... która to była godzina, gdy Bobuś w las się zanurzał, gdy Bobuś w gęstwinę wchodził?

— Będzie już chyba czwarta. Więc jak do dziury zajdę, będzie piąta. Więc fraka nawet nie zdejmę, tylko w kimono się rzucę i hop mi na mogiłę!

Tak myślał Bobuś i na myśl o spaniu, choć w zimnie, choć na wyrku twardym, a nie w puchach (jak u Rzeźnika) — poweselał.

Ale, diabli tam! Szczęście za Bobusia się widać schowało i Bobuś przed sobą miał pecha.

A, diabli! A, żeby cię nadmuchano i rozpruto! A żeby cię rozdęto i przecięto! A żebyś sobie wbił i wyjąć nie mógł!

Bobuś słowami rzucał, przekleństwa miotał bo nad swoją szopą (czyli dziurą) zauważył lekki obłoczek dymu.

Kopci — pomyślał Bobuś, więc siedzi. Ale kto siedzi? Dlaczego siedzi? Jakim prawem Bobusia miejsce zajmuje?

W ostatniej rozpaczy będąc (gdzie ja na Boga się schronię?) Bobuś w krzaki się cofnął za kijem się rozglądając. Znalazł też zaraz pręt żelazny okazałych rozmiarów i z prętem tym, jak z karabinem wpadł do kryjówek.

Oto i zdumienie i złość jednocześnie. Na łóżku własnym Bobusia leży blondyn w ciepłych skarpetkach. Chrapie nawet, kocem cały przykryty i łać takiego żelaznym prętem po brzuchu czy po nogach, niesposób. Więc co? Bobuś lekko blondyna pod żebra prętem dźgnął.

Zerwał się nieznajomy, oczami niebieskimi łypnął, ślinę ciężko przełknął i martwo powiedział:

— Nazywam się Jan Smit. Moja Matka...

A potem oczami żywiej błysnął i wrzasnął: A co ty tu! A wont stąd szczeniaku!

Słyszac te słowa, stracił się Bobuś i już niczego nie rozumiał.



Uuu! Uhuu!... (Cholera na maszynistę — klnie Bobuś). Uhuu! Uuu! (A żebyś skonał kolejarzu łaciata twoja mać. Uhuuu! Uhuuu! A żeby cię pies wielki poszarpał parowoźniku ty przestarzały).

Uhuhuuu! Uhuhuuuu... i bum bum i bam bam... i bum bum i bam bam. Bum bum bam ta ta tara ta... i bum bum i bum bum...

I Bobuś już nie wie czy to w jego uszach tak gwizdże i w głowie bębni czy to pod nogami koła platformy odkrytej, którą jechał, stukają.

Jechał, czy płynął w chmurze jakiejś — tego nawet Bobuś nie wiedział, tego nie był pewien, gdy ze snu szarpnięciem obudzony widział wokół siebie głowy jakby upiorów w tumanie dymu. Czasem tylko gdy wiatr się zmieni, albo parowóz skreśli, chmura nikła i słyhać było jak ludzie klną.

A Bobuś pośrodku wagonu już ledwo stoi i nawet trzymać się nie ma czego. Więc może by sięść? Ale, gdzie tam, nie dają! Więc może by na plecaku klęknąć? Przewrócą, stratuja.

I znowu palacz przeklęty Uhuuu — syreną zarzyczał. I znowu Bobuś usłyszał w głowie dudnienie... bum bum i bam bam bum bum bum bum bum...

Więc, w takiej sytuacji będąc powziął plan: na sam róg platformy przebrnąć i tam z dwóch stron podparty a nosem na powietrze obrócony, może uda się zdrzemnąć.

Jak pomyślał, tak zaraz zaczął wykonywać. I wykorzystując zakręty pchał przed sobą nogami plecak, niby to równowagę łapiąc.

— „Hej, panie tego, wolnego!” „Strój frakowy założył, to

myśli że ludzi kopać może!” „Ty, młody uważaj bo ci pysk zapłamię!” „Gdzie się pchasz chamlu nieogolony! Nie widzisz, że ludzie stoją!”

A Bobuś: Stokrotnie szanownego pana przepraszam, ale plecak mi spod nogi wyskoczył, majątek mój jedyny jaki z płonącego miasta wyniosłem. Fotografie rodzinne, jak Boga kocham, uważaj pan bo zgnieciesz.

I tak prężąc się i płaszcząc, pyskując i płacząc Bobuś do samego rogu platformy dotarł i tam zastanawiać się zaczął co robić dalej.

Oparty o deski wagonu chrapał tam chłop tęgi, czerwony na twarzy. Bobuś obejrzał jego ręce i doszedł do wniosku, że taka pięść strzaskałaby mu nos na drzazgi. Spojrzał na jego nogi w podkutych butach i wyobraził sobie, że jedno kopnięcie wystrzeliłoby go z wagonu. Pomyślał więc sobie: bić go w mordę nie będzie. Sposobem go z kąta wyciągnę.

Pochylił się więc Bobuś nad czerwonym pyskiem i lekko szepnął: ...psst! Od tego psyknięcia chłop (na schwał) oczy powoli otworzył i bystro na Bobusia spojrzął.

Bobuś usta lekko ściągnął i oczami w głąb wagonu wskazał.

— Psst! Widzi pan tego czarnego w szaliku? Obserwuje Pana, już od dłuższego czasu... ludzkie ściervo.

— Który, ten w czapce?

— Ten. Wyjął przed chwilą notes i coś w nim pisał, albo rysował.

— Zawracasz pan głowę! Fotograf jestem z Pruszkowa. Papiery mam w porządku...

— O, patrzy na pana znowu! On musiał pana poznać. Tu pana nie on jeden...

— Czekaj pan...

— Nie ma co czekać. Pchaj się pan między ludzi. Spływaj pan mu z oczu. Giń pan w środku.

— Tylko wolnego, wolnego... pakuj się pan za mnie, ale spokojnie. Czekaj pan, lekko... pół obrotu... co pan tam pchasz? Plecak? Tylko spokojnie, bez nerw, bo gość zauważy... przesun pan nogą mój kuferek... no, już lepiej... i, — dziękuję, kolego!

I Bobuś w kącie sam! Klęknął więc na plecaku, ręce przez deski na zewnątrz przewiesił i poczuł w oczach i poczuł w nosie, świeże, chłodne powietrze.

Jak w raj! Mięśnie się rozluźniają, głowa opada i Bobuś pół wisząc, pół leżąc, na ryki lokomotywy niebaczny, na stukanie kół niewrażliwy — zasnął, a może nie zasnął.

Iskry z lokomotywy latają wokół głowy Bobusia, krawędź kolejowego wykopu to się wznosi, to opada, a Bobuś śni, albo i nie śni...

Więc jak było z Blondynem? Skąd przyjaźń nowa? Co ich zbliżyło? Dlaczego jadą teraz jednym pociągami na zachód, w nieznane? (Wskoczył chyba Blondyn, nie został na semaforze — martwi się Bobuś. wskoczył pewnie wskoczył...)

... Nazywam się Jan Smit. Moja matka...

A co ty tu, a wont stąd szczeniaku!

Bobuś zgłupiał. Pręt z rąk wypuścił i coś mamrotał...

— Jak się do mnie odzywacie? Jak stoicie! Baczność ła-chudra wasza mać!

I Bobuś się wyprostował.

— Nic się nie zmieniło! — krzyczał Blondyn. Czy się wam podoba, czy nie, wojna trwa i was w tyłek łechtany łajzo od siedmiu boleści obowiązuje regulamin!

Płomyk nadziei obudził się w sercu Bobusia. Swoją, chyba chłop, ten Blondyn. Jeszcze nas wszystkich nie powybijali.

— I pamiętajcie, dopóki jesteśmy w lesie ja jestem oficer, a wy gnojek! No, możecie zameldować się porucznikowi.

I Bobuś rozpromieniony obcasem przybił i z lekkim już sercem wyrecytował:

Kapral Podchorąży, pseudonim Szczeniak z plutonu dywersji bojowej Waldemara grupa Granat!

I tak się zaczęło.

Hej, wrzaski jakieś obudziły Bobusia, wyrwały go z marzeń. Na środku platformy pobili się dwaj szubrawcy. A że było ciasno, nie mogli się złożyć do rozmachu, więc tylko kopali się po nogach i pluli. Jeden wreszcie ręce uwolnił i drugiego pięścią w nos huknął. Polała się krew i rozpoczęła się prawdziwa bitwa. Bobuś ze zdumieniem obserwował reakcje swych towarzyszy podróży. Więc ci najbliżsi walczących, sami kopani i roztrącani łokciami dopingowali:

Noga go! W grdykie, na płask! Podbij mu pan! Nie tą ręką!

Inni, stojący dalej przypatrywali się temu z całkowitą obojętnością. Jeszcze inni, korzystając z zamieszania wymieniali uwagi, niezawsze zrozumiałe:

„Pamiętaj, bracie... jakby pytali... ja jestem sołtys z Sosnowej i jadę rozumiesz służbowo. A ty bracie... tylko żebyś się nie mylił... jesteś pisarz”.

... „podobno na mostach sprawdzają... Na jakich mostach... wyskoczmy przed stacją i chodu...”

Uuu! Uhuhuu! Zawyla znów lokomotywa.

... Panie, czego on tam trąbi, kolejarz w tyłek zwariowany... Nie wiesz pan, jadziem na jednym torze, to się boi że mu zug z naprzeciwnika wyskoczy i mogiła...”

Uwagę Bobusia zajęła teraz postać na drugim końcu wagonu. Człowiek ten, pokaźnych rozmiarów, przerzucił najpierw komuś

stojącemu na drugiej platformie butelkę (pewnie wódki pomyślał Bobuś) a potem już z pomocą tamtego szurgnął kuferek, i zaraz sam gramolić się zaczął na inny wagon.

Bobuś zaśmiał się na widok jego czerwonego pyska.

— Napuściłem mu kota — pomyślał. I ze złością: — pewnie i mnie by dał butelkę, gdybym go poprosił. Rozgniewany tą myślą Bobuś obrócił się, klęknął na plecaku, ręce przewiesił przez deski platformy i zasnął, a może nie zasnął.

... za dwie złote pięcio-dolarówki nakupił Blondyn boczku wędzonego pokrajanego w kawałki, nakupił tytoniu, gilz i papierosów i małych butelek wódki — a wszystkiego ile się dało.

Więc, gotowe. Upchali to wszystko w dwa niemieckie plecaki z włochatą cielęcą skórą na wierzchu i Blondyn do Szczeniaka a Szczeniak do Blondyna powiedzieli: fruniem! Już furgoczem!

Ale gdzie? Szczeniak nie wiedział, ale Blondyn miał wszystko ułożone.

— Do Warszawy nie ma co iść, bo nikt nam biletów nie sprzedaje. Znam miejsce pod Pruszkowem, gdzie się towarowe zatrzymują. Ty Bobuś wskoczysz pierwszy, ja za tobą. Wysiadamy, pamiętaj, przed Katowicami. Dalej zresztą jak Katowice pociąg i tak nie jedzie.

Plan mój jest taki: Dotrzeć do gór, albo górskich okolic. Tam zbliżyć się jak najbliżej frontu. Za wódkę, którą mamy, to się da zrobić. Wybierzemy na logikę takie miejsce, skąd wyjdzie niemiecka kontrofensywa. I potem, nic prostszego jako głowę gdzie schronić i przeczekać. A jak się znajdziemy Szczeniaku po drugiej stronie frontu, to przyłączymy się do jakiej grupy uchodźców i byle na zachód i byle na zachód.

— A jak nas Niemcy — zapytał Bobuś — a jak nas Niemcy zaaresztują? To co pan porucznik radzi wtedy, w takim wypadku?

— Nie musisz mi mówić poruczniku! Mów mi Jasiu — i Blondyn rękę do Szczeniaka wyciągnął.

Wzruszony Bobuś z dubeltówki się z Blondynem pocałował i zaraz razem, jak zwyczaj każe odbili małą butelkę.

Smak wódki na Bobusia działał, jak żaden inny smak. Poweselał więc Szczeniak, ale wątpliwości nie stracił.

— Więc jak nas Niemcy złapią? To co? Ja raz uciekłem, ale drugi raz, to chyba nie ucieknę?

— To krzykniesz Bobuś „Niech żyje Polska” i zwalisz się Bobuś jak kłoda. Ale jak mnie posłuchasz, to będzie inaczej.

Ja, rozumiesz Bobuś, od kilku już lat wędruję, na zasadzie Holendra. I coś w tym jest, bo mój dziadek, albo pradziadek stamtąd, rozumiesz, przyjechał. Mniejsza o to. Jeszcze przed wojną, wszyscy wołali na mnie Szmid, a że jestem protestantem, uważali za Niemca. To mi się znudziło, bo miałem przykrości.

Nauczyłem się więc przez złość po holendersku. I potem, rozumiesz, zawsze mi się z tym udawało. Łapanka, rozumiesz, to ja holenderski robotnik, więc coś lepszego niż Polak. Zawsze to gadanie po holendersku dawało mi czas. Dopiero ostatnio przyskrzynili mnie trochę, ale i to uciekłem.

Ale do czego zmierzam: Jak nas Niemcy złapią, to ja będę holenderski robotnik, który dobrowolnie wyjechał na pracę w Rzeszy, a teraz wraca do domu. A ty będziesz holenderski robotnik niemowa, albo z roztrzaskanym pyskiem. Jakoś się to robi. I nic się Bobuś nie potrzebujesz martwić, chyba, że masz lepszy pomysł.

Bobuś pomysłu lepszego nie miał i na ten plan przystał, bo tak się złożyło, że już ziemia paliła się im pod nogami i już im było gorąco, a szczególnie Blondynowi, który widocznie, gdy uciekał, specjalnie musiał komuś podpaść.

Więc gdy tak pili wódkę, gotowi do drogi, powiedzieli sobie: — Jutro wieczorem. Fruniem! Furgoczem! A spotkamy się po lewej stronie toru, w drodze do Katowic.

I wyfrunęli, a Rzeźnikowi, gdy się o tym dowiedział, ciężar spadł z serca. I już z lekkim sercem wydał nakaz by ich aresztować.



Więc hop! ...z platformy na kupę piachu! Ale pociąg szurgnął dalej i Bobuś tyle tylko, że się wychylił. Więc nic łatwiejszego jak teraz, gdy deski wagonu dotykają prawie zbocza łagodnego wykopu... Hop! ...ale gdzie tam! Zawiało od lokomotywy dymem i tyle tylko, że Bobusiowi twarz osmoliło. Ażebyś zdechł kolejarzu smołą obryzany!

Skoczyć trzeba, myślał Bobuś, jeszcze raz za deski wagonu się wychylając. I gdy się tak wychylał — a kominy fabryczne Katowic już widać było — zobaczył obok toru postać wymachującą rękami. Blondyn! I Boguś nie baczny już na co skacze — skoczył, tyle, że mięśnie nóg i rąk jak należy rozluźnił.

Ryms, zakręciło się w oczach, eh, powietrze w płucach stanęło, zabolęło w łokciach i kolanach — ale nic. Przeturlał się Bobuś po nasypie, ale zaraz wstał i najpierw rękami, a potem nogami poruszył — w porządku. Gdzie Blondyn? Blondyn! A Blondyn tuż obok.

I takie było ich spotkanie po czternastu godzinach jazdy pociągiem.

Więc Bobuś do Blondyna z niedowierzaniem w głosie: Jasiu, jak bogatego, nawet cię nie osmoliło! Sypialką jechałeś?

A Blondyn: trzeba być frajerem, żeby w tłoku otwartą platformą podróżować. Co to? Nie mamy biletów? Za ósemkę wódki

z maszynistą na lokomotywie jechałem. Trąbiłem nawet do ciebie morsem. Słyszałeś?

Słyszałem i żeby cię szlak trafił — powiedział nagle rozzłoszczony Bobuś.

Komu w drogę, temu czas. Blondyn powiedział: Uspokój się Bobuś, zbieraj plecak i lekko oddalamy się od torów. Zaczęli więc iść powoli w kierunku Katowic, ale tak, żeby do miasta wejść od wschodu. Blondyn tłumaczył: Ze wschodu na zachód rozumiesz, idą ci, którzy zwyciężają. A z zachodu na wschód, panimajesz, podejrzana swołocz przecieka, maruderzy i dywersanci, którzy tak jak my na zachód, tak oni na wschód przez linię frontu kombinują przedrzeć się. Pamiętaj więc bracie, ty i ja na zachód z armią i z narodem na Niemca pomścić się za przelaną krew idziemy!

Gadał tak Blondyn dalej, ale Bobusia nie przekonywały jego argumenty. Zwalniał więc coraz bardziej i mówił: Blondyn, jak Boga kocham, nie mamy dokumentów! Pusty jestem, pusty! I Boguś przystawał, elegancki smoking odpinał i klapami powiewał na wietrze.

Na to Blondyn: widzę, że czas na śniadanie. Bez porządnego zjedzenia, a jeszcze nie wyspany, ducha żołnierskiego w sobie, nie masz prawa mieć. Doszli więc do niewielkiego lasku, wyszukali suche, piaszczyste miejsce i zaczęli grzebać w plecakach.

Jem — mówił Bobuś, tę zapaćkaną słoninę, choć mi w gardle staje. Czy uwierzysz bracie, że ja choć w Powstaniu głodny, mięsa do ust nie wziąłem? Nie jadam bracie padliny i koniec.

Zaciekawiał się Powstaniem Blondyn i kazał Bobusiowi opowiadać. Więc Bobuś, jakby obudzony:

„Nie uwierzysz, bracie, pewno, gdy ci powiem, że już od pierwszego dnia odnosiliśmy same zwycięstwa. Ja, z moimi chłopcami, a także cały pluton, który był dywersji bojowej, więc, rozumiesz, zgrany, gdzie tylko pojawili się Niemcy, my już za nimi i naprzód. Do niewoli w pierwszych dniach braliśmy jak baranów. Ale, rozumiesz, cacy, cacy, czternastego, a może to było dwunastego września, więc już w drugim miesiącu, z naszego plutonu zostałem ja, czekaj, ja... Zdzisiek Kret, który był kapralem i Marian. A tu rozumiesz przycisnęli nas Niemcy tak fatalnie, że każdego dnia tylko czekaliśmy nocy. I właśnie w nocy, rozumiesz, przywaliła mnie belka i ani w prawo, ani w lewo. Całe szczęście mieliśmy umowę, że nikogo nie zostawiamy. Więc jak tak leżałem — a tu strzelają, mówię ci, że jasno, przyszli po mnie, zdjęli belkę i do szpitala, który był wtedy w piwnicy na Szustra. Tam, powiadam ci bryndza zupełna, lepiej nie mówić. Więc jak mnie odwiedzili koledzy, mówię: zabierajcie mnie stąd

dopóki zmysłów nie stracę, bo tu regularny pogrzeb. Więc mnie zabrali.

Staliśmy wtedy na samym skraju Skarpy, z lewej strony kościoła świętego Michała, z prawej Królikarnia. Mury jeszcze mocne. Widok z tej skarpy powiadam ci był prześliczny, bo z daleka widziałeś Wisłę, a z boku, po prawej, drogę jak strzelił do Wilanowa. Więc umówiliśmy się, że w razie co, lasy niedaleko, to się w nocy przebijemy. Stoimy tak kilka dni. Już jakoś zacząłem się ruszać, bo mi właściwie nic nie było. Więc w nocy, rozumiesz, latamy na dół, a przeważnie po amunicję i żywność, a w dzień w gruzowisku jak w bunkrach, słowem, panujemy nad sytuacją. Aż tu nadchodzi, bracie, rozkaz, że całe wojsko, jak jest ma iść kanałami na Śródmieście. No i zaczęło się.

Ośmiuset nas, co lepiej uzbrojonych zostawili w odwodzie, a reszta, bracie, jakaś tam żandarmeria, sztaby i tacy co tylko biegali z miejsca na miejsce, ustawili się już od wczesnego wieczora w kolejce do wjazdu.

Tu musisz, bracie, wiedzieć, że o kanałowe włady toczyły się z Niemcami bitwy nie na żarty. Myśmy wtedy trzymali już tylko jeden wjazd, ale fajnie położony, bo na wąskiej ulicy i z obu stron domy nasze.

Więc: marudery ustawiają się w kolejce, a my jak się tylko dobrze ściemniło, do ataku, żeby Niemcy myśleli, że idzie od nas wielka ofensywa. Poszło nam nieźle i zajeliśmy pozycje, hen za Skarpą, do Wisły, mówię ci, dolecieć biegiem. Ale czekamy co dalej. Przychodzi wreszcie rozkaz: na was kolej, pakować się do Kanału. Łatwo powiedzieć, trudno zrobić. Strzelanina, powiadam ci, jak jasny gwint, Niemcy, rozumiesz, fajerwerki puszczają, a u nas raptem cisza jak makiem posypał bo wszyscy się wycofują i ustawiają się w kolejce do wjazdu. Więc oni też przestali strzelać. Zrobiło się, bracie, cicho, jak nad jakimś jeziorem. I wtedy wszyscy zaczęli się bać. Powiadam ci, ludzie skądinąd nie nerwowi drżeli jak z zimna. Bo każdy myślał, co będzie jak oni na nas tak stojących gęsiego skoczą z boku, albo od tyłu. Ale nic, cisza. Stoimy tak na sztywnych nogach, nikt nic nie mówi, ruszyć ręką się boi, kiedy nareszcie do tego cholernego wjazdu, a tu nic. W końcu patrzymy, a tu już widno. Co robić, jak Boga kocham? Co robić? — ja się pytam.

Podchodzi do nas wreszcie porucznik Góral z jeszcze jednym, którego nie znałem i mówi całkiem głośno: Panowie, kanał się zatkał. Jeśli nie dolecimy do Skarpy, zanim tam Niemcy dołączą, to możemy się sami humanitarnie wystrzelać.

Jak wszyscy stali w miejscu, tak, powiadam ci, wszyscy rzucili się biegiem z powrotem na dawne pozycje. Choć lecieliśmy na palcach, dolecieliśmy jak burza i tyle nas było słyszeć, co

trochę tupotu. A tam — cisza, Niemcy nic. Może nie zauważyli? Może bali się zasadzki?

Znalazł się Gustaw, też porucznik, który nas dobrze znał i mówi: obejmuję komendę. Musimy tu wytrzymać do następnej nocy. Jak to powiedział, to wszystkich jakby z nóg ścięto, tak ten dzień przed nami wydawał się długi. Ale nic. Czekamy. Aż tu raptem przylatuje jeden i mówi: nasi saperzy kanał odetkali. Jeśli nie do Śródmieścia, to dojdziemy do Wisły. Więc Gustaw: jazda plutonami do kanału, ale spokoj.

Chyba była szósta nad ranem, gdy już byłem na Belgijskiej ulicy w wykopie, który prowadził do wjazdu. Niemcy zaczęli jak zwykle strzelać, to tu, to tam, a przeważnie z artylerii. Ale każdy, bracie, uważa, głowy nie wychyla, bo rannych, uważasz, do kanału nie wpuszczali. Udało się jakoś, choć przy samym wejściu puściły mi nerwy. Nie mogłem, bracie, wpakować się do wjazdu, bo był metalowy i nieprzeciętny. Więc z wykopu trzeba było wyjść, na ulicy stanąć i dopiero do kanałowego wjazdu chlupnąć. A tu, było nie było, strzelają, odłamki słysząc jak po asfalcie biją, więc zawahałem się raz, zawahałem się drugi raz — i nie mogę. Dopiero mnie z tyłu jeden kopnął no to wyskoczyłem i wszedłem.

W kanale jak było, nie będę szczegółowo mówił, bo chyba wiesz. Ale to ci powiem, że najpierw, jak znaleźliśmy się na dole, to jakby na dnie pieczary jakiejś. Cisza, bracie, wojny nie słysząc i tylko chlupanie nóg. Ciemno, jak w uchu Murzyna, ślisko, obrzydliwość ścian dotknąć, ale musisz, bo inaczej głową w mur stukniesz. Chodziliśmy tak trzymając się jeden drugiego za paski, raz, rozumiesz, po dużym kanale po którym brodzisz po kolana albo i do pasa w wodzie, drugi raz po takim wąskim, że inaczej, jak w pół zgięty, nie przejdiesz. W końcu wszyscy zaczęli rzygać, kaszleć, charczeć i biegać w poszukiwaniu za powietrzem. Bo Niemcy puścili jakieś gazy duszące. Więc my z małych kanałów do dużego kanału, gdzie było trochę lepiej. Ale tam już się wszyscy pomieszało i nie wiedziałem, kto koło mnie, a kto za mną. Nie wiedziałem też czy ktoś krzyczy, czy jest cisza, bo ogłuchłem. Ale nic. Idę na nos, gdzie wydaje mi się zimniejsze powietrze, po ścianach macam, co się przewrócę, to wstanę, byle gdzieś w końcu wyjść, bo tego kanału miałem dość. Wreszcie widzę jakby smużkę światła, potem jakby mnie świeżym powietrzem oblało i macam przed sobą klamry wjazdu, a nade mną — otwór. Wylazłem jak szalony na rękach się wspinając bo nogami nie mogłem jakoś klamer namacać i ledwo się wychyliłem — usłyszałem, jak ktoś, jakby z oddali, albo zza ściany po niemiecku krzyczał. Potem złapał mnie ktoś za ręce, zdjął z szyi Szmajsera, którego miałem, wyciągnął zza pasa i z cholewek

granaty, które miałem i szurnął po jakichś kamieniach. Ale ja nic nie widzę, w dalszym ciągu nic nie widzę, jak bym jeszcze w kanale był. Przestraszyłem się tego cholernie, bo myślałem, że już na amen, oślepiłem. Ale gdzie tam. Najpierw zobaczyłem, coś jakby cienie po ścianach chodziły. Potem znowuż jaskrawo mi zaświeciło i myślałem, że mi ktoś szpilkę nad okiem trzyma. Zacisnąłem więc powieki, ale też zaraz oczy otworzyłem. I wtedy zrobiło mi się niedobrze, bo zobaczyłem mur z plamą krwi i trupy. Zaraz też, jakby mi korki z uszu wyjął, usłyszałem niemieckie krzyki i strzały, krzyki i strzały.

Leżę więc pod murem, ale wszystko ode mnie, jakby w oddali się dzieje, jak w teatrze, gdzieś ludzi mordują.

Strach mnie ogarnął nagle, gdy pochylił się nade mną żołnierz w mundurze niemieckim, ale w czapce rosyjskiej, futrzanej. Powiedział: nie mrugaj tak, bo widać, że żyjesz. Potem włożył rękę do kieszeni, wyjął kostkę cukru i wpakował mi ją do ust. Pamiętam, że cukier był brązowy, jakby od tytoniu. Zacząłem powoli ssać i zamknąłem oczy. Wtedy poczułem silne kopnięcie i znalazłem się w dole, chyba w leju po bombie. Poczułem nagle zupełną obojętność i chyba zasnąłem, choć słyszałem cały czas krzyki i strzały. Obudziłem się, nie wiem kiedy, z zimna czy z ciszy. Gdy otworzyłem oczy, zorientowałem się że jest ciemno. Po ciemku znacznie lepiej widziałem, ale najpierw tylko cegły pod moim nosem. Potem rękę, dłoń... gdy podniosłem trochę głowę zobaczyłem nad lejem, trochę dalej zielony krzak. I za wszelką cenę do tego krzaku chciałem dojść. Nawet nie wiem kiedy wyskoczyłem z dziury jak żaba i gdy dopadłem krzaka, poczułem, że jestem uratowany i że to tylko kwestia czasu, żeby wyjść z tego rumowiska, gdzieś na polną drogę prowadzącą do lasu. Ten las tak miałem przed oczyma, że wstałem i zacząłem spokojnie iść. Idę tak i idę, nawet hałasuję, bo masę na ulicach leżało blach jakichś i szkła i wiem, że nie dalej jak za godzinę, może za dwie, będę już gdzieś nad Wisłą... Pusto... aż tu z gruzów obok wychodzą dwie znajome łączniczki z kompanii Janusza. Pytam więc: jakto, jeszcze się nie skończyło? A one: A, Bobuś, dobrze, że żyjesz. Chyba się skończyło, więc idziemy do szpitala dla cywilnych, może się na co przydamy. Nawet się tym nie zdziwiłem, tylko powiedziałem: to pójde z wami. I poszedłem.

Co się działo w tym szpitalu, który był na ulicy Chełmskiej, gdy myśmy tam weszli, nie potrzebuję ci opowiadać. Panika taka wybuchła, bo Baby różne, w Powstaniu poranione, podniosły wrzask, że Niemcy szpital spalą, jak nas znajdą. Ale lekarz jeden za nami się ujął i po cichu do łóżek zapakował. Leżałem tam niby chory na płuca, a przeważnie spałem bo nie było co jeść. Aż któregoś dnia słyszę głosy jakieś, śmiechy, tupanie nogami.

Otwieram więc oczy i widzę pyski czerwone, szaliki jakieś zawinięte pod szyję, kurtki watowane, oficerki. Gospodarze spod Karczewia, do których ja niedalej jak dwa miesiące przedtem po słońcu jeździłem. Zaraz też zaczęliśmy mrugać do siebie, choć mnie ledwo poznali, tak, bracie, po tym śmierdzącym kanale zmizerniałem.

Wyjaśniło się potem, że ich Niemcy na podwozy wzięli, żeby ewakuować rannych. Ewakuować? Dokąd, pytam, ewakuować? Wozim wszystkich — odpowiada mi jeden — za mur, na tor wyścigowy na Służewcu.

Za mur, to ja nie pojadę, więc mówię, zabierajcie tych innych, ciężko rannych, ja wytrzymam, może nawet sam pójdę. A oni już z wozu kozuch niosą i czapkę i na oczach żandarma, który stał w drzwiach, przebierają. Będiesz za furmana! Zaraz mi też jeden cegłą głowę natarł, żebym się z cery nie różnił, na furmankę i jazda. Żandarm mamrotał, to mu dali w łapę i cześć. Wyjechałem bracie furmanką z Warszawy.

Na to Blondyn: W porównaniu do moich przeżyć, o których ci kiedyś opowiem, wszystko to piegi. Zbieraj się bracie, idziemy do Katowic, a z Katowic jak Matka Boska pozwoli — w świat! I poszli. Szli żwawo drogi nadrabiając i nóg nie żałując, bo Blondyn się uparł, żeby wchodzić od wschodu. Od wschodu, to od wschodu, Bobuś choć zmęczony, nie protestował. I chyba Blondyn miał rację, bo gdy tak szli, spotykali coraz więcej ludzi, takich jak oni, zmęczonych, z tobołkami. Bobusiowi też zrobiło się rażniej, gdy weszli do miasta, bo zobaczył domy całe, a w domach bramy. Więc gdy tylko mógł, pod pozorem obtartej nogi Blondyna zatrzymywał, do tej, czy tamtej bramy się pakował i mówił.

— Noga mi próchwa obrzękła, pozwól Janek chwilkę, poprawię skarpetkę. A Blondyn: — Kulawego prowadzę, jak bogatego, żeby mnie słodycz życia odjęło. Bobuś, przecież nie jesteś kułką, żeby nogi ludziom w bramach pokazywać!

Gadaj Blondyn zdrów. Bobuś gdy stał, lub siedział w bramie, czuł się szczęśliwy. Bo w bramie (jeszcze tam, dawniej) było bezpiecznie. Bo z bramy hyc na podwórko, albo po schodach. Były też takie bramy (Bobuś pamiętał), które prowadziły przez oficyny do następnych i jeszcze następnych, a dalej był ogród jakiś z huśtawkami i piaskiem dla dzieci, a potem mur niewysoki, a za murem ulica. Na tej ulicy było tak spokojnie, tak spokojnie...

— Zbieraj się Bobuś, bo późno. Więc Bobuś zbierał się w garść, but rozsznurowany sznurował i za Blondynem podążał.

Hej! Tym razem do bramy trzeba było wejść i Blondyn wleciał pierwszy. O kilka domów dalej, na rogu ulicy stało

dwóch cywilów z opaskami na rękach, a kolby pepeszek wystawały im spod pach.

Co robić? Więc Blondyn rezonu nie tracąc: słuchaj, Bobuś, co mówię. Zdejm tylko czapkę, a wyglądasz bracie z tymi włoskami jak synek mamusi. Podejdiesz, Bobuś, do tych dwóch cywilów i spytasz grzecznie gdzie jest ulica Kolejowa, bo tam, bracie, jako dziecko przed wojną mieszkałeś i Mamę zostawiłeś, a teraz ci się wszystko popieprzyło. A ja tymczasem zajdę z drugiej strony i jak cię tylko zobaczę, to krzyknę: Zenek, kogo moje oczy! Urosłeś chłopie, bym cię nie poznał! Mama twoja żyje, ale już na Kolejowej nie mieszka. Nie kręć panom głowy, to cię zaprowadzę!

— Zgoda? Zgoda!

Jak powiedzili, tak zrobili i zaraz nabrali pewności siebie, bo się udało. Więc Blondyn obejmując komendę: noga, nie noga, próchwa, nie próchwa, słuchaj się mnie z zapartym tchem! Teraz, pierwsza rzecz, zanim zjemy, dokumenty zdobyć.

I tak gadając i tak kombinując doszli do dworca. A na dworcu tłumy. Wejść w tłum ten, czy nie wejść. Nie wejść, niebezpiecznie, wokół dworca panowie jacyś z pepeszkami krążą, Sowietów nawet kilku w mundurach widać. A jak się wejdzie, to wyjść można? Blondyn nową myśl złapał i Bobusiowi na ucho szepnął: potrzebujemy informacji. Widzisz, bracie, zegar przy platformie, którego Ruscy jeszcze nie zabrali? Bobuś widział. Więc przy tym zegarze jak będzie w pół do dwunastej żebyś stał! Tam się spotkamy. A teraz idź w prawo, a ja pójdę na lewo i słuchamy. A jakby co, to mów, że za ubikacją się rozglądasz.

Blondyn i Bobuś, jak razem na dworzec weszli, tak zaraz jeden w jedną stronę, a drugi w drugą zagłębiać się zaczęli. A gdy po trzech kwadransach spotkali się przy zegarze (którego Ruscy jeszcze nie wzięli) przywitali się serdecznie i za ręce się ściskając a z dubeltówki co i raz całując, zaczęli torować sobie drogę do wyjścia. Przed dworcem (ale z drugiej strony) zmroziły ich spojrzenia panów z opaskami, więc rzucili się sobie w ramiona i Blondyn krzyknął: Nie masz co płakać, bracie, Mama żyje, tylko stryj Stefek nie przetrzymał! Pieruna! I poszli.

A gdy skryli się za domami Blondyn powiedział: gadaj pierwszy. Więc Bobuś: ledwo dech mogę złapać. Ze stacyjnego smrodu myślałem, że zemrę. Ale wiesz, sprzedałem trochę fajek i pieniędzy mam w kieszeni kilka papierków. To pieniądze tu chodzą, zainteresował się Blondyn? Czy chodzą? Z ręki do ręki latają, co sam widziałem. Jest też na mieście hotel, w którym gorące obiady każdemu za pieniążki na stoliku postawią.

O hoteliku zapomnij, Bobuś, bo tam szpicle z Warszawy siedzą, którzy jeśli nie ciebie, to mnie poznają. Znajdziemy jaką

gospodarną wdowę, to się u niej prześpimy i postoiujemy. Mam nawet adres, ale teraz co wiesz, gadaj.

Bobuś zaczął: — W smrodzie chodząc i ustawicznie o różnych ludzi się ocierając ciekawych i rozmaitych rzeczy się dowiedziałem mnóstwo. Mów — powiedział Blondyn.

Bobuś mówił: — Jest na mieście dużo domów i mieszkań pustych, do których najrozmaitsi ludzie się sprowadzają, a poważnie warszawiacy. Milicja tutejsza nieskuteczna i niepotrzebnie tych z pepeszkami myśmy czarowali. Ruscy tu rządzą, bo strefa przyfrontowa, a inni się im wysługują, jak mogą, ale czasami i nie. Są też tu i w okolicach bandy jakieś w mundurach polskich lub rosyjskich, a czasem po cywilnemu. I nie wiadomo, bo jedni mówią, że to Akowcy z Podhala przyszli, inni, że Niemcy, folksdojcze, a są też tacy co mówią, że Ukraińcy. Ci często do miasta przychodzą i w charakterze milicji obywatelskiej rozrabiają. Tu Bobuś się ożywił, oczami błysnął i powiedział: Mam myśl, gdybyśmy tak tych z Podhala, rozumiesz, spotkali, a możemy wyjść na przeciw...

Blondyn przerwał: myśli zostaw mnie. Na razie gadaj. Więc Bobuś zdenerwowany: co ja ci będę gadał? Wszystko już powiedziałem i konam z głodu.

— Zaraz cię nakarmię. A teraz słuchaj mnie — powiedział Blondyn. Ty, Bobuś, zdaje się zapomniałeś po co i w jakim celu szamotaliśmy się na stacji. Nie po to, żeby fajki sprzedawać, tak jak ty i nie po to, żeby kontaktów z partyzantką okoliczną szukać. Myśmy, bracie, na dworcu kolejowym jak fładry się obracali, żeby zdobyć dokumenty, papiery osobiste dowody tożsamości, rozumiesz?

Bobuś z ciekawości aż gębę otworzył: no i co? — spytał Blondyna. — Są tu, rozumiesz Bobuś, wyrafinowani faceci, którzy zaraz po wyjściu z obozu, mając karty czyste założyli Związek Ziem Zachodnich, czego nikt im nie mógł zabronić. Rozumiesz bracie?

Bobuś nie zrozumiał, więc Blondyn zniecierpliwiony tłumaczył. — Mizeraki, jak to z obozu, chcą się trochę odbić i pieniędzy zarobić. Mam adres, pod którym urzędują i tam za opłatą składki rocznej każdemu wystawiają legitymację z pieczętką i fotografią. Rozumiesz teraz?

Bobuś rozumiał. Więc zaraz zebrali tobołki i poszli szukać ulicy, na której znajdował się związek. A gdy tak szli ulicami miasta, które wydawało im się coraz bardziej miłe Blondyn powiedział: i nocne życie jest tu piekielne. Sam widziałem babkę niczego, która mnie za dnia i na oczach swe wdzięki reklamowała.

Schody były wąskie, drewniane i strome, a Blondyn leciał jak szalony, byle prędzej, bo na obiad zamykają. Więc się Bobuś zasapał gdy wreszcie weszli na czwarte piętro i stanęli pod drzwiami, gdzie widniał napis: Związek Ziem Zachodnich. Dzwonić dwa razy. Gdy zadzwonili, otworzył im drzwi mężczyzna, wysoki, ale tak chudy i mizerny, że byś go jednym pacnięciem przewrócił. Ale nic, stali tak przez chwilę nie wiedząc co powiedzieć, wreszcie odezwał się Bobuś: niech pan lepiej siądzie, bo wiatr dzisiaj taki, że jeszcze drzwi trzasną.

Więc mizerak suwając nogami skierował się w głąb pokoju, wcisnął się za biurko i siadł. A jak siadł, to spytał: Panowie z czyjego polecenia?

Na to Blondyn: Kuzyn mój siedział razem z panem i od niego się dowiedziałem, że założyliście fajny związek.

— Panowie, chcecie przystąpić?

— Obaj, i to zaraz. Pan rozumie?

— Tak, tak prastare ziemie nasze trzeba zagospodarować, ale to kosztuje...

— Rozumie się, samo przez się, fabryki rozmontowane, domy wypalone...

— Więc wypełnią panowie te formularze, a legitymacje będą w twardej okładce, z fotografią i okrągłą pieczętką z orłem pias-towskim, jak należy. Składka roczna może być w towarze, jeśli nie macie pieniędzy.

— Lepiej w towarze. A legitymacje do rączki kiedy?

— No, jutro, tak po południu...

— A dziś by nie można? Do pracy społecznej nam się pali!

— Panowie, widzicie, że nie mogę się oderwać. Pracy mam pełne ręce a kolega fotograf chory, ma biegunkę...

— A, kuzyn ma też biegunkę, po nocach biedak nie śpi, ja to rozumiem. Ale wie pan co, kieliszeczek dobrego spirytusu może mu pomóc. Mam właśnie przy sobie. Proszę, weź pan tę małą i zanieś pan choremu, od kuzyna. A my tymczasem sami sobie fotografie porobimy.

Tak też się stało. Blondyn Bobusia, a Bobuś Blondyna sfotografowali na wielkim starym aparacie, który stał w sąsiednim pokoju. Potem zdjęcia wywołali, wysuszyli, obcięli jak należy i gdy Blondyn sprawnie stawiał pieczętki, Bobuś na stole, przed Mizerakiem ustawiał boczek, papierosy i cztery małe butelki wódki. To była składka roczna.

Potem zbiegli po schodach jak nowonarodzeni i zaraz (według adresu) zaczęli szukać wdowy, która by ich przytuliła. I gdy wreszcie siedli przy kolacji gorącej (a stół nakryty był obrusem) Bobuś podniósł w górę łyżkę i krzyknął: życie jest wspaniałe!



Obudził ich chrzęst żelaza, więc szybko z łóżek wyskoczyli a może i w kwietniu (Bobuś nie był pewien). Więc jak na taki po ulicy. Blondyn krzyknął:

— Zbieraj się Bobuś alarmowo, bo nam się wojna skończy. Najdalej za kwadrans gotów i spakowany w sieni.

Więc Bobuś (na terminologię wojskową wrażliwy) skoczył spodnie z czarnym lampaskiem naciągać i jeszcze przed Blondynem do śniadania chciał siadać.

Blondyn przed kranem się mizdrzy, Wdowa (w koszuli i płaszczu) garnkami dzwoni, a Bobuś zniecierpliwiony palcami po szybie bębni. A za szybą grad i śnieg i deszcz, jak to w marcu, a może i w kwietniu (Bobuś nie był pewien). Więc jak na taki dzień wyjść? Jak podróżować gdy zimno i mokro?

Bobusiowe refleksje przerwała Wdowa ukazując twarz uśmiechniętą i kawę niosąc: Fertig!

No to do stołu przykrytego ceratą. Blondyn twarz sobie płynem jakimś wycierając powiedział: Cacy, cacy, ale pada. Zjedz, Bobuś, słoniny kawałek żebyś na deszczu nie kichał. I Bobuś krzywiąc się, cienki plasterek boczku między dwa kawałki chleba czarnego włożył i grubo soląc jeść zaczął, kawą obficie zapijając.

A Blondyn do Wdowy: *Liebling*, siadaj z nami, gorącego się napij, też jesteś człowiek, choć kukła. I do Bobusia: po polsku co trzecie słowo rozumie, mówi, że zapomniała. Jak tyś spał, noc z nią bracie przegadałem.

Siedli więc we troje, ale tylko na chwilę, bo Wdowa zaraz do garnków poleciała.

— Tak się śpieszyłeś, a teraz siedzisz, zauważył Bobuś.

— Bo gradobicia nie znoszę. Płaszczki przed wyjściem musimy wykombinować. Nieprzemakalne. I wykombinował. A było tak: Gdy tylko kawy dopili Blondyn poszedł do kuchni i przed oczami Wdowy rozłożył pieniądze, które Bobuś na stacji zdobył. Zaraz potem weszli do pokoju (gdzie Bobuś plecaki wiązał) a Wdowa z nożyczkami. Zdjęli ceratkę ze stołu, wyciągnęli drugą z kredensu i pośrodku wycięli dziury. I ceratki jak pelerynki, obaj przez głowę nałożyli. A gdy Wdowa to śmiejąc się, to chlipiąc w drzwiach ich żegnała, spłynęli w dół po schodach jak motyle.

A na dworze zamieć, a na dworze szaruga i wiatr. Więc Blondyn i Bobuś wielkimi skokami od bramy do bramy, od balkonu do balkonu przez ulice Katowic przebiegali. A na ulicach pusto.

Gdy wreszcie znaleźli się za miastem i las przed nimi wyrósł świerkowy tuż za zakrętem, pokazało się słońce. Co widząc Blondyn:

— Zwijaj, bracie, ceratkę, może się jeszcze przyda, ale iść

w niej głupio. Bobuś zwinął i powiedział: zatrzymajmy się w tym lesie i pogadajmy, bo nie wiem, gdzie idę.

Zatrzymali się, siedli na rozwiniętych ceratkach, żeby spodni nie przemoczyć, bo ziemia była mokra i Blondyn zaczął:

— Celu nie trać z oczu, bo zginiesz. Idziemy na zachód, żeby się na drugą stronę frontu przebić. Gdzie jest front, nie wiem, ale ty mi powiesz, jak strzały usłyszysz.

— No właśnie...

— Nie przerywaj. Niemcy, czym dalej na Zachód, będą się tym ostrzej bronić, bo już im Ruscy do środka włożą. Kontrataki muszą iść i na to liczę. A jak już będziemy po drugiej stronie, to wyrzucimy legitymacje, które od umrzyków mamy i przeprowadzę cię dalej za rękę, jako Holendra.

Bobuś nagle: — Cicho!

Z daleka doszedł ich huk motorów. Rzucili się więc w głąb lasu, ale nie za daleko i jeden drugiemu pomagając wdrapali się na drzewa.

Stamtąd widok dla Bobusiowych oczu był prześliczny, bo najpierw jechał łązik i czołg, z klapą odkrytą, na której żołnierz siedział z pepeszką a dalej wozy na gąsiennicach, ciągnące działa. Po tych wozach i po tych działach żołnierze chodzili jak małpy. To tu, to tam, to tu, to tam.

Bobuś dech wstrzymał, gdy z powiewem wiatru doszły go dźwięki harmonii. Siedział więc tak na gałęzi, pień świerka obejmując i łyż, co napływały do gardła łykając. Ot, los.

A gdy już wszystko ucichło posłyszał głos Blondyna: przeszli, możemy skakać. Więc skoczył.

— Widziałeś tych kozaków? — pytał Blondyn.

A Bobuś zaczerwieniony: Łajzy, nie kozacy. Zatrzymałbym ich jednym plutonem samymi tylko butelkami. Bez ubezpieczenia szli, w ścisku, na wojnie się nie znają.

— Tak mówisz? To posłuchaj, bracie, oficera. Jechali jak na paradzie, bo do frontu daleko. Więc niepotrzebnie w krzakach się płaczemy, możemy iść drogą jak ludzie.

Bobuś nie powiedział nic, tylko zebrał tobołki i zaraz zaczęli oddalać się od lasu idąc w kierunku z daleka widocznej szerokiej drogi. Ale zanim doszli, Blondyn w kieszeniach pogrzebał i powiedział:

— Czekaj! U Wdowy jeszcze będąc zrobiłem z jej pomocą dwie gustowne pszczołki z białej i czerwonej tasiemki, które tu mam na szpilkach. Widzisz? Bobuś widział, ale głowę ze zdziwienia otworzył. Więc Blondyn:

— Z własnych doświadczeń wiem (o których ci przy okazji opowiem), że żołnierze cywilów nie cierpią. Kto w cywilnym fraku (tak jak ty Bobuś) zapłacze się między wojsko, tego zaraz

nie pytając strzelają. O takiej bracie ewentualności musimy myśleć. Więc na pomysł wpadłem taki: widziałeś, Bobuś, w Katowicach przed dworcem cywilów z opaskami? Widziałeś! I do wojskowych sowietów ci cywile bez obawy podchodzili? Podchodzili. Otóż opaski nie radziłbym ci zakładać, bo to służbowa rzecz i musiałbyś się tłumaczyć. A pszczołka, co innego. Pszczołkę w klapie marynarki masz prawo mieć, bo kolory narodowe nosisz z patriotyzmu. A już nie jesteś taki cywilny i każdy żołnierz, mądry, czy gapa, nie będzie do ciebie strzelał, tylko się zastanowi. A to ci daje szansę kolosalną. Rozumiesz?

Bobuś, przyznając Blondynowi rację, pszczołkę do klapy przyszpilił.

A tymczasem weszli na szosę i szli bokiemi obok rowu mijając słupy telegraficzne. Blondyn (z siebie zadowolony) mijane słupy lekko pięścią uderzał i mówił:

— Przynoszą mi szczęście i nieraz się na nie wdrapywałem niebezpieczeństwa unikając.

— Jakto? — spytał Bobuś.

— Takto, że miałem rower, a do służbowych obowiązków moich należało jeździć w teren z różnymi papierami. Ten rower pomalowałem na żółto, a od jednego pocztowca znajomego kupiłem czapkę służbową z daszkiem i słupolazy. Słupolazy, rozumiesz, to są takie metalowe haki z ostrymi zadziorkami, które do butów zakładasz. Dzięki nim jak żbik po słupach chodzisz, pasem się tylko przytrzymując. A jak je masz przez ramię przewieszone, wyglądasz cholernie służbowo i najprytniejszy żandarm cię nie zaczepi. Tak za montera przebrany przejechałem pół Guberni, a jak łapanka, strzelanina, sprawdzanie papierów, to ja rowerek na bok, a sam na słup i tam śrubokrętem się popisywałem.

Gdy tak Blondyn opowiadał, a szosa, którą szli wila się to w prawo, to w lewo między pagórkami, wypadł im nagle z zakrętu wojskowy łażik i zgrzytnął hamulcami.

— Stoj! Ruki wwierch!

Stanęli, a serca buch, buch, aż słyhać było.

— Kto wy?

— Polacy.

— A dokąd?

— Z Katowic do Opola — powiedział Bobuś, który, gdy się zdenerwował, mówił raźniej.

Dwóch żołnierzy zeskoczyło z wozu i jeden z przodu, drugi z boku trzymali Blondyna i Bobusia pod pepeszkami patrząc na nich bystro. A dwóch innych w łażiku za szybko zaczęło szeptać. Wreszcie jeden w czapce okrągłej z daszkiem, głowę wychylił i zapytał:

— A gramotnyje?

W lot pytanie pojmując, Bobuś odpowiedział:

— My studenty.

— No to dawaj z nami. I Bobuś z Blondynem już na łąziku, który w miejscu skręcił i pomknął szosą na zachód.

Jechali przez chwilę w milczeniu trzymając się błotnika i z trudem dech łapiąc. Zwolnili wreszcie i zatrzymali się przy przydrożnym kamieniu.

— Co tu napisano? — spytał oficer w czapce z daszkiem.

— Op-pel 47 kilometrów — sylabizował Bobuś.

— Tak ja skazał!

I znowu ruszyli pędem. W końcu zamajaczył przed nimi obłok kurzu i ujrzeli kolumnę artylerii. Wojsko — Bobuś się zarumienił.

Jadąc już powoli mijali działa i samochody, minęli wreszcie czołg i wysunęli się na czoło kolumny. Zaraz też powiało świeżym powietrzem, oficer odkaslnął i powiedział:

— Starszyna — jewo mać. Upił się, a on jeden germanskie bukwy zna. Tak mieli szczęście, że was napotkali.

No to znaczy się fajno. Blondyn do plecaka sięgnął i zaraz butelka, z korkiem zgrabnie odbitym z rąk do rąk i z ust do ust chodzić zaczęła.

Więc jewo mać, a starszyna, ot pijak. A wojna, wojna i Germancy nie wiedzieć gdzie. A wy p a n o w i e, tak dokąd? Ot taki to los. Tak, do Opola, hm. To my może i podwieziem.

Ożywił się Blondyn (Bobusia w bok trąca): gilzy bracie tytoniem napełniaj.

Ot maszynka-cudeńko. Jaka to i wkrętna, a i tabak u was niczego. A do Opola wam po co?

Więc Bobuś: Na Niemca, bić, gonić!

Ha, ha — znaczy on maładziec! Mocno, prawidłnie skazał. Polaki znaczy, odczajennyje. I czorta nie boją się, sami we dwu na Niemca idąc. A broń u was jest?

Bobuś pszczółkę z kłapy wyjął i szpilkę pokazał do śmiechu wszystkich zmuszając. A Blondyn do kieszeni po legitymację sięgnął (w czerwonej twardej okładce) i obiegiem po samochodzie puścił.

No, to zakurim! Dobry u was tabak i za zdarowie waszej Polski!

Zdrowie, zdarowie! I żeby wam i żeby nam, znaczy poszczęściło się! I cześć! I wiwat! I czołem! A czto to takoję czołem?

A do Opola? Do Opola! Do mostu, może i podwieziem. Na moście musowo halt. A bumażki wasze i owszem, z pieczętami w porządku, ja tak trzymam.

Blondyn po spirytus sięgnął, ale nic, pili i tylko butelka z rąk do rąk i z ust do ust chodziła, a potem przed okiem Bobusia błysnęła i oop! w krzakach. Więc zaraz w plecaku grzebać za-

czeli: jedna ręka i druga i trzecia. Ot i boczek u was bardzo udany. Jodłą waniajet!

A litrówkę podrzuć Wsiewołod żołdatyszkom co pewnie zmarzli! Tak można? — Można.

I znów butelka jedna pac w krzakach. I jeszcze jedna (ciśniesz a kropli nie wyciśniesz) szast w górę i brzęk na kamieniu. Zmartwił się Bobuś dno placaka widząc, ale nie na długo, bo właśnie Wsiewołod boczek (który jadł) przełknął, litrówkę pod bluzę i za pas wcisnął, zakołysał się w nogach i z łazika na czołg hyc — skoczył, tyle, że się pochylił. Widział potem Bobuś jak żołnierz z pepeszką butelkę cmokał, ale zaraz oddał i Wsiewołod, rękami równowagę utrzymując, ho-op! i już na samochodzie, który za czołgiem jechał. Ot wojsko — myśli Bobuś.

Wyjechali tymczasem z lasu i z daleka zobaczyli domy. Łazik śmignął szybciej i oficer powiedział:

— A wasze bumażki dobre, a może nie dobre — ot skazać nie mogę liter waszych nie znając. Tak w mieście lepiej wy sami i przez most, co na rzece tutejszej Odrze, też sami.

Chcąc nie chcąc Blondyn z Bobusiem przed domem jakimś wysiedli, plecaki puste zabrali i jak im ręką na pożegnanie wskazano w kierunku rzeki iść zaczęli. Łazik też zaraz odjechał i zrobiło się pusto i cicho i straszno.

Blondyn wreszcie powiedział: chodź, pójdziemy w krzaki, albo za stodołę jakąś. Najlepsza to rzecz na nerwy.



Szli kręcąc to w prawo, to w lewo ulicami pustymi wśród domów obumarłych, wśród ogrodów, gdzie drzewa i płoty i krzaki, połamane. Szli wypatrując rzeki, a unikając szerszych ulic przez które (gdy przejść musieli) przebiegali chyłkiem.

A tam dalej — pożar. Dom się pali, iskry buchają, zasyczało coś, huknęło głucho i zaraz płomienie się podniosły obejmując gałęzie drzew. Bobuś kopnął się biegiem, jak to do pożaru, ale zaraz stanął widząc że jest sam. Więc gapił się w ogień, dym łykał, policzki, które piekły rękami zasłaniając. Cicho, choć ogień szumi, drzewo palone trzeszczy, a Bobuś w płomień zapatrzony odejść nie może.

Dopiero Blondyn powiedział: Bobuś bo cię zroluję i w zgłiszczą wrzucę. I sam idąc, Bobusia za sobą pociągnął.

Ale, ledwo z dymu wyszli, co się kładł z wiatrem na ulicy, natknęli się na szlaban i zobaczyli mundury.

— Wy kuda i od kuda?

Zdumieli się obaj słysząc głos kobiecy i widząc dwie twarze, które choć młode, do gustu przypaść chyba nikomu nie mogły.

Blondyn, pewności nie tracąc z kieszeni legitymacje wyciągnął i powiedział:

— Przez most, na drugą stronę rzeki. A przyjechali z Katowic. Ot nasze bumażki.

— Charaszo? Charaszo. Tak spasibo. Spasibo. A most — tuż zaraz. Tak skrócić w lewo i prosto.

Naciśnięty tęgim ramieniem szlaban poszedł w górę i Blondyn z Bobusiem, niby nic, poszli nie śpiesząc się w kierunku rzeki. Ale zaraz za zakrętem ulicy wyrósł przed nimi drugi szlaban. Stało przy nim dwóch tęgich wąsaczy obejmując pepeszki jak miotły.

— Swoi, swoi, i bumażki u nas w porządku. Co mówiąc Blondyn niedbałym ruchem do kieszeni sięgnął i papierosy (ostatnie) wydobyl.

— Nie zakurzyliby?

Ale gdzie tam. Wąsaczom pilno było papiery oglądać. Więc dali im legitymacje. Ot, bukwy nie te same. I pieczętka niby jest, a przecie krzywa. Nu, tak poczekajcie. Przyjdzie starszyna, zobaczy.

Na to Blondyn (rezonu nie tracąc):

— Starszyna, tak my go widzieli. Przy szlabanie stał, z dziewoczkami gaworzył.

I Blondyn zdumionego Bobusia pod pachę biorąc ruszył z powrotem.

Nic z tego. Dziewoczki i owszem pogadać pogadają, ale puścić nie puszczą. Ot, poczekać wam nie zaszkodzi.

Więc Blondyn z Bobusiem z powrotem do wąsali poszli wolniutko patrząc na boki gdzie by tu skoczyć. Ale nie skoczyli nigdzie, bo właśnie od mostu (który widać było) nadchodził Starszyna. I dreszcz przeleciał im po plecach bo tuż za Starszyną szło trzech cywilów. Ubrani w krótkie kurtki i siwe barankowe czapki szli nic nie mówiąc, posępni, jeden na drugiego wilkiem patrząc, a na rękawach barwiły im się czerwienią opaski.

Co widząc Bobuś poczuł, że jest zmęczony i senny. A gdy prowadzili go przez most (a Blondyna tuż za nim) pomyślał: do rzeki skoczę i popłynę. Ale, choć bardzo chciał — nie skoczył i nie popłynął.

Jan KROK-PASZKOWSKI

Z życia Fiedora Kuźkina (dok.)

Sprawa Żywego odbyła się wieczorem, żeby kołchoźników nie odrywać od pracy. Na malutkiej scenie klubu ustawiono stoły, przykryte czerwonymi płachtami, a nieco z boku, tuż przy scenie — ławę dla oskarżonego. Fomicz rozsadził na ławie wszystkich swoją dzieciarnię, a sam z Awdotią przysiedli na skraju. Roztropne, żwawe dzieciaki wesoło wymachiwały nogami i szarymi, głęboko osadzonymi oczami przyglądały się z zainteresowaniem sędziom, usadowionym za czerwonym stołem.

— Po coście dzieci przyprowadzili? — zapytał sędzia Żwego. Był to zupełny młodzieniaszek w kraciastej marynarce i z bardzo wąskim krawatem. — My tu przecież nie twoje dzieci, tylko ciebie będziemy sądzić.

— Dzieci więcej niż ja, po kołchoźniczej ziemi biegają — powiedział Fomicz — znakiem tego one są najbardziej winowate. Niech od wczesnych lat przyzwyczajają się do prawa.

Fomicz miał na sobie stary, zasmolony wojskowy drelich, do którego przypiął order Sławy i dwa medale. Przedtem wyczyścił medale mocno popiołem, że błyszczały teraz niczym ze złota.

Awdotia siedziała wyprostowana, jak gdyby połknęła kij, a na kolanach ciężko leżały jej grube, wykrzywione palce, całe pokryte gruzłami.

— A wy — sędzia zaciął się, nie potrafił wymówić zwyczajowego słowa „oskarżona” i po krótkiej przerwie powiedział: — Co to, gospodni, z waszymi rękami?

— Przy dojeniu krów... — powiedziała, czerwieniąc się, Awdotia. — Widać, przeziębiam, czy coś w tym rodzaju...

— Pracowała u was jako dojarka? — zapytał sędzia, zwracając się do przewodniczącego, który siedział w pierwszym rzędzie.

- Nie wiem — odpowiedział Guzionkow.
- Przed trzema rokami — wyjaśnił Fomicz.
- Jasne!

Sędzia wstał i ogłosił skład sądu. Skądeś zza sceny wychylił się milicjant i stanął za ławą Fomicza.

— Czy oskarżony — zapytał sędzia — ma jakie zastrzeżenia co do składu sądu?

- Żadnych — odpowiedział Fomicz.

Ławników ludowych było dwóch: stary nauczyciel chemik z siedmioletniej szkoły w Swistunowie, nazwiskiem Adszwaes, i kierownicza rejonowej herbaciarni, Stepanida Siłkina, nieco już podstarzała, ale ciągle jeszcze mocna i urodziwa czarnobrewa, nieodmienna członkini prezydium wszystkich rejonowych posiedzeń.

Akt oskarżenia wygłosił p.o. prokuratora, młodszy jurysta Fatiejew. Miał na sobie śnieżnobiały kitel, epolety i granatowe spodnie z zielonym lampasem. Przemawiał, jak należało, z trybuny, ustawionej naprzeciw ławy oskarżonego. Na tę okazję trybunę przywieziono z klubu w Swistunowie i obciążnięto ją czerwonym materiałem.

Fatiejew przemawiał wyraziście, czyli, jak to mówiło się w Prudkach, z przyciskiem, a kiedy wymieniał artykuły Kodeksu Karnego, zatrzymywał się i rozglądał po wypełnionej sali. W takich chwilach zapadała całkowita cisza. Z jego słów wynikało, że chociaż Kużkin należał uprzednio do kołchozu, to jednak jego skłonność do pasożytnictwa nie pozwoliła mu „pracować z pełną wydajnością ku dobru naszej ojczyzny”. Zaś obecnie stał się po prostu antyspołecznym elementem, ponieważ deklaruje się jako robotnik, a nigdzie nie ma stałej pracy. I w konsekwencji tego wszystkiego zaszedł tak daleko, że samowolnie przywłaszczył sobie ziemię, należącą do kołchozu, i oszukał kierownictwo.

— Żądam — powiedział Fatiejew na zakończenie — izolowania Kużkina od społeczeństwa w charakterze rozkładowego elementu i za popełnione przestępstwo samowolnego przywłaszczenia sobie ziemi kołchoźniczej, i wymierzenia mu surowej kary: poprawczo-karnych prac w ciągu roku, obostrzonych przez więzienie.

W pierwszym rzędzie rozległy się oklaski, ale że sala ich zbyt mocno nie podtrzymała, więc zaraz zacichły, roztopiły się w powszechnym kaszlu, szuraniu nogami i głośnych szeptach. Przewalił się grom i teraz cała sala zahuczała z ożywieniem.

— W związku z tym — oświadczył sędzia — że oskarżony zrezygnował z obrońcy i zdecydował się bronić sam, oddaję mu głos.

Fomicz wstał, najpierw spojrzał na trybunę, ale nikt mu nie

zapropował, żeby na nią wszedł; niezdecydowanie przestąpił z nogi na nogę, nie wiedząc, czy ma patrzeć na salę, czy na sędziego, i do kogo właściwie kierować przemówienie. Ostatecznie, nie mogąc rozstrzygnąć tego skomplikowanego zagadnienia, stanął bokiem, tak że na prawo miał sędziego, a z lewej strony — salę.

— Towarzysze obywatele! W naszej sowieckiej konstytucji stoi napisane: mamy prawo do posiadania ziemi, ale darmożjady — nigdy. I w pieśni, w „Międzynarodówce”, też się o tym śpiewa. Zapytujemy: a ja co za jeden jestem? Tutaj występował prokurator i nazywał mnie darmożjadem, że niby coś w rodzaju pasożyta, znaczy się. A ja ziemię orałem, sowiecką władzę budowałem, wojowałem na froncie. — Tu Fomicz niby niechcący pociągnął kikutami palców po orderach, które głucho zadźwięczały. — Stałem się inwalidą... Całe życie grzbiet zginam, pracuję na swoje pisklęta, karmię ich. Jak by tam nie było, ale na żebry od chałupy do chałupy nie łożą. Czy tak? — pytał Fomicz, obróciwszy się twarzą do sali.

— A tak! A jakżeby nie?

— Dzisiaj wiele tam nie użebrzesz.

— To nie dawne czasy — podniosły się na sali niespodziewane głosy.

— Wypada — znowu zapytał Fomicz — że nie jestem darmożjadem i pasożytem?

— Żebraków tera nima! — zawołał kobiecy głos. — Po co po próżnicy jęzorami pytlować!

Na sali rozległy się śmiechy i psykania. Sędzia potrząsnął dzwoneczkiem.

— Obywatelu Kużkin! Oskarżonemu nie wolno zwracać się z takimi pytaniami do sali.

— Mnie ta już więcej pytać nie potrza. Naród już powiedział, co ja za jeden. Teraz sądzcie! — Fomicz usiadł.

— Oskarżony Kużkin, czy wiadome wam było postanowienie ogólnego zebrania kołchozu, podczas którego odebrano wam prawo korzystania z ogrodu? — zapytał sędzia.

— Nie, towarzyszu sędzio.

— Proszę mówić — obywatelu sędzio.

— A niechta będzie obywatel... — zgodził się Fomicz. — Żadna różnica.

— Braliście udział w tym ogólnym zebraniu?

— Nie brałem.

— Siadajcie! Świadek Nazarkin Matwiej Korniejewicz!

— Jestem, obywatelu sędzio! — Korniejcz wyskoczył z pierwszego rzędu i stanął na baczność, przeżąc olbrzymie pięści przy udach.

— Należy mówić: towarzyszu sędzio.

— Tak jest!

— Wyście zeznali, że Kuźkin brał udział w tym ogólnym zebraniu?

— Tak jest, towarzyszu sędzio! — dziarsko potwierdził Korniejcz.

— Słuchaj, Korniejcz! Cóż ty obmowę bierzesz na własne sumienie? — rzucił się na niego Fomicz. — Wiesz, co bywa za kłamliwe zeznanie? Obywatelu sędzio, proszę go uprzedzić, że za kłamliwe zeznanie dają według artykułu dwa lata więzienia. Ja tu ciebie — Fomicz wskazał za siebie — posadzę na tej samej ławce!

— Tak — powiedział surowo sędzia — za kłamliwe zeznanie można otrzymać dwa lata więzienia. — Uprzedzam was, świadek Nazarkin!

Korniejcz zaczął raz po raz mrugać oczami i przestępować z nogi na nogę, jak zmęczony koń.

— Powtarzam pytanie... Świadek Nazarkin, czy oskarżony Kuźkin brał udział w ogólnym zebraniu kołchozu, w dniu dwudziestym września ubiegłego roku?

— Tak jak gdyby był... — Korniejcz rzucił spłoszone spojrzenie w stronę przewodniczącego, ale natychmiast wpatrzył się znowu w sędziego.

— A może by tak ściślej!...

Korniejcz zaczął kręcić głową, jak gdyby chciał ją wyrwać z szerokiego kołnierza ciemnej koszuli...

— To już wychodzi na to, że nie pamiętam — powiedział wreszcie, patrząc sobie pod nogi.

Guzionkow wydusił z siebie jakiś dziwny ryk i ze złością spojrzał na Korniejczę.

— Siadajcie! — powiedział sędzia. — Świadek Stiepuszkin!

Z pierwszej ławki podniósł się zastępca Guzionkowa, siwo-włosy kołchoźnik z brunatną, porydloną głębokimi zmarszczkami szyją. W Swistunowie był on od niepamiętnych czasów wiecznym zastępcą przewodniczącego kołchozu.

— Czy potwierdzacie, że Kuźkin brał udział w ogólnym zebraniu kołchozu, w dniu dwudziestego września?

Stiepuszkin wpatrzywał się gdzieś w sufit, na jego czole pojawiły się takie same, jak na szyi, brunatne bruzdy.

— Zdaje się, że był... — powiedział wreszcie Stiepuszkin.

— Był czy nie?

— Ano, jak gdyby...

— Wy co? — zamierzacie bawić się z sądem w chowanego? — sędzia podwyższył głos.

— Nie pamiętam. — Stiepuszkin usiadł.

— Kto zawiadamiał Kuźkina o postanowieniu zebrania? — zapytał sędzia, patrząc na przewodniczącego.

Guzionkow odpowiedział, nie podnosząc się z miejsca:

— Brygadier przekazał mój rozkaz.

Wstał Paszka Woronin.

— Tak, to ja uprzedziłem Kuźkina. Akurat siedział przy złożonym budulcu, miało się pod wieczór... Tożem podszedł do niego, posiedziałem przy nim żdziebko. Potem mu powiedziałem, żeby nie sadził w ogrodzie ziemniaków, jako że ogród nie należy jemu, ino kołchozowi...

— Oskarżony Kuźkin, czy było takie ostrzeżenie?

— Sprawiedliwie — podniósł się Fomicz — było!

— Czegóż jeszcze potrzeba? — krzyknął Guzionkow.

— Ale, obywatelu sędzio, pozwólcie jedno słowo powiedzieć!

— zwrócił się Fomicz do sędziego.

— Bardzo proszę.

— Woronin prawie co dnia strach na mnie napuszczał: a to powiadał, że mnie zeszlą, a to, znowuj, że do więzienia posadzą... Potem groził, że ogród zabiorą... Mało czego jeszcze nie powiadał! Toż ja już i wierzyć przestałem. A przecie postanowienie ogólnego zebrania to także prawo. Czy właściwie rozumię, obywatelu sędzio?

— Prawidłowo!

— No, to, znakiem tego, prawowite postanowienie należy przekazywać za podpisem, że to dokument. Wypisać rozporządzenie na papierze, przysłać do mnie. Ja bym przeczytał, złożył podpis... Prawo!

— Prawidłowo! Czy postanowienie ogólnego zebrania — zapytał sędzia Guzionkova — zostało wręczone Kuźkinowi za pokwitowaniem?

— Nie — odpowiedział Guzionkow, cały czerwony.

Teraz wszyscy patrzyli na niego. Zaś Fomicz dodał natychmiast:

— A od straszenia słowami to już majstrów u nas nie brakuje...

Kiedy sąd udał się na naradę, Guzionkow wstał i, głośno tupiąc ciężkimi buciorami, wyszedł z klubu. Paszka Woronin poszedł jego śladem. Tylko Korniejcz i Stiepuszkin ponuro siedzieli na opustoszałej ławie, bojąc się obejrzeć na salę. Widzowie hałasowali na całego, odwalając pieprzne kawały pod adresem niefortunnych świadków. Dla wszystkich było oczywiste, że Fomicz wygrał sprawę. A kiedy sędzia wygłosił wyrok uniewinniający, ktoś zawołał na całą salę:

— Ten to nawet z wody wyjdzie suchy! Żywy on jest i żywym ostanie...

XV

Przy końcu czerwca, ledwie kołchozy zdążyły zabrać do siebie wszystek budulec, do Fomicza zatelefonował naczelnik stacji elektrycznej.

— Co, Kużkin, nie zasnąłeś?

— Gęsi nie pozwalają... Rozpłodzili je nynie, niczym szarańcza. Dostawy mięsa znieśli. To tera te gęsi drą z radości na całe Prudki, jak głupie.

— No, ja dla ciebie znalazłem robotę spokojną... daleko od gęsi. Poszedłbyś na przystań?

— Na jaką tam znowu przystań?

— Będzie założona na Prokoszy, niedaleko od Prudków.

— A co ja bym tam miał do roboty?

— Wszystko! Dowodzić i zamiatać... Za szypra będziesz i zamiatacza zarazem. W jednej osobie... Zmieści się?

— Mogiem spróbować.

— No, to zaraz jutro zapyłaj na wodny sektor. To obok, tuż przy nas.

Pugasowski sektor małych rzek znajdował się tuż koło Razkiduchy, zaraz za żeglowną szluzą, gdzie przegrodzona Prokosza rozlewała się niczym Oka, na całe pół kilometra. Ośrodek składał się raptem z dwóch składów, zbudowanych z bierwion, domu w kształcie pięciokąta, gdzie znajdował się magazyn i bufet, i z dwóch nawodnych platform. Do jednej z nich przybijały kutry, spełniające rolę rzecznych tramwajów, na drugim znajdowało się biuro sektoru.

Naczelnik, czarnowłosy, przysadkowaty Czuwasz, noszący niezwykle w tych stronach imię Sadok Parfientejewicz, powitał Fomicza w bardzo rzeczowy sposób.

— Praca dobra, ale zarobek niewielki, zauważaj! Wszystkiego czterysta osiemdziesiąt pięć rublów.

— Więcej mi nie potrzeba — odpowiedział Fomicz.

— Płacimy tylko do grudnia. W zimie pieniędzy nie dajemy. Zauważaj!

— Koszyki będę wypłacać.

— Rób co chcesz. W zimie do czynienia ze mną nie szukaj.

— Przechimuję! — wesoło powiedział Fomicz.

— Wiesz, jak platforma jest urządzona?

— Jakżeby! Znaczy się, na dole ładownia, a po wierzchu pokład. Na pokładzie są...

— Dosyć! — zatrzymał go Sadok Parfientejewicz. — Jeżeli przystań zacznie tonąć, co będziesz robić?

— Pierwsza sprawa — do ładowni zajrzeć. Jeżeli jest woda, to musowo ją wypompować.

— Wtedy na mieliznie trzeba platformę osadzić. Zauważaj!

— To się samo przez się rozumie — zgodził się Fomicz. — Dawnymi czasy myśmy sami tu w Prudkach barki budowali. Znaczy się, żebra żeśmy zbijali, a na to szło obszycie. No, i ładownia na...

— Dobra! Jutro pojedziesz do Tiutiunina, dostaniesz platformę. Ale zauważaj! Przecieka.

— Dostarczymy! — rześko powiedział Fomicz.

Do Tiutiunina było około czterdziestu kilometrów. Żywy pojechał rzeczny tramwaikiem i to bezpłatnie — po raz pierwszy w życiu. Dlatego właśnie wszystko mu się na tym stateczku bardzo podobało — siedzisz sobie pod otwartym niebem na białej ławeczce, niczym w ogrodzie gdzieś tam w mieście Gorkij. W Pugasowie nie ma takich wygodnych ławeczek, to już ani słowa... Jeżeli uprzykrzy się wygrzewać na słoneczku — prosimy na dół. Tu ławki są znacznie dłuższe. Położysz worek pod głowę, wyciągniesz się — i chrapiesz, bracie, aż do samego Tiutiunina. „Tera to już całkiem znośnie można żyć — myślał Fomicz. — Nie przywiozą, na ten przykład, chleba do Prudków, to ja biegiem na tramwaik i do Rozkiduchy. Pokręcę się to tu, to tam, ani się obejrzysz — dzień minął. I tak niby wygląda, że służbowo...”

Przystań przeznaczona dla Prudków, okazała się najzwyczajniejszą barką, taką właśnie, jakie dawniej budowali prudkowscy chłopci, tyle że na pokładzie zamiast budki znajdował się kantonik szypra, z dwoma okienkami, i daszek dla pasażerów, z czterema ławkami i stolikiem. Ławeczki były tak samo białe i schludne jak na rzeczny tramwaiku, w szypcerce stał okrągły żelazny piecyk, zwany „burżujką”, białutka szafka jak w aptece, stolik i tapczan. „To ci prawie uzdrowisko!” — myślał Fomicz. Jedno tylko nieszczęście: w ładowni było wody prawie po burty, w wyniku czego przystań przytuliła się do samego brzegu, leżąc brudem na piaszczystym dnie.

— Jakże ja ją doprowadzę? — zapytał Fomicz, patrząc w załopotaniu na kapitana tramwaiku.

— Czekaj na mnie z powrotnym rejsem. Przywiozę kameron.

— Cóż to znowu za kameron?

— Ech, ty, taki z ciebie szyper, a nie wiesz, co takiego kameron. To taka pompa!

Przywieźli kameron dopiero wieczorem. Fomicz nie zmrudył oczu przez całą noc — wodę pompował. Ale kiedy o piątej godzinie rano podszedł tramwaik, żeby zarzucić linę holowniczą, przystań leciutko kołysała się na rzecznych falach. „Cała wylazła

z wody na wierzch... — myślał Fomicz z radością. — Jenó patrzyć, a pofrunie...”

Do ośrodka wrócili o ósmej godzinie, akurat kiedy władza zjawiła się do pracy.

— No, to jazda do urzędu... Załatwić formalności! — powiedział do Żywego kapitan, tramwaiku, zuchowaty, sympatyczny młodzieniec, ubrany dokładnie według przepisów, niebieski kitel, guziki wyczyszczone na glanc, błyszczą jak ze złota.

Zaprowadził Fomicza do biura dyspozycyjnego i powiedział wesóło do surowo wyglądającej kobiety w męskiej czapce z oznaką kraba nad daszkiem:

— Maria, masz tu nowego szypra tiutiuninskiego okręgu.

Kobieta podrzuciła głowę ostrym ruchem: jej długie, rude kędziory, wyrrywające się spod czapki, zakołysały się niczym końce lin cumowniczych.

— A nie zatopisz przystani? — zapytała Żywego.

— No, jakże można! Przecie własność państwowa...

— Widzisz go, jaki ideowiec! — uśmiechnęła się kobieta w czapce. — No, to posiedź trochę — wypiszę ci skierowanie.

„A czemuż bym nie miał posiedzieć? — myślał rozradowany Fomicz. — Jak jest prawdziwa spracha, to i siedzenie nie grzech. Tu ciepło i muchy nie gryzą”. Dyspozytorka też mu się podobała. „Niby to surowość na siebie napuszcza, ale tak na wygląd, owszem, panusia całkiem reprezentacyjna”.

Następnie załatwiał formalności z Fomiczem przewodniczący miejscowego komitetu, w jednej osobie naczelnik wydziału kadr. I tu Żywemu wszystko się spodobało. Gabinecik był wprawdzie maleńki, ale czyściutki, wszystko wybielone, wszędzie firanczki i obrusiki bez jednej plamy, widać, prosto z prania. Po prostu nie gabinet, lecz lilipuci szpitalik.

Naczelnikiem wydziału kadr był pochylony, ale wciąż jeszcze żwawy staruszek, w białym, starannie odprasowanym kitlu i z taką samą białą bródką, jak gdyby świeżo wypraną.

„Ot, żebym taki kitel otrzymał — myślał Fomicz — i jeszcze czapkę z morskim rakiem. Dopiero pięknie byłoby spotkać się z Motiakowem”.

Staruszek wciągnął Fomicza do odpowiednich papierków, wyciągniętych z tekturowej teczki, wypełnił ankietę. Po czym wręczył Żywemu prawdziwą książeczkę pracy i dłoń mu uściśnął.

— Życzę powodzenia w pracy.

Fomicz ośmielił się do reszty i zapytał:

— A jak będzie względem kitla i czapki? Czy to idzie na państwowy koszt? Czy też w pierwszym roku jeszcze się nie przynależy?

— Marynarzom i szyprom u nas umundurowania nie dają.

— No, tak... — zgodził się Fomicz. — A i tak dobrze.

Niemal podskakując, latał do składnicy — otrzymywał po kolei łańcuchy, liny do cumowania, siennik i dwa prześcieradła, rondel, czajnik, kociołek, miski... Całe gospodarstwo.

I kiedy nareszcie zaryczała długo oczekiwana syrena, kuter odbił od brzegu, holując za sobą przystań. Żywy nawet przeżegnał się — bodaj że pierwszy raz w swoim życiu.

Nawodną platformę ustawili niedaleko od Kuziakowego Jaru, obok bezbrzeżnej przestrzeni łąk. Popłynęło spokojne, powolne, jak nurty Prokoszy, szyperskie życie. „Póki co — myślał Fomicz — zanim zima przyjdzie, jakoś dusza odzypnie. A co dalej, to się zobaczy”.

Nie pamiętał takiego dobrego, łagodnego lata. Deszcze przechodziły jakby na zamówienie, obfite i przewlekłe na wiosnę, rzadkie podczas sianokosów i żniw, krótkie i nawalne. Jak gdyby tam, w niebiesiech, objawił się wreszcie surowy, rozumny gospodarz, spoglądając na ziemię i gderając gniewnie: „Kto tam marudzi ze zbiorami? A ja go zaraz popędzę!” Zbyt długo siano leży w kopach, popatrz jeno — już burza tam zawraca, huczy tak, że aż ziemia się wzdryga. Jedzie na grzmiących resorach, rozrabia! Ale deszcz chłoszcze niezbyt długo, ot tak, na zastraszenie, żeby nie spali zbyt długo.

Brechowscy chłopci pracowali po tamtej stronie Prokoszy. Dobrze pracowali, zgodnie. Była o nich taka gadka: „Ćwiartkę wypiją w pięciu i jeszcze na drugi dzień zostawiają”. Ale wiadomo: sami majsterkowie, z pochodzenia słynni cieśle. Naród przyzwyczajony do pracy w zespole. I na obrachunkowych dniówkach dobrze zarabiali, i w zimie na boczku też dorabiali to i owo.

Na pastwiska przyjeżdżali całą wsią, szafasy ustawiali na samym brzegu, blisko od miejsc, gdzie pały się krowy, żeby od mleka się nie oddalać. I przez dwa-trzy tygodnie żyli sobie wesoło, na szerokiej stopie; na przybrzeżnych dąbczakach i lipkach wisały zaróżowione szynki, w ogromnych czarnych kotłach gotowano od razu w każdym pół baraniej tuszy, zaś na dnie rzeki tuż przy brzegu, stały wielkie bańki z mlekiem. Zimne źródła były tam na dnie. Wystarczy pociągnąć za sznurek — i pij, bracie, ile chcesz, dopóki ci ziąb grzbietu nie przejmie.

Za to prudkowscy chłopci chodzili na pastwiska na piechty; zanim zbiorą się do kupy i dojdą, już słońce żarem oblewa. Zasiędą do południowego posiłku, wodę z rzeki czerpią kubkami, chleb jedzą i popijają. To wtedy z drugiego brzegu brechowiacy do nich krzyczą, przygadują: „Ej wy, swojacy, chęptajcie ano — widzita, tam jeszcze cosik zostało!” Opowiadano, że kiedyś dwie prudkowskie baby wzięły ze sobą na łąki jedno jedyne jajko. Siadły do posiłku, rozbiły jajko i wylały do jeziora na samym

brzeżku, że to żadnego naczynia nie było. Powiał wiaterek — zaraz kawałki ściętego białka popłynęły po wodzie. To ci jedna drugą zaczęła popędzać: „Ej, swojaczko, chłęptaj ano, widzisz — cosik tam jeszcze zostało...”

— Kutwy, sknery! — pokrzykują prudkowscy chłopci zza rzeki, żeby się oduć. — Opowiedzcie-no, jakieście jedną ćwiartkę wypili w pięcioro!

Ale czy to brechowiaków na docinki przekrzyczysz?

Wieczorami zapachy świeżo ugotowanej zupy na baraninie i jaglanej kaszy, prażącej się na rozpalonych węglach, dochodzące z tamtego brzegu, osobiwie niepokoiły Żywego. A jego przystań, jak gdyby z umysłu, znajdowała się naprzeciw pastwisk, na których brechowiacy rozbijali swe obozowisko. Co prawda, zdarzało się, że Żywego zapraszano.

Któregoś dnia tuż naprzeciw przystani, wylazł ze swego samochodziku Pietia Długi i przez jakąś chwilę przyglądał się, zasłaniając oczy dłonią przed słońcem.

— E, Kużkin, czy to ty tam jesteś za kapitana?

— Jakżeby! — odkrzykiwał Fomicz. — Nie kto inny, ino ja!

— To płyn do nas! — Pietia Długi machał ręką. — Wyróżnimy ano twój awans.

A u Żywego w małej sadzawce pluskały się trzy młode leszcze, jaźwica i sterlet. Więc nie jechał na tamten brzeg z pustymi rękami.

Nie raz i nie dwa zwycięski zapach rybnej zupy, rozchodzący się od przystani, zabierał w niewolę wrażliwe na takie aromaty nosy brechowskich kucharzy.

— Ej ty, rybak — nawoływali brechowiacy. — Chcesz baraninę na ryby wymienić? He? Kilo za kilo...

— Figę za figę zasun — nic ino strata czasu! — odpowiadał Fomicz.

— To czego jeszcze chcesz?

— Kociół z kaszą wieź na dodatek...

Gdy przychodziły takie wieczory, Fomiczowi wydawało się, że życie jak gdyby zmienia się na lepsze. Naród jakoś tego lata odżył, złagodził jakby. To ci nie żart — zmniejszyli różne dostawy, podatki... Po raz pierwszy tego lata nie zanoszono mleka na punkt zlewu, nie rozcieńczano go wodą, nie stosowano środków chemicznych. Masz własną krowę — pij tyle mleka, ile zapragniesz! Mięsa ani wełny także samo nie musisz dostarczać...

Żywy ponownie kupił kozę. Zaś prosiak zamienił się w wielką, nienazartą świnię. Awdotia wycięła wszystkie pokrzywy po rowach i wciąż je naparzała dla tego nienasyconego bydłaka, zaś Fomicz, w godzinach południowych, kiedy jego przystań nie

urzędowała, jeździł na drugi, brechowski brzeg i zbierał w krzakach dziko rosnące jabłka.

Wczesnym rankiem i wieczorami na przystani zbierali się ludzie z pobliskich i bardziej oddalonych wsi — witali gości z miasta. Przyjeżdżali urlopowicze znad Wołgi, z Gorkiego, a najbardziej z okolic Dzierżyńska. Jeszcze w trzydziestych latach, w okresie kolektywizacji, połowa mieszkańców Prudków przesiedliła się właśnie tam, do dawnego Rastiapina — fabryki budowali. Wychodzili ze wsi w łapciach, z workami na plecach. A teraz powracali z eleganckimi walizkami, z plecakami, naładowanymi pieczywem, z wiązkami białych obarząnków, które w dwa, trzy rzędy, niczym naszyjniki, zwisały im z ramion.

— Dziś to już ta całkiem dobrze u nas, jeśli o chleb się rozchodzi — mówili przyjezdni. — Czy to bułki, czy to prele — bier, ile ta chcesz. Znowuj kolejek tyż nima. Życ całkiem nawet można.

— A u nas trawy bardzo pięknie tego roku obrodziły — mówili prudkowscy chłopci. — Ledwie kosą machniesz — już cała kopa stoi. Ludzi brakuje. Bają, jakoby z miasta mieli znowuj przesiedlać z powrotem na wieś.

— Co to, to nie! — odpowiadali przyjezdni. — Durniów to już dzisiaj nima.

— A jeśliby dekret wyszedł. Nie bój się — sam przyjedziesz.

— A gdzie to niby takie prawa zostały wypisane — wtrącał się do rozmowy Fomicz — żeby roboczy naród przyciskać?!

We wszystkich sporach Fomicz wypowiadał się teraz po stronie miejskich. I gdy któryś z przyjezdnych zapytywał: „Jak ci się powodzi?” — Fomicz odpowiadał rzeczowo:

— A tera to już całkiem za proletariata zostałem... A co do życia robotniczej klasy, to rzecz wiadoma.

A właściwie Fomicz, mówiąc z czystym sumieniem, sam nie wiedział, czy dobrze mu się powodzi, czy źle. Najważniejsze, że życie spokojne.

Jednakże po nocach przywidywał mu się ciągle ten sam, jednakowy i nieprzyjemny sen. Że niby to koło przystani na brzegu zebrał się tłum spekulantów — siedzieli, milcząc, zwiesiwszy nad wodą nogi obute w łapcie. Pustawe worki na plecach. „A czego wy tu siedzicie? — wypytywał ich Fomicz. — Idźta na przystań!” — „Ztela to nas może — odpowiadali — popędzą i jeszcze po karkach dołożą... A ty co tam robisz? Lepiej byś się stowarzyszył z nami!” — „Nikt was palcem nie ruszy. Ja tutaj jestem za głównego władzę”. — „Kto tam wi, coś za jeden — odpowiadali spekulanci. — Wygląda na to, że nie bardzo podobny jesteś do władzy... Zmanisz nas, może, oszukasz. Nie,

to my już ta lepiej tu sobie posiedzimy. A iść do ciebie — boimy się...”

— To, uważasz, Fiedka, bieda się o ciebie upomina — dziadek Fiałat wytłumaczył Fomiczowi jego sen. — Zima ano nadejdzie, namordujesz się jeszcze.

XVI

Wydawało się, że ta zima jest daleko, chciało się o niej zapomnieć, a jednak nadeszła. Najpierw porudziały i zaczęły tracić listowie lipowe gaje, potem poskręcały się i opadły liście wierzbin, aż wreszcie przeciwległy brzeg, przedtem okryty miękką zielenią, poczerwieniał i najeżył się obnażonymi prętami wiklin.

Już więcej na piaszczystych mierzejach Prokoszy nie widać było podkasanych czapli, już na płycznach nie pluskały się dzikie kaczkę, ani kuliki budziły o świcie Żywego swoim przejmującym: „Prze-wieź, prze-wieź!” A i pasażerowie zdarzali się coraz rzadziej. Nudno zrobiło się na Prokoszy.

W przededniu październikowych świąt, kiedy na Prokoszy tuż przy brzegach już zaczynał dźwięcznie potrząskiwać pierwszy lód, iglasty i skrzący, przyszedł holownik i zabrał przystań ze sobą. Ponowa już padła na ziemię, gdy Fomicz powracał z ośrodka. Tak oto przyszła zima.

Przez cały listopad Żywy wypłatał kobiałki, ale popyt był słaby i za marną cenę. Sezon minął — ziemniaki w składach i piwnicach, pod śniegiem grzybów nikt szukać nie będzie... Komuż tam na zimę potrzebne są kobiałki?

Zdarzyło się, że Pietia Długi spotkał Żywego na targu w Tichanowie.

— Cóż ty kobiałki wypłatasz? Chcesz zarobić, to wyrabiaj półkoszki na sanie. Choć byś kopę dostarczył, wszystko wezmę.

Na półkoszki pręty muszą być długie, pierwszorzędnego gatunku. Osobliwie po brzegach. W pobliżu pręty w dobrym gatunku wycięto do reszty. Żywy przyuważył sobie wiklinowe zarosła na brzegu ustronnej zatoki, tuż koło Bogojawlenskiego przewozu. Ale czekał aż przez Prokoszę zostanie przetarta droga dla sań; iść bez drogi, po miękkim śniegu, a do tego jeszcze bez nart, ciężko i niebezpiecznie — ani się obejrzyysz, jak wpadniesz w jakieś bagno.

I tu właśnie przyszedł list od najstarszego syna: „Skończyła się służba wojskowa. Wracam do domu!” Ot, i nowe wydatki... Trzeba powitać syna po ludzku, urządzić zabawę! Pozwolić parobczakowi żeby odpoczął przynajmniej przez miesiąc. Jakże zaraz następnego dnia pędzić go do roboty! „Zanim przyjedzie — zade-

cydował Fomicz — to ja wypotę ze trzy-cztery półkoszki i w te dyrdy do Pieti Długiego. Zara będą pieniądze”.

Następnego dnia rankiem zaczął zbierać się w drogę: mocno ściągnął paskiem półkożuszek, za ramię zatknął obuszek i odcinak, do kieszeni włożył sznury, żeby było czym pozwiązywać pręty.

— No, matka, to już mnie nie ma.

— A ty byś, Fiedia, dzisiaj nie chodził. Popatrz, jak śnieżnym pyłem zamiata i od strony Prokoszy niebo jak gdyby podmywa. Żeby ino zamieć nie przyszła.

Fomicz spojrział przez okno — i rzeczywiście wyglądało na to, że skrawek nieba za Prokoszą zaczyna robić się siny.

— Żadne tam nieszczęście — wiatr w tamtą stronę dmucha, to rozpędzi. Ech, matko, gdzie tylko nasza dola dęba nam nie stawiała! — Fomicz poklepał się po zapadniętym brzuchu. — Mnie już teraz żadna zamieć na wylot nie przejmie.

Aż do Kuziakowego Jaru Fomicz szedł bardzo szybko; wprawdzie teren był otwarty, wiatr hulał w najlepsze i podnosił zadymkę, ale śnieg nie opadał: znosiło go łakami, rudymi od nieosiągniętych traw, ku Prokoszy, wbijał się niżej w gęstą szczecinę wiklin, a na brzegach wawozów układał się w strome zaspy.

Za Łuką, między zaroślami, było bardziej zacisznie, ale za to iść o wiele ciężiej — śnieg aż po kolana. Fomicz coraz to skręcał ku łakom, bojąc się iść samym niżej, gdzie mógł łatwo wpaść w jakieś nie dość zamrożone bagno. Do Bogojawlenskiego przewozu dotarł dopiero w obiadową porę. Na brzegach Prokoszy było pusto — tym razem czarny, niezgrabny prom Iwana Wesołego zabrali jeszcze w jesieni po wezbranej wodzie.

Prokosza zamarzła przy samych brzegach, a tylko na środku rzeki czerniało szerokie pasmo wolnej wody, dymiące lekką mgiełką. Fomicz wyciągnął zza pasa topór, zbliżył się do brzegu i rąbnął obuchem po lodzie.

— Hou-uk — rozległo się przeciągłe na tamtym brzegu.

Od uderzenia po lodzie poszły promienieście długie szczeliny, a w tym miejscu, gdzie uderzył topór, biała plama stopniowo czerniała od wody podchodzącej od dołu.

— Słaby lód — powiedział Fomicz. — Wypada, potra pchać się brzegiem.

Wyszedł na otwarte na wszystkie strony zbocze i zdziwił się, że wiatr był nieoczekiwanie taki silny. Podczas gdy Żywy włókł się między zaroślami w poszukiwaniu bardziej zacisznych miejsc, wiatr zmienił kierunek i dał obecnie od tamtego brzegu Prokoszy. A znad czarnej ściany brechowskiego lasu napływała sino-czarna chmura, nasuwając się na wyblakłe, wyziębnięte niebo, niczym ponura czapa.

— I skąd ją przyniosło? — znowu powiedział Fomicz na głos.

Zrobiło mu się chłodno; lekki ziąb szarpnął nim i zastygnał, zaczął się gdzieś między łopatkami. „A czy nie lepiej by — pomyślał Fomicz mimowoli — zawrócić?”

Ale do prętów było już niedaleko; tamta niewielka zatoka wciniała się tuż-tuż w brzeg rzeki. Właściwie był to martwy zalew, odcięty od rzeki od pewnego czasu piaszczystą mielizną.

Zalew był mocno ścięty lodem i Żywy ciął wiklinowe pręty, chodząc swobodnie po lodzie. Wszystkie pręty były tej samej grubości, długie, jak gdyby specjalnie dobrane, giętkie, ale mocne...

— Węzłki można z nich zawiązywać, koronki wyplatać — cieszył się Fomicz. — Niczym z jedwabiu... Żeby tak skapiał, jeżeli tu nie starczy na cztery półkoszki!

Ciął bez odpoczynku tak długo, aż się dobrze zgrzał. Zrzucił półkożuszek i nie zwracając uwagi na przejmujący wiatr, nie czując zimna, pracował w samej koszuli. Gdy już związywał pręty w pęki, płatami zaczął walić śnieg, zakręciło, zaniósło, i ani wiesz, skąd bardziej leci — z góry czy od dołu. Na dwa kroki niczego nie dojrzys.

Żywy podniósł na ramię dwie olbrzymie wiązki prętów i niemal przysiadł, tak niespodziewanie wielki był ciężar. Ale po chwili trochę odeszło — nic znowu takiego, można wytrzymać... Nawet iść można.

Skręcił ku rzece. „Teraz — pomyślał Fomicz — przyjdzie dreptać brzegiem rzeki aż do samego Kuziakowego Jaru, a może nawet do prudkowskiego rozlewiska. Bo inaczej — zabłądę”. Ale iść brzegiem Prokoszy znaczyło nadrabiać drogę, zwłaszcza za Bogojawlenskim przewozem, gdzie rzeka wypisuje same pętlice. Ale co robić? Innego wyjścia nie było.

Zszedł z wysokiego zbocza ku wodzie. Tu było jak gdyby nieco zaciszniej, przynajmniej wiatr nie huczał z taką potężną mocą. Zbocze było strome, nogi ślizgały się. Ale iść górą i jeszcze z takim ciężarem nie było sposobu. Fomicz znowu wyciągnął topór zza pasa i trzykrotnie uderzył w przybrzeżny lód. Za każdym razem zjawiały się pęknięcia i występowała woda. Iść po takim lodzie Fomicz nie decydował się. Wypadło wracać na brzeg.

Przy przechodzeniu wysokich wąwozów wiatr wył między prętami, szarpał poły półkożuszka, popychał tak nagle i silnie, że Fomicz tracił grunt pod nogami i zataczał się na obydwie strony, jak pijany. Utrzymywał dość dużą odległość od rzeki, żeby się do niej nie zwalić.

Niżej, pod osłoną zarośli, było bardziej zacisznie, ale za to

mocno wirował śnieg, wbijał się do nosa, w oczy i nawet za kołnierz, topniał, cieniutkie zimne strużki spływały po plecach. Fomicz przechodził zasy w bród, zagłębiając się w śniegu, niczym w wodzie, po pas. Spodnie ponad walonkami przemokły, potem od wiatru i mrozu zrobiły się jak garbowane, wreszcie oblepił je gęsto przemarznięty śnieg. „Całkiem jak bandaż” — myślał Fomicz ponuro. Wilgoć objęła mu biodra, te marzły i swędziły, potem jakoś się przyzwyczaił. „Ech, żeby tak teraz mieć pikowane portki — marzył Fomicz — i żeby grube! To bym mógł na tym śniegu przenocować. A w tych, co mam, to tylko przytupuj i własną parą się zagrzewaj...”

Szedł, przegięty, boczkciem, umykając twarzą od wiatru, szedł ciężko, zgarbiony, niemal tykając śniegu rękami. Wiązki prętów niósł teraz za plecami, przeciągnawszy sznury przez ramiona i piersi. Wcięły się głęboko w półkożuszek, dusiły pierś, boleśnie uwierały ramiona, aż mu ręce drętwiały i mrowie przebiegało po palcach. Czasem zatrzymywał się koło większej zasy, kładł się na śniegu na plecach, leżał z zamkniętymi oczami i rozrzuconymi rękami, zanim zdołał ponownie poruszyć zastygniętymi, zdębiałymi palcami. Wstawał i szedł aż do nowego wyczerpania sił, i znowu padał na grzbiet, żeby złapać dech, i znowu wlec się dalej.

Zapał zmierzch, gdy zbliżył się do Kuziakowego Jaru. Tu postanowił pożegnać się z Prokoszą, skrócić prosto na Prudki i trzymać się z wiatrem. Nad jarem kurzyły się strome zasy. Fomicz zbyt późno połapał się, że grunt pod tymi zaspami może być niepewny. Wlókł się teraz, niczym znużony koń, z opuszczoną głową, nie patrząc na boki. Zdziwił się nawet w pierwszej chwili, kiedy przed oczami zachwiał się nagle obnażony, czarny brzeg i olbrzymia zaspą poleciała z hukiem w przepaść. Razem z nią poleciał Fomicz. Trzasnął o coś twardego jedną nogą, przekręcił się kilka razy i upadł na plecy. Przez jakieś pięć minut przeleżał bez ruchu i nawet zrobiło mu się przyjemnie, bo doskwierający ból w ramionach zelżał i przestały boleć zdrętwiałe palce, a tylko nie wiadomo czemu gorąc rozpałił się w prawej nodze, jakby ktoś przyłożył do niej rozpaloną cegłę. Wreszcie Fomicz przewrócił się powolutku na bok, potem spróbował podnieść się. Jaskrawy błysk niemal oślepił Fomicza i ostry, przejmujący ból znowu powalił go na plecy. Cicho zajęczał i wyciągnął rękę ku prawej nodze. Co się stało? Złamał ją czy tylko wykręcił? Ale przez filcówkę trudno było domacać się, zaś poruszyć stopą nie był w stanie — noga od kolana odmawiała mu posłuszeństwa.

Fomicz postanowił dotrzeć do domu, czołgając się. Początkowo chciał odwiązać i porzucić pęki prętów, ale wystarczyło

że pomyślał, że przecież z tych prętów wyjdą cztery pierwszorzędne półkoszki, które opyli Pieti Długiemu po osiemdziesiąt rubli za każdy, a pierwotne postanowienie — porzucić wiązki — wydało mu się wręcz nieprawdopodobne.

„Rzucić pręty w takim pierwszorzędnym gatunku... — myślał Fomicz. — Trzysta dwadzieścia rubli z kieszeni wyrzucić? Toż na to wariata trzeba! To wuj Nikołacha potrafił całe wozy chrustu ciągnąć... A ja tych prętów nie dociągnę?! A cóż to, czy nie jestem z kuźkinowego rodu? Nie, drodzy moi, takiego podarunku to już się ode mnie nie doczekacie...”

Zacinając zęby z bólu, Fomicz wyczołgał się na wysoki brzeg i na czworakach, z wiązkami na grzbiecie, ruszył w kierunku wiatru. Wkrótce zgubił uszyte ze starego szynela rękawice i zagarniał śnieg gołymi, zbiełałymi palcami. Zimna zupełnie już teraz nie czuł, a i ból w nodze nie dawał znaku życia. Kiepsko orientował się dokąd się czołga. Wiedział tylko dobrze, że nie wolno mu teraz kłaść się na plecach, bał się, że nie starczy mu siły, żeby znowu stanąć na czworaki. Również bał się położyć na boku, żeby nie zasnąć. Teraz nawet odpoczywał w tej samej pozycji — na czworakach, z nosem utkwionym w śniegu. Dokoła była noc, szalała zamieć, wył wicher, ale Fomicz ciągle czołgał się i pełznął, jakimś niewytłumaczalnym wilczym węchem wybierając ten jedyne, właściwy kierunek, gdzie w śnieżnym kołowrocie utonęły Prudki.

Znaleziono go w nocy koło fermy. Z głową utkwioną we wrotach — dalej czołgać się już nie było dokąd. Sądzone, że zamarznął...

Fomicz odzyskał przytomność w szpitalu. Obok łóżka siedziała Awdotia z oczami czerwonymi od płaczu. Popatrzył na zabandażowane ręce i nogi, i od razu sobie wszystko przypomniał.

— A czy pręty aby ocalały? — zapytał.

— Jakże, ocalały... — żałośnie odpowiedziała Awdotia.

— Wołodka jeszcze nie przyjechał?

— Dzisiaj telegrama od niego przyszła. A jutro sam przybędzie.

— Dobra... — Fomicz nieco pomyślał i powiedział: — Powiedz mu ode mnie, niech sam półkoszki uplecie. Tylko uważać, nie brać za tanio! Co najmniej osiemdziesiąt rubli za każdy półkoszek... Półkoszki będą pierwsza klasa!

XVII

Przeszło miesiąc Żywy wylegiwał się w szpitalu — aż mu

się kość goleniowa zrosła między łóbkami. Zjawił się w Prudkach wesoły, żartował cały czas.

— Powiadają, że biodro pół roku potrzebuje na zrośnięcie. Ech, nie dopisało mi szczęście! Żeby tak zamiast goleni, biodro nawaliło — to by dopiero była uciecha... Poleżałoby się aż do wiosny na darmowej wyzerce.

— A ty, Fiedka — powitał go dziadek Fiłat — to i naprawdę jakobyś w ciele się poprawił. Tyla że gęba czerwona, niczym rak w ukropie.

— A bo ja skórę zmieniam ku wiośnie. Uprzykrzyło się chodzić w starej skórze. Ty byś, dziadku, także samo po śniegu położył. Może byś ta także samo odmłodził, jak i ja.

— Pedają, że ani tych paznokciów na nogach ci nie ostało. Oblazły całkiem czy jak?

— A mnie co? Lakierem ich mam malować, paznokcie niby i na wystawie pokazywać? Dochtór powiada, że od tych paznokciów zaraza jeno. Główna rzecz — palice ocalały.

Pokazywał wszystkim swoje cudem uratowane kleszcze i poruszał palcami.

— Władzę zachowują. Jest jeszcze czym uchwycić. Można jeszcze żyć.

Na przedwiośniu wyjechał najstarszy syn, Włodzimierz. Do Sormowa, na budowę. Wypadło oporządzić go na drogę. Z pustymi rękami chłopaka puścić nie można. I przyrodziewek jakiś też potrzebny, nie będzie przecie paradować w samym mundurze. Fomicz długo stękał, ale nic nie poradziś. Zarznął wieprzka, zawiózł na targ. Razem z nim zawiózł swoje marzenie o krowie.

— Jedź, synu, urządzaj sobie życie. A o nas martwić się nie musisz.

Za pozostałe pieniądze Fomicz kupił ziemniaków.

— To nam, matko, na uciechę. Do samego lata wystarczy. Znaczy się, nie pomrzemy.

Ale do lata Fomicz nie dociągnął. W maju, gdy przyszedł przednówek i głód, przypomniał sobie Warwarę Cyplakową i postanowił wybrać się do jej biura — poprosić o zasiłek.

Nagle przyszła do Prudków niewiarygodna wiadomość — Tichanowski rejon został zlikwidowany. Zlikwidowany — i tyle. Rejon był jak to rejon. Biura znajdowały się przeważnie w dwupiętrowych domach, częściowo w nowych, częściowo w kułackich; ulice wybrukowane kamieniem, a między herbaciarnią i klubem przełożony drewniany chodnik... Czym rejon gorszy od innych? A tu masz... Obudzili się tichanowcy nad ranem — nie ma rejonu. Żadnego szyldu na domach: ani *rajtopu*, ani *rajmagu*, ani *rajispołkomu*... Jakże tu żyć?

Fomicz, kiedy się o tym dowiedział, nawet posmutniał.

— Do Pugasowa tak łatwo nie pobiegniesz... A i Warwary Cyplakowej też już tam nima.

Co jednak najbardziej wzburzyło tichanowców, to przybycie do dwupiętrowego, z białego kamienia zbudowanego gmachu rejonowego komitetu inwalidów i starców. „Tegośmy dożyli! Był rejon, a teraz przytułek!” Na placu targowym na pastwisku nikt się nie zjawiał, ceny na domy poszły w dół... Nawet tu i ówdzie widniały okna zabite deskami.

Wielki niepokój opanował całe Tichanowo; kto z władzy jaką specjalność posiadał, ten udawał się do swego resortu — bankowcy i pocztowcy przenieśli się do Pugasowa, zaś milicja i sądownicy nawet do stolicy okręgu. Demina odwołano do okręgowego komitetu, Timoszkina urządził się w wiejskim sklepie, natomiast dla Motiakowa posady zabrakło. Przewodniczący RIK-u w Pugasowie krótko i węzłowato, na propozycję przyjęcia go w charakterze zastępcy: ani mi się śni — odpowiedział — mam dość własnych karierowiczów ze społecznego awansu! Motiakow nie miał żadnej specjalności, a o tym jak się ziemię orze, dawno już zdążył zapomnieć. A znowu też trudno było ze stanowiska przewodniczącego posyłać go tak od razu na rolę. Jeśli zaś chodzi o kadrowy wydział, czy gospodarczy, na razie nic wolnego nie było. Motiakow nie miał żadnego zajęcia łąził po łąkach i łowił ryby. Aż któregoś dnia spotkał się z Fomiczem.

Jakoś pod wieczór Fomicz zarzucił sieci koło Kuziakowego Jaru — zasadził się na sterlety. Przynętę miał na miejscu: zdjął portki, wszedł do wody i ostrym, blaszanym czerpakiem wydobywał z dna niebieskawo-szary ił, w którym kryły się poczwarki komarów.

Na samym brzegu jaru zatrzymał się czarny, zagraniczny samochód. Fomicz natychmiast go poznał. „Zięć pułkownika Agaszyna! Widocznie — pomyślał — z Moskwy przyjechali”.

Ale z samochodu wygramolił się sam Agaszyn, otyły starzec o wygolonej głowie, z czerwonym, mięsistym nosem i maleńkimi, szarymi oczkami pod nawisłymi rudymi brwiami.

— Jak się masz, Fiedor! — powiedział pułkownik, stojąc na urwisku. — Co, jeszcze żywy?

— Żywy! A co bym miał nie żyć? Wody mam, ile chcę, a w wodzie ryby — wybieraj wedle smaku! Ptactwo różnorakie także samo w górze polatuje — odpowiedział wesoło Fomicz. — A wyście kiedy przyjechali?

Pułkownik był starszy od Fomicza o jakieś dziesięć lat, różnica wieku dość znaczna, gdy chodzi o mieszkańców tej samej wsi, dlatego też Fomicz zwracał się do Agaszyna z szacunkiem, przyzwyczaił się tak od dzieciństwa. A tamten przyjeżdżał do wsi niczym kokot, wiadomo czerwony dowódca! Więc nawet

starzy ludzie nie ograniczali się do imienia, tylko bardziej uroczyście: Michał Nikoław...

— Wczoraj przyjechałem — huczał z góry pułkownik. — Ale nie jestem sam... Może byś tak do nas dołączył?!

Fomicz podniósł się nad wodą, obiema rękami przykrył srom i powiedział ot, tak sobie, żeby zachować przyzwoitość:

— A was pewnikiem samych za dużo...

— Jazda, chodź do nas! Sieci przywieźliśmy ze sobą. Albo jakiś więcierzyk zarzucimy w Łuce. Ty pewnie wiesz, gdzie tu dobre miejsca...

— Ano, owszem, z siecią, czy z więcierzem można poprobować, zarzucić niby... Tylko że sam nie wiem — Fomicz stał niezdecydowany. — Toż zabronione!

— Jazda! Tu z nami jest i władza, co prawda była władza! — śmiał się pułkownik.

— A cóż dla was władza — ani na nią popatrzyście... Siedliście, przyjechaliście, jutro odjedziecie, a ja tu przecie na stałe...

— Ale Fomicz wylaź z wody, już bez dalszego ociągania się — a nuż rozmyślą się i przestaną zapraszać... Wciągnął portki i w jednej chwili wygramolił się na brzeg.

— Patrzcie go, to ty jeszcze niczym ten kozioł podskakujesz! — powiedział pułkownik i doprowadził Fomicza do samochodu.

— Właź!

Fomicz wpakował się do samochodu i znalazł się tuż obok Motiakowa.

— Uszanowanie! — powiedział Fomicz tak, jak gdyby zwracał się do wszystkich jednocześnie.

— Czołem! — odpowiedział zięć pułkownika.

Ale Motiakow nie odezwał się ani jednym słowem.

Zięć pułkownika siedział przy kierownicy; był jeszcze młody, ale już przy tuszy, z zaokrągloną twarzą i bardzo uprzejmy. Fomicz znał go od dawna i wiedział, że Robert Iwanowicz pracuje w handlu zagranicznym, był nie raz w samej Ameryce i przywiózł stamtąd ten właśnie samochód, pod nazwą „Ford”. Siedzenia były obite prawdziwą skórą, dobrze wyrobioną i pikowaną niczym fufajka; a w górze, nad głową, ani wyrozumieć czym było obite — ni to twardy jedwab (Fomicz dotknął palcami — po raz pierwszy siedział w takim samochodzie), ni to jakaś czerwona cerata, cała pokryta drobnymi pęcherzykami. A koło tylnego okienka leżały grube czasopisma, a w nich jaskrawe obrazki: nic tylko dziewczki w ciemnych okularach, zaś ciało prawie gołe — dwa malutkie skrawki materiału, wielkości dłoni Fomicza, akurat tyle, żeby srom przykryć. „Ciemne okulary — domyślał się Fomicz — pewnie dlatego pozakładały, że im wstydliwie”.

— Podoba się? — zapytał Robert Iwanowicz.

— Jakby to powiedzieć... Pięknie, ale jak gdyby niezbyt przytulnie — odpowiedział Fomicz. — Strach zbiera, żeby nie zawałać.

— Cha, cha, cha — zanosił się pułkownik grzmiącym śmiechem.

Podjechali do jeziora. Wyjęli z bagażnika dwie kapronowe sieci. Fomicz słyszał o ich istnieniu, ale jeszcze nigdy nie widział i teraz oglądał z zainteresowaniem. Sznurki były jasno-żółte, kręcone i bardzo cienkie.

— Tak wygląda, jak gdyby za cienkie... Nie porwą się?

— Spróbuj ano porwać! — powiedział pułkownik. — Weź na rękę. No? — Pułkownik podał Fomiczowi sieć. — A teraz pociągnij! No, jeszcze raz! Jeszcze!

Fomicz pociągnął tak silnie, że aż sznurki wpiły się w palce.

— Mocne! — powiedział z zachwytem.

Niewód też był bardzo dobry, chociaż nie kapronowy; nowiutki, o wielkiej zarzutni i drobnym oczku — niech nawet trafi na sumę, nie wyrwie się. Niewód wyjęli z samochodu, leżał zwinięty z tyłu, za oparciem.

— Niewód także samo z Moskwy przyjechał? — spytał Fomicz.

— To nie nasz, to jego — pułkownik kiwnięciem głowy wskazał Motiakowa.

Po raz pierwszy w tych powojennych latach Fomicz widział Motiakowa nie w wojskowych, lecz w zwykłych szarych spodniach i w zwyczajnej białej koszuli z zakasаныmi rękawami. Okazało się, że wcale nie wygląda mocniej od Fomicza, tak samo chudy i żyłasty. Nawet jego szeroki nos, z rozdętymi nozdrzami, zazwyczaj groźnie zadarty do góry, obecnie robił wrażenie śmiesznie przylepionego kartofla.

— A to jakże, niewód wasz — zapytał Fomicz Motiakowa — czy też dawniejszy, z Rykowa.

— Mój. A bo co?

— Przecież ty sam zabraniałeś łowić niewodem. W takim razie po coś go trzymał w zapasie?

— A ty byś jęzorem tyle nie obracał! Rób lepiej, co ci kazano.

Fomicz i pułkownik rozwijali sieci.

— Widzę, Siemion, że oddolna krytyka ci nie podchodzi... — zwrócił się pułkownik do Motiakowa. — Przyzwyczajaj się, bracie... Teraz wszystko idzie ku demokracji.

— Żeby krytykować, też potrzebne jest wykształcenie, a nie to co u naszych durniów i darmozjadów. — Motiakow splunął ze złością i zaczął rozkładać niewód.

— Na konto wykształcenia ty, Siemion, prawidłowo powiedziałaś! — Fomicz był już całkowicie ośmielony. — Pamiętasz, jak u nas na kursach nauczyciel gonometrię wykładał? To on, zdarzało się, tak nam powiadał: pamiętajcie — wykształcenie położy kres nierozumnej gorliwości.

— A co, razem żeście się uczyli? — zapytał, uśmiechając się, pułkownik.

— Razem kończyliśmy akademię — powiedział Fomicz. — Chyba nie trudno zauważyć według gorliwości Motiakowa.

— Łajdak! — Motiakow zadał sobie niewód na ramiona i powlókł go ku wodzie.

— Fiedor — zapytał pułkownik — ty tu pewnie masz schowaną jakąś łódczynę, co? Mamy ze sobą gumową, ale kłopot z pompowaniem.

— Jest. Jakże bez łódki?! Zara zadziałam...

Fomicz wstał i poszedł wzdłuż brzegu. W komyszowych zaroślach miał ukrytą małą łódeczkę. W tym samym miejscu trzymał wiosła, blaszanki z zapasem glist, dwuskrzydłowe sieci, zmastrowane przez dziadka Filata, wędkę. Fomicz wybrał botało — cienką żerdź z żelaznym cylindrem na końcu, długie wiosło o dwóch piórach i wskoczył do czółna.

Posuwając się czółnem, Fomicz zarzucał sieci — całą Łukę przegrodził od brzegu do brzegu. Potem długo bił po wodzie botałem, straszając ryby to z jednej, to z drugiej strony sieci. Pułkownik, stojąc na wysokim brzegu, dawał mu wskazówki:

— Buchnij-no jeszcze raz koło tamtego krzaka! O tak! A teraz zajedź mu od sitowi! Tam coś się rzucało... Szczupak najpewniej.

Fomicz podrzucał wysoko żerdź z żelaznym cylindrem i walił z rozmachu, pogrążając go w wodę.

— U-u-uch! U-u-uch! — rozlegało się po jeziorze jak gdyby spod ziemi.

— Dobra! Tak ich trzeba! — odzywał się z brzegu pułkownik. — A teraz od tamtej łachy... Daj im łupu, zrób im mokrą robotę!

Motiakow i Robert Iwanowicz próbowali zarzucić niewód, ale po pierwszym zanurzeniu machnęli ręką. Tuż przy brzegu zaczynała się głębia, po trzech metrach już nakrywało z głową, a tam, gdzie płytko, mnóstwo traw: szuwały i wodna rzęsa. Przejść trudno, stopy grzęzną w gęstwinie, a cóż dopiero z niewodem. Obydwaj więc zrezygnowali z niewodu i, nadzy do pasa, siedzieli teraz na brzegu, przypatrując się, jak Fomicz wciąga sieci do czółna.

Złapały się dwa niewielkie, łokciowe szczupaki, sandacz wa-

żący około kilograma i duży leszcz, szeroki jak łopata do pieczenia chleba.

— A ten próżniaczyna skąd się tu napatoczył? — mówił Fomicz, wypłatując leszcza z sieci. Zaspany był, widać, i rzucił się niepotrzebnie. Przestraszył się! Wi-isz, głupi łbie, żeby nie twoje tchórzostwo, to byś do kotła nie trafił!

Zupa rybna wyszła świetnie — z mocnym zapachem, mętno-biała, w sam raz, jak mówił Fomicz, „rybackiego koloru”. Żywy wrzucił jeszcze do smaku trzy duże cebule i nakruszył dzikiego koperku.

Ryby wyjął, położył na deseczce i obficie posypał grubą, niczym szklanne paciorki solą. Pułkownik podał mu paczuszkę z drobną białą solą, ale Fomicz odłożył ją na stronę.

— Taką solą to można solić tylko kisiel albo manną kaszkę.

Wyciągnął własną, gruboziarnistą sól ze starej puszki po landrynkach, którą trzymał w woreczku, schowanym obok przyborów do łowienia ryb.

— Sól do ryby to samo co pieprz do mięsa — powiedział Fomicz pouczającym tonem. — A bez przyprawy, czy to mięso czy to ryba — smakuje jak zwykła trawa.

— Skąd wam taką sól dostarczają? — zapytał Robert Iwanowicz. — Wygląda całkiem jak tłuczone szkło.

— My sami tłuczemy. Z krowich lizaków.

— Z czego?

— Mówię... z lizaków krowich... Jest taka sól, kamienista. Koło fermy ją rzucają, żeby krowy lizały. A i w sklepie także samo sprzedają w kamieniach.

— I używacie tę sól? — Robert Iwanowicz pokiwał głową.

Pułkownik zaczerpnął drewnianą łyżką dymiącą zupę i pociągnął, głośno mlaskając.

— Fiedor, mówię ci, że „Nacional” w porównaniu z tobą to tyle, co osioł wobec dońskiego wierzchowca...

— Samo przez się zrozumiałe... — chętnie przyświadczył Fomicz, chociaż nic a nic nie rozumiał, co to jest „Nacional”.

— Taką rybną zupą to ci nawet marszałka poczęstujesz i nie zbłaźnisz się! — zachwycił się pułkownik. — Robert, wyjmij-no ze dwa słoiki!

„Co tu mają do robienia jakieś słoiki? — pomyślał Fomicz. — Jakież znowu z nich pożytek? Ot, żeby teraz tak z literkę wódeczki, to by była inna melodia!”

Robert Iwanowicz wsadził rękę do plecaka (Fomicz śledził z ukosa jego ruchy) i wyciągnął dwie butelki koniaku.

„Pięć gwiazdek! — zauważył Fomicz z radością. — Co za dziwne ludzie! Butelki nazywają słoikami...”

Fomicz zapragnął zrobić coś jeszcze, co by rozradowało takiego hojnego pułkownika, i powiedział:

— Po rybie pewnikiem herbatki zechcecie. Ja tu wam zara zawarzę herbaty takiej gęstości, że malować nią można!

Wyciął w krzakach kilka łądyg dzikiej róży, tuż przy korzeniu, narwał jeżynowego kwiatu i nałamał gałązek czarnych porzeczek, okrytych zielonymi jeszcze jagodami, wszystko to wrzucił do wiadra, zaczerpnął wody z jeziora i powiesił wiadro nad ogniem — herbatę warzyć.

— Nie otrujesz nas — zapytał pułkownik — tym swoim wywarem?

— Kto umrze — żaden profesor nie określi od czego śmierć się wzięła. A jak uwarzę — za ucho od picia nie odciągnie... Zanim rybkę wykończymy, to i herbata naciągnie.

Rozścielili płachtę namiotową pod rozłożystym dębem: na środku postawili kocioł z parującą rybną zupą, na deszczulce ryby i koniak...

Pili z maleńkich różowych kubeczków. Pułkownik przewracał od przyjemności oczy, przechylając kubek w szeroką niczym szaflik gardziel; wkrótce jego twarz zrobiła się ceglasto-czerwona. Motiakow pił, mocno marszcząc się, wstrząsało nim, szarpał głową jak gdyby pił rycynę. Zaś Fomicz pociągał łyčzkami jak herbatę i cały czas przygadywał.

— To ci całkiem dochtorska rzecz... To by tylko przyjmować co wieczór od zimnicy. Takim sposobem to i do stu lat dożyć można.

— Co, lubisz koniak? — zapytał pułkownik.

— Skądże mi do lubienia?! Jakby nie wy, to bym go w życiu nie popróbował!

Robert Iwanowicz siedział, oparty plecami o pień dębu, spoglądał bez przerwy z wysokości na drugi brzeg i coraz to wołał:

— Jakież to zachwycające! Cóż za widok! Cały świat prawie objechałem, a ot takiej miłej i skromnej urody nie widziałem!

Rzeczywiście widok z wysokiego brzegu był nadzwyczaj przyjemny: daleko, aż do horyzontu, dokąd tylko wzrok sięgał, błękitniały o tej godzinie lipowe zagajniki, łagodne i miękko zarysowane, a tuż za jeziorem poszczególne ciemniejsze dębczaki zabrnęły aż po kolana w rozliczne trawy, upstrzone kwieciami, i zastygły w zadumie, jak gdyby zagubiły drogę i teraz nie wiedzą, jak znowu trafić do lasu. Zastygły, pogodziły się ze swoją samotnością. Bujne trawy, które przez cały dzień wyrwały się nie wiadomo dokąd wraz z wiatrem, także ucichły. Nawet trzciny, znużone całodziennym pochylaniem się i szumem nad wodą, również wyprostowały się, wyrosły wyżej, odbite w spokojnej, przezroczystej wodzie. Wszystko w tej chwili było w przyrodzie zgodne,

pokorne i, nie wiadomo czemu, rozczulająco-smutne. Żadnego powiewu, żadnego oddechu. Wydawało się, że nawet ptaki zrozumiały, że to nieprzyzwoicie głośno wykrzykiwać w takim czasie; więc tylko przepiórka gdzieś na tamtym brzegu pośpiesznie bełkotała swoje „pójdźmy spać!”, a z pobliskich krzaków dzwoniąc nawoływał cieniutkim głosem: „Sia-no wieź, a-le nie trzęś! Sia-no wieź, a-le nie trzęś!”.

Czy to od wypitego koniaku, czy pod wpływem tej cichej urody, Fomiczowi zrobiło się na sercu tak przyjemnie i smutnie, że powiedział z westchnieniem:

— I takie miałbym pytanie: po cóż to właściwie człowiek żyje na świecie? Urodą się pozachwycać... Dobroć w sobie znaleźć i innym dobroć uczynić... Niby żeby radości uświadczyc. A my jeden na drugiego porykujemy, jako te zwierzaki. Psiakrew! — Fomicz wyciągnął kapciuch z tytoniem, ale wzroku nie odrywał od paczki „Kazbieka”, leżącej przy pułkowniku.

— Tu nie ma co urodą się zachwycać — powiedział Motiakow. — Tu pracować trzeba. Rrraz i na zawsze!

— To dlaczego nie pracujesz? — Fomicz już zrobił skręta, ale potem wsadził go do kapciucha i wyciągnął rękę do papierosów.

— Proszę, bardzo proszę! — podał pudełko pułkownik.

— To nie jest sprawa twego rozumu — odpowiedział Motiakow.

— Ano, ano... tak to właśnie i jest... Wy, Michale Nikoław — Fomicz zwrócił się do pułkownika — nigdy nie widzieliście, jak to kurka kaczkami komenderuje?

— Wygląda na to — odpowiedział pułkownik — że dawniej u nas w Prudkach kaczkę wysiadywały same na jajach...

— To dawniej! A dzisiaj to nawet kaczkę zrobiły się frymuśne. Jaja zniesie, a wysiadywać nie chce. No, to zamiast nich kurki sadzają. A kurka, wiadomo, głupia! — Żywy zaciągnął się, puścił kółeczka dymu, niczym statek parowy. — Więc tak — wyprowadzi kwoczka kurczęta na pastwisko, kwocze przed nimi, chełpi się, ogon rozpuszcza. Cięgiem rozkazuje w swoim kurzym języku — rób to, a nie tamto. Ale dojdą razem do jeziora, kaczkę do wody i popłynęły. Zaś kurka na brzegu i gdacze. Okazuje się, że pływać to ona nie potrafi. A cały czas komenderowała — rób to, a nie tamto. Tak samo poniektórzy u nas zwierznicy. Siedzi na stanowisku, komenderuje — rób tak i tak! Rozporządza się! A jak z posady go zdejmą, to już nie wiadomo dokąd posłać. Okazuje się, że pracować nie potrafi!

— Ty niby do kogo pijesz? — zapytał Motiakow, czerwieniąc się jak burak.

— Siemion! powiedział pułkownik. — Coś ty? Żartów nie rozumiesz czy jak?!

Fomicz puścił pytanie Motiakowa koło uszu.

— Kto chce zrozumieć, zrozumie. A temu, co nie rozumiał, to ja jeszcze jedną anegdotę opowiem. To z waszego wydziału, Robercie Iwanowiczu.

Zięć pułkownika palił, zasłoniwszy papierosa dłonią, i śmiał się bezdźwięcznie.

— Odpowiesz mi — przerwał Motiakow Fomiczowi — za te antysowieckie anegdoty rrraz i na zawsze!

— To nie są antysowieckie — powiedział Fomicz — ino przeciw takim zdegradowanym, jak ty.

— Coś ty? — podniósł się nieco Motiakow. — W jeziorze chcesz się wykąpać?

— Za kaczátko mnie wzięłeś? — Fomicz także podniósł się nieco i przyklęknął na jedno kolano. — Uważaj, żebyś nie wypadł jak ta kwoczek, co potrzebuje ochłonać...

— No, już dobra, dosyć! — pułkownik wziął ich za ramiona. — Tu się pije i żartuje. A kto chce załatwiać porachunki osobiste, temu wypiszemy sztraf! Robert, daj no jeszcze jeden słoiczek z koniakiem!

Robert Iwanowicz wyjął butelkę, wybił korek uderzeniem dłoni o dno i zaczął nalewać koniak do różowych kubeczków.

— A co — zapytał pułkownik Fomicza — nie boisz się, że Motiakowa znowu w naczelniki nad wami postawią?

— On już swoją piosenkę odśpiewał — powiedział Fomicz i dodał po chwili milczenia: — A ja już ta prócz tych spracowanych rąk, nic do stracenia nie mam.

— Jak to nic?! A przystań? A posada?

— Na tej posadzie, tom minionej zimy na samych ziemniakach ledwie wyjechał. Kieby nie ziemniaki, to bym gicały wyciągnął. Przy takiej posadzie, Michale Nikoław, trza dobre korzenie w ziemi trzymać. A ja tyła tylko mam, co na mnie i przy mnie. Otom wesoły, otom nagi i goły, jakoże nic nie posiadam.

— To idź do kołchozu... Zapuszczaj korzenie w ziemię.

— Rada by dusza do raju, ino jej grzechy nie puszczają.

— Jakie tam znowu grzechy?

— Nagrzeszyłem ano za młodu. Jednego żem na stronę odwalił, a wszystkie pięcioro przy mnie.

— No, no... Tej gadki nie zaczynaj... Główna sprawa — nosa na kwintę nie spuszczać. — Pułkownik podniósł różowy kubeczek z koniakiem. — Za prudkowski pancernik, który nigdy nie zatonie, i za jego sławnego szypra, Fiedora Fomicza Kuźkina!

XVIII

Pewnego pochmurnego czerwcowego dnia kuter przybił do prudkowskiej przystani. Kapitan wziął na pokład pasażerów i powiedział do Fomicza:

— Bierz linę holowniczą i odbijaj od brzegu. Kazano dostarczyć twoją szafę do ośrodka.

— Jakże to mam rozumieć? — zapytał Fomicz, całkiem zgubiony.

— Jakże ci lepiej, tak możesz rozumieć. — Kapitan był stary i nieskłonny do rozmowy.

— Z powodu remontu, czy jak? — rozpytywał Fomicz. — Czy może likwidacja?

— W biurze powiedzą.

W drodze do Razkiduchy Żywy miotał się po swojej barce, jak zając na wysepce, odcięty od lądu wysoką powodzią. Do głowy pchały się trwożne myśli o likwidacji, ale je odpędzał, czepiał się nadziei, że to remont... „Cóż tam znowu, remonta mam się bać? Postoję sobie w ośrodku ze dwa tygodnie, uszczelnię przystań, osmołę... Wielkie mi rzeczy! A znowuj, kto wie, może nową przystań mi dadzą? Teraz przecie technika poszła w górę, że aż! A u mnie nie przystań, tylko jakaś stara szafa... Co dnia trza z niej wylewać niemniej niż sto wiader wody. Cóż to — czy to ze mnie pompa jaka, czy co?”

Żywy przypominał sobie, że ubiegłej jesieni napisał do biura oświadczenie na temat konieczności reparacji barki, albo wyznaczenia jeszcze jednego pracownika, „jako że sam jeden z wodą załatwić się nie mogę, a znowuj, żeby rodzinę trzymać przy pompowaniu za bezdurno, na to też nima żadnego prawa...” Sądok Parfientjewicz odpowiedział lakonicznie: „Dziury zatkamy!” Ale już po pierwszym wiosennym miesiącu przystań znowu zaczęła przeciekać.

„Może sumienie się w nich odezwało? Komisja obejrzy, a wtedy kto wie, a nuż Dunie przyprowadzę, żeby za marynarza służyła. I wtedy dopiero będzie życie...”

Pod koniec tych rozmyślań Fomicz wypisał ołówkiem na kartce wyrwanej z zeszytu nowe oświadczenie na temat koniecznego remontu. Może się przyda?

Do biura wszedł prawie zupełnie uspokojony.

— Co ze mną — zapytał rudą dyspozytorkę — do remontu podali?

— Zastępca z kadrowego działu wam wyjaśni — odpowiedziała wymijająco.

— Co za jeden? Czy Władimir Walerjanowicz?

— Nowego przysłali. Jest teraz w gabinecie Sadoka Parfientjewicza.

Z pokoju dyspozytorki drzwi prowadziły prosto do gabinetu kierownika.

— No, to zapytam! — Fomicz położył rękę na klamce.

— Zaczekajcie! — ostro powiedziała dyspozytorka. — Cóż to, nie słyszycie? Przecież zajęty.

Z gabinetu dochodziły głosy. Drzwi były cienkie, zbite z dykty. Fomicz oparł się o futrynę i zamienił się w słuch.

— A ja wam powiadam, że plan należy wykonywać, przede wszystkim plan! Państwowa sprawa! A wy mi tu opowiadacie o dzieciach i pożywieniu... — mówił rozdrażniony, jak się zdawało, dobrze znany głos.

Drugi głos był głuchy, proszący się.

— A rodziny nasze to w czym winowate?

— A kto wam kazał zabierać rodziny ze sobą? Co tu mamy — produkcję czy freblówkę? Co?! Kołchoz?!

Znany głos, jakże znany głos! Żywy aż oparł się o drzwi, które zaskrzypiały zdradziecko.

— Towarzyszu Kużkin, proszę wyjść na wybrzeże. — Dyspozytorka wstała i wyprowadziła Fomicza za drzwi. — Jak was będziemy potrzebowali, to zawołamy.

Cóż było robić. Fomicz wyszedł na brzeg.

Niedaleko od urzędowej przystani stały dwie drewniane lichugi. Przy nich siedziały dwie baby w fufajkach i siwy, nieogolony chłop w gumowych butach i kurtce z brezentu. „Widać, z załogi tych barek” — domyślił się Fomicz.

— Cóż wy tu, niczym Cyganie, rozłożyliście się? — zapytał, przysiadając się do chłopca i podsuwając mu swój kapciuch.

— A bo zwolnili z pracy... Bez uprzedzenia — odpowiedział tamten, sięgając do podsunętej machorki Fomicza.

— Jakże to tak?

— A właśnie tak... — marynarz wyrzucił z siebie długo trwające przekleństwo. — Objawił się tu nowy kierownik.

— A jak Sadok Parfientjewicz?

— Poszedł na urlop. Za zastępcę został jeden taki od kadków. Nowego przysłali... Taki szczeciniasty, że ani mówi, ani patrzy.

— To taka sprawa! — Fomicz od razu zrozumiał, dlaczego go nie puścili do gabinetu. — Widać, lubi porządki zaprowadzać. Mnie także od razu od pracy urwał. Moja przystań czymś ci tam mu się nie spodobała. O, tam stoi! — Fomicz kiwnął w kierunku swojej barki, przycumowanej u nadbrzeża. — Z Prudków mnie tu popędzili.

— Likwidują?

— No, ten kawał im się nie uda! My także na prawie się znamy. — Fomicz splunął do wody. — A wy od kiel?

— Spod Jełatmy.

— Z daleka!

— Ani słowa! Opałowe drzewo woziliśmy na barkach. A tu na Pietlawce nie nadążyli na czas kamienia wywieźć. Planu nie wykonują, czy coś w tym rodzaju. I ten zatrzymał nasze barki. „Wyładowywać się!” — „Jakże tak?” — „A właśnie tak. Wasze barki pójdą po kamień”. — „A my?” — „Jakiś tydzień posiedzicie na brzegu. Nic się wam nie stanie”. No, więc siedzimy. Do domu nie zajedziesz — to jakby łyżką do miski o sto wiorst sięgać. Tu też niesłodko. Dzieciaki znowu...

— Tak, ten odważniak, widać, że społecznego awansu — powiedział Fomicz. — Próbowałem do niego wleźć — nawet przez próg nie puścił. Przez drzwi porozmawialiśmy... Był taki jeden w naszym rejonie. Ćwok z ćwoków, a jak wejdziesz do jego gabinetu — nawet nie spojrzy. Sam, pasożyt, siedzi, a tobie rozkazuje, żebyś stał. A dlaczego tak? Dlatego, że akademię kończył pod drzwiami. Widocznie więc ten kadrowy zastępca taki sam akademik...

Marynarz szturchnął Fomicza łokciem pod zebro. Ten odwrócił się i skamieniał. Przed nim stał Motiakow, w niebieskim kitlu, w czapce z krabem. Po tym, że obok niego stał Władimir Walerjanowicz i tęgi chłop w fufajce i gumowych butach, zapewne inny marynarz z lichtugi, Żywy od razu domyślił się, że właśnie Motiakow, a nikt inny, jest nowym zastępcą w dziale kadrowym.

Motiakow nie krzyknął na Fomicza, nie zwymyślał go, tyle, że poruszał nozdrzami, jak gdyby go obwąchiwał, i poszedł, nie powiedziawszy ani słowa.

— No, to on dopiero teraz ciebie osiodła — powiedział marynarz w kurtce z brezentu.

Zamiast odpowiedzi, Fomicz splunął i rzucił niedopałek do Prokoszy.

Szedł teraz do biura z ciężkim sercem. Tym razem Motiakow nie kazał mu czekać za drzwiami. Wskazał Fomiczowi na krzesło stojące przy ścianie, przespacerował się kilkakrotnie po gabinecie, z rękami — starym zwyczajem — w kieszeniach. Nareszcie usiadł za stołem i długi czas wpatrywał się w Żywego, jakby go widział po raz pierwszy w życiu.

— Chciałbym, żebyście mnie zrozumieli we właściwy sposób, towarzyszu Kużkin — powiedział Motiakow, pojednawczo, a nawet uprzejmie spoglądając na Fomicza. — Wasza przystań do Prudków więcej już nie pójdzie.

— To dokądże ona pójdzie? — U Żywego w jednej chwili spocili się plecy.

— Na Pietlawkę, do Wysokiego. Będzie tam obsługiwać hotel robotniczy tragarzy. Skierujecie się tam zaraz jutro.

— A kto pójdzie do Prudków?

— Przystań w Prudkach likwiduje się w celach oszczędnościowych.

— A jakże pasażerowie?

— Tam na dzień po dwóch pasażerów przypada. Nic, tylko strata.

— Jakież to takie rozumowanie? A jak na ten przykład wysyłają dwóch ludzi na Północ... Samolotem ich wyprawiają i jeszcze zaopatrują na cały rok w różne tam marmolady i czykolady! To nasi ludzie mają być gorsi?

— Ty mi tu politycznej propagandy nie wykładaj, rrraz i na zawsze! U nas w planie — likwidacja dwóch przystani. Oszczędność. Zrozumiałeś?

— Wiele się tam zaoszczędzi na dwóch szyprach.

— Na jednym naszym odcinku — niewiele. A w całym kraju? Ile takich odcinków jest? Możliwe — ze sto tysięcy. Oblicz-no!

— Co się tyczy innych, to ja ta nie wiem. A tylko do Wysokiego iść, nie ma dla mnie nijakiego sposobu. Całą pensję sam przejem. A zaś rodzinę czym będę żywić?

— Nie chcecie, to podawajcie się do dymisji.

Żywy nagle przypomniał sobie o swoim oświadczeniu w sprawie remontu, wyjął kartkę z pugilaesu, który nosił w bocznej kieszeni.

— Przystań poniekąd znajduje się w kiepskim stanie i wody za noc nacieka po same burty, więc samemu do Wysokiego iść nie posiadam żadnej możliwości. Rodziny tam nie mam, co by mi pomagała wodę wypompowywać. Albo jednego pracownika mi dodajcie, albo moją żonę wyznaczcie za pomocnika. Bardzo prosimy nie odpowiadać na prośbę odmownie. — Fomicz położył oświadczenie na stole przez Motiakowym.

Motiakow przeczytał i wpatrzył się w Żywego przejmującym wzrokiem.

— Tyś to jak wymyślił? Samodzielnie, sam jeden?

— A sam.

— No, to sam jeden jedź do Wysokiego. I żeby mi bez głupstwów!

— Nie mogę... Przystań przecieka. Woda nachodzi po same burty. Chcecie, to idźcie popatrzeć.

— Na umyślnie wodę napuszczasz.

— Nie rozumiem waszej gadki. Jakże to na umyślnie? Proszę o wyjaśnienie! Wyście przecież osoba na stanowisku...

— Wiem! Wszystko wiem, rrraz i na zawsze! — Motiakow pogroził mu palcem. — Wyprowadzasz na brzeg i zalewasz wodą.

— A to niby jakim sposobem? Wiadrami wodę noszę do środka, czy jak? — Żywy patrzył ironicznie na Motiakowa.

Ten zrozumiał, że przebrał miarę, ale atakował w dalszym ciągu:

— Już tam znalazłeś sposób... Z ciebie majster, żeby od pracy się wykręcać. Już ja ciebie znam!

— Acha! — Żywy potrząsnął głową. — Jest taka gadka o rozpustnej teściowej i uczciwej synowej. Teściowa w młodości była latawica i nie wierzyła synowej, że ta wierności mężowi dochowuje. Więc uczyła syna: zbij ją, to może wszystko się wykryje. Tak ano i wy...

— Ja ci tu pogadam! — Motiakow uderzył dłonią po stole, nie tak silnie, jak to bywało w RIK-u, ale jednak uderzył. — Jeżeli chcesz pracować, sam będziesz wodę czerpać.

— A co to, ja dla was jestem pompa, czy co? Mam u ręki tylko dwa paluchy zachowane. Jestem inwalida wojenny. Musicie mi dać pomocnika!

— Zrozum-że, zakuty łbie! Redukcje przeprowadzamy. Albo pójdziesz do Wysokiego, albo podawaj się do dymisji, rrraz i na zawsze!

Od Motiakowa Fomicz wyszedł w takim stanie, jakby był pijany, aż nim rzucało na strony. Wszedł do sklepiku.

— Wala, daj mi pół literki pieprzówki.

Ekspedientka wręczyła mu butelkę.

— Coś ty, wujku Fiedia, nos spuścił na kwintę?

— Jakże tu nie spuścić... — Fomicz tylko machnął ręką. — Skończyło się moje życie...

Po wyjściu ze sklepiku spotkał nieogolonego marynarza w brezentowej kurtce.

— Co ci powiedział?

— Posyła do Wysokiego. A mnie dwóch domów naraz prowadzić niesposób. Raptem czterysta osiemdziesiąt pięć rublów. Jak ich podzielisz? Ot, i nieszczęście się na mnie zważyło... — Fomicz kręcił głowę w największym zmartwieniu.

— Nie bądź, chłopie, cudakiem! Masz ręce, masz nogi, łeb na karku! Wyżyjesz! Dzisiaj to nie dawne czasy. Chodź do nas! Akuratnie wieczera się szykuje. Wypijemy przy okazji.

Na brzegu Prokoszy, tam gdzie dawniej leżały kupy różnych odpadków, stało coś w rodzaju szopy z brezentu. Przed szopą wielkim ogniem płonął prawdziwy stos. W kotle, wiszącym na trójnogu, buzowała i kipiała jakaś strawa. Szarpany wiatrem dym

opadał ze stromego brzegu i rozpełzał się wolno nad rzeką. Baby rozścielały worki, rozkładały na nich miski, łyżki i chleb. Bose dzieciaki z wrzaskiem biegały dokoła ogniska.

— Ostrożnie, niesamowite! — ujadły na nich baby. — Jenó patrz, do ognia które wleci... A wtedy z żarcia nic nie będzie...

Jeden z marynarzy, ten, co rozmawiał przedtem z Motiakowym, boso, czerwony od płomienia, w jednej koszuli z zakasanyimi rękawami, mieszał gotującą się strawę, coraz to czerpał drewnianą łyżką, dmuchał z całej mocy i hałaśliwie siorbał gorącą warzę.

— Panie Boże, dopomóż! — powiedział Żywy, zbliżając się do ogniska.

— Prosimy do wieczery — odezwały się baby.

— Polewka ze smakiem i zapachem... Stawiać tutaj wody flachę! — powiedział marynarz, stojący przy ogniu, zerkając z boku na wydymającą się kieszeń Fomicza.

— Podwajaj! — Żywy postawił butelkę na worku.

— Słusznie! — odezwał się marynarz od ogniska. — Mania, przynieś flaszeczkę!

Przedtem, na odległość wydał się Fomiczowi całkiem młody. Teraz — był bez czapki — okazało się, że miał wielką łysinę, obejmującą całą głowę; tu i ówdzie kręcił się rudawy puszek. Marynarz zdjął z trójnoga kocioł z parującą polewką i zawołał:

— Przybliż się, nie tracąc chwili, żeby inni zazdrościli!

Zjawiła się jeszcze butelka samogonu, zatkana zamiast korka skręconym gałgankiem. Potem nalewali zupę — chłopom do jednej michy, babom i dzieciakom — do drugiej. Samogon cedzili przez wargi, marszczyli się, chrząkali ze smakiem. Rzeczywiście, samogon był doskonały.

— Czyżbyście wy sami pędzili? — zapytał Fomicz.

— A cóż w tym trudnego? — odparł nieogolony.

— Aparat potrzebny.

— U mnie aparat — tacka i talerz — chytrze zamrugął nieogolony. — Tylko cukru trza dokładać...

— Z takim aparatem idzie się lekko — sam wiatr w plecy popycha. Nawet deszcz nie straszny — uśmiechnął się Żywy. — Mój tiutun wedle takiej samej recepty wyrobiony. Ano, próbujta!

Wyciągnął kapciuch z tytoniem i puścił go w koło. Zapalili.

— Deszcz teraz w sam raz pod sianokosy — powiedział najstarszy po chwili milczenia.

— Ano, tak — potwierdził łysy — trawy tego roku obrodzą.

— Wszystko jedno połowa pastwisk idzie na przepadłe — powiedział Fomicz. — Kosić nie nadążają.

— U nas nie tak... łośńskiego roku do ostatniego ździebka wyczyścili. Nawet starcy i baby kosili — trzecia część siana szła na dolę kołchoźników.

— U nas do tego nie doszło. Cięgiem skąpią. Tacy to gospodarze! — Fomicz ciężko westchnął.

— Jak potrzeba przycisnie, to dojdą do wszystkiego — powiedział łysy.

— Jakby wedle potrzeby mierzyć, to już dawno powinni byli dojść.

— Tacy, co są bardziej łebscy, to już sami od nędzy odchodzą — zauważył starzec. — Nasi wykompinowali, żeby cybule na ogrodach uprawiać. Państwu dostarczają — po dwa ruble siedemdziesiąt kopiejek za kilo. I pieniądz leci!

— Także samo pożyczki na krowy udzielają — podchwycił łysy. — W poniekórym kołchozie nawet jałówkę można wziąć...

— Tak, o tym to ja już słyszałem... U nas w Brechowie już pozwalają. Tam przewodniczący całą gębą. Pietia Długi, mój serdeczny przyjaciel — zełgał Żywy. — To ten ciągiem mnie do siebie zaprasza. A wy, na ten przypadek, nie zamierzajecie wracać do kołchozu?

— Nam się nie pali — odpowiedział starzec. — Poczekamy ździebko, rozejrzemy się, co z tego wyjdzie. Na jesieni, wiadomo, przyjeżdżamy do domu z pomocą. Ziemniaki kopimy z kołchoźnikami na spółkę. Na zimę zapasy robimy, dla siebie i dla wieprzków na wypas...

— To dobra rzecz! A byle sianko było — można i na krowę się zdobyć. Jeżeli pożyczkę dają na krowę, to dlaczego by nie wziąć? — Fomicz widocznie się ożywił. — Ja przecież majster byłem od bydła. A już na krowy to oko mam nadzwyczajne. Nasamprzód przyjrzeć się trza, jak u niej sierść się kręci. Jeśli na ten przykład zaczyna się wicherzyć od samego łba, to znaczy, że od mleka do mleka chodzi nie dłużej niż cztery niedziel... Dobra krowa! Znowuj pomagać ją trzeba między cycami i bandziochem. Jeżeli kciuk wchodzi aż po stawy, pud mleka będzie dawać co dnia... A mnie co? Wezmę i pójdę do Pieti Długiego. Mam do Wysokiego o pięćdziesiąt wiorst ganiać, to już lepiej do Briechowa. Początkowo będę biegał od pracy do Prudków. Co mi tam! Nie pierwszy raz. Chód mam letki. A za to krowę otrzymam...

Fomicz chciwie zaciąga się dymem machorki, uśmiecha się. Myśli o tym, jak sprytnie oszuka Motiakowa; przyjdzie do biura i wsadzi mu figę pod nos: „Do Wysokiego chciałeś mnie popędzić... Masz, spróbuj ugryźć!” W głowie Fomicza kręci się od alkoholu. Naprawdę jest mu teraz dobrze i wesoło.

— W dzisiejszych czasach — mówi starzec — wszędzie żyć można.

— To prawda — zgadza się Fomicz. — Teraz żyć można...



Zapisałem tę historię we wsi Prudki, w roku 1956, według opowiadania samego Fiedora Fomicza Kuźkina. Zapisałem i odłożyłem.

Jakoś, grzebiąc w starych papierzyskach, natrafiłem także na ten zeszyt. Historia wydała mi się zajmująca. Pojechałem do Prudków, dałem do przeczytania Fiedorowi Fomiczowi, który po dziś dzień żyje i cieszy się dobrym zdrowiem, żeby poprawił, jeżeli coś wyszło nieprawdziwie.

— Z dokładnością wszystko wypadło — powiedział Fiedor Fomicz. — Tylko zakończenie nieciekawe. Chcesz, to opowiem, co się stało w dalszym ciągu... Bo później łatwiej już poszło...

Spróbowałem opowiadanie przedłużyć, ale jakoś nie wyszło. Dopieroż domyśliłem się: tu już nowe czasy zaczęły się, to i historia musi być inna. A tamta historia — już skończona.

— Właśnie tak — potwierdził Fiedor Fomicz. — A ty się nie zamartwiaj! Jeszcze napiszesz znacznie więcej. Mego życia na całą powieść wystarczy...

B. MOŻAJEW

(Przetłóżył z rosyjskiego Józef Łobodowski)

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Nowości

BIBLIOTEKI "KULTURY"

TOM CXXXVII

GEORGE J. FLEMMING

CZYM TO SIĘ JE ?

**CZYLI
DOBRE RADY DLA REEMIGRANTÓW
I TURYSTÓW**

**TO KSIĄŻKA
KTÓRA NIEWĄTPLIWIE SPOTKA SIĘ Z TAKIM SAMYM
ZAINTERESOWANIEM WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW JAK**

POLSKA MAŁO ZNANA

**BEST-SELLER 1966 ROKU
której nakład jest już wyczerpany**

Str. 132.

Cena F 10 (15/-; dol. 2,25)

Atlantyk-Pacyfik

Każdy czytelnik prasy amerykańskiej spotyka się z określeniami *open frontier*, *new frontier* i tp. Pojęcie „granicy” w historii amerykańskiej ma zupełnie inne znaczenie niż na kontynencie europejskim. F. J. Turner w roku 1893 pierwszy wystąpił z tezą, że „granica” stanowiła jeden z zasadniczych elementów w rozwoju cywilizacji amerykańskiej. Na „Dzikim Zachodzie” człowiek uczył się polegać na samym sobie i na własnej inicjatywie. W obliczu „otwartej granicy” wszyscy kolonizatorzy byli równi bez względu na swe pochodzenie etniczne i klasowe. Cenili niezależność i buntowali się przeciwko wszelkim zamachom władz wojskowych i cywilnych — zmierzającym do ukrócenia owej „złotej wolności”.

„Nowa granica” posuwała się od wschodu na zachód, od Atlantyku ku Pacyfikowi. *Drang nach Westen* — parcie na zachód — stanowi zasadniczy motyw historii amerykańskiej. Polityka azjatycka — ściśle pacyficzna — stanowi dalszy ciąg amerykańskiego marszu na zachód — stanowi nowy rozdział dziejów „otwartej granicy”.

W roku 1903 prez. Theodore Roosevelt w przemówieniu wygłoszonym w San Francisco powiedział, że marsz ku zachodowi nie musi zakończyć się na „Złotej Bramie” (wąska cieśnina oddzielająca zatokę San Francisco od Pacyfiku — dziś spięta słynnym „Złotym Mostem”). „Era Pacyfiku, której przeznaczeniem jest być największą erą w naszej historii” — podkreślił wówczas Roosevelt — „dopiero się zaczyna”.

Adwent ery Pacyfiku przyspieszyła druga wojna światowa, która pociągnęła za sobą likwidację europejskich imperiów kolonialnych. „Pearl Harbour” przekonał również Amerykanów, że źródłem bezpośredniego zagrożenia jest Azja — nie Europa. Przemawiając w Kongresie gen. D. MacArthur stwierdził, że: „nasze granice obejmują cały Pacyfik będący wielką groblą, która będzie nas osłaniać dopóki trzymać ją będziemy w garści”.

Co to znaczy trzymać w garści Pacyfik? Czy wystarczy utrzymywać bazy na Hawajach, Wyspach Bonin, Volcano, Mariana i td.? Odpowiedź brzmi: nie. Jeżeli Pacyfik ma być „groblą” chroniącą Stany Zjednoczone — bazy i przyczółki amerykańskie muszą być na drugim brzegu — to znaczy w południowo-wschodniej Azji. I tak oto wyładowaliśmy w Wietnamie.

Politykę danego narodu można zrozumieć tylko w kontekście jego historii. Amerykańska historia jest równie skomplikowana jak europejska — choć od niej całkowicie różna. Oficjalnie amerykańska polityka w Azji ma na celu „powstrzymywanie” komunistycznych Chin. *Containment* jest nową nazwą którą określa się politykę bezpieczeństwa. Paradoks polega na tym, że im dane mocarstwo jest potężniejsze tym ma większe wymagania w dziedzinie bezpieczeństwa.

Powiązania polityki amerykańskiej w Azji są różnorakie. Niemalą rolę odgrywa również ekonomia, która dyktuje konieczność utrzymania jak największych połąci Azji w sferze systemu kapitalistycznego, ściślej dolarowego. Byłoby nonsensem twierdzić, że całość tej polityki jest wolna od imperializmu. Super-mocarstwo o potencjale Stanów Zjednoczonych jest imperialistyczne z definicji. Tylko Rosja Sowiecka w pewnej mierze rozmawiać może z Waszyngtonem jak równy z równym. Trzeba jednak powiedzieć, że politykę amerykańską cechuje jeszcze ciągle idealizm i dobra wola — czego Rosjanie nie są w stanie zrozumieć, ponieważ od pokoleń znają tylko politykę przemocy a nierzadko terroru.

Odwiedzający Związek Sowiecki podkreślają, że przeciętny Rosjanin w Moskwie czy w Leningradzie jest pomocny, uprzejmy, pełen dobrej woli. Lecz na dalekiej drodze wiodącej od szarego obywatela do przybytku władzy na Kremlu — owa dobra wola ulatnia się bez śladu. Natomiast w waszyngtońskim aparacie władzy tradycyjno-amerykańska wiara w *pursuit of happiness* w demokrację i w jej instytucje — tworzy kapitał dobrej woli, która ożywia politykę Stanów Zjednoczonych nawet wówczas kiedy jest błędna.

Era Pacyfiku, którą zapowiedział Theodore Roosevelt w roku 1903 — przybiera realne kształty. Ów proces przedstawia się następująco: *Australia* jest dziś bardziej pro-amerykańska niż probrytyjska. 4,500 Australijczyków walczy w Wietnamie. Inwestycje amerykańskie przekroczyły 1,6 bilionów dolarów. Stany Zjednoczone a nie Wielka Brytania są dziś głównym źródłem kapitału zagranicznego. *Kambodża* — neutralistyczna, przeciwna interwencji amerykańskiej w Wietnamie, otrzymała tytułem pomocy 343 miliony dolarów. *Indonezja* stara się o wznowienie pomocy amerykańskiej, która do tej pory wyniosła 890 milionów dolarów. *Japonia* jest drugim z kolei największym partnerem handlowym Stanów Zjednoczonych. Na jej terytorium znajdują się amerykańskie bazy lądowe, morskie i lotnicze o łącznej załodze 40.000 żołnierzy. Japonia otrzymała od Ameryki w formie pomocy licząc od końca drugiej wojny światowej 4 biliony dolarów. *Filipiny* otrzymały od Ameryki 2 biliony dolarów. Bazy obsługiwane przez

25-cio tysięczną armię amerykańską. Oddziały filipińskie (1.000 ludzi) walczą w Wietnamie. Południowa Korea jest azjatyckim rekordzistą dolarowym, otrzymała bowiem do tej pory 6,7 bilionów dolarów. Na Korei stacjonuje 50-tysięczna armia Stanów Zjednoczonych, a 40 tysięcy południowych Koreańczyków walczy u boku Amerykanów w Wietnamie. *Formoza* — drugi z kolei rekordzista dolarowy — otrzymała 5 bilionów dolarów. Dysponuje najnowocześniejszą i najlepiej wyposażoną armią w Azji, liczącą 600.000 żołnierzy. *Syjam* gości na swym terytorium liczne amerykańskie bazy wojskowe z załogą 31.500 żołnierzy.

I wreszcie *Wietnam*. *Containment* w Wietnamie kosztuje 15 bilionów dolarów rocznie. Port lotniczy w Saigonie jest najruchliwszym portem lotniczym świata. W zatoce Cam Ranh — Amerykanie budują głęboko-wodny największy port w Azji.

W porównaniu z kosztami „ery Pacyfiku” — europejski plan Marshalla (37 bilionów dolarów) — to był dosłownie drobiazg.

Na powyżej naszkicowanym tle należy rozpatrywać wojnę wietnamską. Operacje w Wietnamie stanowią tylko fragment na olbrzymią skalę zakrojonego azjatyckiego zaangażowania Stanów Zjednoczonych.

Jak słusznie zauważył amerykański dziennikarz, Joel Blocker, Wietnam jest pierwszą wojną telewizyjną. Filmy z teatru wietnamskiego — wsie palone bombami „napalm” — oglądane są przez dziesiątki milionów ludzi w całej Europie. Poważną prasę czyta niewielu — na ekran telewizyjny patrzą się wszyscy. Ludzie na to co widzą reagują emocjonalnie. W Holandii, w Wielkiej Brytanii, w Belgii, w Norwegii, w Danii — Wietnam stał się zagadnieniem wyborczym i wewnątrzno-politycznym. Prasa amerykańska pisze, że na 4 zachodnich Europejczyków zapytywanych w sprawie Wietnamu — trzech odnosi się krytycznie do interwencji zbrojnej Stanów Zjednoczonych.

Osobiście wydaje mi się, że Europejczycy w większości nie są solidarni z Amerykanami w sprawie wietnamskiej — ponieważ nie czują się zagrożeni. Polityka *containment* zrodziła się jako odpowiedź Zachodu na zagrożenie komunistyczne. W owym czasie komunizm stanowił jednolitą globalną siłę kierowaną z Moskwy. Policentryzacja odebrała komunizmowi charakter jednolitej siły — a tym samym polityka *containment* w ocenie wielu Europejczyków utraciła rację bytu.

Pewną winę przepisać należy i Amerykanom. Zainteresowanie Waszyngtonu Europą zmalało widocznie i wydatnie. Poważna prasa amerykańska nie tai przed Europejczykami faktu, że teatrem głównego zaangażowania Stanów Zjednoczonych w najbliższej dekadzie będzie Azja a nie Europa. Na kontynencie europejskim powstała próżnia. Zamierzonej po wojnie przebudowy polityczno gospodarczej nie dokończono: Europa jest podzielona — Niemcy są podzielone — NATO jest podzielone.

Francja już w październiku ubiegłego roku nie wzięła udziału w wielkich manewrach „Fallex 66”, wycofała swych oficerów

z tzw. *Review Committee* oraz z tzw. *Standing Group* w Waszyngtonie.

Cierpliwy Czytelnik, który zada sobie trud i spojrzy na mapę Europy — przekona się, że z dniem 1 kwietnia br. kraje objęte organizacją NATO zostaną rozdzielone „pasem neutralnym”. Europa zachodnia strategicznie i organizacyjnie rozpadnie się na dwie części z „pasem neutralnym” w pośrodku. Ów pas tworzyć będą: Francja, Szwajcaria, Austria. Siły zbrojne NATO we Włoszech, w Grecji i w Turcji będą całkowicie odcięte od wojsk NATO w Niemczech zachodnich.

Na temat trudności natury wojskowo-strategicznej wynikających z powyższej sytuacji ukazało się dziesiątki artykułów w prasie zachodniej, których nie zamierzam streszczać. Chciałbym natomiast zwrócić uwagę Czytelników na kilka niezmiennie charakterystycznych szczegółów które, choć w tej chwili mało znaczą, to przecież wiele mówią.

9 listopada ub. roku podpisano na Quai d'Orsay układ francusko-sowiecki w sprawie tzw. *Hot Line*, która połączy Pałac Elizejski z Kremlm. Urządzenie obejmuje podwójny kabel — telefoniczny i dalekopisowy (*teleprinter*). Ponieważ jak wiadomo Waszyngton połączony jest w identyczny sposób z Kremlm — „gorąca linia” stała się w pewnej mierze międzynarodowym *status symbol*.

Cała sprawa była drobną sensacją dziennikarską i w ten sposób została potraktowana przez prasę. Jednak pewien szczegół zasługuje na uwagę. Rzut oka na kartę Europy każdego musi przekonać, że najkrótsza linia łącząca Paryż z Moskwą biegnie przez Niemcy. A jednak *hot line* nie będzie biegła przez Niemcy — tylko przez terytorium pasa neutralnego tzn. przez Szwajcarię i Austrię. Koszt instalacji będzie wyższy — lecz kabel ominie Niemcy.

Przeciwko komu zbroi się Francja? Jeden z rzeczoznawców brytyjskich w oparciu o analizę programu zbrojeń francuskich doszedł do wniosku, że Francja zbroi się przeciwko Niemcom. Nie współczesnym, lecz przeciwko Niemcom przyszłym, z lat 70-tych bieżącego stulecia. Słowo „przeciw” (*against*) w tym kontekście oznacza nie agresję tylko obronę.

I jeszcze jeden szczegół z tej serii, który mógł ująć uwagi Czytelników. Amerykańscy dyplomatyczni korespondenci podali wiadomość, że przywódcy sowieccy w rozmowach z prez. de Gaulle'm w Moskwie (czerwiec ub. roku) odnieśli się krytycznie do pośpiesznej ewakuacji Francji z NATO. Rosjanie argumentowali, że wycofanie się Francji przekształci Niemcy w pierwszą w Europie militarną potęgę NATO — co w konsekwencji niezmiennie wzmocni ich pozycję.

Co to wszystko znaczy w sensie politycznym? Oznacza to, że w sensie politycznym wracamy na punkt startu — innymi słowy, do Europy przedatlantyckiej.

Dla Amerykanów polityka *containment* na terenie Europy oznaczała powstrzymywanie Rosji. W Waszyngtonie panuje prze-

konanie, że Rosjanie bardziej są zainteresowani w wojskowym umacnianiu granicy z Chinami niż Berlinem. Zachodni Europejczycy podzielają ten pogląd. Uważa się powszechnie, że Związek Sowiecki jest mocarstwem statycznym, zainteresowanym wyłącznie w utrzymaniu *status quo*.

Na marginesie należy zauważyć, że w sensie wojskowego zagrożenia nic się nie zmieniło. W NRD stacjonuje w tej chwili 20 dywizji sowieckich znakomicie wyposażonych. 4 dywizje z cytowanych powyżej posiadają specjalny sprzęt do błyskawicznego budowania mostów, po których zagony pancerne mogą każdej chwili przekroczyć Ren.

Jeżeli wulkan przestaje dymić, ludność okoliczna powraca do swych zajęć przyjmując, że na wybuch się nie zanoszą. Wulkan sowiecki przestał dymić i zachodni Europejczycy uznali, że wszystko wróciło do normy. Ponieważ w Berlinie od dawna nie widać dymu — utrwała się przekonanie, że wulkan wygaś i zagrożenie znikło. Dowodów na to nie ma żadnych i potencjalne zagrożenie jest dziś identyczne jak było 10 lat temu. Polityka — jak wszystko co ludzkie — podlega subiektywizmowi. Zagrożony jest ten, kto czuje się zagrożony. Zachodni Europejczycy nie czują się zagrożeni i wskutek tego sądzą, że Amerykanie nie są na kontynencie równie nieodzowni jak dawniej.

Komentatorzy politycznej sceny europejskiej podkreślają zgodnie, że zanik poczucia zagrożenia ze strony Sowietów prowadzi do erozji NATO — co w konsekwencji musi się wyrazić dalszym usamodzielnieniem się Niemiec. Powyższa opinia wymaga komentarza. Te same przyczyny, które powodują erozję NATO — powodują również spadek papierów niemieckich w Waszyngtonie. W perspektywie amerykańskiej Niemcy stanowią ramię zbrojne polityki *containment* na terenie Europy. Gdy polityka *containment* na terenie Europy traci na znaczeniu — automatycznie Niemcy tracą na znaczeniu. Waszyngtonowi zależy dziś niepomniernie bardziej na zawarciu traktatu „anty-proliferacyjnego” (zapobiegającego rozpowszechnianiu się broni atomowych), niż na organizowaniu MLF (Wielonarodowa Siła Nuklearna), z niemieckim palcem na cynglu. Projekt MLF — który stanowił jedyną nadzieję Niemiec w sprawie atomowej — został cicho po-
grzebany.

Jeżeli przez Atlantyk rozumieć Europę, a przez Pacyfik — Azję — to wypada stwierdzić, że istnieją konkretne analogie pomiędzy obu kompleksami zagadnień. Kluczowym zagadnieniem Europy są Niemcy — kluczowym problemem Azji są Chiny. Istnieją dwa państwa niemieckie i istnieją dwa państwa chińskie.

Kryzys w polityce światowej sprowadzić można do następującego stwierdzenia: zarówno w sprawie Chin jak i w sprawie Niemiec polityki amerykańska i rosyjska różnią się zasadniczo. Tak Niemcy jak i Chiny doprowadzić mogą do bezpośredniej konfrontacji sowiecko-amerykańskiej. Rozwiązanie problemu niemieckiego zadecyduje o losach Europy — rozwiązanie problemu Chin zadecyduje o losach Azji.

Amerykanie byliby dziś w niepomiernie korzystniejszej sytuacji, gdyby w okresie ubiegłych dwóch dekad dopomogli w większej mierze do uładowania Europy. Lecz przeszkodą byli Niemcy. Dopóki wymogi polityki *containment* miały pierwszeństwo — dopóty zaangażowanie Niemiec trzeba było kupować za milczące poparcie ich roszczeń. Amerykanie do tej pory nie wydobyli się z niemieckiego „błędnego koła”. Milczenie na temat pretensji niemieckich kupuje wprowadzie zaangażowanie Bonn — lecz równocześnie usztywnia stanowisko Sowietów w Europie. To jest polityka, która dosłownie nie prowadzi donikąd. Ani nie przybliży Niemców do zjednoczenia — ani nie czyni Rosji bardziej skłoną do negocjacji. Ten typ polityki służy wyłącznie do przedłużania w nieskończoność *status quo*.

Istnieje jeszcze jedno „przesło” pomiędzy Atlantykiem a Pacyfikiem. Według relacji korespondentów amerykańskich Rosjanie obawiają się wybuchu wojny domowej w Chinach. Wówczas Rosjanie musieliby się czynnie zaangażować po stronie frakcji pro-sowieckiej, a Amerykanie poparliby prawdopodobnie stronę przeciwną. W takiej sytuacji na terenie Chin mogłoby dojść do bezpośredniego starcia sowiecko-amerykańskiego i w konsekwencji do wybuchu wojny.

Należy stwierdzić, że wojna domowa w Chinach jest daleko bardziej prawdopodobna niż wojna amerykańsko-chińska jako komplikacja kampanii wietnamskiej.

Gdyby doszło do wojny domowej w Chinach i gdyby w konsekwencji doszło do konfliktu zbrojnego amerykańsko-sowieckiego szanse zlokalizowania wojny byłyby niewielkie.

Podkreśliłem w poprzednim artykule („Wielka Trójka w polskim zwierciadle”) że ideałem Rosji byłaby likwidacja Chin jako mocarstwa, dokonana rękami i na koszt Amerykanów. Wówczas Sowiety zagarnęłyby pograniczne prowincje, albo utworzyły satelicką promoskiewską republikę. Gdyby jednak wybuchła wojna domowa i jedna z frakcji uznała ideologiczno-polityczne przywództwo sowieckie — apelując równocześnie o pomoc — Rosja znalazłaby się w sytuacji bez wyjścia.

W razie wojny amerykańsko-sowieckiej, której głównym teatrem byłaby Azja, tak Amerykanie jak i Rosjanie, być może, wstrzymaliby się (na zasadzie wzajemności) od bombardowania swoich miast i okręgów przemysłowych. Nie oznacza to jednak, że Rosjanie uznaliby wówczas europejski *status quo* za nienaruszalny. Amerykański „parasol” nie przydałby się nam na nic, ponieważ Amerykanie nie podjęliby odwetowego bombardowania Związku Sowieckiego dopóki sowieckie bomby atomowe nie spadłyby na miasta Stanów Zjednoczonych. By zająć Niemcy i Belgię — Rosjanie nie potrzebowałyby broni atomowych ani w Europie ani poza Europą. W stosunku do pozostałych państw kontynentu — Sowiety zadowolilyby się zapewne neutralnością. W przeciągu sześciu miesięcy zjednoczone Niemcy przemieniłyby się w wielką NRD i los Europy byłby przypieczętowany. W takiej sytuacji utracilibyśmy nie tylko resztki nadziei lecz i znaczną część ziem

zachodnich, które byłyby premią dla zwolenników pro-rosyjskiej orientacji w Niemczech. Okazałoby się wówczas, że pro-rosyjska orientacja w Niemczech jest niezmiernie popularna i liczna.

W obecnej epoce Europa w równej mierze leży nad Atlantykiem jak i nad Pacyfikiem. Ów fakt mógłby być wygrany z niezmierną korzyścią — gdyby Europa zachodnia była zjednoczona i zdolna do jednolitego działania politycznego. Można by wówczas podjąć grę „na dwóch fortepianach”. W Azji Amerykanie powstrzymywaliby Chiny — Europa zaś, kokietyując Pekin, mogłaby wywrzeć potężny nacisk na Rosję. W tej sprawie trudno wyobrazić sobie korzystniejszą koniunkturę niż obecnie. Niestety Europa nie jest zjednoczona i tym samym nie jest zdolna do politycznej gry „na dwóch fortepianach”. Upadkowi NATO nie towarzyszy ruch ku politycznemu zjednoczeniu — lecz przeciwnie, nawrót do nacjonalistycznych, mocarstwowych polityk.

Problemem Europy są Niemcy. Zbliżenie francusko-sowieckie jest spowodowane zagrożeniem niemieckim. „Żelazna Kurtyna” w 80% utkana jest z problematyki niemieckiej. Polityka sowiecka w stosunku do Europy determinowana jest problemem niemieckim. Zasadniczą funkcją państw satelickich jest chronienie Rosji przed Niemcami. Dosłownie każdy problem kontynentu związany jest pośrednio lub bezpośrednio z Niemcami — tak jak każdy problem w Azji związany jest pośrednio lub bezpośrednio z Chinami.

Ani Chiny ani Niemcy nie są globalnym konkurentem Stanów Zjednoczonych. Chiny nie staną się drugą Ameryką i przez najbliższe sto lat ich głównym problemem będzie ryż. Rywalem Stanów Zjednoczonych nie są ani Chiny ani Niemcy — tylko Związek Sowiecki i to zarówno w Europie jak i w Azji.

Owa rywalizacja nie wynika bezpośrednio z różnic ideologicznych. Gdyby Sowiety były dziś związkiem demokratycznych państw — być może rywalizowałyby z Ameryką ze zdwojoną siłą. Każde super-mocarstwo, bez względu na ustrój lub ideologię — dąży do hegemonii, ponieważ tylko przewaga zapewnia pełne bezpieczeństwo.

Partnerem Stanów Zjednoczonych w rozgrywce o Chiny i o Niemcy jest Rosja. Rozegranie problemów chińskiego i niemieckiego albo niepomrotnie wzmocni Amerykę, albo przeciwnie, wydatnie ją osłabi. Stawką w rozgrywce o Niemcy jest Europa, stawką w rozgrywce o Chiny jest Azja.

Zagadnienia Niemiec nie można rozwiązać, ponieważ Stany Zjednoczone w Europie nie mają w tej chwili możliwości wywarcia na Moskwę nacisku. Z drugiej strony, należy zawsze pamiętać, że o ile Moskwa nie ma dziś szansy wyrównania stosunków z Pekinem — o tyle ma zawsze możliwość wysunięcia pod adresem Niemiec oferty, której żaden rząd w Bonn nie będzie mógł odrzucić.

Im „Nationale Partei Deutschlands” staje się silniejsza — tym szanse porozumienia rosyjsko-niemieckiego stają się bardziej realne. Przewodniczącą neo-hitlerowskiej NPD — Friedrich Thie-

len jest gorącym zwolennikiem negocjacji z Rosją — gdyż „klucz do zjednoczenia Niemiec posiadają Sowiety”.

Jest rzeczą śmieszną powoływać się na własne książki, lecz faktem jest, że w wydanym w roku 1960 „Kehrt Deutschland in den Osten zurück?” dość dokładnie „przepowiedziałem”, że neonacjoniści, zniechęceni do Zachodu i Amerykanów, wysuną postulat bezpośrednich rozmów z Rosją. Co ważniejsze, podkreśliłem, że gdy epoka adenauerowska dobiegnie kresu — Niemcy zdadzą sobie sprawę, że NATO i zjednoczenie wyłączają się wzajemnie. Mocarstwa, które chciałyby zatrzymać Niemcy w NATO nie mogą pragnąć ich zjednoczenia — bo członkiem NATO może być tylko Federalna Republika, nie Niemcy zjednoczone. W interesie NATO leży utrwalenie podziału Niemiec — bo tylko podział gwarantuje członkostwo Federalnej Republiki w sojuszu północno-atlantyckim. Jest bowiem oczywiste ponad wszelką wątpliwość, że Rosja nie zgodzi się nigdy i za żadną cenę na udział zjednoczonych Niemiec w NATO.

Porozumienie sowiecko-chińskie jest mało prawdopodobne — lecz gdyby nawet doszło kiedyś do skutku, nie dawałoby Moskwie tak zdecydowanej przewagi jak porozumienie rosyjsko-niemieckie.

Stale ośmiesza się NRD a zwłaszcza Ulbrichta. W sferze przemysłowej znacznie większego „cudu gospodarczego” dokonały Niemcy wschodnie niż zachodnie, zwłaszcza jeżeli się zważy, że NRD nie otrzymała gigantycznej pomocy dolarowej na wzór NRF.

Ulbricht ma 74 lata i siłą faktu w najbliższym czasie musi odejść. Jeżeli w NRD nastąpiłaby pewna liberalizacja, umożliwiająca podjęcie dialogu z socjalistami zachodnio-niemieckimi — skłonny jestem przypuszczać, że NRD miałyby szanse zdeorganizowania demokracji w Federalnej Republice. Chcę przez to powiedzieć, że w razie zbliżenia, wschodnie Niemcy prędzej zdeorganizowałyby politycznie zachodnie Niemcy, niż zachodni Niemcy zdołaliby udemokratyzować NRD. NRD miałyby wielkie możliwości wygrania frustracji, poczucia zawodu spowodowanego postawą sojuszników, goryczy wynikłych z niespełnionych ambicji nacjonalistycznych — prezentując się opinii niemieckiej jako zaufany sojusznik Rosji dzierżącej klucz do zjednoczenia Niemiec.

Jedno jest pewne. Dopóki Niemcy nie są zjednoczone, nikt nie może zagwarantować, że zjednoczenie odbędzie się na warunkach Federalnej Republiki i Zachodu. Melvin Croan, profesor Harvard University, w jednej ze swych świeżo opublikowanych prac wyraził obawę, że NRD może okazać się trwalszą formą państwa niemieckiego niż Federalna Republika. Gdyby miało kiedyś dojść do zjednoczenia w wyniku dwustronnych rozmów i zbliżenia rosyjsko-niemieckiego — prawdopodobnie tak by się stało.

Do czego zmierzają te rozważania? Chciałbym uwypuklić i podkreślić fakt, że jeżeli ewakuacja, choćby częściowa, Amerykanów z Europy — miałyby ułatwić Rosji sparaliżowanie NATO, a

w przyszłości zmontowanie systemu europejskiego dominowanego przez Rosję — wówczas najbardziej efektywne osiągnięcia na Pacyfiku nie wyrównają strat atlantyckich.

W kontekście polityki europejskiej zbliżenie francusko-sowieckie nie oznacza wzmoczenia wpływów Francji tylko wzrost wpływów Moskwy. *Disengagement* Amerykanów spowodować musi automatycznie *engagement* Sowietów.

W moim przekonaniu każdy oddział amerykański opuszczający Europę zwiększa prawdopodobieństwo porozumienia sowiecko-niemieckiego. Zjednoczenie Niemiec, ewakuacja wojsk amerykańskich i sowieckich, likwidacja paktów warszawskiego i NATO, włączenie Europy wschodniej do gospodarczej i politycznej wspólnoty europejskiej — to wszystko są zagadnienia, które mogą negocjować z Moskwą tylko i wyłącznie Amerykanie.

Jeżeli przez najbliższe 10 do 20-tu lat Amerykanie całą swą uwagę i inicjatywę skupią na Pacyfiku — negocjacji w Europie nie będzie. Sowiety drogą dwustronnych porozumień — na wzór zbliżenia Paryż-Moskwa — dążyć będą do izolacji Niemiec, czekając cierpliwie aż Niemcy dojrzeją do negocjacji na warunkach sowieckich.

Europie czysto europejskiej nie zagraża agresja sowiecka, tylko hegemonia sowiecka. Obecna polityka Sowietów zmierza do dwóch celów. Do utrwalenia pozycji Moskwy w Europie i do zastąpienia wpływów chińskich w Azji — sowieckimi. Trzeba stwierdzić, że w Europie nie Stany Zjednoczone, lecz Rosja jest stroną zwyciężającą. Rozkładowi NATO nie towarzyszą żadne ustępstwa ze strony Sowietów. Pozycja przetargowa Waszyngtonu w Europie *vis-à-vis* Moskwy — pogarsza się, a nie polepsza. W polityce nie ma cudowności. Jeżeli ów proces będzie postępował — wyniki są łatwe do przewidzenia.

Na marginesie należy podkreślić dwa punkty. Prywatny kapitał amerykański tak we Francji jak i w całej Europie odgrywa gospodarczo olbrzymią rolę. Lecz polityczny zysk, w proporcji do tych inwestycji, jest znikomy. Wpływy polityczne Ameryki w Azji mierzyć można bilionami zainwestowanych dolarów. W Europie, ów miernik w skali politycznej — zawodzi.

I punkt drugi. Sojusz francusko-niemiecki był jedyną formacją polityczną, która mogła zapewnić Europie niezależność i status partnera tak w stosunku do Ameryki jak i w stosunku do Rosji. Natomiast porozumienie francusko-rosyjskie ożywia w Niemczech tendencje do porozumienia niemiecko-rosyjskiego. Europa, w której główne mocarstwa będą szukały na własną rękę porozumienia z Sowiecami — będzie siłą rzeczy Europą słabą i skłóconą.

Tezę tego artykułu jest pogląd, że sukcesy amerykańskie w Azji nie mogą być okupione stratami w Europie, ponieważ celem polityki globalnej nie jest przestrzeń tylko potencjały siły. W tej skali, ważniejsza jest mała Japonia niż Indie i ważniejsze są Zjednoczone Niemcy niż gigantyczne Chiny.

Pomimo, że Rosja a nie Ameryka, jest mocarstwem azjaty-

kim — globalna polityka rosyjska góruje nad globalną polityką amerykańską — europo-centryzmem. Rosjanie, lepiej niż Amerykanie, zdają sobie sprawę, że choć Europa nie rządzi już światem — nie można rządzić światem nie rządząc Europą.

Juliusz MIEROSZEWSKI

GŁÓWNE ŹRÓDŁA I LEKTURY:

1. *American Foreign Policy Today*, T. Wanamaker, Bantam Books, New York.
2. *The Politics of the Atlantic Alliance*, A. J. Cottrell & J. E. Dougherty, F. A. Praeger, New York.
3. *The United States in the Contemporary World*, R. L. Watson Jr., The Free Press, New York.
4. *The U.S. in Asia*, „Newsweek”, October 31. 1966.
5. *The American Spirit*, C. A. Beard & M. R. Beard, Collier Books, New York
6. *The American Character*, D. W. Brogan, Time Incorporated, Book Division, New York.
7. *China and the Peace of Asia*, A. Buchan, F. A. Praeger, New York.

Kronika angielska

„SOCJALIZM — MANNA”

Sprawdziły się przepowiednie nie Marksa lecz szkockiego socjalisty i utopisty Roberta Owena. Okazuje się, że daleko łatwiej jest zrealizować utopię niż rzetelną demokrację. Hal Draper w swoim studium pt. „The Two Souls of Socialism” („New Politics”, Vol. V., No 1.) — dzieli socjalizm na „odgórny” i „oddolny”. Osobiście podzieliłbym socjalizm na ewolucyjny i antyewolucyjny. Socjalizm ewolucyjny narasta od dołu w wyniku walki i naporu. Socjalizm anty-ewolucyjny jest narzucany z góry przez tych, którzy są przy władzy.

Owen nie wierzył ani w walkę klas, ani w napór sił społecznych. Uważał, że postęp wiodący ku idealnemu społeczeństwu spowodować mogą tylko bogaci i potężni. Sądził, że „opozycja biednych w stosunku do bogatych i potężnych jest stratą czasu, talentu i pieniędzy”.

Gomułka myśli identycznie. I on uważa, że opozycja w stosunku do elity partyjnej jest stratą czasu, talentu i pieniędzy.

Komuniści, w przeciwieństwie do Marksa a w zgodzie z utopistami — wierzą w socjalizm „odgórny”, w socjalizm dekretowany przez potężną i zamoczną „nową klasę”.

Kosyginowi i Gomułce trudno się dziwić, ponieważ socjalizm „odgórny” harmonizuje z interesami „nowej klasy”. Dziwne jest natomiast jak wielu

intelektualistów na Zachodzie podpisuje się pod utopią zupełnie bezinteresownie.

Współcześni utopiści i anty-utopiści odmiennie oceniają przemiany zachodzące w bloku komunistycznym. Gdyby jutro uwolniono z łagrów Daniela i Siniawskiego — utopiści na Zachodzie przypisaliby całą zasługę kierownictwu partii. Czytalibyśmy w prasie, że przywódcy sowieccy liberalizują się, udemokratyzniają się i tp. i td.

W rzeczywistości byłoby naiwnością przypuszczać, że Kosygin czy Podgórny na jotę zmienili swoje przekonania. To są starsi panowie definitywnie uformowani przez epokę stalinowską, której są produktem. Gdyby zwolniono Daniela i Siniawskiego oznaczałoby to, że kierownictwo partii cofnęło się taktycznie pod naporem idącym od dołu.

Socjalizm „odgórny” opiera się na konformizmie i dyscyplinie społecznej. Owen uważał, że rząd winien traktować rządzonych jak lekarz swoich pacjentów. Oczywiście pacjenci w swoim własnym interesie winni słuchać lekarza, bo on jeden wie co dla nich jest dobre i korzystne.

Konformistyczni, zdyscyplinowani obywatele budują fabryki i produkują dobrobyt. Lecz nie produkują postępu.

Napór nie-konformistów spełnia dwie funkcje. Zmusza do pewnych ustępstw kierownictwo w państwach komunistycznych — oraz radykalizuje klimat społeczny w którym wychowuje się i formuje następne pokolenie przywódców. Ponieważ ów klimat w Związku Sowieckim — jak wskazują choćby reakcje na proces Siniawskiego i Daniela — jest dziś bardziej radykalny niż dawniej — wolno wnioskować, że następne pokolenie przywódców sowieckich będzie bardziej liberalne i postępowe niż obecne. I na tym polega socjalna mechanika postępu. Owe setki odważnych osób, które podpisały protesty, listy, memoriały w sprawie Daniela i Siniawskiego — być może nie pomogą bezpośrednio obu uwięzionym pisarzom — jednak z całą pewnością swoją akcją wywrą wpływ na klimat społeczny, a tym samym na pokolenie przyszłych sowieckich przywódców. Protest w słusznej sprawie nigdy nie idzie na marne.

Młodzi Rosjanie, którzy dziś protestują i potępiają władze swojego kraju za proces i uwięzienie Daniela i Siniawskiego — gdy za 15 lat dojdą do władzy utracą oczywiście połowę swojego liberalizmu. Każda władza jest anty-liberalna i apeluje do konformizmu, dyscypliny i posłuszeństwa. Legalna opozycja jest koniecznością i chroni aparat władzy przed totalizmem. Opozycja nie musi mieć charakteru ideologicznie przeciwnego. Można sobie doskonale wyobrazić socjalistyczną opozycję w socjalistycznym państwie.

Owen oczywiście nie miał racji. Socjalizm nie ma nic wspólnego z filantropią bogatych i potężnych. Wszystkie zdobycze społeczne na Zachodzie są wywalczone. Potężni i bogaci ustępują tylko pod naporem. Gdy Murzyni w Stanach Zjednoczonych uzyskają pełnouprawnienie — nie będzie to prezent gratis i franco od *Great Society* tylko zdobycz osiągnięta długotrwałą walką.

Jest rzeczą zdumiewającą, że ci sami zachodni intelektualiści, którzy uważają, że Murzyni w Ameryce powinni walczyć o swoje prawa, — w stosunku do Rosjan czy Polaków stają się owenistami i utopistami. Ani Rosjanie ani Polacy nie powinni walczyć, tym mniej protestować — ponieważ w ich krajach, jak w utopii Owena socjalizm, niczym manna, spada z góry a klasa

rządzająca staje się bardziej liberalna z tygodnia na tydzień. Nie należy przeszkadzać owemu procesowi liberalizacji, który wraz z (rzekomym) dobrobytem postępuje automatycznie. Paryska „Kultura” nie ma łaski w oczach tych panów bo nawołuje do naporu podkopując wiarę w „socjalizm-mannę”.

Ukochanym zajęciem zachodnich owenistów jest doszukiwanie się podobieństw pomiędzy Związkiem Sowieckim a Ameryką. Są nawet tacy entuzjaści, którzy uważają, że byłby czas zarzucić sowietologię. Jeżeli ustroje zachodnie są podobne, a w pewnych dziedzinach nawet identyczne z ustrojem sowieckim — nie ma powodu bawić się w sowietologię. Wystarczy jedna, wspólna dla wszystkich socjologia.

Pomiędzy fabryką samochodów w Detroit a fabryką samochodów pod Moskwą — prawdopodobnie nie ma poważniejszych różnic. Lecz dopóki w Związku Sowieckim za ogłoszenie dzieła literackiego autora wysyła się do łagru — należy spokojnie stwierdzić, że między ustrojem sowieckim a amerykańskim istnieje przepaść a nie podobieństwo.

Pisałem na tych łamach wielokrotnie o europeizacji Rosji. Europeizacja musi oznaczać zerwanie z utopizmem — zerwanie z socjalizmem ogólnym, zerwanie z mitem, który głosi, że im władcy są bogatsi i bardziej tłuści — tym są liberalniejsi. Demokracja nie musi oznaczać ani systemu wielopartyjnego, ani Izby Lordów ani senatu na wzór amerykański. Musi jednak oznaczać przyjęcie poglądu, że postęp jest produktem walki i naporu. Jeżeli walka i napór są uważane za działalność nielegalną — trzeba walczyć o postęp metodami nielegalnymi. Innego wyjścia nie ma. Ostatnie 200 lat społecznych dziejów zachodniej Europy streścić można w jednym zdaniu: niczego nie ma za darmo, wszystko trzeba wywalczyć. Z owego dialektycznego prawa postępu państwa komunistyczne nie są wyłączone.

„MEIN KAMPF”

Zarówno komunizm jak i chrześcijaństwo są ideologiami pochodzenia żydowskiego. O ile jednak chrześcijaństwo zostało przez Żydów na ogół odrzucone — o tyle w ruchu komunistycznym Żydzi odegrali poważną rolę. Komunizm w teorii jest doktryną uniwersalną i stanowi zaprzeczenie rasizmu a tym samym i anty-semityzmu.

Niestety komunizm nie okazał się lekarstwem na antysemityzm. Wystarczy porównać sytuację mniejszości żydowskich w Stanach Zjednoczonych i w Związku Sowieckim.

Każdy totalizm jest anty-mniejszościowy, a tym samym i antysemitcki. Ustroje totalne opierają się zawsze na szowinistycznej większości narodowej i stanowią spisek w skali państwowej wymierzony przeciwko interesom mniejszości. Interesy i prawa grup mniejszościowych nie są nigdzie w pełni chronione — lecz w państwach demokratycznych chronione są lepiej i skuteczniej niż w jakimkolwiek innym ustroju. Ci Żydzi, którzy przyczynili się do budowy totalizmu w Rosji i w innych krajach wschodnio-europejskich — działali w jaskrawej sprzeczności z interesami mniejszości żydowskiej.

PZPR zachowuje pewne pozory — ale jak wynika z książki prof. Schaffa — antysemityzm choć potępiany oficjalnie — stosowany bywa w praktyce. Nielegalna Komunistyczna Partia Polski odrzuciła wszelkie pozory w

tej sprawie przejmując żywcem hitlerowski żydożerczy żargon. Oto charakterystyczne wyjątki z deklaracji ideowej KPP:

„... Nie można tym bardziej przemilczać i tolerować faktu utworzenia się u nas syjonistycznej, trockistowskiej grupy nacjonalistów żydowskich, która pod płaszczykiem równo-uprawnienia dąży do ustanowienia panowania żydowskiej mniejszości narodowej nad 30 milionowym narodem polskim. Grupa ta rekrutuje się ze środowiska burżuazji i drobnomieszczaństwa żydowskiego i jest najbardziej pewną agenturą imperializmu w naszym kraju. Cieszy się ona poparciem nie tylko Izraela, ale i imperializmu amerykańskiego i radia „Wolna Europa”.

Nacjonałiści żydowscy na zasadzie kumoterskich powiązań i solidaryzmu narodowościowego opanowali i podporządkowali sobie środowiska naukowe, kulturalne, literackie i artystyczne, głęboko przeniknęli do aparatu gospodarczego oraz aparatu władzy partyjnej i państwowej. Zatruli kulturę narodu polskiego obcymi jej rozkładowymi treściami. Przytłumiona i zepchnięta została przez nich polska inteligencja twórcza i naukowa. Trzeba uwolnić i oczyścić te środowiska od ich wpływu, aby mogły się rozwijać swobodnie talenty polskiej inteligencji, której wspinała humanistyczne tradycje znane są szeroko na świecie”.

Deklaracja KPP mało przypomina Manifest Komunistyczny — przypomina natomiast do złudzenia „Mein Kampf”.

Prof. Schaff nie rozumie, że zdemokratyzowanie ustroju w Polsce leży w pierwszej linii w interesie Żydów i innych mniejszości narodowych. Tylko bowiem w ustroju demokratycznym można liczyć na wyłączenie polskiego antysemityzmu. Polscy Żydzi, którzy popierają czynem i piórem autorytatywne rządy w Polsce, są de facto antysemitami. Schaff i jemu podobni popierają w Polsce totalizm — mając jednocześnie pretensje, że ów totalizm jest antysemicki. Każdy totalizm jest anty-mniejszościowy a tym samym antysemicki. Byłby czas, by polscy Żydzi raz wreszcie to zrozumieli.

CO PO NAS?

„Państwo na Obczyźnie” czy to w wydaniu „Zamku” czy „Rady Trzech” jest koncepcją związaną z jednym pokoleniem. Statutu emigranta nie można dziedziczyć. Młodzi Polacy, urodzeni zagranicą, emigrantami nie są, choćby wykazywali największe przywiązanie do polskości.

Na emigracji panuje chaos podstawowych pojęć. Ci, którzy leżą na sztandarach (a nie rzadko na powierniczych funtach) to emigranci polityczni. Przez Polonię rozumiemy natomiast kapitulantów, którzy czekają tylko okazji by wypić „lampkę wina” w ambasadzie PRL.

Co mają robić młodzi Polacy, którzy nie chcą antyszambrować w ambasadzie PRL — a którzy, z racji swego urodzenia, nie są ex-senatorami, posłami, pułkownikami obozu „legalistycznego” obu denominacji?

Co się ma stać z majątkiem emigracji politycznej gdy nasz czas dobiegnie kresu?

Znam niezmiernie zasłużonych ludzi w Londynie, którzy w czasie wojny i w okresie powojennym zbierali źródła i dokumenty dotyczące określonego fragmentu naszej współczesnej historii. Ponieważ to są ludzie przeważnie po 70-ce — zastanawiają się komu przekazać zbiory i dorobek swojego życia. Niektórzy z nich po rozwadze i zasięgnięciu rad — poczynili już kroki by zbiory i archiwa po ich śmierci przekazane zostały pewnemu amerykańskiemu instytucji historyczno naukowemu.

Czy można się tym ludziom dziwić? Komu mieli zapisać swoje zbiory? Instytucji Sikorskiego, który walczy z trudnościami i być może za kilka lat nie będzie istniał?

Polski Ośrodek Społeczno Kulturalny jest pierwszą konkretną próbą znalezienia odpowiedzi na powyżej zacytowane problemy. Jest pierwszą próbą odpowiedzi na pytanie: co po nas? Odpowiedź może jest niedoskonała i na pewno jest niepełna. Lecz od oddźwięku społecznego z jakim spotka się inicjatywa POSK zależeć będzie zakres jego możliwości i działania.

Paryskiej „Kulturze” zarzucano wielokrotnie, że do wszystkiego na emigracji odnosi się krytycznie. To nie jest prawda. Był czas, że popieraliśmy gorącą ideę Skarbu Narodowego łącząc z tą instytucją wielkie nadzieje. Walczyliśmy przez szereg lat o wybory i popieraliśmy dziesiątki innych inicjatyw. Moje kroniki angielskie z lat 1949-59 stanowić będą pewien przyczynek do dziejów emigracji.

Od samego początku poparliśmy Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny, który na mapie polskiego Londynu stanowi niewątpliwie chyba jedyną instytucję, która rokuje przyszłość.

Bardzo niewielu ludzi umie umierać. Emigracje nie umieją umierać nigdy. Rozpływają się w morzu obcości — dobytek, zbiory i archiwa przechodzą w obce ręce a polityczne instytucje penetrują wywiady. Niedawno na łamach „Dziennika Polskiego” Aleksander Bregman zacytował instytucję emigracyjną (nie polską) która — choć Bregman tego nie wie — mogłaby służyć za ilustrację powyższej tezy.

Polski Ośrodek Społeczno Kulturalny mógłby uchronić nas od klasycznej degrengolady wszystkich emigracji — jeżeli wykorzystując pozostały czas — rozbudujemy go i zorganizujemy tak by trwał i... przetrwał.

W bieżącym numerze „Kultury” drukujemy informacyjny artykuł o POSK, który umożliwi naszym Czytelnikom zapoznanie się z tą instytucją. Instytut Literacki w Paryżu oraz wszyscy członkowie zespołu redakcyjnego „Kultury” są członkami POSK.

CZŁOWIEK I STOSUNKI MIĘDZYLUDZKIE

„... Jak wszyscy ludzie — jestem produktem przystosowania i doświadczeń. Widziałem straszliwą brutalność wojny w oczach umierających i odczułem ową brutalność na własnej skórze będąc ranny jako bojownik podziemia w czasie drugiej wojny światowej.

Doświadczenia wojenne, wzrastająca świadomość, że ludzie nie zawsze są w stanie uczynić to, co byłoby dla nich korzystne, przekonanie, że jednostki, a w jeszcze większym stopniu narody, nie zawsze poddają kontroli własne postępowanie — wszystko to leży u podstaw niniejszej książki. Pomysł owej zbiorowej pracy wywodzi się również z poczucia frustracji nauka-

mi politycznymi, które choć za swój przedmiot mają konflikty międzyludzkie — nie oferują żadnych rozwiązań”.

Oto w wolnym przekładzie wyjątek ze wstępu do monumentalnego dzieła pt. „Man and International Relations”, którego współ-autorem i redaktorem całości jest prof. J. K. Zawodny. Dzieło obejmuje dwa tomy — 2.300 stron druku. (Nakład: Chadler Publishing Company, San Francisco, California). J. K. Zawodny jest profesorem Uniwersytetu Pensylwanii (Political Science Department, Wharton School).

Nowością jest podejście zespołowe nie tylko w sensie liczby autorów, lecz również w sensie ich specjalności. Naukowcy-politycy, socjologowie różnych specjalności i sub-specjalności, psychologowie, psychiatrzy i tp. są autorami poszczególnych esejów i działów.

Pierwszy tom nosi tytuł: „Conflict”, drugi tom „Integration”. Przez „Integration” prof. Zawodny rozumie zjednoczenie wynikające z celowej, wolą podyktowanej współpracy wyłączającej użycie przemocy.

Prof. Konrad Lorenz dyrektor bawarskiego Max Planck Institute w swej książce pt. „Das Sogennante Böse” — porusza podobny temat. W jego opinii ludzie przypominają do złudzenia szczury. Szczur w ramach swojego klanu (narodu) jest pokojowy, solidarny, rodzinny. Natomiast wszystkie owe zalety wyparowują, gdy na danym terytorium zetkną się ze sobą dwa różne klany szczurów. Wówczas wybucha wojna, której totalizm i okrucieństwo porównać można tylko z wojnami ludzkimi. Szczury górują jednak nad nami w dwóch punktach. Gdy żywności jest mało, „wprowadzają” politykę ograniczenia urodzin. I punkt drugi: szczury nie wynalazły i nie wynajdą broni atomowej.

Problem agresywności ludzkiej badany jest przez biologów, psychologów, socjologów, historyków — ponieważ pokój świata i uratowanie ludzkiego gatunku nie zależą od propagandy — tylko od wykrycia praw determinujących ludzkie postępowanie.

Osobiście sędzę, że jeszcze ciągle popełniamy prymitywny błąd. Wydaje się nam, że skoro Chińczycy posługują się zachodnią fizyką i matematyką — to w rezultacie myślą naszymi kategoriami. Tak nie jest. Ostatnie wydarzenia w Chinach i towarzysząca im całkowita bezzadność komentatorów zachodnich — wykazują jasno, że po prostu nie rozumiemy co się tam dzieje.

Stosunki międzyludzkie muszą być oparte na wzajemnym zrozumieniu. Ilu Polaków zna Rosję? W większości wypadków ci Polacy, którzy byli w Rosji i znają język rosyjski — własne kompleksy i uprzedzenia nazywają „wyczcieniem” Rosji i Rosjan”.

Wydaje mi się również, że droga do *integration* wiedzie poprzez budowę międzynarodowej kultury. Fizycy sowieccy porozumiewają się znakomicie z fizykami zachodnimi. Lecz nie poeci, pisarze, filozofowie, socjologowie. Konflikty i wojny rodzą się z myśli ludzkiej. Cóż z tego, że mężowie stanu po obu stronach barykady nawołują do zachowania pokoju — jeżeli myślą innymi kategoriami i, co ważniejsze, hołdują różnym skalom wartości.

T T N

TTN, czyli „Towarzystwo Tromtadracji Narodowej” jest najbardziej różnorodnym i kolorowym ugrupowaniem polskim. TTN dokonało prawdziwe-

go cudu zgody narodowej — łącząc nie tylko „zamkowców” z entuzjastami Rady Trzech, lecz również zoologicznych antykomunistów z pro-chińskimi stalinowcami.

Londyński „Dziennik Polski” (25. 11. 66.) w programowym artykule pt. „My i Oni” pisał m.in. „Oni wrzeszczą o granicy zachodniej tylko po to, by odwrócić nasz wzrok od Lwowa i Wilna, a my pamiętamy o obu granicach”.

Trzeba uczciwie stwierdzić, że „Dziennik Polski” w TTN reprezentuje raczej skromność i umiarkowanie. Inni członkowie TTN nie zadawała się bowiem tylko Wilnem i Lwowem. I tak, na przykład, „Tymczasowy Komitet Centralny Komunistycznej Partii Polski” rozpowszechnia w Kraju i zagranicą mapę z optymistycznym napisem: „Taką Polskę gwarantujemy Wam”. Otóż Polska, którą gwarantuje nam KPP obejmuje: Królewiec, Wilno, Mińsk, Bobrujsk, Mozyrz, Kijów i Berdyczów. Lwów na tej mapie znajduje się w odległości 300 km. od granicy sowieckiej.

Kto więc lepiej pamięta o naszej wschodniej granicy: „Dziennik Polski” czy Komunistyczna Partia Polski?

Zbędne dodawać, że na mapie KPP granica zachodnia biegnie na Odrze i Nysie.

Lecz niewątpliwie londyński „Dziennik Polski” i Komunistyczna Partia Polski tworzą skrzydło umiarkowane w TTN. Wydawany w Australii „Nurt” idzie bowiem znacznie dalej w swym śmiałym programie. W numerze październikowym tego miesięcznika czytamy czarno na białym: „Tak więc warunkiem podstawowym odzyskania przez nas narodowej niepodległości politycznej byłoby wyzwolenie terytorium Polski historycznej, piastowsko-jagiellońskiej, od Bałtyku do Morza Czarnego i od linii Odry-Nysy aż poza Dniepr, z polskim Kijowem i Smoleńskiem”.

Wyznaje szczerze, że najbardziej odpowiada mi Polska proponowana przez „Nurt”. Bałtyk jest piękny, lecz ciepłe plaże nad Czarnym Morzem to doprawdy czarujące perspektywy. Można by dorzucić Krym. Wydaje mi się, że władze TTN powinny powołać sekcję „wyzwolenia polskiego Krymu”.

LONDYŃCZYK

PACZKI BEZ CŁA - PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI



Tel: FRE. 7888

\$ = 72 zł.

£ = 201 zł.

PRZEDSTAWICIELSTWO

BANKU P.K.O.

HASKOBA LTD

81 CROMWELL Rd., LONDON S.W. 7

BIURO PODRÓŻY: ANGLOPOL TRAVEL Ltd.
38 Thurloe Place, LONDON S.W. 7 Tel. KEN 3223

Wbrew utopiom i apokalipsom

Zwykły „comics” w wielkim amerykańskim dzienniku powiedział mi więcej, niż wszelkie polityczne komentarze o zmianie stosunku opinii amerykańskiej do europejskiego komunizmu. W comics’ie tym amerykański generał informuje bohatera o szatańskim planie Chińczyków: przemycają oni w częściach bomby atomowe do Stanów Zjednoczonych i Związku Sowieckiego aby je zdetonować na odległość i wywołać wojnę między tymi krajami.

Nic to innego, jak transpozycja w popularnej formie słynnego listu Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego do wszystkich partii komunistycznych z marca 1966, w przedzień otwarcia obrad 23 Zjazdu Partii.

„Kierownictwo chińskie” — głosił list — „potrzebuje długiej wojny w Wietnamie dla podtrzymania napięcia międzynarodowego i stworzenia obrazu Chin jako oblężonej twierdzy. Wszystko wskazuje na to, że celem kierownictwa chińskiego jest doprowadzenie do konfliktu zbrojnego między Związkiem Sowieckim i Stanami Zjednoczonymi. Konflikt taki jest im potrzebny, by — jak sami to stwierdzają — móc z wysokiej góry patrzeć na zagryzanie się dwóch tygrysów”.

Czyżby Związek Sowiecki ustąpił Chinom swe uniwersalistyczne aspiracje, nieodłącznie przecież związane z jego ideologią, by stać się w ten sposób „krajem jak każdy inny” w świecie policentrycznym, oddanym sprawie koegzystencji nuklearnej? Wojna w Wietnamie tak utrudnia dialog Wschód-Zachód, że nie można odpowiedzieć twierdząco na powyższe pytanie. Związek Sowiecki nie chce i nie może zaprzeczyć ideologicznym podstawom swego ustroju. Niemniej sprzeczności między interesami narodowymi i ideologią istnieją tak w jego polityce zagranicznej, jak i wewnętrznej.

Sprzeczności te ujawniły się od chwili ogłoszenia tajnego sprawozdania Chruszczowa stawiającego pod znakiem zapytania nieomyślność partii, i od chwili, kiedy konflikt rosyjsko-chiński po-

łożył w sposób oczywisty kres jedności świata komunistycznego. Sprzeczności te pozwoliły obserwatorom zachodnim na postawienie dwóch tez podobnych, a jednak różnych: końca ideologii w Związku Sowieckim i możliwej zbieżności ustrojów sowieckiego i typu zachodniego.

Teza o końcu ideologii datuje się od opublikowania w roku 1955 książki Raymonda Aron pt. „L'Opium des Intellectuals”. Zbyt często zapomniano w dyskusji na ten temat, że Aron określił ideologię jako „pseudo-systematyzację poglądu ogólnego na świat historyczny”. Stalinizm był formą krańcową tak pojętej ideologii (Aron używa również określenia: „religia świecka”). Chodziło zatem nie o ideologię w szerokim pojęciu Emila Durkheima, który stwierdzał, że „każde społeczeństwo jest porządkiem moralnym”, czy samego Raymonda Aron, który również uznaje trwałość „ukształtowania postawy historycznej lub hierarchii wartości²”. Nie ma podstaw do wierzenia, że świat komunistyczny odejdzie od marksizmu-leninizmu jako ideologii urzędowej. Nie ulega natomiast wątpliwości, że w Związku Sowieckim, a w większym jeszcze stopniu w krajach demokracji ludowej, pewne tezy podstawowe marksizmu-leninizmu zostały po śmierci Stalina podważone i że system nie stwarza już pozorów fałszywej jednolitości jak za stalinizmu. Dyskusje w dziedzinach nauk ścisłych, filozofii, socjologii, literatury i sztuki stanowią rewizję marksizmu-leninizmu zbliżając go na nowo do zasadniczych prądów racjonalistycznej myśli zachodu. Chciałbym zilustrować tę erozję ideologiczną w jej punktach najważniejszych, podkreślając że tezy marksistowsko-leninowskie wyłączone z dyskusji wewnętrznej i zachowujące wartość-dogmatu, to przede wszystkim te, które tworzą podstawy „historycznej misji” partii: monopolu władzy.

Takie ograniczenie prowadzi wprost do innej tezy, mianowicie do możliwej zbieżności ustrojów sowieckiego i typu zachodniego. Teza ta wynika po części z tradycyjnego rozumowania historycznego, które od wieków przyjmuje, że każdy fanatyzm ideologiczny jest skazany na zagładę. Można wymienić tu cykl dekadencji dynastycznej Platona, upadek elity od „lwów” do „lisów” Pareto, Kapuę starożytnych i „embourgeoisement” współczesnych. Nowej aktualności temu sceptycyzmowi nadało nadejście nowego uniwersalnego typu społecznego, którego analizę zawdzięczamy również Raymondowi Aron, nazwanego przezeń społeczeństwem przemysłowym. Ustroje zasadniczo sobie wrogie, jak Związek Sowiecki i zachodnie demokracje, zbudowały u siebie przemysł, którego techniki produkcyjne są podobne, co sprzyja coraz większemu zbliżeniu nadbudowy technicznej i administracyjnej. Jeśli Raymond Aron bynajmniej nie wyciąga stąd wniosku o nieunik-

1. Książka ta ukazała się jako XIV tom Biblioteki „Kultury” pt. *Koniec wieku ideologii*”.

2. Raymond Aron: *Trois Essais sur l'Age Industriel*, Collection Preuves, Plon 1966.

nionej dezintegracji ustroju politycznego i monopolu ideologicznego po stronie komunistycznej, to liczni komentarzy postawili znak równania między demokracją i dobrobytem i zdają się wierzyć, że totalitaryzm związany z okresem początkowej przyspieszonej industrializacji, nie oprze się wzrostowi poziomu życia. Zbigniew Brzeziński słusznie odkrył w tym rozumowaniu pewną formę wulgarnego marksizmu, w którym typ ustroju politycznego i ideologia są funkcją stopnia rozwoju sił produkcyjnych.

Chciałbym zająć się osobno każdą z tez: o „końcu ideologii” w Związku Sowieckim i o ewentualnej zbieżności dwu ustrojów, by wykazać, że o ile zmiany ideologiczne w naukach ścisłych, ekonomii, literaturze, są możliwe, to z drugiej strony jedyna wiara jakiej partia wymaga, to wiara w partię, co musi ograniczyć tezę o zbieganiu się ustrojów.

Ograniczę się tutaj do ewolucji idei w Związku Sowieckim. W innych krajach Wschodu podobne zagadnienia są równocześnie i bardziej widoczne i mniej ostre. W roku 1945 zachodni „progresiści” wierzyli, że Historia oddała swej córce pierwotnej, Rosji, Europę Wschodnią w wieczyste wiano. Dziś w świetle destalinizacji i policentryzmu widać jasno, że sowieckie imperium poniosło w Europie Wschodniej historyczną klęskę. Związkowi Sowieckiemu nie udało się zrusyfikowanie ludności tych krajów, ani nawrócenie ich na marksizm-leninizm. Gwałtowny charakter przebiegu rewizjonizmu w Polsce i na Węgrzech w roku 1956 był reakcją na stosunkowo krótki okres przymusu. Bunt intelektualistów polskich i węgierskich wywarł wielki wpływ na intelektualistów sowieckich, ale dopiero tam odchodzenie od ideologii odbywa się w ramach kraju stworzonego przez ideologię, która jest raczej wzmacniana niż osłabiana przez narodową solidarność.

W pewnych punktach zasadniczych marksizm-leninizm w swej obecnej formie znajduje się w Związku Sowieckim w defensywie.

Materializm dialektyczny jest podstawą filozofii sowieckiej, ponieważ ma dać odpowiedź na wszystkie pytania związane z rzeczywistością i poznaniem. Odkrycia nowoczesnej nauki — zwłaszcza fizyki, logiki i matematyki — z trudem dają się pogodzić z „kategoriami marksistowskimi” materii, przestrzeni i czasu. Długo ściśnięci w ramach dogmatów materializmu dialektycznego uczeni sowieccy, wywalczyli od dziesięciu lat prawo pierwszeństwa nauki przed filozofią.

Teoria wyzysku Marksa jest politycznym i moralnym usprawiedliwieniem jego systemu. Teoria ta oparta jest na pojęciu wartości pracy nie do pogodzenia z pojęciem rzadkości (*rareté*) ani z rozumowaniem marginalnym, bez których nowoczesna ekonomia nie może zapewnić racjonalnego podziału dóbr. Ekonomści sowieccy wypracowali obecnie teorie, które otwarcie przyznają anachronizm koncepcji Ricardo i Marksa.

Materializm historyczny, teoria determinizmu historycznego i „praw obiektywnych rozwoju społecznego” jest dziełem podstawowym Marksa. Formuluje on to w swym liście z roku 1852:

„Czego nowego dokonałem, to — po pierwsze udowodniłem, że *istnienie klas* związane jest z poszczególnymi etapami rozwoju produkcji; po drugie, że walka klas prowadzi nieuchronnie do *dyktatury proletariatu*; po trzecie, że dyktatura ta jest tylko okresem przejściowym, który poprzedza *zniesienie klas i stworzenie społeczeństwa bezklasowego*”.

Jeśli w każdej dziedzinie doktryna marksistowsko-leninowska natrafiała na opór *praxis*, to stało się tak przede wszystkim w przypadku materializmu historycznego, który poprzez swe elementy, determinizmu i woluntaryzmu, miał stanowić zarazem z góry wytyczoną drogę i drogowskaz. Jest jasne, że analiza marksistowska nie zgadza się z historią XX wieku. To na tym gruncie ideologia sowiecka napotyka na najtrudniejsze do rozwiązania problemy, takie jak rozwój kapitalizmu, nieomylność partii (rola Stalina i Chruszczowa) i policentryzm wewnątrz obozu socjalistycznego.

Nie będę omawiał tutaj przewrotu, jaki dokonał się w dziedzinie literatury i sztuki. Rozpoczęty w Polsce i na Węgrzech około roku 1956 i przeniesiony następnie do Związku Sowieckiego, stanowi on najbardziej znany aspekt tzw. Odwilży. Teorie realizmu socjalistycznego i żdanowszczyzna nie są niczym zasadniczym w samym marksizmie-leninizmie, stanowią raczej jedno z oblicz stalinizmu. Niemniej należy sobie zdać sprawę z ogromnego znaczenia, jakie ma odzyskanie przez pisarzy „liberalnych” prawa do przedstawiania sowieckiego życia takim, jakim jest, a nie takim, jakim by chciała je widzieć ideologia. Z drugiej strony fakt, że konflikt między „twardymi” i „liberałami” w literaturze został w pewnym stopniu oficjalnie uznany (od kilku lat i jedni i drudzy mają do dyspozycji własne pisma) może być zapowiedzią pewnej formy pluralizmu której zastosowanie w innych dziedzinach nie jest wykluczone. Wreszcie to proces Daniela i Siniawskiego wywołał protesty bez precedensu ze strony licznych partii komunistycznych i co więcej także apel najwybitniejszych pisarzy, artystów i uczonych sowieckich, skierowany wprost do Komitetu Centralnego, o zamknięcie drogi powrotu do dawnych metod represji.

Materializm dialektyczny, nauka i filozofia. Materializm dialektyczny chce być naukowym obrazem świata — i to obrazem powstałym wprost z nauki. Engels, który dał początek dialektyce jako „nauce o prawach powszechnych wszelkiego ruchu”, sądził, że filozofia rozplynie się w naukach ścisłych, skoro tylko uczeni i filozofowie zaczęną posługiwać się metodą dialektyczną. Rozróżnienie pomiędzy materializmem dialektycznym a naukami ścisłymi było przedmiotem licznych kontrowersji w Związku Sowieckim. Od samego początku trzeba było odpowiedzieć na pytania: czy w społeczeństwie zorganizowanym na zasadach naukowego

socjalizmu, filozofia ma rację bytu? co jest istotą materializmu marksistowskiego? jaki autorytet ma rozstrzygać kontrowersje filozoficzne? W latach 1920 marksiści pozytywiści popierani przez licznych uczonych, oświadczeni, w oparciu o engelsowskiego „Anti-Duehring’a” za ustąpieniem miejsca przez filozofię naukom przyrodniczym i historycznym, które staną się jej sumą. Przeciwwstawiali im się zwolennicy Hegla i Lenina, którzy pod kierunkiem filozofa Abrama M. Deborina odnieśli decydujące zwycięstwo w roku 1929. Był to triumf filozoficznego programu Lenina (który rezerwował sobie prawo krytykowania nie pojęć naukowych jako takich, ale epistemologii współczesnej fizyki) nad tradycją „scjentyzmu” Engelsa.

Czy jednak przyjąwszy nadrzędność materializmu dialektycznego nad nauką, można było pozostawić filozofom swobodę decydowania o materializmie dialektycznym? W roku 1931 Komitet Centralny partii oskarżył Deborina i jego zwolenników o wprowadzenie rozdziału filozofii i polityki, teorii i praktyki, i pominięcie czynnika „partyjności” nauki i filozofii. Od tego czasu filozofowie „zawodowi” nie odgrywali już żadnej roli w rozwoju marksizmu-leninizmu.

Z teorii marksistowskiej nie wynika jasno, jaka ma być rola nauki, bądź co bądź jednej z podstaw doktryny. Marksizm jest „naukowy”, ale nauka, jako teoria i praktyka, uznana została za podporządkowaną siłom ekonomicznym i materialnym. Lenin nigdy jasno nie potwierdził „klasowego charakteru” nauki — potępiając tylko filozofię „oficjalną” będącą na usługach reżymów burżuazyjnych (zgodnie z tradycją marksistowskiej krytyki idealizmu). Począwszy od roku 1931 stalinizm zaprzeczył istnieniu obiektywnych podstaw nauki, włączając ją do nadbudowy. Uczni „burżuazyjni” byli odtąd oskarżani o udział w spisku mającym na celu pogodzenie nauki z religią. Teorię względności oskarżono o podważanie podstaw absolutnych czasu i przestrzeni. Fizykę kwantową o wprowadzanie subiektywizmu do opisu rzeczywistości.

Jeśli zdamy sobie sprawę, że teoria względności była w Związku Sowieckim wyklęta aż do roku 1954, a fizycy sowieccy byli zmuszeni do rytualnego odżegnania się od „reakcyjnego” einsteinizmu, to broń nuklearna i sputniki świadczą aż nadto dobitnie, że słowne deklaracje nie miały większego wpływu na to co działo się w laboratoriach i fabrykach. Wszyscy eksperci zachodni są zgodni, że uczeni rosyjscy składają terminologię materializmu dialektycznego w hołdzie urzędowej filozofii państwa, stosując jednocześnie metody naukowe wspólne całej nauce zachodniej. Jeden z najlepszych specjalistów od spraw nauki sowieckiej, Maksym X. Mikulak, stwierdza: „W żadnej pracy naukowej uczonych sowieckich, jaką czytałem, nie znalazłem zastosowania zasad myśli dialektycznej, ani metodologii typowej dla materializmu dialektycznego”³.

3. „Survey”, Londyn, lipiec 1964.

Jest rzeczą pewną, że materializm dialektyczny stosowany przez stalinowców, był przeszkodą na drodze rozwoju niektórych dziedzin nauki. Najdrastyczniejszym przykładem jest historia agronoma T. D. Łysenki, który starał się skompromitować genetykę z pozycji ideologicznych. Są inne przykłady w zakresie astronomii, rolnictwa, nawet fizyki. Sławny fizyk sowiecki P. Kapica oświadczył w roku 1962, że sowiecki materializm dialektyczny odrzucił cybernetykę, teorię kwantów, teorię względności, na czym nie wyczerpuje się lista błędów. „Jeśliby Sowiety przyjęły nadrzędność filozofii w roku 1954 — pisał on — nie byłoby mowy o podboju kosmosu”.

Program partii z roku 1961 wprowadził wreszcie nową definicję nauki: poszukiwania teoretyczne i poszukiwania stosowane, nie są już uważane za część nadbudowy, lecz są „siłami produktywnymi” i „czynnikiem podstawowym w rozwoju sił produktywnych”. To co nam, na Zachodzie, może się wydać scholastyczną żonglerką słowną, to w ustroju, który przez tak długi czas uważał „Diamat” za podstawę swej filozofii, nabiera innego ciężaru. Jeżeli bowiem nauka jest częścią sił produktywnych, a nie nadbudową, to jej odkrycia i działalność są w pewnym stopniu z góry usprawiedliwione w ramach samej doktryny. Tak jak na Zachodzie, teoria ma być odtąd zgodna z normami i odkryciami nauki, zamiast narzucania jej ram dogmatycznych. Akademię E. L. Sobolew w znanym sprawozdaniu potępił „tych, którzy mówią o naukowych teoriach idealistycznych i materialistycznych”. Podczas gdy obserwator tak poważny jak A. J. Ayer pisał w roku 1962, po odbyciu cyklu odczytów w Moskwie: „Prestiż nauki jest tak wielki, że to filozofowie muszą teraz przystosować swe zasady do teorii naukowych, a nie odwrotnie”.

Lewis S. Feuer z chicagoskiego uniwersytetu, który przez wiele miesięcy spotykał się z członkami Instytutu Filozofii moskiewskiej Akademii Nauk, jest przekonany, że chociaż wszyscy filozofowie sowieccy zapewniali go, że są materialistami dialektycznymi, to jednak powstają niewątpliwie liczne kierunki filozoficzne, choć są one nadal klasyfikowane jako „materializm dialektyczny”. „W Związku Sowieckim — pisze on — istnieją odpowiedniki wszystkich kierunków filozoficznych znanych w Europie Zachodniej i Ameryce. Gdyby przestała istnieć filozofia urzędowa, należałoby się liczyć z rozkwitem wszystkich prądów filozoficznych⁴”. Trzy kierunki zasadnicze udało się wyodrębnić Feuer'owi, jako uprawiane przez młodych filozofów sowieckich: realizm naukowy, egzystencjalizm i pragmatyzm. Filozofowie „naukowi” sądzą razem z Bertrandem Russellem, że tylko struktura świata fizycznego jest poznawalna. Egzystencjaliści odkrywają młodego Marksa z okresu „Rękopisów” i alienację. Bardziej wydają się zajęci zagadnieniami życia indywidualnego, niż ideologią walki klas, i odkrywają Bierdiajewa i Sołowjowa. Pragmatyści chcą pogłębić marksistowską kategorię *praxis* i pociąga ich Pierce oraz Dewey.

4. „Survey”, kwiecień 1964.

Wartość pracy i ekonomia racjonalna. Marksistowskie pojęcie wartości pracy, powstałe z Ricarda (wartość wymienna towaru jest równa ilości pracy ludzkiej społecznie potrzebnej, by w danej epoce przeciętny pracownik wypracował średnią jednostkę tego towaru) jest podstawą pojęcia nadwartości (wartość wyprodukowana przez „nad-pracę” nie wynagrodzona i przywłaszczona przez kapitał), które z kolei dało początek teorii wyzysku jedynego usprawiedliwienia politycznego i moralnego dla systemu stworzonego przez Marksa (skoro odrzucił on jako „idealistyczne” wszelkie argumenty etyczne i emocjonalne przemawiające na korzyść rewolucji).

Nic dziwnego, że w Związku Sowieckim teoria ta stała się dogmatem. W pierwszym okresie gospodarki planowej, kiedy gospodarka była całkowicie podporządkowana administracji centralnej, można było jeszcze wypracować plan oparty o sam materiał, z cenami dowolnymi. Ale w miarę jak gospodarka stawała się coraz bardziej złożona, stawało się również coraz trudniejsze przyznawanie wartości jedynie pracy, bez brania pod uwagę terenu i kapitału. Zgodnie z teorią wartości pracy, ekonomiści sowieccy dostrzegali w stopie procentowej tylko i wyłącznie wyzysk, odmawiając przyznania jej wartości mechanizmu określającego stopień rzadkości kapitału i kierującego go na drogi największej produktywności. Planiści sowieccy muszą dziś brać pod uwagę racjonalny rozdział środków, co w nowoczesnej ekonomii jest możliwe tylko pod warunkiem uznania zasady rzadkości, rozumowania marginalnego, a stąd posługiwania się cenami jako wskaźnikiem.

Upraszczając, można by powiedzieć, że Związek Sowiecki musi wybrać między dwiema alternatywami, przy czym obie są nie do pogodzenia z teorią wartości pracy. Pierwsza, znana jako „libermanizm” od nazwiska charkowskiego profesora. E. Libermana, polegałaby na przebudowie mechanizmu rynku przyznając dyrektorom przedsiębiorstw swobodę najkorzystniejszych kombinacji pracy z kapitałem dla wykonania ustalonego planu produkcji. Druga alternatywa, łączona jest z nazwiskiem profesora Kantorowicza, jednego z wynalazców programowania linearnego, polega na powierzeniu komputerom racjonalnego pogodzenia ostatecznej konsumpcji z planowaniem centralnym bez uciekania się do rynku lub raczej poprzez elektroniczną rekonstrukcję rynku idealnego. Są to jednak na razie spekulacje teoretyczne, ponieważ mimo że ludzkość dysponuje dziś metodami matematycznymi i elektronicznymi maszynami (komputerami), to trzeba by było paru dziesiątków lat dla zebrania danych, których wymagałby plan ekonomiczny o takim zasięgu. Wprowadzenie tej szkoły matematycznej nie jest wcale mniej niebezpieczne dla teorii marksistowskiej, ponieważ przyjmuje ona nie pracę lecz pojęcie rzadkości, jako źródło wartości i opiera się na rozumowaniu marginalnym. Konserwatywni ekonomiści sowieccy zdają sobie z tego sprawę. Jeden z nich, Gatowski, otwarcie oskarżył L. W. Kantorowicza o „rewizję marksistowskiej teorii wartości

pracy" ponieważ „systemy marginesowe wartościowania zbudowano nie w oparciu o wydaną społecznie pracę lecz na zasadzie „przydatności marginesowej” tj. przydatności ostatecznej jednostki danego produktu, zaspakajającej najmniej ważną potrzebę nabywcy⁵”. Jeden z przedstawicieli sowieckiej szkoły matematycznej, Niemczynow, pisał niedawno, że do skuteczności w gospodarce socjalistycznej można dojść tylko na podstawie rynku konkurencyjnego stworzonego w ramach planowania wskaźnikowego, albo przy pomocy komputerów, lub wreszcie przez połączenie obu systemów. We wszystkich trzech przypadkach marksistowska teoria wartości pracy przestaje istnieć.

Paradoksem jest, że o ile nowe techniki nie dają się pogodzić z teorią wartości pracy, to tylko przy ich wprowadzeniu może Związek Sowiecki znieść pieniądź, spełniając w ten sposób warunek zasadniczy drugiego etapu komunizmu, którego nadejście jeszcze przed końcem wieku obiecał ostatni program Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego. Jeśli „rynek elektroniczny” wprowadzi heretyckie czynniki renty i stopy procentowej, to będą to tylko czynniki-zjawy, i chociaż doktryna wyjdzie z tej próby osłabiona, to instytucje będą mogły wreszcie pretendować do wcielenia swego historycznego przeznaczenia.

Materializm historyczny i przyszłość partii. Teoria marksistowsko-leninowska opiera się na schemacie rozwoju społecznego zapewniającego ostateczne zwycięstwo socjalizmu nad kapitalizmem niejako automatycznie. Ekonomia kapitalistyczna powinna przy tym przejść w stan permanentnego kryzysu bez wyjścia. Nie ma potrzeby wymieniania tu wszystkich dowodów przeczących takiej analizie.

Kapitalizm uniknął postępującej pauperyzacji; nie tylko utrzymał — poprzez interwencje Państwa — wysoką stopę przyrostu ekonomicznego, ale po roku 1945 gospodarka zachodnia nie zaznała — rzecz bez precedensu — ani depresji, ani kryzysu. Poza tym żadna rewolucja typu marksistowskiego nie zastąpiła systemu kapitalistycznego w jego wysokim stadium rozwojowym, podczas gdy rewolucje komunistyczne zdarzały się w krajach nierozwiniętych i to dzięki akcji chłopstwa, a nie klasy robotniczej.

Przeciwnieństwa pomnożyły się po śmierci Stalina. Przemówienie Chruszczowa otwarcie postawiło pod znakiem zapytania nieomyślność partii, a ten podstawowy dogmat został jeszcze bardziej osłabiony przez usunięcie samego Chruszczowa. Zjawiska rozwoju gospodarczego i społecznego związane z pojęciem społeczeństwa przemysłowego stawiają pod znakiem zapytania konieczność prymatu partii wewnątrz Związku Sowieckiego i każdego rozwiniętego kraju komunistycznego. Policentryzm obalił prymat Związku Sowieckiego jako wzoru rozwoju społecznego.

Z punktu widzenia materializmu historycznego problemem

5. Cytowane przez Alfreda Zaubermana, „Survey”, lipiec 1965.

centralnym, jądrem sowieckiej doktryny, jest przypisywanie sobie wypełnienia misji historycznej (zbudowania komunizmu) przez jedyny do tego powołany organ (kierownicza rola partii). W tej dziedzinie partia jest narażona na największe niebezpieczeństwo, ponieważ musi utrzymać swój legitymizm pomimo „błędów” przeszłości i będąc zmuszona do sprecyzowania swej roli w przyszłości. Co więcej, musi ona utrzymywać swój uniwersalizm podminowany przez policentryzm.

Jasne, że doktryna jest bezużyteczna w odniesieniu do przeszłości. Stanisław Jerzy Lec zawarł ten dylemat w celnym aforyzmie: „Ominąłem z szacunkiem tę brudną kałużę — wczoraj była jeszcze białym śniegiem”.

By pozostać wiernym materializmowi historycznemu trzeba by stalinowską tyranię wyjaśnić w kategoriach nadbudowy w odniesieniu do istniejącej bazy ekonomicznej. Ale równałoby się to zakwestionowaniu systemu sowieckiego. Jeśli natomiast mamy przyjąć poważnie twierdzenie Chruszczowa, że stalinizm był wynikiem charakteru samego Stalina, to trzeba byłoby także wziąć pod uwagę psychologię jego ofiar i współpracowników, a w tym celu przyjąć oczywiście metodologię nie marksistowską. Analiza taka jest naturalnie możliwa i była praktykowana na Zachodzie jeszcze przed tajnym sprawozdaniem Chruszczowa. Tak więc antropolog angielski Geoffrey Gorer⁶ tłumaczył stalinizm rosyjskim charakterem: dzieci rosyjskie są spowinięte ciasno w powijaki co kształtuje charakter narodowy objawiający się w kolejnych cyklach uległości i gwałtowności, apatii i manii prześladowczej, nienasyconości i abstynencji. Nathan Leites⁷ wypracował koncepcję „charakteru bolszewickiego”, który przypisuje dążeniom podświadomym: fascynacji śmiercią i impulsom homoseksualistycznym. Wybrałem te dwa krańcowe przykłady, by wykazać, że nie jest rzeczą niemożliwą studiowanie stalinizmu poprzez charakterologię. W tym celu jednak trzeba oddalić się od marksizmu bardziej jeszcze niż to uczynił Max Weber analizując kapitalizm w kategoriach etyki protestanckiej. Trzeba odwołać się do Freuda. Taka analiza oczywiście wykazałaby również — innymi drogami — totalitarny charakter systemu. Sowiety nie mogą więc swobodnie przeprowadzić analizy stalinizmu. Dla oszczędzenia zarówno i doktryny jak instytucji, trzeba trzymać się „błędów” Stalina...

Nie mogąc usprawiedliwić swej przeszłości, reżym sowiecki musi podkreślać swój charakter teleologiczny. Ale przyszłości nie przepowiada się bez ryzyka. Socjalistyczna utopia była daleko sięgającym usprawiedliwieniem produkcji za wszelką cenę i mimo wszystko. Podobna do fikcyjnej linii horyzontu, oddalała się ona w miarę jak miała się przybliżać. Żyło się w obsesji produkcji ilościowej i w nadziei nadejścia socjalizmu wyśnionego przez

6. Geoffrey Gorer and John Rickmann: *The People of Great Russia*. Londyn, 1949.

7. Nathan Leites: *A Study of Bolshevism*, Glencoe, Illinois, 1954.

Marksa, bez uznania potrzeby prostego, pośredniego etapu — podniesienia poziomu życia. Dzień dzisiejszy poświęcono w ofierze nieokreślonej przyszłości. W roku 1956 Leszek Kołakowski wołał w zniechęceniu:

„Nigdy nie uwierzę, by życie moralne i umysłowe ludzkości stosowało się do praw ekonomicznych, że oszczędzając dziś, będziemy mieli więcej jutro; że mamy poświęcać nasze życie dziś dla jutrzejszego triumfu prawdy, ani, że zbrodnie mają brukować drogi przyszłej obfitości”.

Chruszczow uznał istnienie czasu teraźniejszego opowiadając się za koniecznością dobrobytu i w sowieckim planie zaspokojenie potrzeb zajmuje dziś miejsce równe produkcji. Wprowadzając pojęcie dobrobytu i eliminując terror, reżym sowiecki musiał wrócić do obietnic i sprecyzować utopijną chronologię. Nowy program Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego z października 1961 roku (może nie od rzeczy będzie przypomnienie tu, że jest to zaledwie trzeci program z rzędu, po pierwszym z roku 1903 i drugim z roku 1919) stwierdza, że „baza materialna i techniczna komunizmu zostanie zbudowana z końcem drugiej dekady (1971-1980)” i że w tym okresie „społeczeństwo sowieckie zbliży się do etapu, w którym zostanie wprowadzona zasada rozdziału według potrzeb”. W ten sposób, po raz pierwszy Związek Sowiecki przyjął ryzyko — i to w okresie bliskim — że obietnice przezeń dane mogą być sprawdzone w ich realizacji.

Jeszcze poważniejsze problemy stawia przed Związkiem Sowieckim policentryzm. Doktryna o niezniszczalnej jedności obozu socjalistycznego opierała się na nieomyślności kierownictwa partyjnego sowieckiego. Zniszczenie tego mitu musiało siłą rzeczy osłabić jedność, chociaż czynniki powodujące rozbięcie istniały już w epoce stalinowskiej. Policentryzm jest zjawiskiem złożonym, zawierającym i konflikt chińsko-rosyjski i rosnącą niezależność krajów Europy Wschodniej rozpoczętą od rewolucji polskiej i węgierskiej w roku 1956, związanej z destalinizacją. Konflikt chińsko-rosyjski jest zapewne wcześniejszy i świat komunistyczny miał dwa ośrodki polityczne już od roku 1950. Policentryzm stał się jednak faktem nieodwracalnym od chwili, kiedy każdy z tych ośrodków chciał tylko sobie przywłaszczyć prawo interpretacji doktryny uniwersalnej.

„Komunizm narodowy” jest zjawiskiem tak świeżym, że sama nazwa wydaje się nam jeszcze dziś sprzecznością. Dla ojców doktryny, dla Lenina, nawet stalinowskich aparatczyków (przynajmniej na pewnym poziomie ich świadomości) nie było wątpliwości, że zwycięstwo komunizmu w skali światowej będzie oznaczać koniec nacjonalizmów, początek uniwersalnego społeczeństwa i realizację wizji Marksa według której społeczeństwo zastąpi państwo. Nie ma potrzeby przypominania tutaj stopniowej erozji międzynarodowego charakteru ruchu komunistycznego. Nawet po rewolucji rosyjskiej, kiedy stało się jasne, że komunizm nie może być zbudowany według przewidywań Marksa,

koncepcja internacjonalistyczna pozostawiała każdemu nowemu państwu komunistycznemu prawo dobrowolnego przyłączenia się do Związku Socjalistycznych Sowietkich Republik, pojętego nie jako państwo ograniczone geograficznie, lecz jako federacja wszystkich państw o ustroju komunistycznym. Ta zasada stała się ironicznym usprawiedliwieniem aneksji krajów bałtyckich. Pierwszym wyłomem w tej praktyce było po ostatniej wojnie, powstanie koncepcji „demokracji ludowych”. Znaczenie taktyczne tej nowej formy „komunizmu narodowego” wydawało się jednak proste: czy nie chodziło po prostu o danie koniecznego czasu partiom komunistycznym w krajach satelickich dla wykorzystania czynnika narodowego w jednym tylko celu — przygotowania ostatecznego włączenia tych krajów do Związku?

Ideologia marksistowsko-leninowska okazała się zatem bezsilna wobec zagadnień policentryzmu. W studium zatytułowanym „Etapy rozwoju światowego systemu socjalistycznego⁸” historyk Sanakojew doszedł do wniosków, że „powstanie republik sowieckich — Ukrainy, Białorusi, Armenii”... „rozpoczęło wypracowywanie form i metod powstawania stosunków między narodami suwerennych państw, opartych na zasadach proletariackiego internacjonalizmu”, ale nie może on dla oczywistych przyczyn, wymienić innego, nieco ważniejszego państwa socjalistycznego, tj. Chin. Kolejne slogany internacjonalizmu wyrażają same przez się ewolucję doktryny marksistowsko-leninowskiej i stawkę polemiki rosyjsko-chińskiej.

Pierwsza Międzynarodówka przed wiekiem przyjęła za swój, bojowy okrzyk Marksa: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!”

Lenin, objąwszy władzę w kraju nierozwiniętym, poszerzył hasło, wołając: „Robotnicy i ludy uciskane wszystkich krajów, łączcie się!”

Stalin, który przemieniał w środki wszystkie cele doktryny, użył internacjonalizmu dla umocnienia swej władzy: „Internacjonalistą — oświadczył on w roku 1927 — jest ten, kto bez wahania, bezwarunkowo i bez ograniczeń gotów jest bronić Związku Sowietkiego”.

Chińczycy zaś, w swym liście z dnia 14 czerwca 1963 roku, w którym uznają istnienie wielu państw komunistycznych, pisali: „kamieniem probierczym internacjonalizmu proletariackiego jest, czy każda partia komunistyczna broni czy nie całości obozu socjalistycznego”. Rosjanie odpowiedzieli na to, że dowodem stanowiska internacjonalistycznego jest „postawa wobec światowego systemu socjalistycznego i jego jedności” — przy czym słowo „jedność” stało się w obliczu nowej Wielkiej Schizmy odpowiednikiem starożytnego „filioquae”.

Właściwym jednak hasłem Chińczyków powinno być: „Narody uciśnione wszystkich krajów — łączcie się!” Wynika to z nastę-

8. *Nowaja i Nowejsza Istoria*, nr 4, 1965, cytat: Leopold Labedz, „Survey”, styczeń 1966.

pujących słów Żen Min Zi-pao⁹ z dnia 15 grudnia 1962 roku¹⁰: „Marksizm-leninizm uczy nas, że jedyna większość, jaka liczy się, to są ludzie, którzy decydują o biegu historii, i którzy stanowią ponad 90% ludności świata. Ci, którzy występują przeciwko interesom tych ponad 90% mogą się oburzać, mogą krzyczeć w każdym miejscu i na każdej konferencji — bo oni nie reprezentują rzeczywistej większości. Ich „większość” jest zjawiskiem wyłącznie powierzchownym; w rzeczywistości są oni mniejszością, podczas gdy „mniejszość” będąca celem ich ataków jest właśnie większością”.

Widać z tego, jak ta nowa forma ideologiczna oddaliła się od podstawowych aksjomatów Marksa i Engelsa, dla których socjalizm mógł powstać wyłącznie w wyniku walki klasowej proletariatu i burżuazji, i wobec tego był nie do pomyślenia bez istnienia tych klas. Lenin w swej teorii imperializmu z właściwym sobie „woluntaryzmem”, uznał pojęcie „narodów uciśnionych”, ale poza tym ściśle trzymał się zasadniczych tez marksistowskich o rewolucji. Dla Chińczyków pojęcie proletariatu zostało zastąpione przez narody krajów słabo rozwiniętych Trzeciego Świata.

Od sowietologii do socjologii: Do początku lat pięćdziesiątych Związek Sowiecki był uważany — zarówno przez swych zwolenników jak i przeciwników — za społeczeństwo zasadniczo „odmienne”. Marksisci-leniniści starali się zawsze, przynajmniej w teorii, podtrzymywać tę zasadniczą różnicę. Dla nich socjalizm oznacza koniec prehistorii, nie mogą oni zatem ze względów doktrynalnych uznać, że może być to ustrój „jeden z wielu”, że może stanowić pewien typ nowoczesnego społeczeństwa, którego kapitalizm byłby innym typem. Obserwatorzy zachodni sądzili również, że Związek Sowiecki jest czymś zupełnie odrębnym, lecz o tej odrębności stanowił w ich oczach totalitarny charakter systemu. Teoria ta została sformułowana z logiką, jak się wówczas wydawało, nieugiętą, przez Hannę Arendt w książce „The Origins of Totalitarianism” (1951). Wystarczy przypomnieć, że według tej teorii nowa forma społeczeństwa, różna od tyranii i dyktatur przeszłości, została stworzona w narodowo-socjalistycznych Niemczech i stalinowskiej Rosji. Nowe cechy totalitaryzmu to przede wszystkim wyeliminowanie wszelkich łączników i instytucji pośrednich między „wodzem” i masami. Przywódca rządzi terrorem, wolny od jakiejkolwiek kontroli prawnej czy politycznej. Powstawał w ten sposób nowy model socjologiczny — reżymu narzuconego siłą narodowi, reżymu jednolitego, który nie może sobie pozwolić na najmniejszą zmianę, gdyż z wyjęciem jednej cegły runąłby cały budynek. O ile wizja marksistowsko-leninowska dążyła do społeczeństwa bezklasowego, to analiza to-

9. *Dziennik Ludu*.

10. Cytowane przez Melvina Croana, „Survey”, styczeń 1963.

talitaryzmu widziała przyszłość w kategoriach orwellowskiego „1984”.

Jest rzeczą jasną, że jesteśmy dziś jednakowo oddaleni zarówno od utopii jak i od apokalipsy. Na wszystkich poziomach analizy, od socjologii do zwykłego dziennikarstwa, istnieje tendencja podkreślania raczej podobieństw między ustrojem sowieckim i zachodnimi, niż różnic.

U podstaw teorii zbieżności istnieje zapewne motyw: „Rosja-Ameryka”. Ameryka była pierwszym państwem o społeczeństwie przemysłowym wysoko rozwiniętym, i jej aspekt technologiczny fascynował młodą rosyjską rewolucję rozumiejącą komunizm jako sumę Sowietów plus elektryfikacja. Lenin interesował się nie tylko Fordem i tayloryzmem, ale i żądał od Rosjan czyszczenia zębów „jak Amerykanie”. Stalin z kolei chciał „dogonić i przegonić Amerykę”. W pełni okresu stalinowskiego emigrant rosyjski, Pitrim A. Sorokin, napisał książkę zatytułowaną „Russia and the United States” (1941), w której utrzymywał, że jedyną właściwą metodą patrzenia na Związek Sowiecki jest oglądanie go w kategoriach wielkiego społeczeństwa przemysłowego, takiego jak amerykańskie. Posunął się on aż do oświadczenia, że tylko idioci mogą przywiązywać wagę do tego, co w jego oczach było różnicą podrzędną między obydwojma krajami.

Teza zbieżności (czy też pewnej jednolitości) obu ustrojów jest łatwiejsza do przyjęcia dla Zachodu, niż dla Związku Sowieckiego. Dla marksistów-leninistów cechą zasadniczą ich ustroju jest system własności środków produkcji. Zachód łączy to zagadnienie ze sprawą wolności i demokracji. Teorie, dla których socjalizm i kapitalizm nie są systemami historycznie po sobie następującymi (ani też, systemami społecznymi o rozwoju niezależnym), lecz dwoma aspektami jednego procesu rozwojowego, opierają się na faktach, które nie mają związku ani z własnością środków produkcji, ani z ustrojem politycznym, ani ze stopniem wolności osobistej obywateli. Chodzi w tym wypadku o analizę wydobywającą pewne warunki, którym muszą odpowiadać ekonomie na drodze uprzemysłowienia i racjonalizacji, prowadzące do pewnych wspólnych cech rozwoju i struktury społecznej.

Jeśli ta metoda myślenia jest w swej zasadzie „neutralna” wobec systemu własności, to niemniej, jest ona — powtórzmy to jeszcze raz — nie do przyjęcia dla marksistów-leninistów. Kiedy Chruszczow powiedział prezydentowi Kennedy'emu, że jego, prezydenta, wnuki żyć będą w systemie socjalistycznym, to był tym samym wierny swej ideologii. Odwrotnie, kiedy prezydent Kennedy odrzekł, że to wnuki Chruszczowa żyć będą w ustroju wolności, to znaczy w ustroju typu zachodniego, nie przesądzał on sprawy przyszłego systemu własności środków produkcji dzisiejszego świata komunistycznego. Inny zachodni mąż stanu, dr Adenauer, miał oświadczyć Chruszczowowi: „Za sto lat nie będzie się już mówić ani o kapitalizmie, ani o socjalizmie”. To zdanie, symbolizujące niejako tezę zbieżności systemów, jest

w sposób oczywisty niezgodne z ideologią sowiecką, choć jest do przyjęcia dla zachodniego sposobu myślenia, zakładającego dobrobyt, strukturę pluralistyczną i tradycje wolnościowe, ale bez konieczności łączenia tego z kapitalistycznym systemem własności.

Z tej przyczyny teorie zaprzeczające zasadniczej odrębności systemów kapitalistycznego i socjalistycznego przybrały charakter „pesymistyczny” lub „optymistyczny” zależnie od tego, czy wyznający je złączyli swe nadzieje z socjalizmem, czy identyfikowali system sowiecki z totalitaryzmem. Nie od rzeczy będzie może stwierdzić, że choć większość teorii „zbieżności” ma swój początek w idei Maxa Webera o biurokratyzacji społeczeństwa, to właśnie rozczarowani komuniści pierwsi postawili diagnozę o ewolucji systemu socjalistycznego nie tyle w kierunku kapitalizmu, ile w kierunku z kapitalizmem równoległym. Taka analiza systemu sowieckiego dała podstawę do powstania rewizjonizmu lat 1950; stanowi ona także podstawę książki Milowana Dżilasa „Nowa klasa” i formowała poglądy polskiej i węgierskiej młodzieży w roku 1956. Wypływa ta teoria z argumentacji Trockiego, według której Związek Sowiecki za Stalina, mimo nacjonalizacji środków produkcji, przestał być państwem robotników, wyrażając się w „kolektywizm biurokratyczny”.

Teoria „nowej klasy” miała swego prekursora w osobie mało znanego, czy może zapomnianego, socjalisty polskiego, Wacława Machajskiego, który w niewielkiej książeczce „Ewolucja socjaldemokracji” wydanej w roku 1899, przepowiadał, że w przyszłym społeczeństwie socjalistycznym — wobec tendencji ówczesnie istniejących partii rewolucyjnych — robotnicy pozostaną klasą wyzyskiwaną, ale tym razem przez nową klasę zawodowych przywódców. Teoria socjalistyczna — pisał on — nie została opracowana w interesie proletariatu, lecz „w interesie wzrastającej armii pracowników umysłowych i nowej klasy średniej”. Przepowiadał on, że rewolucja rozpoczęta w imię socjalizmu, skończy się na kapitalizmie państwowym, w którym technicy, administracja i intelektualiści „utworzą wielki państwowy monopol uzurpując sobie nowy status uprzywilejowania z krzywdą pracowników fizycznych”. Radą na to miał być — co potępił później Lenin — stan permanentnej rewolucji z równym podziałem dochodów.

Pierwszą książką, które wskazała na istnienie systemu klasowego w społeczeństwie sowieckim, była „La bureaucratisation du monde” (1939), napisana przez ex-komunistę włoskiego Bruno Rizzi; idee w niej zawarte są podstawą znanego „Revolution of managers”¹¹ Jamesa Burnhama. Według Rizzi’ego świat w przededniu wojny jest w trakcie przemian, które postawiły u władzy nową klasę. Nie będąc socjalistyczną, ani kapitalistyczną, ta nowa klasa utrwali na zawsze niewolnictwo proletariatu. Występować ona może w kształcie stalinowskim w Rosji, hitlerowskim

11. *Rewolucja managerska*, tom XXXV Biblioteki „Kultury”.

w Niemczech, faszystowskim we Włoszech, lub słabiej zarysowanym amerykańskiego New Deal. „Już nie mieszczaństwo jest klasą wyzyskującą, przywłaszczającą sobie nadwartość — pisze Rizzi — lecz biurokracja. W tym sensie właścicielami w Rosji sowieckiej są biurokraci, ponieważ to oni trzymają władzę w swych rękach”.

Ten rodzaj „lewicowej” krytyki systemu komunistycznego podjęli w „Liście otwartym do Partii”¹² Jacek Kuroń i Karol Modzelewski, skazani na 3 i 3 1/2 lat więzienia za „opracowanie i rozpowszechnianie pism niezgodnych z interesem Państwa Polskiego”. Kuroń i Modzelewski pisali: „Nacjonalizacja środków produkcji jest tylko formą własności. W rzeczywistości wszystko należy do tych, do których należy państwo. ... Do kogo należy władza w naszym państwie? Do jednej monopolistycznej partii — polskiej partii komunistycznej”.

Inny rodzaj analizy, mającej wpływ na współczesne dysputy na temat zbieżności systemów, kładzie większy nacisk na rozwój ekonomiczny, niż na biurokratyzację. Znajdziemy wśród marksistów zachodnich opinię, według której dyktatura totalitarna dokonawszy uprzemysłowienia Związku Sowieckiego, przygotowała tym samym ewolucję w kierunku demokracji socjalistycznej. Socjalista austriacki Otto Bauer pisał w roku 1931: „Dyktatura terroru zostanie przezwyciężona i zniknąć będzie w miarę, jak będzie podnosić się poziom ekonomiczny mas. Reżym sowiecki można zdemokratyzować”¹³. Najbardziej znanym przedstawicielem tej teorii jest niewątpliwie Isaac Deutscher, który nie przecząc nigdy uciskowi, okrucieństwu i totalitarnemu charakterowi stalinizmu, utrzymywał, że dyktatura totalitarna była ceną uprzemysłowienia, a uprzemysłowienie utoruje drogę do demokracji socjalistycznej.

Dla marksistów, jak Deutscher, stalinizm poprzez industrializację stworzył warunki dla zbudowania socjalizmu. Rozwój ekonomiczny Związku Sowieckiego w okresie stalinowskim dał początek również innemu pogładowi na Zachodzie uważającemu totalitaryzm sowiecki za zjawisko przejściowe. Podwaliny tej analizy położył Colin Clark w „Conditions of Economic Progress”; wyraża ją dziś najlepiej teoria etapów przyrostu W. W. Rostowa. Wiadomo, że Rostow uważa, iż każde społeczeństwo musi przejść przez etapy rozwojowe od społeczeństwa tradycyjnego (opartego na tradycji i przez to „nieruchomego”) do epoki spożycia masowego. Rostow łączy komunizm z okresem kluczowym swego schematu, tzw. „take-off” (startu), okresem, który daje początek stałemu i akumulatywnemu przyrostowi. „Komunizm — pisze on — jest formą organizacji politycznej wyjątkowo niehumanitarnej, zdolnej do rozpoczęcia i utrzymania przyrostu w spo-

12. Instytut Literacki, Paryż 1966, tom CXXXII Biblioteki „Kultury”, Seria „Dokumenty”.

13. Cytowane przez Melvina Croana w *Prospects for the Soviet Dictatorship: Otto Bauer, w „Revisionism”,* wydał Leopold Labedz, Londyn, 1962.

łączeństwach, które w okresach poprzedzających nie potrafiły utworzyć licznej i przedsiębiorczej klasy przemysłowej i handlowej, ani wystarczająco silnej więzi między elitą a społeczeństwem". W przeciwieństwie do teorii marksistowskiej, definicję tę, można zastosować w odniesieniu do krajów, gdzie rewolucja zwyciężyła, a także w stosunku do większości krajów słabo rozwiniętych. Takiemu rozumowaniu trzeba przypisać opinię że system ekonomiczny i polityczny typu sowieckiego jest bardziej skuteczny w początkowej fazie rozwojowej, i fakt, że w oczach Trzeciego Świata Związek Sowiecki zawdzięczał swój prestiż — przynajmniej w pewnym okresie — rzekomej sprawności ekonomicznej, a nie swej rewolucyjności.

Choć wszystkie powyższe rozumowania uważają totalitarny charakter komunizmu za cechę przejściową, to jedynie analiza marksistowska Deutschera przewiduje wyraźnie demokratyzację Związku Sowieckiego po zakończeniu procesu industrializacyjnego, łączy się to jednak u niego z nadzieją, że demokracja robotnicza jest możliwa do zrealizowania, w perspektywie marksistowskiego społeczeństwa bezklasowego. Ani teorie biurokratyzacji, ani teorie powiązane z „etapami przyrostu” Rostowa, nie zakładają likwidacji monopartyjności w wieku uprzemysłowienia (ani nawet w epoce masowego spożycia) pod wpływem dobrobytu. Teorie zachodnie rozwoju gospodarczego wydają się jednak łączyć totalitarną formę komunizmu z określoną fazą rozwoju, i to właśnie chyba było przyczyną, że Raymond Aron (który tyle wniósł dla popularyzacji tezy zbieżności przez swą teorię społeczeństwa przemysłowego) wskazał, iż nie jest rzeczą łatwą do ustalenia, jaki typ ustroju lub systemu politycznego spełnia najlepiej wymagania danego okresu. Dla Arona zasługę Związku Sowieckiego w dziedzinie przyrostu należy przypisywać nie jego systemowi ekonomicznemu, lecz właśnie politycznemu. Z drugiej strony Aron wcale nie uważa, by system monopartyjny był nie do przyjęcia w społeczeństwie przemysłowym. Obraz idealny takiego społeczeństwa zawiera podział ról, kompetencji, zróżnicowanie sektorów przemysłowych i czynności indywidualnych, ale sprzyja zanikowi klas. W tych warunkach — twierdzi Aron — monopol partyjny będzie jednym z rozwiązań typowych zagadnienia zarządzania społeczeństw przemysłowych — społeczeństw powołujących się na demokrację, z administracją kompetentną, lecz bez personelu politycznego wyznaczonego z urodzenia lub na podstawie zdolności (zdolność polityczna jest w swej istocie różna od zdolności technicznych lub zawodowych, które w społeczeństwie przemysłowym znajdują idealne pole dla swego rozwoju).

Sam fakt, że Związek Sowiecki stanie się społeczeństwem przemysłowym, zakłada już mimo wszystko istnienie pewnej formy zbieżności. Dowód możemy znaleźć w tym, że w studiach nad Związkiem Sowieckim, „sowietologia” ustępuje coraz bardziej miejsca socjologii. Alex Inkeles i Raymond A. Bauer udo-

wodnili w swej książce „The Soviet Citizen¹⁴”, że najlepszym sposobem odczytania postaw, wartościowania i orientacji obywateli sowieckich jest oparcie się na tym co wiemy o ludziach zajmujących równorzędne stanowiska w społeczeństwach zachodnich. Zwłaszcza liczne aspekty uwarstwienia społecznego w Związku Sowieckim dadzą się wytłumaczyć jedynie w kategoriach systemów społecznych rozwiniętych przemysłowo.

Profesor Inkeles oświadczył nawet ostatnio, iż uważa socjologiczny model totalitarny za coraz mniej dostosowany do Związku Sowieckiego i proponował zastąpienie go przez dwa inne modele: modelem „rozwoju” (który zajmuje się problemami wspólnymi wszystkim społeczeństwom w trakcie rozwoju) i modelem społeczeństwa przemysłowego. Kończył on: „Wiem, że to co mówię o przyszłości sowietologii czystej, stawia mnie w sytuacji owego premiera oskarżonego, o to, że premierem został w jednym tylko celu: likwidacji imperium Jego Królewskiej Mości. Żałuję tego jako sowietolog, ale jako socjolog nie mam innego wyjścia¹⁵”.

W ten sposób wracamy do naszego punktu wyjściowego. Istnienie systemu „innego” stało się przyczyną rozwoju sowietologii. Z chwilą jednak, kiedy okazuje się, że najlepszym narzędziem dla dokonywania analiz społeczeństwa sowieckiego jest to samo narzędzie, którym posługujemy się dla poznania samych siebie, staje się jasne, że między obydwooma ustrojami istnieje co najmniej wspólny język.

Walka klas i bomba. Postawa kierownictwa sowieckiego wobec świata „kapitalistycznego” uległa największym przemianom w wyniku faktu leżącego poza sferą ideologii i nawet poza zagadnieniami rozwoju społecznego i ekonomicznego Związku Sowieckiego. Chodzi o problem koegzystencji nuklearnej. W odpowiedzi na list komunistów chińskich z dnia 14 czerwca 1963 roku, Komitet Centralny Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego stwierdził: „Bomba atomowa nie zna zasady klasowości: zabija wszystkich”.

Odkrycie tej prostej prawdy doprowadziło Związek Sowiecki do zrewidowania swych koncepcji stosunków międzynarodowych dyktowanych do tego czasu nawet u takiego pragmatysty jak Stalin przez konsyderacje ideologiczne i uniwersalizm doktryny¹⁶. Marksizm widział stosunki międzynarodowe jako funkcję rozwoju sił produkcyjnych i walki klas. Dla Lenina stosunki międzynarodowe są wynikiem samej istoty imperializmu. Specjaliści sowieccy dziś oświadczają otwarcie, że okres, w którym sama istota imperializmu decydowała o stanie stosunków międzynaro-

14. Harvard University Press, 1959.

15. „Survey”, lipiec 1966.

16. Koncepcje sowieckie na temat polityki międzynarodowej są szerzej rozwinięte w artykule W. Zimmermana „Russia and the International Order”, „Survey”, styczeń 1966.

dowych, jest okresem historycznie minionym. Ta nowa koncepcja jest rezultatem odkrycia, że w świecie współczesnym nie może istnieć jedno mocarstwo nadrzędne. W wyniku ostatniej wojny Stany Zjednoczone „odziedziczyły” dawne pierwsze miejsce Wielkiej Brytanii. Chociaż utrata pozycji monopolisty atomowego przez Stany Zjednoczone spowodowała utratę hegemonii światowej, to jednak są one w stanie zagrozić drogę do takiej hegemonii każdemu innemu państwu (nie wykluczając Związku Sowieckiego). Ideolodzy sowieccy określają tę sytuację jako „nowy, trzeci etap kryzysu ogólnego kapitalizmu” i wyciągają z tego dwa wnioski:

1) — System stosunków międzynarodowych nie jest już pod wpływem jednego mocarstwa. Są dwie potęgi światowe: Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki. Znane jest znaczenie terminologii w Związku Sowieckim. System stosunków międzynarodowych był tam określany jako „podział sił”. Od roku 1962 określenie to zostało zastąpione przez inne: „równowaga sił”. Mówiąc o Związku Sowieckim i Stanach Zjednoczonych komentatorzy sowieccy używają następujących terminów: „dwie największe potęgi świata”, lub „dwa olbrzymie światowe”.

2) — Od XXII Zjazdu, Związek Sowiecki uznał istnienie policentryzmu w świecie zachodnim. Uznano, że Stany Zjednoczone nie są w stanie kierować według własnego uznania polityką swych europejskich sojuszników, którzy zyskali natomiast pewien wpływ na kierunek polityki amerykańskiej. Jest to godna uwagi zmiana starej tradycji bolszewickiej, która stosunki międzynarodowe widziała w kategoriach ścisłej hierarchii. Kraje „ekonomicznie podległe imperializmowi amerykańskiemu” mogłyby nawet wciągnąć obie potęgi światowe w wojnę, a komentatorzy sowieccy zwracają uwagę na fakt, że zagadnienie pokoju i wojny nie jest już wyłącznie sprawą stosunków między przywódcami obu obozów.

Ideologia i polityka. — Najważniejsze problemy współczesnej polityki — zjednoczenie Europy, rozbrojenie nuklearne, pomoc krajom Trzeciego Świata — są uwarunkowane porozumieniem krajów wysoko rozwiniętych: Stanów Zjednoczonych i Europy Zachodniej z jednej strony, a Rosji i krajów Europy Wschodniej, z drugiej.

Jeśli Związek Sowiecki obstate przy ideologicznej interpretacji konfliktów międzynarodowych jako walki między kapitalizmem i komunizmem, jeśli opinia amerykańska jest nadal wierna pojęciu obrony wolności przed groźbą totalitaryzmu, to antynomia demokracji zachodniej — komunizm totalitarny, antynomia, która rządziła zimną wojną — należy dziś do przeszłości. W momencie rewolucji węgierskiej, Zachód ostatecznie stracił wszelką nadzieję na odparcie komunizmu siłą (jeśli kiedykolwiek można było o tym myśleć poważnie). Związek Sowiecki z kolei od czasu kryzysu kubańskiego, w roku 1962, przekonał się, że nie jest

w stanie narzucić siłą rozwiązań sprzecznych z interesami drugiej potęgi światowej. Stawiając na erozję ideologii i na zmiany społeczne w krajach komunistycznych, nie licząc na nagłe zmiany w strukturze społecznej i politycznej tych krajów, Zachód nie przedstawia już bezpośredniego niebezpieczeństwa dla komunizmu. Komunizm stracił swój rozpęd rewolucyjny i również nie przedstawia poważnego zagrożenia dla rozwiniętych krajów Zachodu. Partie komunistyczne w krajach Europy Zachodniej szukają sprzymierzeńców wśród katolików lub socjalistów i nie mają żadnych szans w wyborach bez nawrócenia się na „reformizm”.

Jeśli zagadnienie stosunków świata zachodniego z Rosją i innymi krajami dawnego bloku wschodniego jest przede wszystkim zagadnieniem politycznym, to warto zwrócić uwagę, że sprawa erozji ideologicznej komunizmu i możliwej zbieżności obu systemów staje się mniej lub więcej ważną zależnie od wyboru stojących otworem dróg.

Ewolucja komunistycznych ustrojów europejskich może się wydać stosunkowo mało ważna dla części opinii amerykańskiej która jest zdania, że Stany Zjednoczone powinny się silniej zaangażować w Azji, a wycofać z Europy, podobnie jak i dla „neo-izolacjonistów” amerykańskich (mimo że ani jeden ani drugi kierunek polityczny byłby nie do pomyślenia bez poczucia bezpieczeństwa w Europie w wyniku ewolucji komunizmu).

Miałyby ona znaczenie bardzo względne z punktu widzenia atlantyckiego „klasycznego”, podporządkowującego wszystko pojęciu jedności, solidarności i potęgi Zachodu. Nawet jednak z takiego punktu widzenia jedność zachodnia jest dziś uważana bardziej za magnes mogący przyciągnąć niektóre kraje wschodnie, niż za tarczę służącą obronie; lecz jest to w każdym razie polityka w swej zasadzie statyczna, ważna dla jej zwolenników niezależnie od możliwości zmian na Wschodzie.

Kierunek polityczny zwany „gaullistowskim”, który przewiduje zjednoczenie Europy poprzez wycofanie się obu wielkich mocarstw, jest przypadkiem szczególnym, ponieważ u jego podstawy leży nie nowa sytuacja („odideologizowania” komunizmu europejskiego), lecz tendencja do zaprzeczania ważności ideologii jako takich. Generał de Gaulle uważa za „sprzeczne z istotą rzeczy”, by sojusze były zawierane pod wpływem czynników ideologicznych, a nie geopolitycznych. Polityka zagraniczna wszystkich państw jest dla niego zawsze funkcją interesu narodowego, a nie wynikiem ustroju. Trzeba przyznać, że rozbudzenie się nacjonalizmów w krajach eks-satelickich potwierdza ten klasyczny pogląd. W każdym razie problemy ideologii i uniwersalnego rozwoju są problemami drugorzędnymi dla zwolenników odrodzenia i utrwalenia zasady niepodległości państw.

Perspektywy ewolucji wewnętrznej komunizmu są znacznie ważniejsze dla tych Amerykanów i Europejczyków, którzy dążąc do zjednoczenia Europy, obawiają się równocześnie odrodzenia militarystyki niemieckiej i szowinizmów wschodnio-europej-

skich. Uważają oni, że Pakt Atlantyczny i integracja Europy Zachodniej są niezbędnymi warunkami dla podjęcia pertraktacji z Rosją, dla rozwiązania problemu niemieckiego, dla zapewnienia trwałego pokoju w Europie. Rozwiązania tego rodzaju wysuwane między innymi przez Zbigniewa Brzezińskiego w książce „Alternative to Partition”, a z punktu widzenia bardziej europejskiego przez André Fontaine, stawiają sprawę zjednoczenia Europy jako „Wielki Plan” naszych czasów, i w tym celu zakładają potrzebę luźniejszego przymierza atlantyckiego.

Wreszcie, ewolucja komunizmu jest determinantą dla zwolenników polityki planowanej na daleką przyszłość, której celem byłoby stworzenie solidarności wszystkich rozwiniętych krajów świata. Profesor Brzeziński tak sobie wyobraża program polityczny, który chciałby widzieć przyjętym również przez Stany Zjednoczone: „Doprowadzić do utworzenia swobodnej wspólnoty najbardziej rozwiniętych narodów świata, włączając w nią nie tylko Japonię, ale także i większość europejskich państw komunistycznych, tak by istniejące obecnie konflikty między tymi krajami można było stopniowo przetworzyć w ścisłą współpracę mającą na celu przede wszystkim pomoc Trzeciemu Światu. Chęć kierownictwa sowieckiego do wzięcia udziału w takiej współpracy będzie wzrastać w miarę jak coraz jaśniej zdawać sobie będą sprawę z faktu, że jedność Zachodu nie daje żadnych szans dla ekspansji komunistycznej, a jednocześnie nie stwarza niebezpieczeństwa dla państw komunistycznych, podczas gdy wzrastający chaos w Trzecim Świecie pomaga Chińczykom w wykorzystaniu dla swych celów podziału i skłócenia świata i może zmusić zarówno Amerykę jak i Związek Sowiecki do zaangażowania się w konflikcie bezpośrednim, którego żadna strona sobie nie życzy, — albo w innym przypadku doprowadzić do powstania systemów politycznych, które popierałyby Pekin w jego kampanii antyrosyjskiej¹⁷.

Jest rzeczą oczywistą, że dwie ostatnie ewentualności — i ta, która przewiduje zjednoczenie Europy nie przeciw Ameryce, ani bez niej, lecz z jej czynnym udziałem, i ta, która zakłada położenie fundamentów pod wspólnotę światową krajów wysoko rozwiniętych — zostały skompromitowane przez obrót, jaki przyjęła wojna w Wietnamie.

W pewnym sensie ta nowo zaistniała sytuacja potwierdza dodatnie strony zachodniego policentryzmu. W eseju zatytułowanym „Polycentrisme, Ouest et Est”, Pierre Hassner powiedział, że w naszym świecie policentrycznym powinniśmy umieć korzystać ze stosunków wielostronnych: „Trzy poziomy, narodowy, europejski, atlantycki — pisał on — miałyby, każdy z osobna, swoją rolę do odegrania w szeroko pojętych koncepcjach zachodniego świata... *Ramy paktu atlantyckiego* zapewniają bezpieczeństwo wojskowe stwarzając warunki ekonomiczne pokojowego zaangażowania, a w przyszłości również uregulowania stosunków w

17. „Survey”, styczeń 1966.

drodze pertraktacji. *Wspólnota europejska* zapewnia solidną podstawę stabilizacji — ośrodek zainteresowania, a w dalszej przyszłości zmianę problemu politycznego poprzez dewaluację pojęcia państwo-naród. *Narody* wreszcie mogłyby poprzez swe normalne kontakty, nawiązać łączność, która służyłaby przygotowaniu inicjatyw zbiorowych i przemian na dłuższą metę". Wobec powyższej koncepcji niezadowolenie z polityki amerykańskiej w Wietnamie wyrażone przez generała de Gaulle'a, zapewnia co najmniej kontynuację koniecznej wymiany poglądów i kontaktów, tak utrudnionych w chwili obecnej między Rosją i Ameryką.

Jeśli wojna wietnamska wydaje się teraz paraliżować wszelkie zbiorowe inicjatywy atlantyckie w Europie, nie będzie od rzeczy postawienie sobie pytania co do kierunku zaangażowania się Stanów Zjednoczonych w Azji Południowo-wschodniej, w świetle ewolucji ideologicznej i społecznej komunizmu policentrycznego.

Głównym argumentem za prowadzeniem wojny w Wietnamie jest że wycofanie się Stanów Zjednoczonych oddałoby całą Azję pod wpływ Chin. Bardziej logiczne byłoby przypuszczać że komunistyczne partie Azji skorzystają z konfliktu rosyjsko-chińskiego, aby zyskać pewną swobodę ruchów na wzór krajów Europy Wschodniej. Potwierdza to ewolucja reżymu komunistycznego w Korei Północnej. Poza tym slogany chińskiej „rewolucji kulturalnej” wydają się jak najdalsze charakterowi narodów Azji Południowo-wschodniej. Trzy kraje, które się całkowicie wyzwoliły spod opieki sowieckiej, to te, w których rewolucja zwyciężyła sama, od wewnątrz, a nie została przyniesiona przez Armię Czerwoną. Są to: Jugosławia, Albania i Chiny. Przed dwudziestu laty Jugosławia odgrywała wewnątrz bloku sowieckiego podobną rolę jak dzisiaj Chiny. Jedną z głównych przyczyn zerwania między Tito i Stalinem było domaganie się przez Jugosławian, by Związek Sowiecki przyjął politykę bardziej „awanturniczą” wobec Zachodu. Dziś Jugosławia jest krajem najbardziej „rewizjonistycznym” spośród wszystkich krajów komunistycznych, najbardziej zaawansowanym na polu reform ekonomicznych, najbardziej liberalnym na polu kulturalnym i ideologicznym, najbardziej otwartym na wpływy zachodnie.

Z drugiej strony ewolucja w Trzecim Świecie zdaje się zaprzeczać niektórym niedawnym obawom. Jeszcze przed niewielu laty wydawało się, że o ile można się liczyć ze zmierzchem ideologii w krajach wysoko rozwiniętych, to inaczej będzie ta rzecz wyglądała w krajach Trzeciego Świata. Prawda, że środek ciężkości konfrontacji Wschód-Zachód przesunął się z Europy do Azji Południowo-wschodniej, na Morze Karaibskie, do Ameryki Łacińskiej, na Bliski Wschód, do Afryki. Minęły jednak czasy zbrojnej neutralności pretendującej do miana socjalizmu i uniwersalizmu — Sukarno i Nkrumah — i oto widzimy pojawienie się neutralistycznych nacjonalizmów bardziej zaabsorbowanych własnym rozwojem ekonomicznym, niż ideologiami. Okres fascynacji komunizmem w Trzecim Świecie, przynajmniej jako magiczna formuła industrializacji był krótszy, niż przewidywali

zachodni obserwatorzy. Wydarzenia w Egipcie, w Ghanie, w Algierii, w Indonezji, wydają się wskazywać, że tendencje ku uto-
pijnemu totalitaryzmowi ustąpiły miejsca nacjonalizmowi i pra-
gmatyzmowi. Na polu konfliktu Wschód-Zachód, warto może
przypomnieć, że większość krajów Trzeciego Świata opowiada-
jących się za socjalizmem, domagała się od obu wielkich mo-
carstw współpracy, a nie konfliktu: korzyści, jakie te kraje cią-
gną z ich rywalizacji byłyby natychmiast zlikwidowane w wypad-
ku bezpośredniego konfliktu.

Już sam fakt, że w języku politycznym pojawił się termin
„policentryzm zachodni”, świadczy, że na drodze do jedności
został osiągnięty postęp, ponieważ historia Zachodu jest zasad-
niczo „policentryczna”. Z punktu widzenia integracji zachodniej
— federacji europejskiej, wspólnoty atlantyckiej — złożoność
struktury jest z góry założona. Jeśli się chce przewyciężyć etap
nacjonalizmu, to przede wszystkim ze względu na niebezpieczeń-
stwo, jakie przedstawia on dla tradycji pluralistycznej i liberal-
nej Zachodu.

Odwrotnie wygląda to w świecie komunistycznym, świecie
monolitycznego uniwersalizmu. Policentryzm komunistyczny
wstrząsnął jednością polityczną i ideologiczną obozu. Dziś jest
tyleż „marksizmów” ile niezależnych ośrodków władzy w ko-
munizmie światowym.

Tak więc, bez względu na trudności jakie może stwarzać no-
wa sytuacja policentryczna dla solidarności świata zachodniego,
zwłaszcza w stosunkach między Europą Zachodnią i Ameryką,
policentryzm jest na dalszą metę zawsze korzystny dla Zachodu.

K. A. JELEŃSKI

(Tekst odczytu, wygłoszonego na konferencji Wschód-Zachód, zorgani-
zowanej przez Instytut Atlantycki w Rzymie w październiku 1966 roku.
Z francuskiego przełożył J. D.).

Lwów 1966

Po latach, we wrześniu ubr. zdecydowaliśmy się pojechać na dwa tygodnie do Lwowa, aby odwiedzić krewnych i przypilnować naprawy grobu rodzinnego.

U nas podróżuje się na podstawie paszportu — do krajów zachodnich, a wkładki paszportowej do krajów demokracji wschodnich. Wkładki te wydają nasze władze; są one ważne na trzy miesiące. Do ZSSR musi się mieć zaproszenie potwierdzone przez milicję z miejscowości, do której się jedzie. Na podstawie zaproszenia dostaje się wkładkę paszportową i wtedy już można jechać. W Banku Polskim sprzedają pewną ilość walut zagranicznych, różną dla każdego kraju, ale wszystko w granicach 1.300 złotych, za które otrzymaliśmy 62 ruble.

Z Krakowa do Przemyśla jazda normalna, ale już w pociągu można poznać kto jedzie dalej, gdyż konduktorzy kasują międzynarodowe bilety, które się kupuje w obie strony za złote, z ważnością na 4 miesiące.

W Przemyśle przesiadka; jest jeden peron, na który zajeżdża pociąg rosyjski z wagonami o szerokich osiach. Nowe wagony są wygodne, siedzenia ruchome, każdy musi mieć „miejscówkę” toteż nie ma tłoku.

Gdy się już jest w pociągu, następuje kontrola graniczna polska, która sprawdza dowody osobiste a potem przychodzą polscy celnicy. Są to ludzie „z nosem”, którzy wiedzą gdzie i czego szukać. Nas w obie strony prawie że nie rewidowali, ograniczając się do przyjęcia deklaracji, w których trzeba podać co się wywozi. Gdy pociąg ruszył, w Medyce żegnamy Polskę a Mościska to już stacja graniczna rosyjska. Najprzód wchodzą granicznicy którzy sprawdzają wkładki paszportowe i zaproszenia a potem celnicy. Ostrzegają aby wpisać posiadane złote przedmioty, gdyż potem przy wyjeździe można wywieźć bez cła tylko jedną rzecz ze złota (zegarek lub pierścionek). Granicę mija się prawie niepostrzeżenie a kontrola trwa w czasie drogi do Lwowa, gdzie

po raz pierwszy od wyjazdu z Mościsk pociąg staje. Wszyscy urzędnicy, tak polscy jak i rosyjscy, grzeczni i uprzejmi, i raczej starają się wierzyć w to, co ludzie deklarują.

W pociągu pośpiesznym „Karpaty Express” z Warszawy do Bukaresztu, a latem do Konstancy, są trzy wagony osobowe do Lwowa, normalnie pełne osób jadących w odwiedziny lub wracających do domu.

We Lwowie na dworcu tłumy ludzi, powitania, płacze i ściskanie się, normalne przywitania tylko bardziej serdeczne. Tak też było z nami. Na nasze powitanie stawiała się cała rodzina, z samochodem którym nas potem wieźli do domu.

Zaraz po przyjeździe mieliśmy następującą przygodę: nasz gospodarz jadąc na dworzec wioził swoje trzy niewiasty, żonę i dwie córki, lecz gdy wracał obsada była inna: trzech mężczyzn i jedna niewiasta, bo matka i córki wróciły do domu taksówką. Na roku Leona Sapiehy, koło kościoła św: Elżbiety, milicjant gwizdząc abyśmy stanęli. Poprosił aby gospodarz wysiadł i nic nie mówiąc sam wsiadł do samochodu i jedzie. Myśmy zdębieli! W pewnej chwili pyta, kto my tacy, na co otrzymał odpowiedź, że goście z Polski. Ach to tak! Zatrzymał samochód, wysiadł i pozwolił wsiąść gospodarzowi i odjechać. Okazało się, że milicja tępi jazdę „na łebka”. Myślał, że nasz gospodarz wozi swoim prywatnym samochodem gości za pieniądze i chciał to zbadać. W Warszawie można się przejechać czasem nawet samochodem ministra, gdy szofer ma chwilę czasu, i każdy szofer poluje na taką okazję, a tu tego nie wolno. Ruchu pilnuje milicja, ale czyni to dyskretnie. Na skrzyżowaniach ulic są światła a milicjanci stoją na uboczu.

Jechałem do Lwowa z wielką obawą, jakie zrobi to na mnie wrażenie, ale po kilku spacerach byłem w naszym Lwowie, chodziłem po naszych ulicach, a że nie znam rosyjskiego, napisy rosyjskie mi nic nie mówiły i raczej nie widziałem nowych sztyków i nazw. Dlatego też w opisie używam starych nazw ulic.

Lwów z innymi ludźmi na ulicach, innymi sklepami, napisami i obcą kulturą, ale to jest Lwów bez zmiany, odnowiony i czysty. Jedna rzecz która się od razu rzuca w oczy, to masa ludzi ze wsi na ulicach i to nadaje ton obliczu miasta.

Jacy są ci ludzie? Myśmy mieszkali u ludzi nam osobiście przyjaznych i życzliwych, nie stykaliśmy się z wieloma obcymi i byliśmy otoczeni dobrobytem, wygodą i troską aby nam niczego nie brakowało. Ale inni, chyba dla nas obojętni. My wszyscy mamy w sobie niezatarty nigdy kompleks „Ukraińca”, zawsze z nożem i zawsze naszego wroga. Ale teraz słowo to oznacza narodowość, naród który mieszka tam obok Rosjan; między Rosjanami i Ukraińcami zachodzą pewne konflikty. Na górze są raczej Rosjanie, napisy w dwóch językach, ale miejscowi podobno wzdychają do Polaków.

Stosunek do Polaków raczej obojętny: to co ci się należy — otrzymujesz. We Lwowie oceniają resztki Polonii na około 25.000 osób. Są to przeważnie ludzie starzy, którzy — jak mi potem

mówił ksiądz w katedrze — zostali by pilnować mieszkań; wielu z nich otrzymuje emerytury.

Jedna z pierwszych wizyt to Cmentarz Łyczakowski. Grób Konopnickiej ma stale świeże kwiaty, Zapolska ma ich mniej, a Goszczyński całkiem zapomniany. Cmentarz Obrońców Lwowa jest zamknięty. Brama zamurowana tak, że wejść nie można i tylko przez mur widać jak wszystko strasznie zarasta chwastami i drzewami.

Nowe groby, niektóre z nich nawet bardzo porządnie murywane, są tak rozmieszczane, że albo zajmują wolne miejsca albo są w pierwszym rzędzie od ścieżki czy też ogrodzenia od ulicy, aby zasłonić dawne. Dużo typowych grobów rosyjsko-partyjnych: wieżyczka z czerwonych desek a na czubku gwiazda. Ale przeważają groby z krzyżami, ukraińskie. Tramwaj na cmentarz chodzi tylko od strony Łyczakowa, dochodzi do rogu Kochanowskiego i tam zawraca.

Ulice śródmieścia są dobrze utrzymane, czyste, nawierzchnie poprawione. Śródmieście pozostało bez zmiany tylko fasady domów są odnowione, czyste i jasne. Jedynie obok Sprechera, na pl. Mariackim, dom w którym była drogeria Bohosiewicza, nagle się zawalił i na tym miejscu wzniesiono 6-piętrowy nowoczesny dom z kawiarnią i restauracją samoobsługową.

Na ulicach widać samochody, ale tylko rosyjskie, żadnych importowanych. Dużo taksówek, które są bardzo tanie. W śródmieściu trolejbusy, a tramwaje przechodzą tylko przez Wały Hetmańskie, z Sykstuskiej do Rynku i dalej. Miejskie tramwaje jeszcze kursują, ale już niedługo ich żywot. Kończą się przeważnie w centrum miasta. Np. tramwaj z Parku Stryjskiego jedzie przez Zyblikiewicza, Pańską, pl. Clowy, Powale, nową trasą daleko za teatrem na Dworzec, potem wraca Leona Sapiehy, Nabelaka, Pełczyńską, Zyblikiewicza i dalej. Inna linia znowu z Zyblikiewicza i Pańskiej kończy się na pl. Halickim naprzeciwko MKO i wraca do Parku przez Batorego.

Szereg ulic nosi dawne nazwy jak Kopernika, Matejki, Słowackiego, Mickiewicza, Zielona, Piekarska, Wałowa, Halicka, Ruska, Stryjska. Pomnik Mickiewicza stoi bez zmiany, tak samo jak Kiliński w Parku Stryjskim i Głowacki na Łyczakowie. Nie ma pomnika Sobieskiego, Fredry i Jabłonowskiego które wysłano do Polski.

Kochanowskiego przemieniono na Majakowskiego a Wincetego Pola na Bryła. Plac Gosiewskiego ma swój dawny targ i tak samo jest tam poczta. W koszarach Piotra i Pawła stoi wojsko, ale wojskowych na ulicach bardzo mało, czasem tylko widać oficerów w restauracjach. Zieloną nie chodzi już tramwaj, tylko trolejbusy które jadą daleko za miasto. Piekarska nie zmieniła się, tylko przy jej końcu są nowe budynki Instytutu weterynarii.

Naprzeciwko Uniwersytetu, frontem do gmachu, stoi olbrzymi pomnik Iwana Franko. Na miejscu pomnika Fredry — znajduje się duży obraz wyszywany Szewczenki. A przed teatrem, ale już na Wałach, stoi pomnik Lenina.

Miasto liczy obecnie około 600.000 mieszkańców; w roku 1939 Lwów miał ich 350.000. Ludzie wyglądają inteligentnie. Ubrani są normalnie, bez przesadnie szerokich spodni, młodzi nawet w wąskich spodniach, a dziewczęta w pantoflach na „szpilkach”.

Sklepów dużo lecz wystawy ubogie, ale za to wieczorem wiele neonów. W sklepach dużo jedzenia. Znajomi opowiadali, że po odejściu Chruszczowa nastąpiła gwałtowna zmiana na lepsze. Przedtem ludzie z Polski wysyłali rodzinom mąkę, kaszę, suchary z białej mąki, a my teraz przywieźliśmy sobie 3 różne białe chlebki. Jest dużo wędlin, mięsa, nabiału, owoców, mniej atrakcyjnych artykułów przemysłowych, chociaż widać wiele aparatów radiowych, telewizorów, maszynki do golenia, aparaty fotograficzne, ubrania i różne materiały.

Zaleski na Akademickiej ma najlepszą wytwórnię lodów, drugi sklep Zaleskiego sprzedaje cukierki. U Welza jest domowa jadłodajnia. Teliczkowa — sklep artykułów przemysłowych. Krupiński — kolosalny sklep spożywczo-gastronomiczny. Zakopane — protezownia dentystyczna. W kilku sklepach mieszczą się kancelarie adwokackie.

Handel uzupełniają sklepy komisowe: np. na Halickiej, no i tandeta zwana „barachołka” w Rześni Polskiej pod Brzechowcami, gdzie w niedzielę można spotkać cały Lwów i kupić wszystko od futra do pierzyny i zegarka.

W mieście wiele dzielnic oczyszczono ze starych budynków i gruzów, pełno jest zieleni, skwerków i ławek. Np. cały Rynek od strony kamienicy Sobieskiego jest parkiem, a przekupki siedzą tylko na targach na pl. Halickim i na pl. św. Antoniego.

Kościół we Lwowie stoją — ale czynne są tylko dwa katolickie i dwie cerkwie. W Katedrze jest dwóch księży, jeden mój znajomy sprzed wojny, drugi franciszkanin. Rozmawialiśmy serdecznie o tym, jak się im żyje. Codziennie są trzy msze i nie-spory. W niedzielę był taki tłok, że nie można było wejść. Polskie śpiewy, polska msza i kazanie. Zbiórka na tacę i wszyscy dużo dają. Dużo ludzi przystępuje do Komunii św. — Ponadto czynny jest kościół św. Antoniego. Na nabożeństwa chodzą razem Polacy i Ukraińcy. I tu dopiero słyszałem polskie śpiewy, gdyż na ulicach ani w sklepach nie słyszy się polskiego. Nie znaczy to, aby ludzie nie mówili po polsku. Byliśmy u znajomych, gdzie żona Polka wychowuje obie córki po polsku, a mąż-Ukraińiec nie ma nic przeciwko temu. Zresztą sam mówi pięknie po polsku. W domu słucha się radia z Warszawy i gra polskie płyty.

Inne kościoły są albo zamknięte — z mosiężną tablicą „Zabytek architektoniczny”, jak np. Dominikanów i Bernardynów, lub są w nich jakieś magazyny czy składy, jak np. św. Elżbiety, i kościół na górnym Łyczakowie. W kościele Marii Magdaleny jest jakiś klub młodzieżowy. W katedrze św. Jura jest cerkiew prawosławna.

Teatr Wielki to Opera i Balet. Widzieliśmy balet Prokopiewa „Kopciuszek” i potem nową operę ukraińską w 4 aktach. Piła co nie miara ale ładne dekoracje i stroje. Widzowie przeważnie

dobrze ubrani, mężczyźni na czarno a panie w lamach i jedwabiach. Ale obok nas siedział chłopak w berecie na głowie i nikomu to nie przeszkadzało.

Teatrów jest dużo. Dawne kino „Lew” to Ukraiński Teatr Dramatyczny, Teatr Mały przy Gródeckiej to dziś Rosyjski Teatr Dramatyczny, w Kinie „Marysieńka” przy Jagiellońskiej jest Teatr Mały.

Prawie wszystkie stare kina istnieją tylko są inaczej nazwane. W Banku Hipotecznym przy Akademickiej mieści się duża kasa przedsprzedaży biletów. Seanse są od 10 rano do północy. Obecnie był Festiwal filmów polskich, pokazywano: Faraona, Popioły i inne. Ze względu na wielkie powodzenie seanse trwały do 2 w nocy. Wszystkie filmy z wyjątkiem polskich w doskonałym dubbingu rosyjskim. Byliśmy 5 razy w kinie na filmach: ukraińskim, czeskim, amerykańskim, polskim, i na nowej wersji „Wojna i Pokój”.

Wiele domów, w tym cały Rynek zaopatrzone są tak jak kościoły w mosiężne tabliczki „Zabytek architektoniczny”.

Na kamienicy Sprechera na pl. Mariackim jest tablica, że tu w roku 1905 i 1906 robotnicy walczyli z policją. Podobna — na murach kościoła Bernardynów od strony placu, że tu w roku 1936 walczyli robotnicy z policją (pogrzeb Kozaka).

W Hotelu Krakowskim mieści się Prokuratura i Sąd Wojewódzki, w gmachu D.O.K. — komenda garnizonu, dalej Warszawska Hostynnyia. George — Hotel Inturista. Na dole duża restauracja, sklepy od ul. Akademickiej wyburzone — zrobiono tam salę łącznie z dawną kawiarnią i od tej strony jest wejście do restauracji. W hallu sklep dla cudzoziemców za dolary i tylko tam można dostać gruzińskie koniaki których nie ma w innych sklepach. Nie ma kawioru, którego w Polsce jest pełno.

W dawnym Województwie mieści się Rada Obwodowa, Muzeum Przemysłowe czynne jako Muzeum Lenina, w Kasynie Narodowym — Dom Uczonych. W Ossolineum — Biblioteka Akademii Nauk.

Za Teatrem Wielkim dalszy ciąg Legionów, nowa duża ulica. Stoi tam nowy hotel „Lwow”, także pod zarządem Inturista. Pokój na 1 osobę kosztuje 7 rubli (140 zł) na 2 osoby 11 rubli (220 zł).

Kawiarni Wiedeńskiej nie ma, a w tym budynku jest jakaś szkoła. Kawiarnie Szkocka i Roma nie istnieją, są tam jakieś biura. W Izbie Handlowej — Dom Związków Zawodowych. Na ulicy Batorego aż po Kubali, wszystkie domy zajęte przez wojsko.

Na Wałach Hetmańskich mnóstwo ławek, wieczorem ładne światła, na przystanku tramwajowym obok Kawiarni Wiedeńskiej tłumi ludzi, którzy cały dzień tam stoją i gadają. Kawiarnia De la Paix — to duża kawiarnia Moskwa. U Szkowrona jakaś jadłodajnia. Na pomniku Mickiewicza jest napis polski, obok zamiast Matki Boskiej jest wodotrysk, tak samo przed Bernardynami, tam gdzie był posąg Jana z Dukli — stoi jakaś waza.

Na rogu W. Pola i Zielonej apteka jest jak dawniej — tylko

Matka Boska zamurowana. U Strzałkowskiej — Pałac Kultury Szkół. Zielona jest wyasfaltowana, czysta, i ma duże drzewa. Podobnie i na ulicy Akademickiej, te malutkie drzewa któreśmy znali, wyrosły obecnie na wysokość kamienic. Pod nimi ławki i można wypocząć. Na ul. Chorążczyzny — Filharmonia jak dawniej. Pasaż Mikołasza przebudowany, brama jest, ale w środku tylko skwerek, nie ma sklepów ani przejścia.

W Galicyjskiej Kasie Oszczędności jest Muzeum Etnograficzne i przemysłu artystycznego. Nic nie przebudowano, w halach bankowych wystawione są eksponaty. W dawnej Komunalnej Kasie Oszczędności na Wałowej są biura, a w kamienicy Bałłabana na rogu Wałowej, Powszechna Kasa Oszczędności.

Na ulicach duży ruch, w sklepach pełno ludzi szukających różnych towarów, które nie zawsze można dostać.

Tramwaj nie jedzie obecnie na Targi Wschodnie, ale na św. Zofii skręca w lewo i jedzie daleko aż na „Własną Strzechę”. Plac Powystawowy, włączony do Parku Stryjskiego, jest dobrze utrzymany. Spaceruje tu dużo ludzi, są kawiarnie i restauracja.

Od strony Pełczyńskiej, tam gdzie była ślizgawka wszystko jest połączone z cmentarzem Stryjskim, czyli do ulicy Stryjskiej, i znajduje się tam Park Kultury i Wypoczynku. Klomby, ławki, kioski i kino.

Wysoki Zamek bez zmiany. Na polance przed Kopcem — wieża telewizyjna, a na drodze prowadzącej z lewej strony parku do kopca — wybudowano studio i restaurację. Tramwaj taki sam, mała „4” pnie się wolno pod górę, ale tylko od remizy na Kopernika.

W tramwajach automaty, z których wydiera się małe bilety po 3 kop., a w trolleybusach po 4 kop. bez względu na odległość.

Boisko Sokoła istnieje, dobrze utrzymane, ale wejście zrobiono od Łyczakowskiej. Tramwaj na Łyczakowie nie zawraca przed dworcem, ale zajeżdża po Park Łyczakowski i tam robi pętlę. W koszarach Jazłowieckich — szkoła motorowa.

(Opis mój wygląda może trochę chaotycznie, lecz codziennie robiąc wycieczki w inne strony miasta spisywałem me wrażenia).

Nasz miły gospodarz miał samochód i korzystając z tego zrobiliśmy kilka dłuższych wypadów.

Naprzód obwiał nas po krańcach Lwowa. Zrobiliśmy w 3 godziny ponad 100 km. Benzyna jest tu bardzo tania, litr 5,5 kop. czyli 1,10 zł (u nas około 5 zł). Dookoła Lwowa, w promieniu 15 km., zbudowano obwodnicę, dwustronną szosę (asfalt, ogrozenia, rozjazdy), którą można z każdej strony ominąć miasto, gdy się nie chce przez nie przejeżdżać. Tą szosą jechaliśmy od rogatki do rogatki, i dalej. Na krańcach miasta powstały nowe, duże dzielnice, nowoczesne domy, fabryki, sklepy i tp. We Lwowie jest teraz kilka wielkich fabryk: telewizorów, autobusów, żarówek, podobno czołgów, a wokół każdej nowej fabryki powstaje nowa dzielnica mieszkaniowa. Dawna „Własna Strzecha” nazywa się teraz „Nowy Lwów”, wiele tu nowych domów. Tak

samo na Pasiekach na końcu Zielonej; Sokolniki zabudowane, Winniki i Brzuchowice należą teraz do Lwowa.

Jednego dnia rano wyjechaliśmy na wycieczkę w Karpaty: Mikołajów, Stryj, Skole, na granicę Rusi Zakarpackiej, przełęcz na Wierchowie i zjechaliśmy w dół tak, że byliśmy o 20 km. od Munkacza. Widzieliśmy jakieś zdrojowisko — Polana. Była śliczna pogoda, słońce, a Karpaty porośnięte lasami wyglądały wspaniale. Obiad w pięknej restauracji na granicy. Podano nam menu drukowane na 4 strony, ale w sumie były tylko dwie potrawy. Tam też dostaliśmy dobry koniak, którego we Lwowie nie ma. Skole bez mian, ale bliżej gór, puste. Tartaki pracują. Ludzi po wsiach mało. W Stryju tablica na jednym z domów, że tu w roku 1937 robotnicy walczyli o swoje prawa.

W tym dniu zrobiliśmy około 400 km. Szosy dobre i dobrze znaczone, jako międzynarodowe.

Zaraz na drugi dzień inna wycieczka, do Tarnopola, 140 km. w jedną stronę. Nigdy w Tarnopolu nie byłem, ale wiem, że w czasie wojny miasto w 85% było zniszczone. Obecnie odbudowane całkowicie, tak że będący z nami tarnopolanin nie mógł się w mieście rozeznaczyć. Nowe ulice, domy, odbudowano nawet dwie cerkwie. W jedną stronę jechaliśmy przez Złoczów i Zborów, a wracaliśmy przez Brzeżany i Pomorzany.

Na zakończenie kilka cen: taksówki 100 mtr. — 1 kop.; 1 litr benzyny — 5,5 kop.; bilet do kina — 50 kop.; do opery — 1 rb. 40 kop.; mała kawa — 7 kop.; dobre danie w restauracji około 1 rb.; ciastko — 15 kop.; tort u Georga — 35 kop.; tranzystor-radio — 38 rb.; aparat foto „Kiew” — 90 rb. Aby porównać te ceny, trzeba je pomnożyć przez 20 i wtedy jest proporcja ze złotymi.

I tak się skończył nasz pobyt. Na odjeźdźnym dostaliśmy takie masy prezentów i żywności, że ledwie zmieściliśmy to w naszych walizkach.

Przy wyjeździe nie trzeba się zgłaszać na milicji, wystarczy że na granicy kontrola odbiera zaproszenie. Celnicy szukają wyrobów złotych, brylantów i futer karakułowych, których wywozić nie wolno. Ale też nie u wszystkich. Mnie wsadził rękę do walizki i zapytał czy to wszystko moje osobiste rzeczy i na tym był koniec. Polska kontrola łagodna i uprzejma.

Ze Lwowa do Przemyśla jechaliśmy 1 godz. 10 min. Potem cofnięcie zegarków o 2 godziny i po 4 godzinach byliśmy w Krakowie.

Po powrocie, będąc pierwszym z naszego środowiska, który pojechał do Lwowa, od tygodni bez przerwy opowiadam, co widziałem. Na podstawie raczej skąpych relacji zza Buga, ludzie mi nie wierzą. Lecz to co opisałem jest prawdą — nie oglądaną przez specjalne różowe okulary — lecz taką jaka jest. I wolę się cieszyć, że moje miasto jest czyste i rozbudowane aniżeli miałbym biadać, że leży w gruzach. A co przyszłość nam przyniesie — kto wie.

Kronika warszawska

UCHWAŁA REZOLUCJI NA ZEBRANIU ZMS

Dnia 21 października 1966 odbyło się na Uniwersytecie Warszawskim, na Wydziale Historii zebranie ZMS, w którym wzięło udział ponad 500 studentów. Zebrani zwrócili się do Min. Sprawiedliwości domagając się uwolnienia J. Kuronia i K. Modzelewskiego oraz uchwalili następującą rezolucję:

„Uczestnicy zebrania ZMS poświęconego problemom kultury polskiej ostatniego Dziesięciolecia wyrażają przekonanie, że w ciągu tych lat nastąpił rozwój kultury narodowej zapoczątkowanej przełomem Październikowym. Jednakże proces ten nie przebiegał dotąd odpowiednio do możliwości, ponieważ program VIII Plenum nie był realizowany konsekwentnie, w ostatnich latach nastąpiły też zjawiska, które muszą wzbudzić niepokój. Przeshkody, na jakie napotyka dalszy postęp kultury, związane są przede wszystkim z tym, że w wielu dziedzinach zahamowane zostały kroki zmierzające do poszerzenia demokracji socjalistycznej. Jesteśmy przekonani, że idee socjalizmu stały się dziś własnością przytłaczającej większości naszego społeczeństwa. Z tego względu uważamy, że powinno istnieć prawo publicznego wyrażania różnych poglądów na zasady funkcjonowania demokracji socjalistycznej w naszym kraju. Zasady te powinny być przedmiotem swobodnej dyskusji, również na łamach prasy, nie widzimy zatem potrzeby istnienia cenzury prewencyjnej. Jesteśmy też przekonani, że w społeczeństwie socjalistycznym nie powinny obowiązywać przepisy prawne stworzone w okresie stanu wyjątkowego, a zwłaszcza „Dekret o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy Państwa” (tzw. Mały Kodeks Karny), wreszcie uważamy, że dla autentycznego rozwoju ruchu młodzieżowego niezbędne jest pozostawienie młodzieży prawa decydowania o kształcie i formach tego ruchu oraz stworzenie warunków dla pryncypialnej dyskusji na wszystkie zasadnicze tematy, dla poszanowania niezależnej myśli politycznej i społecznej, zaangażowanej w budowę naszego ustroju socjalistycznego”.



W związku z usunięciem prof. Leszka Kołakowskiego z partii 15 pisarzy będących członkami partii wystosowało do Komitetu Centralnego PZPR list w którym stwierdzają że według nich L. Kołakowski jest symbolem jedności demokracji i socjalizmu i wobec tego domagają się przywrócenia mu praw członka partii. Stosunek do L. Kołakowskiego wzbudza głęboki niepokój, wobec zmian zachodzących w Polsce.

List podpisali następujący pisarze:

Jacek Bocheński,
Flora Bieńkowska,
Marian Brandys,
Paweł Beylin,
Paweł Grześczak,
Witold Dąbrowski,
Tadeusz Drewnowski,

Igor Neverly,
Julian Strykowski,
Leon Przemski,
Arnold Słucki,
Witold Wirpsza,
Seweryn Pollak,
Wiktor Woroszyński,

Tadeusz Konwicki.

Dodatkowo przyłączyło się do tego protestu jeszcze 7 pisarzy:

Roman Karst,

St. Zawadzki (ekonom.)

Jerzy Pomianowski,

Mirski,

Piwowarczyk,

Ryszard Matuszewski.

Stroynowski,

W odpowiedzi na ten list trzynaście osób spośród podpisanych zostało zawieszonych w prawach członków partii.



Na zebraniu komórki partyjnej UW która miała miejsce w połowie listopada 1966 z udziałem Z. Kliszki w obronie L. Kołakowskiego b. zdecydowanie występowali prof. B. Leśnodorski, Holtzer, St. Morawski oraz doc. Zakrzewska. Na analogicznym zebraniu komórki PANu po stronie Kołakowskiego wypowiadali się dr Helena Ellstein, Jan Kowalik, Jan Strzelecki.



Z polecenia Biura Politycznego nowoutworzone Ministerstwo Oświaty i Szkolnictwa Wyższego opracowało projekt reformy wyższych uczelni. Projekt ten przewiduje drastyczne ograniczenie autonomii uniwersyteckiej. Najważniejszą zmianą ma być to, że w Komisjach dyscyplinarnych na uczelniach zlikwidowano stanowisko obrońcy i że obrady toczyć się będą wyłącznie przy drzwiach zamkniętych.



Warszawski Komitet Wojewódzki PZPR wyłonił specjalną Komisję weryfikacyjną dla wszystkich członków partii na Uniwersytecie Warszawskim. Jest to dalszy ciąg walki z sympatykami prof. Leszka Kołakowskiego, Kurońa i Modzelewskiego. Pierwszym sekretarzem KW PZPR Warszawa jest St. Kociołek, w swoim czasie bardzo aktywny działacz młodzieżowy, zbliżony do „Po Prostu”.



Dr Krzysztof Pomian, asystent prof. Leszka Kołakowskiego na Wydziale Filozofii Uniw. Warszawskiego, został usunięty z partii.



W prawach studentów Uniwersytetu Warszawskiego zawieszono niżej wymienionych:

Adam Michnik, student 2-go roku Historii (ponownie — po raz pierwszy został on zawieszony w okresie procesu przeciwko J. Kurońowi i K. Modzelewskiemu);

Seweryn Blumsztajn, student 3-go roku Ekonomii politycznej;

Henryk Schleifer, student 2-go roku Ekonomii politycznej;

Mirosław Sawicki, student 4-go roku Wydz. Mat.-Fizycznego;

Andrzej Duracz, student 3-go roku Wydz. Mat.-Fizycznego.



W związku z listem 22 pisarzy polskich — członków Partii — wysłanym do KC w którym protestowali przeciwko usunięciu z Partii prof. Leszka Kołakowskiego — Komitet Centralny polskiej partii wyłonił specjalną Komisję Kontrolną w składzie: Zenon Kliszko, Artur Starewicz, Roman Nowak i Wincenty Kraśko. Komisja przesłuchuje wszystkich sygnatariuszy wywiera-

jąc nacisk na wycofanie podpisów. Jak dotąd wszyscy odmówili wycofania podpisów.



Literaci warszawscy chcieli zwołać Nadzwyczajne Zebranie Związku Literatów w związku z powyższą sprawą — władze zakazały zebrania.



10 grudnia odbyło się zebranie podstawowej komórki partyjnej Związku Literatów zwołane przez J. Putramenta.



Komitet Centralny PZPR domagał się usunięcia z katedry Uniwersytetu Warszawskiego prof. L. Kołakowskiego. Zrezygnowano z tego na skutek ostrego sprzeciwu Polskiej Akademii Nauk z prof. Tadeuszem Kotarbińskim na czele.



Komitet Centralny wysunął przeciwko prof. L. Kołakowskiemu dodatkowe oskarżenie — mianowicie, że w październiku 1966 rozmawiał z kard. Wyszyńskim.



Studenci Uniwersytetu Warszawskiego, którzy zostali zawieszani w związku ze sprawą Kołakowskiego i postawieni przed Komisją Dyscyplinarną Uniwersytetu — odmówili zeznań motywując to tym, że nie popełnili żadnego wykroczenia przewidzianego Regulaminem Wyższych Uczelni.



POLACY W OBRONIE SINIAWSKIEGO I DANIELA

W czerwcu 1966 roku siedmiu młodych polskich naukowców wystosowało do redakcji „Prawdy” list protestujący przeciwko skazaniu A. Siniawskiego i J. Daniela. Listu tego „Prawda” nie zamieściła.

List ten podpisali:

Janina Waluk, dr ekonom. polit.;

Woroszyńska, asystent Wydz. Filolog. na U.W.;

Maryla Hopfinger-Łagodzińska z Wydz. Filolog. na U.W.;

mgr Wiesław Łagodziński, asystent Wydz. Ekonom. Polit.;

Krzysztof Pomian, asystent Wydz. Filozofii na U.W.;

Kiełbasiński, z Wydz. Mat.-Fizycznego U.W.;

Antoni Zambrowski, asystent Wydz. Ekonomii Polit. na U.W.

Po wyroku

9 kwietnia 1966, w dwa miesiące po ogłoszeniu wyroku, Julij Daniel wysłał z więzienia list do redakcji *Izwestii*. Jest to ostatnia wypowiedź skazanego pisarza, jaką znamy:

„Podczas całego okresu śledztwa i procesu nie rozporządzałem żadną obiektywną informacją o publicznych odgłosach utworów Arzaka i Terca, a sędziowie śledczy, oskarżyciele i członkowie trybunału próbowali przekonać mnie i Siniawskiego że nasze książki czytane i reklamowane były tylko przez wrogów naszego kraju, i że zamieniono je w narzędzia walki ideologicznej. Muszę przyznać że długie miesiące tego „przekonywania” odniosły pewien skutek: wziąłem w końcu na siebie winę „nieprzezorności” i wyraziłem żal, że posługiwano się naszymi utworami by wyrządzić szkodę naszemu państwu. Po procesie i wyroku miałem możliwość zapoznać się z naszymi gazetami, zdobyłem też trochę informacji z prasy zagranicznej. Zrozumiałem wówczas, że mój „żał” i „przyznanie się do winy” spowodowane były wyłącznie brakiem informacji. Zrozumiałem również że czytelnicy naszych dzienników wprowadzeni zostali w błąd odnośnie sensu, myśli przewodnich i nawet charakterystyk artystycznych powieści i opowiadań Terca i Arzaka. Nie będę tu wyliczał wszystkich hultajskich chwytów i kruczków, do jakich w absolutnej złej wierze sięgnęli dziennikarze i krytycy: mówiłem już o tym na procesie w moim ostatnim słowie. Tendencyjne przedstawienie procesu, utworów i postaci obu oskarżonych w naszej prasie, z drugiej zaś strony solidarność i protest przeciw procesowi i wyrokowi w kołach postępowych opinii publicznej świata i wśród wielu sowieckich pisarzy, uczonych i pracowników kultury, nakazują mi wyrazić w sposób jasny i niedwuznaczny mój sąd o tym co zaszło. Doszedłem do wniosku że nasze utwory nie po-

Artykuł Gustawa Herling-Grudzińskiego jest przedmową do książki pod tym samym tytułem która ukaże się jako kolejny tom „Dokumentów” i będzie zawierała resztę Stenogramu z procesu Siniawskiego i Daniela, Listy protestacyjne intelektualistów sowieckich, protesty komunistów zachodnich i z Demokracji Ludowych. Książka będzie zawierać ponadto stenogram z posiedzenia Moskiewskiego Związku Literatów, na którym wykluczono B. Pasternaka.

winy były być w żadnym razie przedmiotem rozprawy sądowej. Wyrok jest niesprawiedliwy i niezgodny z prawem. Wycofuję mój „żał” odnośnie szkód, jakie nasze książki rzekomo wyrządziły. Jedyną szkodą, jaką można wiązać z nazwiskami Siniawskiego i Daniela, jest ta która dotyczy aresztowania, procesu i wyroku. Dziękuję wszystkim, którzy wzięli sobie do serca nasz los. Nie mam możliwości porozumienia się i naradzenia z Siniawskim, ale jestem głęboko przekonany że podziela on każde słowo tego listu”.

Główny dokument w niniejszym zbiorze, petycja sześćdziesięciu dwóch pisarzy sowieckich do Prezydium XXIII Zjazdu, do Rady Najwyższej ZSSR i do Rady Najwyższej RSFSR z podpisaniami Kornieja Czukowskiego, Erenburga, Szkłowskiego, Antokolskiego, Kawerina, Achmaduliny, Dombrowskiego, Kopielewa, Nagibina, Okudźawy i Lidii Czukowskiej, nosi datę 29 marca - 8 kwietnia 1966. Pisząc swój list *nazajutrz* po złożeniu tej petycji, Daniel musiał już zapewne o niej wiedzieć. Tym się tłumaczy *passus* o „solidarności i proteście wielu sowieckich pisarzy, uczonych i pracowników kultury”. Wzmianka o uczonych i pracownikach kultury wskazuje, że słyszał także o innych wystąpieniach: o depeszy protestującej przeciw usunięciu z katedry docenta Duwakina, świadka obrony Siniawskiego, i podpisanej przez osiemnastu pracowników Uniwersytetu Moskiewskiego; o liście „kandydata nauk fizyczno-matematycznych” Lewina; o listach historyków sztuki Gerczuka i Gołomsztoka; o liście ekonomisty Menikera; o „ekspertyzie” lingwisty Iwanowa. Obaj oskarżeni, którzy podczas procesu nie mogli nie czuć wrogiego do nich stosunku ze strony specjalnie dobranej publiczności (typowe adnotacje ze stenogramu: „Głośny śmiech, Daniel nerwowo spogląda na salę”, „Szmer potępienia i grubiański śmiech na sali”, „Szmer oburzenia na sali”), odkryli naraz po wyroku że nie są sami, że jest z nimi zbuntowana inteligencja rosyjska której nie dopuszczono na rozprawę sądową. Przysłany z Rosji do *Kultury* zestaw dokumentów ma świadczyć o tym fakcie przed opinią publiczną świata, nie wyłączając krajów „demokracji ludowej”. W samej Rosji większość zebranych tu petycji, listów i protestów krąży już od dawna w powielanych odpisach.

W komentarzu zatytułowanym *Wyrok* (marcowy numer *Kultury* z 1966 roku) nazwałem proces Siniawskiego i Daniela „wydarzeniem przełomowym w historii Związku Sowieckiego”. Niemniej przełomowe jest obecne pokłosie procesu i wyroku. Po raz pierwszy oglądamy, nie wierząc chwilami własnym oczom, *jawną* opozycję sowiecką na tak wielką skalę. Kto uważał dotąd casus dwóch uwięzionych i skazanych pisarzy rosyjskich za objaw szlachetnej ale bezsilnej „donkiszoterii”, będzie teraz musiał zmie-

nić zdanie. Siniawski i Daniel okazali się tylko wierzchołkiem podwodnej skały lodowej, która po ich aresztowaniu i skazaniu wynurzyła się jeszcze bardziej. *Les grands ne nous paraissent grands que parce que nous sommes à genoux; levons nous.* Inteligencja rosyjska podnosi się wolno z klęczek. Osiem lat temu załedwie, w październiku 1958 roku, na klęczkach zmuszona była „błagać” rząd ustami hańbiących ją pisarzy moskiewskich o pozbawienie Borysa Pasternaka obywatelstwa sowieckiego i wydalenie go z granic kraju ojczystego; w tym orwellowskim „dniu nienawiści”, w tej scenie przypominającej to opisy bezgranicznego upodlenia u Dostojewskiego to opisy bezbrzeżnej serwilistycznej głupoty u Gogola, nie zabrakło — prócz miernot o martwych lokajskich duszach — takich nazwisk jak Borys Słuckij, Leonid Martynow, Wiera Inber, Władimir Sołouchin, Galina Nikołajewa. Dziś, podniósłszy się z klęczek, domaga się uwolnienia Siniawskiego i Daniela. Nie w imię litości i „uczuć humanitarnych”, nie w imię pobłażania dla młodego wieku i „niedoświadczenia” osądzonych. W imię wolności słowa, myśli, sumienia i wyobraźni artystycznej, w imię gwałconych dalej zasad elementarnej praworządności, w imię cieni pisarzy zamordowanych lub zamęczonych w przeszłości. Te cztery elementy — wolność myśli i sumienia, nieskrępowana twórczość, poszanowanie prawa, wyklęcie cienia stalinizmu — przewijają się we wszystkich bez wyjątku dokumentach. Żona Siniawskiego, Maja Rozanowa-Kruglikowa, w okresie śledztwa: „Przeczytałam książki Abrama Terca; uważam je za znakomitą prozę, gotowa jestem podpisać się pod każdym jej zdaniem (niezależnie od tego kim jest autor); jeśli to przestępstwo, zamknijcie mnie w więzieniu razem z Siniawskim, bo na nic mi wolność bez Siniawskiego, bez możliwości mówienia jasno i uczciwie tego co myślę”. Młody poeta Ginzburg, również w okresie śledztwa: „Kocham literaturę rosyjską i nie chcę, by jeszcze dwóch jej przedstawicieli zesłano pod konwojem piłować las”. Matematyk Lewin, na krótko przed procesem: „Z niedawnej przeszłości wracają nazwiska Achmatowej, Zoszczenki, Pasternaka, Brodzkiego, z dalszej — Mandelsztama, Babela, Katajewa i wielu wielu innych”. Krytyk literacki Rodnianskaja, także na krótko przed procesem: „Czas skończyć z nihilistycznym przekonaniem, że procedura sądowa to pusta formalność”. Ekonomista Meniker, w przeddzień rozprawy sądowej: „Powieści i opowiadania Terca i Arzaka są utworami sztuki”. Historyk sztuki Gołomstok, współautor (z Siniawskim) książki o malarstwie Picassa, również w przeddzień rozprawy sądowej: „Nasza literatura poniosła za wiele strat w okresie kultu jednostki; nie należy powiększać listy ofiar”. Grupa sześćdziesięciu dwóch pisarzy sowieckich, po wyroku: „Sytuacja wymaga rozszerzenia (a nie zwężenia)

swobody eksperymentu intelektualnego i artystycznego". Lidia Czukowskaja, w liście otwartym do Szołochowa po jego nikczemnym przemówieniu w obronie wyroku: „Ideom należy przeciwstawiać idee, a nie łagry i więzienia”.

Wszystko to razem ma bez porównania większą wagę niż amerykańskie „plany globalne”, francuskie deklaracje o „Europie od Atlantyku do Uralu”, obłudne bicia w dzwony żałobne w rocznicę Budapesztu. Losy tej części Europy zależą niemal wyłącznie od zmian i przeobrażeń w samej Rosji, bez nich można będzie mówić najwyżej o rozgięciu krat, nigdy o ich wyłamaniu. Czy rozumieją to intelektualiści w krajach Europy wschodniej, czy zdają sobie sprawę że istotniejszy od kontaktu z paryskim mydłkiem literackim jest kontakt z odważnym i uczciwym pisarzem rosyjskim? Jak dotąd tylko Mihajlo Mihajlov, rozumny autor *Lata moskiewskiego* 1964, przywiózł z podróży do Rosji takie „wnioski i perspektywy”: „Związek Sowiecki stoi wobec gigantycznych zmian. Rok 1956 był tylko pierwszą falą. Od tego co dzieje się dziś w ZSSR zależy w dużym stopniu los ludzkości... Zbliża się niewątpliwie Trzecia Rewolucja, którą przewidział jeszcze Majakowski”. Młody rusycysta jugosłowiański pozostał wierny temu przekonaniu w swojej dalszej działalności. Kto wie, może dlatego właśnie *New York Times* zastanawiał się poważnie czy nie chodzi aby o ukrytego agenta sowieckiego...

Czytelnikowi w kraju te dokumenty przysłane z Rosji nasuną przypuszczalnie dość smętne refleksje porównawcze. Po Memoriale 34 widział popłoch wśród części sygnatariuszy i tłok w ogonku do podpisywania „protestu przeciw protestowi”. Niedawno, podczas Kongresu Kultury Polskiej, nie usłyszał z sali obrad ani jednego słowa w obronie Kuronia, Modzelewskiego, Hassa, Millera, Grzędzińskiego. Zagranicą pojawiło się już kilku dostojnych komiwojażerów intelektualnych, usiłujących przekonać zbyt cierpliwych słuchaczy, że projektowana „reformacja studiów filozoficznych” będzie dobrodziejstwem dla kultury polskiej. „Weźmiemy was głodem” — miał jakoby zagrozić osobnik redagujący *Kulturę* warszawską komuś, kto wciąż odmawia współpracy z jego piśmkiem. „Znakomite hasło — usłyszał w odpowiedzi, — warto nim zastąpić wiele dawnych i już nieaktualnych”. „Głodem” w dziesięć lat po polskim Październiku jest w większości wypadków odmowa wystawienia paszportu zagranicznego lub wydania kiepskiego tomiku wierszy. „Głodem” wśród znacznego odłamu dzisiejszej inteligencji rosyjskiej nie jest nawet groźba uwięzienia za obronę już uwięzionych.



W liście historyka sztuki Igora Gołomsztoka uderza zdanie:

„Twierdzić że te problemy (poruszone przez Siniawskiego i innych artystów współczesnych — przyp. mój) nie stoją przed naszym społeczeństwem, to tyle co zaprzeczać nie tylko elementarnym założeniom marksizmu, ale zdrowemu rozsądkowi i naszym codziennym doświadczeniom; kto pretenduje do miana współczesnego pisarza, nie ma prawa zamykać na nie oczu”.

Ostatnia książka Silonego *Uscita di sicurezza* zawiera między innymi krótki tekst pod tytułem *Situazione degli ex — Situacja ex-komunistów*. Autor Fontamary wygłosił go w roku 1942 na emigracji w Szwajcarii przed audytorium złożonym głównie z byłych komunistów niemieckich. „Jedną z tragedii naszej epoki — mówił dokładnie w dwadzieścia pięć lat po zwycięstwie Rewolucji Rosyjskiej — jest uwiad marksizmu w kraju, gdzie jego wyznawcy objęli władzę: z bezlitosnej krytyki wszelkich ideologii przeistoczył się on sam w najbardziej dogmatyczną ideologię; z żądania supremacji człowieka nad rzeczami zamienił się w zimną technokrację; z ruchu wyzwolenia politycznego przedzierzgnął się w system niewoli. Ilekroć jako członkowie partii próbowaliśmy dyskutować z marksistami rosyjskimi, mieliśmy uczucie rozmawiania z somnambulikami. Posługują się oni marksizmem jak narkotykiem, który otępia wrażliwość i znieczula przeciw bólom. Przyszła rewolucja rosyjska (gdyż nie mam wątpliwości że w Rosji istnieją przesłanki do nowej rewolucji, choć nikt nie potrafi przewidzieć czy wybuchnie ona za dziesięć czy za sto lat) wypisze prawdopodobnie na swoich sztandarach hasło: marksizm to opium dla ludu”.

U progu obchodów półwiecza Rewolucji Rosyjskiej pokolenie marksistowskich „sommnambulików” ustępuje stopniowo miejsca pokoleniu, które nie chce „wpadać w sprzeczność z elementarnymi założeniami marksizmu” w analizie *własnego* społeczeństwa i odrzuca ogłupiające i otępiające opium dogmatyzmu, „życia z zamkniętymi oczami”. W tym tkwi najtrwalszy załazek nowej rewolucji, o której niegdyś mówił pisarz włoski, a dziś mówią — z różnymi intonacjami — młody docent Uniwersytetu w Zadarze i dwaj młodzi asystenci Uniwersytetu w Warszawie. Nie jest na pewno kwestią przypadku, że w dwóch dokumentach niniejszego zbioru — w liście młodego matematyka moskiewskiego Lewina i w liście młodego poety i tłumacza moskiewskiego Jakobsona — pojawiają się dumne słowa autora *Listu filozoficznego*, Czaadajewa (którego Mikołaj I kazał ogłosić „dziwakiem niespełna rozumu”): „Nie stało się tak że pokochałem moją ojczyznę z zamkniętymi oczami, z pochyloną kornie głową, z zatkanymi ustami. Jestem zdania, że człowiek może być użyteczny dla swego kraju tylko wtedy jeśli go jasno widzi. Myślę, że minęły czasy ślepych miłości. Sądzę że przyszliśmy po innych by nie wpadać

w ich błędy, w ich omyłki i zabobony". Oto cały sens sprawy Siniawskiego i Daniela: i oni i ich najbardziej zagorzali młodzi obrońcy „przyszli po innych” by nie powtarzać starych „błędów, omyłek i zabobonów”, by podnieść głowy, otworzyć oczy i wypłuć kneble z ust.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

6 grudnia 1966.

Nad trumną Anny Achmatowej

Poezja Anny Achmatowej, jej los, cała jej piękna, majestatyczna postać personifikują Rosję w najbardziej ciężkich, tragicznych i najbardziej chwalebnych latach jej tysiącletnich dziejów.

Anna Wszechrosji — tak nazwała ją inna wielka córka Rosji, Marina Cwietajewa.

Anna Wszechrosji! To duma, niezłamana nawet w ponizeniu i śmiertelnym lęku. To pokora — właśnie pokora, a nie potulność — i z lekka szydercza trzeźwość w chwilach największych triumfów. Majestatyczna boleść i wiecznie młody, swawolny uśmiech. Najbardziej kobieca czułość i najbardziej odważna męskość. Potężna, wytworna myśl uczonego, jasnowidztwo surowej prorokini i nieudanie naiwne zdumienie wobec urody ziemi i tajemnic życia, a ponadto jakieś pradawne nawiedzenie, ten stan, w jakim wróżka sama jest zaczarowana przez miłość, przez oddech ziemi, przez czarodziejskie sposoby swawolnego słowa.

*Nasze rzemiosło święte istnieje
już od wielu tysięcy lat...
Nawet i w mroku oświeśla dzieje,
ale kiedy i który poeta zgadł,
że nie istnieje ni mądrość ni starość,
a może i śmierć nie istnieje...*

Anna Wszechrosji, po dwakroć ukoronowana — cierniowym wieńcem i gwiazdzistą koroną poezji.

Jej poezja jest zarazem jednolita i wielotwarzowa, wyrasta z żywych przeciwności, z jedności nie poddającego się żadnym osądom płomiennego i przerażonego serca, i z rozumu tak przejrzystego, jak odbłask śniegu na szczytach gór. Jest otwarta na oścież i zamknięta, tajemnicza jak życie samo. Jej życie było wypełnione bezgranicznym cierpieniem i bezprzykładowymi zwycięstwami, godzinami rozpacz i krótkimi przebłykami szczęścia — życie pełne sprzeczności i przepiękne jak jej poezja.

W jej wierszach żyją nuty pieśni rosyjskich — żałobnego płaczu i cichej modlitwy i filuternych czastuszek — przygrybiająca więzienna tęsknota i ta

Tekst przemówienia Lwa Kopielewa krąży w odpisach w Związku Sowieckim. Jeden z tych odpisów otrzymała ostatnio redakcja „Kultury”.

jasna radość, na którą zawsze pada cień smutku; oddechy rosyjskich lasów i rzek, surowy rytm petersburskich granitów i mrocznych ogrodów, szmer carskosielskich gajów i wybuchy pocisków na ulicach obłąkanego Leningradu. To wszystko żyje w wierszach Achmatowej. Są niezmiernie różnorodne. W najbardziej odmiennych od siebie — nastrojem, tematyką, słownictwem — zawsze z całą wyrazistością wyczuwamy specjalny, jej tylko właściwy akcent, zawsze dźwięczy jedyny, niepowtarzalny głos. A zarazem zawsze objawia się oczywiste, bliskie pokrewieństwo z Puszkinem — pokrewieństwo bezpośredniego poetyckiego spadku, pokrewieństwo słowa i światopoczucia, głęboko narodowego i właśnie przez to uniwersalnego.

Poezja Anny Achmatowej personifikuje Rosję nie tylko dlatego, że utrwaliła przyrodę, dzieje i teraźniejszość rosyjską, byt i życie cierpienia i radości. Ale także i dlatego, że prawdziwie na rosyjski sposób obejmuje cały świat — miłośnię i mądrze obejmuje Europę i wszechświat. W swoim przemówieniu o Puszkynie Dostojewski powiedział: — Przeznaczenie rosyjskiego człowieka jest ponad wszelką wątpliwość ogólnie europejskie i ogólnie światowe. Stać się prawdziwym, w całej pełni Rosjaninem może znaczyć i znaczy... stać się bratem wszystkich ludzi, *wszechczłowiekiem*.

U Anny Achmatowej, podobnie jak u Błoka, Cwietajewej, Mandelsztama, Majakowskiego i Zabołockiego. widzimy zawsze obecną tę puszkiniowską „uniwersalną życzliwość”, o której mówił Dostojewski.

W jej wierszach żyją — właśnie żyją — obrazy starożytnej Hellady i Rzymu, biblijnego Wschodu, dawnej i współczesnej Europy. Muza Dantego i Szekspira jest także jej muza. Cierpienia Londynu, płonącego pod faszystowskimi bombami, udręka Paryża w hitlerowskiej niewoli — to jej cierpienia, jej udręka. Z nieudawaną miłością i z umiejętnością mądrej penetracji w duchowy świat innych narodów, innych epok, Achmatowa tłumaczyła poetów starożytnego i współczesnego Wschodu, poetów wszystkich słowiańskich krajów, a także Estonii, Rumunii, Norwegii.

W każdej linijce jej wierszy, jej prozy i poetyckich przekładów sprawuje czary „mowa rosyjska, potężne rosyjskie słowo”.

Wielkość Achmatowej jest tym bardziej wyraźna i oczywista, że występuje bynajmniej nie na tle jakiegś szarzyzny. Jest przecież zarazem spadkobierczynią, współuczestniczką i rodaczką olbrzymów. Na niebie rosyjskiej poezji nasze stulecie świeci niezrównanym gwiazdozbiorem. Poeci są jak gwiazdy — gdy gasną, świecą nadal coraz dalszym odległościom, coraz to nowym pokoleniom. Nowi ludzie odkrywają w nich nowe odcienie spektralne, nowe drobiny żywej energii. Błok, Gumilow, Chlebnikow, Jesienin, Majakowski, Mandelsztam, Cwietajewa, Pasternak... Achmatowa zamyka ten rejestr, dopełnia całą epokę tak wielkiej wspaniałości i bogactwa rosyjskiego, poetyckiego słowa, że ocenić ją prawdziwie będą mogli, zapewne, dopiero wnucy i prawnucy. Achmatowa jest nieśmiertelna jak mowa rosyjska. Zaś jej oszczercy i pomniejszyciele zostaną skazani na najwyższą karę całkowitego zapomnienia, albo na wiekiwieczną herostratesową hańbę, wyrażoną drobnym druczkiem komentarzy w ostatnim tomie akademickiego wydania jej utworów zebranych.

Dla tych wszystkich, którzy znali Annę Andriejewnę, którzy doświadczyli wielkiego szczęścia obcowania z nią, słyszenia jej, dla tych wszystkich życie od tej chwili stało się bardziej nikłe, wyblakłe i głuche.

Ale i nam pozostaje żałosna i dumna pociecha. Dziś zarówno wierzący

jak niewierzący są przekonani o nieśmiertelności jej duszy, wiedzą, że i teraz i nazajutrz i po wieki wieczne coraz bezsporniej będzie utrwalać się cała wielkość jej twórczości i życia.

Pamięć wiekuista! Nie, to nie tylko słowa modlitwy — żałobne, smutne słowa błagania i nadziei. To pewność, to przekonanie. Rozumiejąc i czując pierwotny, jak w pierwszym dniu stworzenia, sens każdego słowa, wiemy i wierzymy, że pamięć jej będzie wiekuista.

Lew KOPIEŁOW

Moskwa, 6 marca 1966 roku.

(Przełożył Józef Łobodowski)

Przegląd niemiecki

CZARNO-CZERWONA KOALICJA

Pierwszego grudnia 1966 r. dotychczasowy premier Badenii-Wuerttembergii, Kurt Georg Kiesinger, jeden z filarów chadecji, został kanclerzem Niemiec Zachodnich. Willy Brandt, prezes socjalistów, dotychczasowy nadburmistrz Zachodniego Berlina — wice-kanclerzem i ministrem spraw zagranicznych.

Czas trwania koalicji przewiduje się na okres nie krótszy niż do końca bieżącej legislatury, czy do września 1969 roku, i nie dłuższy niż do końca następnej legislatury, tzn. do września 1973 roku.

Dwie wielkie partie zamierzają urzeczywistnić dwupartyjny system rządów przez dokonanie odpowiednich zmian konstytucji. Obie partie dążą do pozbycia się uciążliwego jęczyczka u wagi — wolnych demokratów, FDP. Obie chciałyby zapobiec groźbie zjawienia się w Bundestagu demagogów spod znaku Nationaldemokratische Partei Deutschlands, NPD. Obie chcą wyprowadzić politykę Bonn z pogłębiającego się od lat bezwładu.

Zawarta spółka na ogół została przyjęta z uczuciem ulgi. Większość Niemców ma dość chwiejnej polityki, datującej się od czasu utraty absolutnej większości chadeków w Bundestagu, a spotęgowanej uzależnieniem się od wolnych demokratów po objęciu kanclerstwa przez Erharda. Kanclerz Erhard, dziedzicząc władzę po Adenauerze, zbyt skwapliwie kontynuował, choć tego nie głosił, ową zasadę, że socjaliści w rządzie Niemiec to katastrofa. Ta zasada, a nie sytuacja budżetowa, była jedną z przyczyn upadku „twórcy niemieckiego cudu gospodarczego”.

Mozolne konstruowanie koalicji nie zostało uwieńczone powszechnym uznaniem członków obu partij i społeczeństwa. Najliczniejsze sprzeciwy odezwały się jednak nie wśród chadecji, lecz w szeregach socjalistów. W Bundestagu, podczas głosowania kandydatury Kiesingera na urząd kanclerski, oddano 340 głosów „za”, 109 „przeciw” i 23 białe kartki. Ponieważ w Bundestagu jest 49 wolnych demokratów, a podczas głosowania było tylko 46 obecnych, więc 63 głosy „przeciw” i 23 białe kartki pochodzą od człon-

ków nowej koalicji. Wtajemniczeni twierdzą, że głosy „przeciw” pochodziły od socjalistów.

Tu trzeba przypomnieć, że niemiecka socjaldemokracja od trzydziestu sześciu lat przeżywała ciężkie czasy. Po bardzo trudnej sytuacji w ostatnich latach przed Hitlerem nastąpił długi okres prześladowań fizycznych pod rządami Hitlera. Poddani dotkliwej próbie przed dwudziestu laty, gdy okupant sowiecki wymusił na socjalistach w zasięgu swej władzy „zjednoczenie” z partią komunistyczną, po ustanowieniu niezależności Niemiec Zachodnich, socjaliści byli gnębieni — wprawdzie tylko moralnie — przez chadecję. Tym trudnym położeniem, trwającym dłużej niż jedno pokolenie, należy tłumaczyć początkowo negatywne reakcje wśród wielu członków SPD na pierwsze wieści o zawieraniu układzie.

W prasie przychylniej socjalistom wyrażono obawy, że zawarta koalicja może osłabić zwartość, a nawet że grozi rozłamem partii. To bardzo wątpliwe obawy. W obecnych warunkach, gdy socjaliści dochodzą wprawdzie tylko do współwładzy, ale z widokami stania się jednym z dwóch ugrupowań powołanych do sprawowania rządów — korzyści partyjne są zbyt obiecujące, by stworzyć warunki powodujące rozłam. Poza tym jest zbyt jasne dla olbrzymiej większości socjalistów, że rozłam leży wyłącznie w interesach reżymu Ulbrichta.

Członkowie partii, poplecznicy i prasa, przychylnie wolnym demokratom, biją na alarm, że czarno-czerwona koalicja niweczy demokrację i t.d. i t.d. Zrozumiałe to biadania partii zdobywającej około dziesiątej części głosów, a dysponującej do niedawna piątą częścią pierwszoplanowych ministerialnych foteli. Wolnym demokratom nie pozostaje dziś nic innego jak — pozostając w opozycji — przekonać przed wyborami 1969 roku większy niż dotychczas odsetek społeczeństwa, że FDP także jest konstruktywną częścią niemieckiej demokracji.

Wreszcie, z wieloma zastrzeżeniami przeciw nowej koalicji wystąpiła ta część prasy, która od lat jest na wojennej stopie z F. J. Straussem, prezesem bawarskiej CSU i obecnie ministrem finansów w gabinecie Kiesingera. Są to jednak zastrzeżenia bardziej osobistej natury niż politycznej. Na przykład, wydawca wpływowego tygodnika „Der Spiegel” ma sporo powodów by nie nosić w sercu ministra Straussa.

Nowa koalicja jest dla chadecji nie mniej pomyślnym wydarzeniem niż dla socjalistów. Przede wszystkim ułatwia im ustalenie wewnętrznej równowagi, zachwianej sztywnym stosowaniem przebrzmiałych teorii, nie zawsze zręczną polityką zachodnią przy braku polityki wschodniej i kłopotami wewnętrznymi, jak na przykład niedawny kryzys w dowództwie armii.

Poza tym chadecja ma stałe wewnętrzne kłopoty wyznaniowe — trudno zrozumiałe dla Amerykanina czy Francuza, a nie mające znaczenia dla socjalistów. Chadecy wciąż jeszcze muszą zwracać uwagę na utrzymanie odpowiedniej równowagi między katolikami a protestantami na eksponowanych stanowiskach. Koalicja może osłabić znaczenie przynależności wyznaniowej.

Wreszcie, zawarte z socjalistami przymierze uwalnia chadecję od stosowania demagogicznych haseł, praktykowanych dotychczas głównie ze względów taktyczno-konkurencyjnych wobec opozycji. Odpowiednie wykorzystanie tej możliwości może spowodować pomyślne zmiany w stosunkach Niemiec z bezpośrednimi sąsiadami wschodnimi.

Przy wzajemnej lojalności obu wielkich partnerów utworzona koalicja może okazać się korzystnym wydarzeniem historycznym nie tylko dla Niemiec, ale i dla Europy. Będzie to w dużym stopniu zależne od osobistych walorów i poczynañ głównych autorów i wykonawców zawartego porozumienia. Dlatego nieco o personaliach.

Z osobistości, które głównie przyczyniły się do utworzenia koalicji, należy wymienić: socjalistów — Herberta Wehnera, Willy Brandta i Helmuta Schmidta; z chadecji — F. J. Straussa, kanclerza Kiesingera i, działającego dyskretnie ale niedwuznacznie, prezydenta Lübke.

Ułatwieniem, a może nawet umożliwieniem porozumienia, był wynik wyborów dokonanych przez chadecję, w których odpadli jako kandydaci na urząd kanclerski Rainer Barzel, Eugen Gerstenmaier (zrzekł się kandydatury) i Gerhard Schröder, a wybrany został Kurt Georg Kiesinger.

W koalicyjnym gabinecie zasiada obecnie pod przewodnictwem liberalnego katolika Kiesingera dwiętnastu ministrów: dziewięciu socjalistów, siedmiu członków ogólnie niemieckiej Chrześcijańsko-Demokratycznej Unii (CDU) i trzech członków bawarskiej Chrześcijańsko-Socjalnej Unii (CSU). Istniały zamiary zredukowania gabinetu do czternastu foteli, jednakże nie wykonano tego projektu. Socjaliści zajmują siedem kluczowych foteli i dwa przeznaczone w początkowym planie do likwidacji.

W obecnej sytuacji Niemiec specjalnej wagi nabiera współdziałanie ministrów gospodarki i finansów, a więc hamburskiego profesora Schillera i bawarskiego F. J. Straussa. Zainteresowanie ich współpracą jest wzmożone osobistymi cechami obu ministrów: Schiller, wschodząca gwiazda SPD, teoretyk, który zdołał wykazać praktyczne talenty w Senacie Zachodniego Berlina; Strauss — najbardziej może kontrowersyjna osobistość w Niemczech, a jednocześnie najpoważniejszy kandydat na ewentualnego następcę Kiesingera.

Trzy resorty winny ściśle synchronizować działalność z ministrem spraw zagranicznych: obrony, spraw ogólnie niemieckich i współpracy gospodarczej. Nie ma żadnych wątpliwości co do harmonijnej współpracy Wehnera i Wischniewskiego z Brandtem, ale jak będzie się czuł w tym kwartecie Schröder, zawiedziony w ambicjach kanclerskich i odsunięty od spraw zagranicznych? Czy znajdzie kontakt z Brandtem bez pośrednictwa Kiesingera?

Neo-rapalliści i Neo-Nazi-NPD.

Wolnym demokratom, stanowiącym obecnie 49-cio mandatową mini-opozycję w Bundestagu, nikt teraz nie szczędzi rozmaitych zarzutów. Między innymi, w prasie zagranicznej znalazły się osady, że FDP jest siedliskiem neorapallowców. To duża przesada.

Rapallizm i prorosyjskie ciągoty są w Niemczech znanym, lecz dotychczas sporadycznym zjawiskiem. Można się z nim spotkać u członków każdej partii i wyznania, ale będą to wypadki indywidualne, a nie zbiorowe. Między rapallizmem, czyli dążeniem do ugody niemiecko-sowieckiej, a prorosyjskością istnieje duża różnica. Jednak w Niemczech rapallizm i prorosyjskość są jednakowo antypolskie, więc dla nas groźne jednakowo.

Jednym większym zespołem, gdzie prorosyjskość nieomal obowiązuje, jest

„Göttinger Arbeitskreis für Ostfragen” (nie mający nic wspólnego z uniwersytetem w Getyndze). Być może niepokojący rozwój „Nationaldemokratische Partei Deutschlands” (NPD) okaże się następną, w przeciwieństwie do „Göttinger Arbeitskreisu”, masową organizacją już nie teoretycznych, ale praktykujących rapallistów. Na razie w tej partii obowiązuje tylko antypolskość, wynikająca z ich demagogicznie skrajnego nacjonalizmu. Ale w programie figuruje nawiązanie rozmów z Kremlem, jako z jedynym czynnikiem mogącym umożliwić zjednoczenie Niemiec. Jakże zjednoczenie i jakich Niemiec, do Dżwiny i Bugu, czy jakoś inaczej — program nie wyjaśnia.

NPD, po wprowadzeniu 8 posłów do parlamentu krajowego w Hesji (6 listopada) odniosła w bawarskich wyborach krajowych (20 listopada) jeszcze większy sukces: 15 mandatów. Sukces niezwykle efektowny, gdyż jednocześnie FDP i lokalna Bayern Partei nie zdobyły ani jednego mandatu. Ale wyborcze powodzenie NPD nic nie zmieni w rządzie Bawarii, gdyż CSU F. J. Straussa zdołała wzmocnić absolutną większość o dwa mandaty i ma obecnie 110 posłów, a socjaliści utrzymali poprzedni stan posiadania 79 mandatów.

Wynik wyborów w Bawarii niezwykle wzmocnił pozycję F. J. Straussa w Bonn, osłabił wpływy FDP, a straszak NPD przynaglił dwie wielkie partie do koalicji.

Jeżeli eksperyment wielkiej koalicji powiedzie się, to NPD zostanie całkowicie unieszkodliwiona, ale wówczas panu Adolfowi von Thadden będą się należały słowa uznania.

Na podobne słowa uznania będzie wówczas zasługiwał były minister Seebohm, którego wyczyny oratorsko-propagandowe niewątpliwie przysporzyły panu Adolfowi von Thadden pokażnej liczby wyborców. To samo należy powiedzieć o tej części działaczy i publicystów ze Związków Wysiedleńców, którzy propagując przywrócenie władzy państwowej Niemiec do granic z 1937 roku, nie troszczą się o nawiązanie sąsiedzkiego porozumienia Niemców z Polakami.

Osobliwy przykład utracania prób porozumienia Niemców z Polakami daje pani minister „für Bundesangelegenheiten und Vertrieben fragen” Meyer-Sevenich w Hanowerze. W ciągu roku urzędowania zdołała przemienić ciekawy eksperyment hanowerski — znane czytelnikom „Kultury” „Rozmowy w Barsinghausen” — w instytucję do zwalczania memoriału Kościoła Ewangelickiego. Jeżeli w wyborach krajowych Dolnej Saksonii w czerwcu 1967 roku NPD odniesie podobny sukces jak w Bawarii, będzie w tym miała pani minister poważną zasługę. Złośliwi twierdzą, że pani Meyer-Sevenich odpowiednio asekuruje się, by w swoim czasie odegrać jakąś rolę bezpośrednio w NPD. Jej barwna przeszłość polityczna — zaprawa partyjna u komunistów, po wojnie działalność w chrześcijańskiej demokracji, ostatnio socjalistyczna posłanka parlamentu krajowego i minister w Dolnej Saksonii — upoważnia do takiej supozycji.

Po sukcesach wyborczych NPD wiele pisano o wpływach starych hitlerowców w tej partii. Nie ma możliwości stwierdzenia ilościowego udziału dawnych hitlerowców wśród głosujących na NPD wyborców. Ale żeby dawni hitlerowcy dostarczyli większej ilości wyborców, większej niż inne warstwy społeczne, wydaje mi się wątpliwe. Natomiast niemal pewne jest poparcie NPD przez komunistów, których obliczają tu na kilkanaście tysięcy. Na kogoż oni i wyborcy ulegający ich wpływom mieli głosować jak nie

na NPD! Ale najliczniejszych wyborców dostarczyły NPD te warstwy społeczne, którym brak własnych poglądów każe słuchać najbardziej radykalnych haseł.

Po utworzeniu rządu koalicyjnego w Bonn możliwość rozwinienia się NPD do rozmiarów zagrażających strukturze Niemiec — zmalała ogromnie. Ale NPD pozostaje zagadnieniem wymagającym uważnej obserwacji.

S. W. KOZŁOWSKI

Monachium, 8 grudnia 1966 roku.

SOS recepta z kraju...

Dr. Karol Kratowski
Poznań, Półwiejska 1

Imię i nazwisko chorego A. Pomorski

Rp.
 Librium @ 10 mg. 100 tabl. (ANGLIA)
 Melleril @ 25 mg. 250 tabl. (ANGLIA)
 Persantin 75 dragées (NIEMCY)
 Flagyl @ 250 mg. 20 compr. (FRANCJA)
 Trecator @ 250 mg. 40 compr. (FRANCJA)
 Robaden 30 amp. (SZWAJCARIA)

Data Poznań 2.1.1966 *Kratowski*
 Dr. Med. K. Kratowski
 Podpis i stempel lekarza

**P.S. Doradzałam załatwić
przez TAZAB w Londynie, bo
wykona natychmiast!**

22 ROLAND GARDENS, S.W.7 · FRE -3175

New York. 100 East 10th Str. N.Y.3.
Tel.: ALgonquin 4-4161.

Sprawy i troski

Działalność POSK'u

„Długoż będziemy pisać i radząc czekali, aż pomżemy wszyscy? Tylu już żegnaliśmy mowami naszymi, a mowy te były tak żałobne, tak czarne, jak gdybyśmy odprowadzali ojczyznę i z nią sami szli do grobu. Dostyc zamykać się w przeszłości...”

„Ojczyzna jest między nami — umiejcie tylko ją znaleźć”.

(A. Mickiewicz: Przemówienie na posiedzeniu
Towarzystwa Literackiego Polskiego,
Paryż, 3 maja 1842 r.).

Radzimy i czekamy już przeszło 20 lat! Pierwsza lub jedna z pierwszych koncepcji wspólnego domu dla organizacji społecznych, teatru i tp. powstała na początku 1946 r.

„Rozpoczęto też wtedy intensywne poszukiwania odpowiedniego obiektu. Szukano domu, który mógłby pomieścić nie tylko siedziby organizacji społecznych, nie tylko salę zebrań i odczytową, ale też salę teatralną i restaurację Ogniska. Na przestrzeni 2-3 miesięcy obejrzano kilkanaście obiektów. Jak dalece poważnie traktowany był ten odcinek świadczyć może fakt, że w oglądaniu niektórych domów proponowanych do kupna brał udział osobiście dowódca II Korpusu w asyście prezesów poważniejszych organizacji. W roku 1946 wartość nabywcza funta szterlinga była znacznie wyższa od wartości funta doby dzisiejszej. W tym czasie cena £ 30.000 jaką Komitet Obywatelski gotów był zapłacić za odpowiedni obiekt była ceną wysoką i rzeczywiście wśród ofiarowanych domów było parę doskonałych obiektów, które w pełni odpowiadałyby potrzebom. Pośród tych domów był nawet taki, w którym bez trudności można było uruchomić teatr z widownią na 200-250 osób. Ale w

odniesieniu do żadnego z tych obiektów nie można było uzyskać zgodnej opinii wszystkich czynników zainteresowanych. Dom, który odpowiadał jednemu, nie odpowiadał drugiemu. Tak mijały miesiące, poszukiwania trwały, ale nie dawały żadnego pozytywnego wyniku. Odnosiło się wrażenie, że ci, którzy uczestniczyli w poszukiwaniach i oglądzieli, obawiali się jednocześnie, by czasem nie znalaziono czegoś odpowiedniego”.

(Patrz broszura „Komitet Obywatelski Pomocy Uchodźcom Polskim w Londynie 1940-1965”. Londyn, w czerwcu 1965 r.)

W początkach 1947 r. projektu poniechano — zaległa cisza do grudnia 1960 r., kiedy to z inicjatywy Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, Stowarzyszenia Lotników Polskich i Samopomocy Marynarki Wojennej odbyło się zebranie delegatów 30-kilku organizacji celem rozważenia sprawy budowy „Domu Polskiego” w Londynie. Zaproszeni delegaci entuzjastycznie, choć z pewną dozą sceptycyzmu, przyjęli projekt. Powołano Komisję Prawną, Finansową i Techniczną, polecając przestudiowanie zagadnienia i przygotowanie statutu, zbadanie możliwości finansowych i opracowanie zagadnień technicznych.

Natychmiast po zamknięciu zebrania niektórzy z delegatów zaczęli szacować majątki i zasoby finansowe innych organizacji i padały cyfry idące w dziesiątki i setki tysięcy funtów..., ale nie mówiono o majątkach własnych organizacji. Komitet Budowy „Domu Polskiego” rozwiązał się w r. 1964, pozostawiając w aktach kilka protokołów zebrania, prowizoryczny zarys i kosztorys domu i £ 222.3.0. (Dwieście dwadzieścia dwa funty i trzy szylingi) w gotówce wniesionych przez kilkanaście organizacji na kosztą wstępne. Pieniądze te w r. 1964 Komitet Budowy „Domu Polskiego” przekazał do Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego.

Już na jesieni 1961 r., na podstawie wypowiedzi kilku przedstawicieli Komisji można było wyciągnąć dosyć daleko idące i pesymistyczne wnioski — akcja wśród organizacji nie chwyciła, rezultat właściwie żaden, jeżeli nie liczyć cierpkiego osadu, który pozostał w pamięci społeczeństwa.

Zagadnienie jednak istniało nadal. Najzarliwsze chyba dyskusje prowadzone były wśród członków *Polish University College Association Limited*, organizacji charytatywnej, która gospodarowała trzema domami pozostałymi po *Polish University College* w Londynie, a całkowity dochód z nich przeznaczała na popieranie działalności naukowej, wydawniczej i stypendialnej i która od 1954 r. bezpłatnie oddawała część swego lokalu Bibliotece Polskiej w Londynie, najpierw przy 5, a od 1962 r. przy 9, *Princes Gardens*, S.W.7, z którego też do dnia dzisiejszego Biblioteka korzysta.

Niestety ani poprzedni dom przy 5, *Princes Gardens*, S.W.7 ani obecny nie odpowiadają nie tylko wymogom Biblioteki, ale nie potrafią zaspokoić innych palących potrzeb społeczeństwa

polskiego w Londynie. Zresztą dzierżawa domu przy 9, Princes Gardens, S.W.7 nieodwołalnie wygaśnie we wrześniu 1976 r. Cały kompleks budynków przeznaczony został na rozbiórkę i rozbudowę Imperial College.

Toteż już w chwili obejmowania w posiadanie tego domu (1. 6. 1962) ówczesny przewodniczący P.U.C.A. Ltd. zwrócił uwagę gościom na „tymczasowość” lokalu i gorąco apelował do serc i umysłów o podjęcie niezwłocznej akcji, która by doprowadziła do powstania trwałej polskiej siedziby. Apel pozostał bez słowa odpowiedzi, żaden z obecnych nie podjął poruszonego tematu.

Stało się jasne, że trudno liczyć na pomoc czy poparcie tych ludzi, od których należałoby tego poparcia oczekiwać. Tymczasem gromadziły się czarne chmury nad głowami polskich instytucji i placówek naukowych i naukowo-kulturalnych; kurczyły się zasoby finansowe, przyszła zapowiedź rządu Brytyjskiego cofnięcia pomocy bibliotekom, odmowa pomocy finansowej polskim instytucjom, kończyły się dzierżawy niektórych domów służących tych organizacjom za siedzibę. Brak jakiegoś dalekowzrocznego planu, wegetacja i łatanie dziur z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc, to symptomy tego okresu.

Dlatego w trosce o przyszłość dorobku polskiego na emigracji, członkowie *Polish University College Association Limited* na walnym zebraniu, które odbyło się dnia 17 czerwca 1963 r. polecili Zarządowi, by — w porozumieniu z zainteresowanymi organizacjami — przygotował projekt statutu, ustalił formy prawne i podstawy organizacyjne ogólnopolskiej, społeczno-kulturalnej „fundacji”, której zadaniem byłoby gromadzenie funduszy na Ośrodek Polski w Londynie, popularnie nazwany „Domem Polskim”, gdzie by się mogły pomieścić biblioteki, archiwa, zbiory muzealne, i instytucje naukowe, organizacje kulturalno-oświatowe, młodzieżowe i inne.

Ośrodek miałby za zadanie zapewnić pomoc finansową tym instytucjom i organizacjom, przez stworzenie silnej i zdrowej bazy gospodarczej opartej o majątek społeczny i wkład społeczeństwa polskiego. Chcąc nadać tej akcji formy jak najbardziej realne członkowie P.U.C.A. Ltd. wyrazili gotowość poparcia jej całością majątku znajdującego się w dyspozycji Stowarzyszenia. W tym okresie wielogodzinnych narad i dyskusji przyszło w sukces Stowarzyszenie Techników Polskich w W. Brytanii, rzucając na szalę swój autorytet i majątek.

Była więc już wola dwóch organizacji i majątek o wartości około £ 100.000. W lutym 1964 r. projekt Ośrodka został przedstawiony na Walnym Zejeździe Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii, uzyskał aprobatę zebranych przedstawicieli organizacji. Dla sfinalizowania daleko posuniętych prac, Zjazd wyłonił Komitet Koordynacyjny organizacji, do którego weszli przedstawiciele:

1. Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii; 2. Stowarzyszenia Polskich Kombatantów; 3. Stowarzyszenia Lotników Polskich; 4. Samopomocy Marynarki Wojennej; 5. Komitetu Budowy Do-

mu Młodzieży; 6. Związku Harcerstwa Polskiego; 7. Stowarzyszenia Techników Polskich w W. Brytanii; 8. Polish University College Association Limited.

Prace zakończono w maju tegoż roku, polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny w Londynie został zarejestrowany jako spółka z ograniczoną odpowiedzialnością dnia 19 sierpnia 1964 r. Minęło więc już dwa lata, czas by rzucić okiem wstecz i zrobić bilans strat i zysków.

1. *Majątek*. — W dniu ukonstytuowania się władz Ośrodka, tj. 6 października 1964 r. cały majątek organizacji wyrażał się sumą £ 310.0.0, do 31 grudnia 1965 r. wzrósł do £ 8.469.0.0, w roku bieżącym powiększy się o wartość domów przekazanych przez Stowarzyszenie Techników Polskich i *Polish University College Association Limited* (oszacowanych na łączną sumę £ 125.750.0.0), wpłaty nowych członków i td. Na początku 1967 r. nastąpi przejęcie domu Instytutu Wschodniego „Reduta”.

2. *Lokal dla Polskiego Ośrodka Młodzieżowego* przy 7, Cromwell Road, S.W.7 oddany został młodzieży 30 kwietnia 1966 r. Klub Młodzieżowy „Pod Parasolem” skupia już ponad 300 stałych członków w wieku od 15 do 35 lat, a odwiedzany jest przez co najmniej drugie tyle osób jeszcze nie zrzeszonych.

3. *Pomoc działalności społeczno-kulturalnej*. — Bezpłatny lokal o wartości dzierżawnej ponad £ 4.500.0.0 dla Biblioteki Polskiej w Londynie oddany został do użytku w budynku na 9, Princes Gardens, S.W.7, wypłacane są stypendia i zasiłki dla młodzieży polskiej studiującej w W. Brytanii i Hiszpanii, pomoc finansową i lokalową otrzymuje Polski Uniwersytet na Obczyźnie, Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie, Instytut Badania Zagadnień Krajowych, Stowarzyszenie Techników Polskich w W. Brytanii, Zrzeszenie Polskich Profesorów i Wykładowców Szkół Akademickich na Obczyźnie, a nadto z pomocy lokalowej korzystają liczne zrzeszenia i organizacje naukowe, kulturalne, społeczne i zawodowe. Wszystko to skupia się w domu przy 9, Princes Gardens, S.W.7 — odgrywającym rolę miniaturowego Domu Polskiego.

4. *Polska Rada Biblioteczna* — powołana do życia przez Zjednoczenie Polskie w W. Brytanii z inicjatywy Stowarzyszenia Techników Polskich i Polskiego Ośrodka Społeczno-kulturalnego, ma za zadanie reprezentację i obronę interesów bibliotek polskich w Londynie, którym grozi cofnięcie pomocy udzielanej dotychczas przez rząd brytyjski.

5. *Członkowie P.O.S.K.* — Do P.O.S.K. przystąpiły 83 organizacje, które wniosły £ 3478.15.0. gotówką plus domy S.T.P. i

P.U.C.A. Ltd., Reduty i 195 członków indywidualnych z wkładem £ 2.310.10.7, co razem stanowi niewiele w świetle zadań i celów emigracji

6. *Formy prawne.* — Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny w Londynie został zarejestrowany w Ministerstwie Przemysłu i Handlu jako spółka z ograniczoną odpowiedzialnością i uzyskał uprawnienia organizacji charytatywnej w sierpniu 1965 r.

7. *Dom Polski* — będący jednym z zasadniczych celów organizacji nie wyszedł jeszcze poza ramy wstępnych przygotowań.

Tak przedstawia się w dużym skrócie najważniejsza działalność i wyniki poszczególnych prac Ośrodka.

Mamy więc organizację, która posiada osobowość prawną, status instytucji charytatywnej, majątek około £ 125.000 i której głównym celem jest skupienie społecznego mienia polskiego w celu zabezpieczenia zbiorów archiwalnych i muzealnych, działalności Biblioteki Polskiej i innych polskich instytucji i organizacji społecznych i kulturalnych na terenie Londynu.

Zdawałoby się więc, że akcja ta powinna znaleźć całkowite poparcie społeczeństwa polskiego a przede wszystkim odpowiedzialnych i czołowych kierowników życia społecznego emigracji.

Zwłaszcza należałoby oczekiwać przystąpienia z całym swym majątkiem do P.O.S.K. tych organizacji, których cele związane są przede wszystkim z działalnością kulturalną czy społeczną, a którym z braku funduszy czy też pomieszczenia grozi likwidacja w niedługim czasie.

Jeszcze innym zagadnieniem jest coraz bardziej paląca sprawa odchodzącego pokolenia. Na tym odcinku można wyliczyć szereg bardzo poważnych centralnych instytucji polskich na terenie Londynu, które w najbliższych latach staną wobec zagrożenia przez brak dobrze wprowadzonych w ich działalność ludzi średniego i młodego pokolenia. Rady i zarządy tych instytucji składają się w 100% z ludzi starszych wiekiem stojących w obliczu śmierci.

Do tych instytucji między innymi należą Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego oraz Komitet Obywatelski Pomocy Uchodźcom Polskim.

Jeszcze inną sprawą jest sytuacja prawna niektórych funduszy czy instytucji. Klasycznym przykładem jest sprawa własności Biblioteki Polskiej, do której Brytyjskie Ministerstwo Oświaty zgłosiło swe, naszym zdaniem zupełnie niesłuszne, roszczenia.

W ilu instytucjach polskich majątek zapisany jest na indywidualnych powierników, zwykle ludzi już starszych wiekiem, bez dostatecznego zabezpieczenia na wypadek ich śmierci? Tymczasem szereg tych właśnie znanych powszechnie na terenie emigracji działaczy społecznych nie tylko nie kwapi się z nawiązaniem współpracy z Ośrodkiem, ale prowadzi systematyczną

i często nieprzebieającą w środkach kampanię przeciw P.O.S.K.

Dołączyć do tego jeszcze należy akcję nieuchwytniej propagandy szeptanej przeciwko której bronić się trudno.

Stanowisko wielkich organizacji społecznych, które wprowadzie są członkami P.O.S.K., często tylko z nominalnym udziałem £ 20, jest albo wyczekujące albo życziwie bierne.

Niemal na progu swej działalności P.O.S.K. napotyka na ogromne trudności. Czyż więc po tych próbach poprzednich realizacja Domu Polskiego w Londynie ma skończyć się znów fiaskiem? Czy wolno nam dzisiaj, kiedy czas tak bardzo nagli zaprzepaścić cały dorobek historyczny i archiwalny naszej emigracji, tak ważny element w przekazaniu tradycji walki o niepodległość i polskość idącemu po nas pokoleniu?

Na pewno nie.

Władze P.O.S.K. ze swych celów i zadań nie zrezygnują. Jak atrakcyjne są te cele świadczyć może to, że właśnie w ramach P.O.S.K. udało się skupić tak duży procent ludzi należących do średniego i młodego pokolenia. Z rosnącą liczbą i zainteresowaniem naszą akcją tych właśnie młodych, łączymy nasze najlepsze nadzieje, bo dla nich i z myślą o najmłodszych budujemy.

Niezawodnie czynnikiem decydującym w tej akcji musi być całe społeczeństwo polskie i to nie tylko w Anglii. Zdajemy sobie sprawę, że po tylu zawodach nie możemy przyjąć do społeczeństwa tylko z hasłami i planami. Mamy już zaplecze gospodarcze, które zapewni utrzymanie planowanego Ośrodka. Musimy, i to w krótkim czasie, zakupić odpowiedni plac. Od szeregu miesięcy skupiamy nasze wysiłki na znalezienie takiego miejsca. Przy dzisiejszej koniunkturze gospodarczej nie jest to łatwa sprawa. Mając plac i plan domu gotowy zwrócimy się do wszystkich o ofiarę pomoc pieniężną. Mamy głęboką wiarę, że społeczeństwo zrozumie istotę sprawy, że znajdą się tysiące Polaków, którzy zechcą by wnuki mogli czytać ich nazwiska wyrte na murach Domu.

Wierzmy, że wtedy dołączą też i fundusze żołnierskie początkowo przeznaczone na pomoc wdowom i sierotom, których liczba podopiecznych siłą faktu maleje.

Wierzmy, że wśród indywidualnych członków Ośrodka znajdą się wszystkie parafie polskie w W. Brytanii w imię wspólnego celu utrzymania polskości.

Do tych zaś, którym idea i cele Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego już dziś są pilne, realne i ważne — apelujemy o jak-najszybsze zapisanie się do P.O.S.K. Składka członkowska wynosi £ 10 jednorazowo i dożywotnio i może być rozłożona na raty w ciągu roku.

Szczegółowe informacje udziela i wpłaty przyjmuje Zarząd Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego, 9, Princes Gardens, London, S.W.7., tel.: 01 584 2363.

C. WOYNO

Ucieczka z więzienia

I

— Od wiosny do jesieni czekałem na moją śmierć.

Rok był 1909-ty i było już po drugim procesie Mirosława Siczyńskiego o zabójstwo Namiestnika Andrzeja Potockiego. Ten drugi proces potwierdził wyrok wydany w pierwszym, przed rokiem: śmierć przez powieszenie.

— Posłali do zatwierdzenia cesarzowi. Cesarz był na polowaniu. Od tego czy ustrzeli kozła mogło wiele zależeć.

Że niby nastrój dnia mógł wpłynąć na cesarską decyzję.

Dla Franciszka Józefa sprawy zamachów politycznych i podsuwanych mu do zatwierdzenia wyroków nie były nowością. W okresie długich lat swojego panowania miał z nimi do czynienia często.

Sam był przedmiotem i celem niejednych prób zgładzenia go ze strony fanatycznych agentów anarchizmu albo egzaltowanych patriotów spomiędzy licznych narodów, wchodzących w skład monarchii Węgiersko-Austriackiej.

Z wyjątkiem zamachu jakiego dopuścił się na nim węgierski uczeń krawiecki Janos Libenyi w r. 1853, ugodziwszy młodego cesarza nożem w głowę, nie poniósł szkody na ciele. Ale życie jego i panowanie, naznaczone jest wspomnieniami gwałtownych śmierci, jakie nie oszczędziły jego bliskich, brata Maksymiliana, rozstrzelanego w Meksyku, żony Elżbiety, która zginęła ugodzona nożem zamachowca w Genewie, syna Rudolfa który popełnił samobójstwo w Meyerlingu.

Włoska irredenta projektowała zamordowanie cesarza w Trieście w r. 1882 gdy ten przybył na uroczystości pięćsetlecia przyłączenia miasta do Austrii. Guglielma Oberdank przyłapano z bombami nim zdążył je rzucić. Został skazany na śmierć i jeszcze tego roku powieszony w triesteńskich koszarach. Cesarz nie skorzystał z prawa łaski. Po upadku monarchii habsburskiej postawiono powieszonemu w Trieście pomnik.

Policja wiedeńska zasypywana jest raportami o spiskach Włochów, Węgrów, Polaków, Serbów. Jak dotąd udaje się cesarzowi uniknąć losu przeznaczanego mu w konspiracyjnych podziemiach.

W Paterson, New Jersey działa notoryczny terrorysta, Niemiec Johann Most, z zawodu introligator, dawniej poseł w Reichstagu. Pod jego wpływem uknuto zamach na Wilhelma I-go w r. 1883. Cesarz uszedł z życiem, spiskowców stracono.

Johann Most pracując w fabryce materiałów wybuchowych w Jersey City napisał nawet podręcznik wyrobu bomb, rabunku, podkładania ognia i trucia „dla dobrej sprawy”.

Odpowiednikiem wydawanej dawniej przez Mosta w Londynie *Die Freiheit*, było w Wiedniu pismo *Die Zukunft*, którym kierował Joseph Penker.

Grupa terrorystów spod jego znaku odbyła szereg posiedzeń. Postanowiono zgładzić cesarza w czasie jego oficjalnej wizyty w Gratzu. Bomby dla tego celu miały być przysłane z Ameryki.

Ale policja trafiła na trop spiskowców. Ogłoszono w Wiedniu stan oblężenia, Herman Stellmacher, jeden z przywódców, został aresztowany i powieszony w r. 1884.

Przewrotowy program socjal-rewolucjonerów przejęli anarchiści, proklamując swoją teorię politycznych morderstw wyrażoną słowami jednego z włoskich przedstawicieli tej filozofii nazwiskiem Andrea Costa, który powiedział:

„Gwałt jest konieczny aby postawić problem, aby zastąpić dawny ideał nowym”, ale co jeszcze ważniejsze, dając skuteczny przykład jak wprowadzać tę zasadę w życie.

Most nadal inspiruje i uczy emigracyjnych zapaleńców spod habsburskiego berła, czy raczej jarzma. Wywiad wiedeński bierze to środowisko pod obserwację, infiltruje je przy pomocy konfidenta nazwiskiem Erazm Dziubaniuk i z raportów Dziubaniuka, złożonych w roku 1900, wie na przykład o szeregu przygotowywanych na cesarza zamachów. Dziubaniuk denuncjuje w tym czasie Wojciecha Łazarowicza i jego przyjaciela Nicińskiego z Polskiego Kółka Akademickiego w Wiedniu jako członków Polskiego Komitetu Rewolucyjnego, posiadającego oddziały w Chicago, Buffalo, Milwaukee, Cleveland i Pittsburgu, gdzie planuje się zamach na cesarza. Dwaj wymienieni spiskowcy są już jakoby w drodze.

W rok później z takim samym celem wyjedzie do Wiednia z Ameryki niejaka Sophie Adelaide Schum, anarchistka. Chce cesarza zabić w czasie audiencji. Dwie czeskie tajne organizacje, jedna w Chicago, druga w New Yorku, również poświęcone były temu programowi.

Do cesarza nie zawsze dochodzą alarmy, choć służba bezpieczeństwa chroniąca go, podwaja zabiegi czujności.

Sam wprowadzie śmiercią gwałtowną nie zginie, ale ciosy — i ciała — padają blisko tronu. Czeką go jeszcze najstraszniejsza próba, ta z Sarajewa, ale i to co go dotąd spotkało może spędzać sen z oczu panującego starca, choćby trzymał się wiarą w opiekę Opatrzności, jakiej poddany jest jego ponad wszystkimi stojący Apostolski Majestat.

A teraz znowu wstrząs, który na długo zakłóci jego spokój: morderstwo Potockiego.

W tej chwili leży przed nim na biurku list wdowy po zamordowanym Namiestniku. Krystyna z Tyszkiewiczów Potocka prosi imieniem własnym i dziewięciorga sierot o darowanie życia młodemu ukraińskiemu zamachowcy.

Napisała ten list, oblany łzami, nieomal pod dyktandem Bobrzyńskiego, jak o tym opowiada w niedawno wydanym zespole wspomnień o „niepospolitych ludziach w dniu swoim powszednim”, Adam Grzymała-Siedlecki. Bobrzyński, historyk i polityk, jest następcą Potockiego na stolcu namiestnikowskim. Inspiruje wstawiennictwo wdowy „dla racji stanu, dla wyciągnięcia ręki polskiej ku narodowi ukraińskiemu”.

Siczyński dobrze wie o tym szlachetnym odruchu osoby cięższej i najboleśniej dotkniętej jego czynem. Ale nie zgodzi się z podsuwaną pochopnie tezą, jakoby ułaskawienie zawdzięczał wdowie po człowieku, którego zamordował.

Przypomni za to, że sprawa jego była przedmiotem wielu interwencji i rozmów na najwyższym szczeblu. W pamiętnikach Konrada von Hoetzendorfa, szefa sztabu armii austro-węgierskiej jest ustęp o rozmowie z cesarzem w tej sprawie. Wobec groźących niebezpieczeństw konfliktu z Rosją, pogłębianie nastrojów opozycyjnych a nawet rewolucyjnych na pogranicznych obszarach monarchii nie leżało w jej interesie. Z Galicji szedł rekrut dla armii, szła żywność. Nie należało rozdmuchiwać iskry, od której mogły zająć się i tak już skłonne do wybuchu umysły.

Powieszenie Siczyńskiego dałoby radykalnym i nacjonalistycznym odłomom ruskiego społeczeństwa jednoczący i podniecający do dalszej rebelii mit patriotycznego męczeństwa i bohaterstwa. Nic bardziej pociągającego, zwłaszcza dla zapalnej młodzieży.

Po rozważeniu wszystkich możliwych konsekwencji wykonania wyroku na Siczyńskim, za radą świątłych i rozważnych głów

z jego otoczenia, cesarz zamienia wyrok śmierci na dwadzieścia lat ciężkiego więzienia.

Zawiadamiają o tym „czekającego na swoją śmierć” skazańca, w prasie zaś ukazuje się komunikat tej treści:

UŁASKAWIENIE MIROSŁAWA SICZYŃSKIEGO

We wtorek przed południem nadeszła do tutejszego sądu krajowego karnego w drodze urzędowej wiadomość, iż Najj. Pan ułaskawił Mirosława Siczynskiego, skazanego na karę śmierci przez powieszenie i zamienił mu karę tę na 20-letnie ciężkie więzienie. Akt tej Najw. łaski ogłoszono natychmiast Siczynskiemu, a wieczorem odstawiono go do tutejszego Zakładu kary dla mężczyzn, gdzie rozpoczął natychmiast odbywanie kary.

Jak donoszą tutejsze dzienniki, obrońcy i rodzina Siczynskiego czynią starania o zezwolenie Siczynskiemu odbycia tej kary w Zakładzie kary dla mężczyzn w Stanisławowie.

W ostatniej chwili dowiadujemy się, że Siczynski został dzisiaj o godz. 5 min. 30 rano odstawiony do zakładu kary w Stanisławowie”.

(*Gazeta Lwowska*, 29 lipca 1909).



— W jakim nastroju czekał pan na wiadomość z Wiednia?

— Czytałem Byrona. Przy pomocy słownika nauczyłem się języka, a jednocześnie wierszy na pamięć. Sędzia przeglądał to, co czytam i to, co piszę. Dostawałem *Gazetę Lwowską* nielegalnie. Koło mojej celi warta. Wszyscy którzy tam siedzieli, polityczni. Dyrektorem aresztu śledczego był Austriak, ale spolszczony. Sentymentalny człowiek. Jak mnie zasądziła na śmierć miał łzy w oczach. Pozwolił na zobaczenie się z siostrą.

Przewidywał, przypomina, że go nie powieszą, chociaż tłumaczył sędziów:

— Musieli mnie skazać na śmierć, bo Potocki był kawalerem orderu Złotego Runa, a Złote Runo to tak jakby familia cesarska. A zamach na kogoś z Familii — śmierć.

Niezupełnie. Gavrilo Princip, który zastrzelił w Sarajewie następcę tronu, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i jego żonę, dostał *tylko* dwadzieścia lat więzienia. Obrona wywalczyła ten wyrok ze względu na jego niepełnoletność: miał lat zaledwie dziewiętnaście i pół. Inna rzecz, że więzienie w fortecy Theresienstadtu, w nieogrzewanej celi i zakucie w dziesięciokilowe łańcu-

chy dokonały w parę lat tego, co w parę sekund załatwia stryzyk. Gruzlica kości nie pozwoliła Principowi dożyć końca wojny, którą wywołał.

Siczyńskiego też zakuto w łańcuchy. Sam przyznaje, że go skuto „delikatnie”. Z lwowskiego aresztu śledczego przewożono go do Stanisławowa. Było tam owo ciężkie więzienie, Dąbrowa, o którym mówiło się że nikt z niego nie uciekł.

— Wiozło mnie dwóch dozorców Polaków, starsi ludzie. Jechaliśmy pociągiem, osobny przedział. Ja w łańcuchach, oni uzbrojeni. Na jednej ze stacji, po drodze, zawiadowca — poznałem po czapce — objął mnie i pocałował.

Tych dwóch z eskorty odnosiło się do mnie życzliwie. Jeden powiedział nawet: kupmy mu czekolady. Mówili: „Nie odsiedzi całej kary. Wypuszczą po paru latach. Cesarz, stary człowiek. Jak umrze będzie amnestia. Nie darują całej kary, ale urwie się parę lat. Nowy cesarz: znowu amnestia. Będzie miał cesarz dziecko, jeszcze jedna amnestia. Może posiedzi osiem, dziesięć lat, więcej nie”.

Jak mnie przywieźli do Stanisławowa, znowu miałem przyjemną przegodę. Zaprowadzili mnie do tego wielkiego więzienia, wyszedł dozorca ze szpicastą, siwą bródką, krzyknął na mnie, kazano mi stać pod ścianą, byłem skowany. A wtedy z którejś strony odezwał się inny człowiek: „Dajcie mu spokój”, powiedział. „On nam już nie ucieknie”.

A wtedy ja pomyślałem sobie „Nie ucieknie? A ja ucieknę”. Głupie, nie? I chwyciłem mnie śmiech. Nie pokazałem tego po sobie. Ale byłem zupełnie pewny, że ucieknę.

Wykonywałem bardzo grzecznie to co kazali. Kazali podnosić i kłaść z powrotem siennik. Komenderowali mną, chcieli wiedzieć, czy będę słuchać, czy może zechcę się stawiać? Chcieli zobaczyć co ja za ptaszek. Ale ja robiłem wszystko co kazali. A poza tym szukali wszędzie, w sienniku i pod siennikiem. Wychodziłem na robotę — szukali. Kilka razy kazali się rozbierać do goła, czy co nie schowane pod pachą, albo gdzie tam.

Potem dali spokój. Ale dali mnie od razu tam gdzie chciałem. Była kwestia: do biura czy do czarnej roboty? Ten co pytał powiada, że przy robocie same chłopstwo, ale w biurze same szachraje. A ja że do stolarki. To im się podobało, że nie chcę iść do biura.

Mówi „do ofisu”, ale to już naleciałość amerykańska.

Nauczyłem się tam stolarstwa, a miałem w myśli całkiem co innego. Uczyłem się naprawdę francuskiego i filozofii. Ale mogę dziś jeszcze zrobić taką szafę, jak ta o”. (Pokazuje szafę z książkami w swoim pokoju, z nadbudową pótek, z szklanymi drzwiami).

Nie wiem czy dzisiaj umiałbym tak jeszcze, ale wtedy robiłem to dobrze. Byłem gotowy na cztery, pięć lat.

Zaraz pierwszego dnia zabrano mnie do dozorca — Siczyński mówi „do stróża” — który miał mnie opisać w książce na wypadek, gdyby była ucieczka, żeby wiedzieli jak wyglądał i kogo szukać.

— Zrobić rysopis — odpowiadam.

— To właśnie, rysopis. Inny więzień ostrzygł mnie na zero i ogolił. Ten „stróż” bardzo przyjemny człowiek. Miał wielką, siwą brodę jak

św. Mikołaj. Niedługo miał iść na pensję. Był z Bukowiny. Był to diak prawosławny, śpiewał w więziennej cerkwi a jednocześnie pełnił biurowe obowiązki. Była w więzieniu katolicka kaplica, synagoga i cerkiew. I ten diak przy więźniu który mnie strzygł pyta: „A wy się nie boicie?” A mówi po ukraińsku takim tonem, że ja myślałem: takiego świętego Mikołaja to się nie ma powodu bać. Więc ja mówię, że nie. A on popatrzył na mnie i powiada „my wam pomożemy ucieknąć”. Pomyślałem sobie, no, jak takie jest więzienie i starszy stróż tak obiecuje, to widocznie świat nie jest jeszcze taki zły.

— Ale Stanisławów ostre więzienie. Nikt stąd nie uciekł dotąd. Trzeba będzie poczekać. Jak tu służyć dwadzieścia lat, mówił diak, nikt! Trzeba cierpliwości i nie dać pokazać nic. Udawać że się liczy na amnestię, nie na ucieczkę, chociaż na amnestię nie ma co liczyć.

Więzienie otaczał wysoki mur. Strzegło go z zewnątrz wojsko. Żeby stąd uciec trzeba mieć wewnątrz współników. Inaczej szkoda marzyć.

Od razu zacząłem dostawać wiadomości z zewnątrz, przy pomocy więźnia, który mnie znał „ze świata”. Tak mówiło się, bo areszt nie jest światem. Ten słyszał mnie na jednym wiecu i wiedział, a mając obowiązek golić i strzyć miał dostęp do wszystkich skrzydeł. I on przynosił wiadomości. Nie mieli podejrzenia ani na tego stróża ani na tego golarza.

Robił się więc wewnętrzny spisek. Tu nie było politycznych, przeważnie kryminalni i złodzieje, bandyci, albo tacy co bili się na wsi i zabili, ale nie dostali kary śmierci, tylko może dożywocie, albo trochę mniej, tak jak ja. W Stanisławowie nie wieszano. We Lwowie to ja widziałem z okna celi szubienicę w podwórze. Także w Wiśniczu podobno. Ale tu nie.

Dozorcy byli na ogół przychylni, albo neutralni. Niektórzy dostarczali nielegalnie gazety, jedzenie, listy. Tym sposobem docierały do mnie echa sprawy.

— Czyli właściwie nie był pan ani na chwilę odcięty od „świata”.

— „Ta pewnie, ta pewnie” — zaciąga Siczyński, zamyśliwszy się nagle, tak jakby odchodząc od rozmowy, którą prowadzimy, w jakąś daleką przeszłość, w zdziwienie że to wszystko o czym mówimy działo się kiedyś i że to on występował wówczas w głównej roli. To że rola była główna, dotąd nie przestaje mu sprawiać przyjemności. Rozsmakował się w tym poczuciu, rozbudował je w sobie, zgadza się doskonale z jego psychiką ekstroverta, chętnie i obszernie odślaniającego przeżycia związane z tamtym, bohaterskim dla niego i dla tych którzy w niego wierzyli, okresem. A potem otrząsa się, jakby się budził z zamyślenia i wracamy do prowadzonej moimi pytaniami, całkiem rzeczowej relacji.

A nasamprzód opis więzienia i rozmieszczenia strażników. Ci z rodzinami mieszkali w osobnych domach w podwórzu więziennym. Samo to — domy w podwórzu — daje wyobrażenie o ogromie gmachu więziennego. A młodszy i nieżonaci którzy byli na praktyce mieszkali w samym budynku więziennym. Tak jakby razem z nami, żeby być blisko.

Od godziny siódmej wieczorem do piątej rano panowała

w więzieniu zupełna cisza. Nawet wartownicy, którzy bez ustan-ku patrolowali korytarze chodzili w papuciach. Można było sły-szeć każdy dźwięk.

Opisu jak wyglądało ciężkie więzienie w Stanisławowie gdzie osadzono Siczyńskiego, dostarczył już po jego ucieczce krakowski *Czas* z 10 listopada 1911 r. Cytuję:

„Wieżenie stanisławowskie położone jest za miastem na tzw. Dąbrowie, oddzielone od miasta całym ogrodem miejskim. Wię-zienie to urządzone jest wedle ostatnich wymagań techniki kry-minalistycznej. Cele oświetlone są przez całą noc, a przez okienko w drzwiach można ciągle kontrolować więźnia. W oknach grube kraty żelazne, również wszystkie drzwi żelazne; nadto wewnętrz-ne korytarze przedzielone są żelaznymi drzwiami, zawsze zamknię-tymi i strzeżonymi. Wreszcie cały gmach otoczony jest wysokim na 8 metrów murem. Prócz dozorców i służby więziennej, wew-nątrz i zewnątrz gmachu patrolują ustawicznie strażę wojskowe. Cella, w której umieszczono Siczyńskiego, a którą dzielił z innym skazańcem, znajduje się na drugim piętrze, okno zaś jej wychodzi na wewnętrzny dziedziniec więzienny”.

Zdawałoby się, że ucieczka z takiej celi i takiego więzienia była niemożliwa.

„Wydostanie się z zamkniętej celi na korytarz jest nadzwyczaj utrudnione, ponieważ drzwi od wewnątrz obite są jednolitą bla-chą i nie posiadają klamki ani zamku. Zamek i klamka znajdują się od strony korytarza. W drzwiach są małe otwory, tak zwane wizyterki, przez które dozorczy pełniący służbę w korytarzach obowiązani są od czasu do czasu kontrolować, co więzień robi. Każde piętro posiada żelazne wrota zamknięte na klucz przez dzień. Na noc wrota te otwierają, celem umożliwienia przechodu strażom pełniącym służbę. Stale zamknięte są wrota w parterze przy głównym wejściu do korytarza, następnie brama żelazna przy wejściu do budynku, od której klucze ma żołnierz pełniący służbę przy tej bramie. Trzecia brama znajduje się w murze wię-ziennym i stanowi właściwe wejście na dziedziniec zakładu od strony ulicy Gołuchowskiego”.

Ale wśród młodych dozorców więzienia w Stanisławowie było kilku Ukraińców i ci od razu nabrali sympatii do Siczyńskiego. Opowiada jeden z nich że kiedy sławnego na całą Galicję więźnia przywieziono do Dąbrowy, młody chłopiec, nie wiedząc jeszcze co go czeka, ani z kim ma do czynienia wśród wartowników, uśmiechnął się do niego. I w tej chwili dozorca Ukrainiec posta-nowił zrobić co może aby go uwolnić.

Opowiada mi o nim Siczyński. Nazywał się Pylypczuk. Żyje dotąd w Winnipegu. Ma 82 lata. Dobrał sobie współnika nazwis-kiem Czerewkow, który przy pomocy odcisku z mydła dorobił

klucz do jego celi. Ale zanim do tego przyszło przyglądał się długo i uważnie swoim kolegom. Jeden z nich wydał mu się uczciwy i z tym zaczął rozmowę. Przyznali się sobie że myślą o tym samym. Przygotowania trwały długo i nie o wszystkich wiedział od razu Siczyński.

Zamknięty był w celi wewnętrznej na drugim piętrze. Siedział początkowo sam, potem z drugim. Pracował w stolarni, która mieściła się w tym samym skrzydle.

O tym współwzięciu opowiada Siczyński, że był to tak jak on, Ukrainiec, niepiśmienny, ale ciekawy typ, nazwiskiem Wasyl Chomin. Siedział za zabójstwo. To było tak. Mieli chatę i gospodarstwo we dwóch razem z bratem. Póki byli nieżonaci wszystko dobrze. Pożenili się i zaraz kłótnie. Żona brata nakłamała przed mężem, że ten się do niej zalecał w lecie, jak kosili siano. Brat mu za to dokuczał. Aż raz dopiekł mu, pobili się, ten tego uderzył po głowie, zabił na miejscu. Dostał osiem lat, cztery odsiedział.

— Jak już miałem uciekać i wszystko było gotowe namawiałem go, żeby poszedł ze mną. Ale on nie chciał ryzykować. Połowę odsiedziałem, wytrzymam do końca, mówił. Chcę wrócić do mojej chaty. Wam to wszędzie pomogą, a mnie kto, jak stąd wyjdę?

Pylypczuk nawiązał kontakt z komitetem wyzwolenia Siczyńskiego, który już w Kanadzie zbierał pieniądze na ten cel.

Czasem rozmawiał z Siczyńskim przez okienko w drzwiach celi.

— Przez judasza — podpowiadam.

Siczyński nie zna tego terminu.

Opowiada Pylypczuk: rząd starał się, żeby nie dać dobrej żywności, ja dostarczałem wszystko.

— Pytałem kiedyś Siczyńskiego dlaczego strzelał tyle razy. Przyznał się że nie umiał strzelać i bał się że nie od razu trafi. Dostawał gazety angielskie i francuskie. Uczył się. Mówiłem: na co ci to, za dwadzieścia lat będziesz stary? Twierdził że będzie tych języków potrzebował znacznie wcześniej.

Pylypczuk miał prawo otwierać drzwi celi Siczyńskiego. Druzi klucz dorobili w więziennej ślusarni. Różne były plany zorganizowania tej ucieczki. Pracowały nad nią niejedne głowy, przekazując wyniki wartownikom wewnątrz więzienia. Ci dopiero mieli te plany, zwykle zbyt śmiałe, za duże, niezawsze realne, przystosować do praktycznego użytku.

— Miałem listy od siostry. Prowadziłem cały czas korespondencję „ze światem” przy pomocy *koni*. Tak nazywali się ci, którzy przynosili nielegalnie wiadomości, listy, tytoń (choć nie paliłem) czekoladę, szynkę i

gazety. Książki legalnie dawał dyrektor więzienia. Mam tu jeszcze gdzieś atlas, na którym napisano że wolno go czytać aresztantowi Siczyńskiemu.

Jednego dnia w listopadzie 1911 dozorca-sprzymierzeniec mówi do mnie przez okienko w drzwiach: „Rewolucja w Chinach. Zrzucili cesarsową chińską. Świat się przewraca. Czas wychodzić panie Siczyński”.

Powiedziałem puścić mnie to pójdę.

Ale nie nie zrobili tego dnia. Piekarze też widocznie byli po mojej stronie, bo innego dnia znalazłem karteczkę w chlebie na której było napisane „Dzisiaj”. Nic więcej. Nie spałem pół nocy. Czekałem. Nic się nie przydarzyło.

Czekali na lepszą sposobność. Kiedy na głównych drzwiach będzie swój człowiek, kiedy im dadzą znać „ze świata” że wszystko gotowe, kiedy znajdą mieszkanie gdzie się można schować.

Dwa razy byłem gotów i nie wyszło. Myślę że do trzech razy sztuka. Więc gdy za trzecim razem dostałem znak, dałem współwięźniowi flaszkę wina. Żeby wypił i udawał potem, że nic nie wie, jakby co. Tego wieczora czytałem niemiecką książkę filozoficzną. Autor nazywał się Wundt.

Dozorca otworzył drzwi z zamka, odsunął rygiel na całą ich szerokość. Trzewiki ustawiłem koło łóżka, czapkę na krzesło, bluza na ławce, książka otwarta, tak jak ją czytałem, na stole, a na łóżku z koca zrobiona postać leżącego, że niby śpi. Jak następny wartownik będzie zaglądał przez tego judasza — używa mojego słowa — zobaczy trzewiki są, bluza jest, człowiek jest, wszystko w porządku. Wyszedłem z celi boso i tylko w koszuli i zaraz po schodach piętro niżej do suteryn. Tam pod schodami przygotowany był mundur dozorczy i w ten się przebrałem. Pylypczuk kazał mi tylko zrzucić koszulę więzienną i dał swoją żeby mnie nie karali za kradzież majątku państwowego jakby mnie złapali. Przyczepił mi do twarzy wąsik, ale ten wąsik nie chciał się przykleić więc go przytrzymywałem chusteczką, że niby zęby mnie bołą. Pomagało to także, żeby wyraz twarzy zasłonić. Poszliśmy teraz głównym, długim korytarzem w kierunku bramy wyjściowej. Ale wtedy właśnie wyszedł naprzeciw nas główny inspektor więzienny który mnie dobrze znał, z paką dokumentów pod pachą. Pylypczuk powiedział tak jakby, że wszystko przepadło, ale ja pomyślałem zaraz, że nie nie przepadło, inspektor widzi z daleka że idą dwaj dozorczy w mundurach, w korytarzu świecą lampy naftowe, nie bardzo jasno, mógł nie poznać. Ale on nie doszedłszy nagle odwrócił się, może coś zapomniał w swojej kancelarii i poszedł z powrotem. Takie mieliśmy szczęście. A ja pamiętam że dopóki szedł naprzeciw nogi nie chciały nas naprzód prowadzić, a jak odwrócił się, od razu poniosły.

Pierwszą i główną kratę przeszliśmy szczęśliwie, ani żołnierzy, ani dozorczy. Jeszcze jedna brama; siedział w niej stary więzienny oddziwny, 30 lat służby za sobą, znał wszystkich. Był przepis aby kiedy przechodzono koło jego bramy pokazać mu się, żeby stwierdził kto idzie. Podeszliśmy. Pylypczuk wsadził głowę w okno portierki, zasłaniając mnie. Przeszliśmy. Ostatnia przeszkoda przezwyciężona. Trwało to wszystko jakie 45 minut, od 8.30 do 9.15.

Opowiadał potem Pylypczuk że Siczyński z wzruszenia, czy pod wrażeniem tego co przeżył, trząsł się na całym ciele.

Siczyński natomiast mówi:

— Myślałem zawsze że i ten na bramie był wtajemniczony. Widząc dwóch młodych dozorców — mają prawo wyjść, prawda? — otworzył. Za bramą żołnierz. My w mundurach kaprali. Puścił. Jeszcze uderzył w dach.

Wyrażenia są Siczyńskiego.

— Wyszliśmy. Okropnie ładnie wygląda więzienie od zewnątrz w nocy. Blisko był park. W tym parku na ławce czekał młody Ukrainiec, adwokat. Nazwiska nie pamiętam. Ale to znane nazwisko. Ten który podczas walki o Lwów leciał przez Polskę samolotem, żeby zdobyć pieniądze na walkę. Rozbił się i został zabity. To o nim pamiętam.

A teraz dał adres a potem szedł za mną przez całe miasto. W Stanisławowie ludzie na ulicy przywykli do widoku spacerujących dozorców. Na głównej ulicy dużo ludzi. Jedna pani potrąciła mnie, mało mi wąsik nie odpadł. Domek nauczyciela seminaryjnego, do którego szliśmy, był za miastem, ciemny ale niezamknięty. Należało wejść i zapalić lampę w kuchni. To miał być znak, że jestem i że wszystko w porządku. Zaraz też przyszedli ukraińscy włościanie. Przebrałem się z ich pomocą za wiejskiego chłopca. Buty, kożuszek, czapka. Cieszyli się, matka by nie poznała. Byli ze wsi Wiktorów o dwie, trzy godziny kołmi od Stanisławowa, Siedliśmy szybko na wóz, że niby kupowaliśmy deski i teraz wracamy. Noc była ładna. Jeden z tych co mnie wieźli był sekretarzem gminnym, drugi wójtem. Za jakiś czas roгатka. Co robić? Jak my tego Żyda co był na roгатce zbudzimy, a pytają go nazajutrz gdy już będzie pogoń, kto jechał, powie że trzech i od razu podejrzenie. Więc wymyśliliśmy sztukę: konie wyprząc, wóz przenieść albo przepchać bokiem, objechaliśmy roгатkę.

I tak aż do wsi, gdzie już byli swoi. Nazywało się, że ja wójtowi służę za kuma. Pojechał nazajutrz na jarmark do miasteczka trzy mile od Stanisławowa. Dużo było ludzi i wszyscy o ucieczce Siczyńskiego. Był tam też jeden urzędnik co trzymał roгатkę. Wójt jemu żartem: czy wiecie że Siczyński uciekał waszą drogą? A on, odważny człowiek: puściłem go bezpłatnie, bo wiedziałem że nie ma pieniędzy. Bardzo się z tego śmiali niektórzy.



Relacje dozorców, którzy pomogli Siczyńskiemu uciec ukazały się w anonimowej broszurce, wydanej w Winnipegu w r. 1912.

W opowiadaniu jednego z nich, kryjącego jeszcze wówczas nazwisko, choć fakt że udało mu się już wtedy dostać do Kanady, był znany wszystkim, którzy interesowali się sprawą ucieczki Siczyńskiego, wyprowadzenie go z więzienia wyglądało jak następuje:

„Kolega szepnął mi, że wyprowadza Mirośława w daleką drogę. Dozorcy nieżonaci mieli osobne pomieszczenie w obrębie więzienia. Zbierali się właśnie po służbie aby wyjść do miasta. Zacząłem im opowiadać coś fantastycznego, próbując zatrzymać ich na miejscu. Udało się. Po jakimś czasie kolega wrócił i powiedział że Siczyński już na wolności.

Nie spostrzegli się przez całą noc, że najbardziej strzeżony więzień zniknął. Za to rano krzyki wypełniły cały ogromny budynek. Przeszukiwali każdy zakątek. Rewizje, podejrzenia, aresztowania. Mnie również aresztowano. Ale nic nie mogli udowodnić, bo łatwo było wykazać że w krytycznym momencie znajdowałem się na wspólnej sali z resztą dozorców, którzy nie mieli

służby. W kilka miesięcy podziękowałem i odszedłem z więzienia”.

Tyle Czerewkow.

W opowiadaniu Pylypczuka które pokrywa się na ogół z wspomnieniami Siczyńskiego, wynotować warto takie szczegóły:

„Postanowiłem zgłosić się do służby w więzieniu kiedy dowiedziałem się gdzie Siczyński jest zamknięty. Znałem go dobrze z wieców wyborczych i demonstracji studenckich. Chciałem mu pomóc. Przygotowany dla niego mundur i dorobiony klucz chowałem do własnej szafy w pokoju dozorców. Byłem bardzo zdenerwowany idąc w stronę celi Siczyńskiego. Na korytarzu tuż przy niej spotkałem innego dozorcę. Powiedziałem mu, że na dole grają w karty na poważne sumy. Poszedł zobaczyć, a ja do ubikacji. Gdy korytarz był pusty otworzyłem celę. Współwięzień Siczyńskiego spał twardo, on sam natomiast nie był gotów i trwało parę minut zanim zrobił na łóżku manekina z gazet i przykrył go kocem. Sprowadziłem go potem jedno piętro do suteryny. Pod schodami przebrał się w mundur. Poszliśmy w kierunku głównej bramy, ale musieliśmy wrócić. Korytarzem siedł jeden dozorca. Szliśmy raz w górę, raz w dół”.

Przytacza także epizod z inspektorem więziennym, inaczej trochę niż Siczyński, bo twierdzi że wepchnął go do ubikacji, a gdy inspektor przechodził, powiedział przez drzwi po polsku: szybko, bo śpieszę się na kolację.

Siczyński stanowczo obstaje przy swojej wersji tego niebezpiecznego spotkania, które mogło przekreślić wszystko.

Gdy już wyszli za bramę więzienną i Siczyński w parku spotkał człowieka, który na niego czekał, Pylypczuk zaszedł do szynku, wypił dwa kieliszki i wrócił do więzienia, bardzo zdenerwowany, bo spodziewając się, że każdej chwili odkryją co się stało. Ale nic nie odkryli aż do rana i alarm, który wszczęto rano, nie zrobił już na nim żadnego wrażenia. Nikt zresztą ani na chwilę nie podejrzewał kto go naprawdę wyprowadził. Pylypczuka nie wołano nawet na przesłuchy. Sam poszedł do żandar mów i urągał na sprawców ucieczki. Zgłosił się nawet do prokuratora czy nie potrzebuje przypadkiem pomocy.

W niedługim czasie wszystko ucichło i Pylypczuk poczuł się już zupełnie bezpieczny. Mówi jednak, że bolało go iż niewinnych dozorców biorą na śledztwo, że aresztowali i zasądziła Tarnawskiego i Nudę. Kiedy po kilku miesiącach wyjechał do Kanady postawił sobie za zadanie pomóc w uwolnieniu tamtych dwóch. Według świadectwa Pylypczuka było co najmniej siedmiu, którzy zajmowali się przygotowaniem ucieczki Siczyńskiego, choć na wykonanie planu wystarczył on jeden.

II

Ucieczka Siczyńskiego wywołała w całej Galicji, ale także w Wiedniu, zrozumiałą sensację. Prasa prześcigała się w próbach dostarczania czytelnikom szczegółów tej zuchwałości, gubiąc się w przypuszczeniach i bezkrytycznie drukując każdą pogłoskę.

Cytuję telegram zamieszczony na pierwszej stronie krakowskiego *Naprzodu*, organu PPS, pod redakcją Ignacego Daszyńskiego z 10 listopada 1911:

UCIECZKA SICZYŃSKIEGO Z WIEZIENIA

Stanisławów. Mirosław Siczyński, zabójca namiestnika hr. Potockiego, zbiegł dziś w nocy z tutejszego domu karnego. Ubranie aresztanckie Siczyńskiego znaleziono według jednej pogłoski w celi, według innej w suterenach, widocznie więc uciekł w przebraniu. Podobno nie znaleziono wcale śladów gwałtownej ucieczki.

Stanisławów. Ucieczka Siczyńskiego nastąpiła w ciągu nocy, nie wiadomo o której godzinie.

Więzień, który był umieszczony w tej samej celi co Siczyński, twierdzi, że nic nie słyszał i nic nie wie.

Dozorca, który ma obowiązek zaglądać przez okienko do oświetlonej przez całą noc celi, twierdzi, że kontrolował celę, ale nic podejrzanego nie zauważył.

Dopiero nad ranem zauważono, że łóżko Siczyńskiego jest puste. Cella była zamknięta. Aresztanckie ubranie Siczyńskiego znaleziono w suterynach.

Wobec tych szczegółów nie ulega wątpliwości, że ucieczka Siczyńskiego nastąpiła przy pomocy służby więziennej.

Zarząd więzienia i prokuratorya państwa wdrożyły natychmiast dochodzenie przede wszystkim przeciw dozorcóm, którzy mieli obowiązek pilnowania tej celi, i zawiadomiły natychmiast władze policyjne w innych miastach w celu zarządzenia pościgu.

Nowa Reforma daje następnego dnia szczegółowe wiadomości „od naszego korespondenta w Stanisławowie”:

„Dzisiaj już o godzinie 5 rano rozeszła się po mieście, podawana z ust do ust gorączkowo wiadomość, że morderca hr. Andrzeja Potockiego, Siczyński, odsiadujący tu karę więzienia od dwóch lat, uciekł z więzienia. Wiadomość potwierdziła się wkrótce. Okazało się to z depesz, które wysłano do Lwowa,

stwierdzających, że Siczyński, nie wyłamawszy się z celi, ani z gmachu, literalnie zniknął z celi, zostawiając w murach zakładu karnego swoje więzienne ubranie. Wedle innej wersji, ubranie aresztanckie Siczyńskiego znaleziono w suterynach.

Potem stwierdzono jako pewnik, że Siczyński w celi się przebrał i z niej wyszedł. Na kratkach celi nie ma żadnych śladów przepiłowania, na zamku żadnego śladu naruszenia. Te dwa fakty, a nadto stwierdzenie, że w celi znaleziono ubranie aresztanckie dowodzi, że Siczyńskiemu ktoś dostarczył ubrania cywilnego, słowem ułatwił mu ucieczkę ktoś z personelu więziennego.

Jako nieunikniona konsekwencja wynika stąd przypuszczenie, że Siczyński prawie jawnie w przebraniu któregoś z funkcyjaryszów więziennych zakład karny opuścił. Musiało to nastąpić w ten sposób, że w porozumieniu było więcej osób z personelu więziennego. Musiano Siczyńskiemu otworzyć drzwi od celi i wyprowadzić go przez strażę kurytarzowe, przez wewnętrzną i zewnętrzną bramę więzienia, znajdującą się w wysokim na 5 metrów murze, okalającym cały zakład karny. Zakład ten znajduje się w odległości 2 kilometrów od miasta.

Przypuszczają, że Siczyński wyjechał za obcym paszportem i że celem jego ucieczki jest Ameryka.

Siczyński ma zęby plombowane złotem; ten ważny szczegół podniesiono w rysopisie listów gończych.

Obiega tu także nieprawdopodobna pogłoska, że Siczyński umknął w przebraniu kobiety i że znajduje się już zagranicą.

W plan ucieczki wtajemniczonych być musiało kilkanaście osób. Nie jest wykluczone, że Siczyńskiemu towarzyszy ktoś z jego opiekunów.

Dwie siostry Siczyńskiego znajdują się już od pewnego czasu w Ameryce.

Aresztowano natychmiast kilku dozorców więziennych. Przeprowadzono rewizję w mieszkaniu matki Siczyńskiego, która od czasu uwięzienia syna mieszka stale w Stanisławowie”.

I dalej, następujący telegram:

Stanisławów, 10 listopada.

„Całe miasto rozgorączkowane; obiegają coraz nowe wiadomości. Koło więzienia nad ranem widzieć miano dorożkę. Przypuszczają, że Siczyński odjechał o godzinie 5 rano koleją do Budapesztu lub Rumunii, bo o tej porze odchodzą stąd pociągi. W tym też kierunku wysłano depesze.

Dalsze badania wykazały, że Siczyński uciekł w czasie między godziną 2 a 4 nad ranem. W zakładzie odbywa się nocna kontrola cel więźniów co 2 godziny. Gdy o godzinie 2 w nocy przyszła

kontrola do celi, Siczynski spał w łóżku. Gdy kontrola przybyła o godzinie 4 nad ranem, Siczynskiego już nie było.

Zaalarmowano natychmiast zakład. Na razie nie dawano znać do pociągu, sądzono bowiem, że Siczynski znajdować się musi gdzieś w obrębie gmachu. Poszukiwania nie odniosły skutku”.

Zarząd zakładu karnego w Stanisławowie rozesłał listy gończe za zbiegiem. Są one litografowane, opatrzone datą 10 b.m. i L. 3548/11. List taki przedstawia się następująco:

„Więzień tutejszego zakładu karnego, Siczynski Jan Andrzej Mirosław 3 im., skazany wyrokiem c.k. Sądu przysięgłych we Lwowie z dnia 17 kwietnia 1909. Vr. 989/8 za zbrodnię morderstwa na 20 lat ciężkiego więzienia, zbiegł dzisiejszego dnia w ubraniu cywilnem z tutejszego zakładu kary.

Zbieg jest rodem z Czernichowiec, powiat Zbaraż w Galicyi, przynależny do Szerepiatyna, pow. Rawa Ruska w Galicyi, liczy lat 21, wolny, gr.-kat. obrządku, słuchacz III r. filozofii.

Opis osoby:

wzrost: średni,
budowa ciała: silna,
twarz: podłużna,
cera: zdrowa,
włosy: ciemno blond,
brwi: ciemne,
oczy: piwne,
nos: proporcjonalny,
usta: mierne,
zęby: zdrowe,
bez zarostu,
mówi: po polsku, po rusku i niemiecku.

Uprasza się o wyśledzenie wymienionego, a w razie ujęcia o odstawienie go do tutejszego c.k. zakładu kary.

C.k. starszy dyrektor KALOUS”.



Okolo sprawy „zawikłała się cała masa pogłosek, domysłów i przypuszczeń, tak że ustalenie nawet tej niewielkiej ilości faktów do ucieczki Siczynskiego się odnoszących jest nadzwyczaj trudne” — pisze *Nowa Reforma*.

Rozeszły się od razu najbardziej fantastyczne i sprzeczne pogłoski o szczegółach ucieczki, wykrytych współnikach i ich zachowaniu. Lwowski *Wiek Nowy* wydał już nazajutrz nadzwyczajne wydanie o ujęciu Siczynskiego w Palachiczach koło Tłumacza. W kołach ukraińskich sądzono, że Siczynski znajduje się już

w bezpiecznym miejscu poza granicami Kraju. Dozorca Nuda miał przyznać się do winy, przeżegnawszy się. Ale wkrótce już odwołano tę wiadomość.

W Wiedniu wiadomość o ucieczce wywarła silne wrażenie.



Aresztowano narzeczoną Siczyńskiego, Hanę Polikówną. Była manipulantką jednej z kas ruskich w Kałuszu. Zaręczyli się po ogłoszeniu wyroku śmierci na Siczyńskiego. Aresztowano ją na podstawie stwierdzenia, że jakaś kobieta rozmawiała w przeddzień ucieczki z dozorcą więzienia od strony ulicy Lipowej. Polikówna miała oficjalne pozwolenie na widywanie się z Siczyńskim. Odesłany do Stanisławowa Siczyński oddał ją pod opiekę swemu przyjacielowi.

„Polikówna lat 19-20 była dziewczyną na wskrós oryginalną. Nosi się nie wyszukanie. Kapelusz nosi męski. Robi wrażenie studentki rosyjskiej. Do niedawna zajęta była w charakterze buchalterki w „Narodowym Domu” w Stanisławowie. Niespodzianie przeniosła się do Kałusza i tam objęła posadę. Odmówiła zeznań w języku polskim”.

Ze Stanisławowa następujące informacje telefoniczne otrzymał korespondent *Czasu* (10. XI. 1911):

„Dziwna rzecz, jak służba więzienna, przeważnie ruska, traktowała od dłuższego czasu Siczyńskiego. Ruskim zwyczajem kłaniano mu się w pas i spełniano jego wszystkie życzenia. Już przed kilku miesięcy, twierdzili, że Siczyński siedzi w więzieniu jak we własnym domu, a gdy mu przyjdzie ochota wyjść na spacer za miasto, to będzie to mógł zrobić bez trudności. Dyrekcyja zakładu karnego zaprowadziła wszystkie możliwe środki ostrożności, nie mogła wszakże zmienić personelu więziennego, życzliwego więźniowi.

W ostatnich czasach do Stanisławowa przyjeżdżali rozmaici „ukraińcy” i widywali się z uwięzionym. Słano do niego kartki; prowadzono, jak opowiadają, prawie otwartą korespondencję. „Geroj” znajdował ślepy posłuch wśród służby więziennej.

W mieście przepowiadano od dawna, że skończy się to otwarciem mu drzwi więziennych, a przepowiednie nie zawiodły; dzisiaj rano nie znaleziono Siczyńskiego w celi więziennej. Jak w hotelu, pozostawił ubranie więzienne, szarą kurtkę, spodnie, czapkę, bieliznę, ciężkie buty, a zniknął w przebraniu cywilnem. Tajemniczo otwały się przed nim zamki, nikt go nie widział idącego z celi, przez długie korytarze ogromnego gmachu, wy-

chodzącego za bramę w usługowej asystencji. Doprawdy niebywałe to uwolnienie więźnia...”.



Cytuję w dalszym ciągu z lwowskiej prasy tamtego okresu: „Przypomnieć należy, że Siczyński, który dokonał strasznego mordu w dniu 12 kwietnia 1908, stawał po raz pierwszy przed lwowskim sądem przysięgłych 30 czerwca 1908 i jednogłośnie werdyktem sędziów przysięgłych skazany został na karę śmierci, wyrok ten jednak został przez trybunał kasacyjny zniesiony z powodu, że Siczyński nie był poddany badaniu psychiatrycznemu i polecono po uzupełnieniu w tym kierunku śledztwa, rozpisać nową rozprawę.

Druga rozprawa odbyła się 17 kwietnia 1909 i ponownie Siczyński uznany został jednogłośnie werdyktem sędziów przysięgłych za winnego. Sędziowie przysięgli wyrazili życzenie polecenia go do łaski monarszej. Siczyński i przeciw temu drugiemu wyrokowi wniósł zażalenie nieważności, które jednak trybunał odrzucił, ale tajnem posiedzeniem postanowił przedstawić go do łaski cesarskiej. Istotnie 26 lipca 1909 cesarz ułaskawił go od kary śmierci, a trybunał wymierzył mu karę 20-letniego więzienia.

Zaraz dnia następnego 27 lipca 1909 przeniesiono Siczyńskiego ze Lwowa do więzienia stanisławowskiego. Węzienie to wybrano wskutek gorących starań jego obrońcy Dra Kosta Lewickiego i całego klubu ukraińskiego. Odsiadywanie kary liczy się Siczyńskiemu od 12 lipca 1908 roku.

Wnet jednak okazało się, że wybór stanisławowskiego więzienia był nieodpowiedni. Nie dość, że do Stanisławowa przeniosła się matka Siczyńskiego, i tam odbywały się ciągłe pielgrzymki wielbicieli Siczyńskiego, przez co wytworzyło się tam swego rodzaju ognisko kultu ruskiego dla mordercy, ale nadto służba więzienna w Stanisławowie składała się przeważnie z Rusinów, którzy uważali Siczyńskiego za swego bohatera narodowego i z ujmą wszelkiej karności więziennej tak go traktowali. Faktem jest, że ruscy dozorczy więzień zawsze salutowali (!) i oddawali mu wszelkie posługi. Miał też Siczyński w więzieniu zajęcie bardzo lekkie i w ogóle robiło to wrażenie, jakby tam znajdował się na prawach uprzywilejowanych (!)”.



Siostra Siczyńskiego Ołena Lewicka, żona pośła Eugeniusza Lewickiego, mieszkająca stale w Wiedniu, oświadcza:

„O ucieczce mego brata dowiedziałam się dopiero z dzienni-

ków. Z domu nie miałam o tem żadnej wiadomości. Matka mieszka stale w Stanisławowie, gdzie i ja mieszkałam dopóki nie wyjechałam do Wiednia. Obecnie będzie matka zapewne we Lwowie, albowiem pisała mi, że chce odwiedzić grób mego młodszego brata, znajdujący się na cmentarzu lwowskim. W Stanisławowie mieszkaliśmy w domu, tuż obok zakładu karnego i z okien naszego mieszkania mogliśmy widzieć celę naszego brata. Matka i ja często stawałyśmy w oknie. Oddalenie było jednak za wielkie, aby można było kogoś rozpoznać. Przy tej sposobności sprzeczałam się często z matką, która twierdziła, że poznaje Mirosława. W niedzielę jednak, gdy więźniowie szli do kościoła, położonego tuż obok muru więziennego, widzieliśmy dokładnie Mirosława, gdy szedł po schodach. Matka nie może bez Mirosława żyć. Dyrektor więzienia jest, według tamtejszego mniemania, Niemcem. Ale mnie się zdaje, że jest Czechem. Raz na trzy miesiące wolno nam było widzieć się z Mirosławem. Nie było mu tam źle, ponieważ dozorczy byli przeważnie Rusinami. Raz żona pewnego dozorczy przyniosła mu coś do jedzenia, a gdy matka chciała ją wynagrodzić, nie przyjęła, mówiąc:

— Wszystko jest dobrze! Niech pani będzie o syna spokojna: Wszyscy jesteście Rusinami.

Przy naszych wizytach obecny był zawsze dyrektor więzienia. Mirosław mówił wtedy tylko o polityce, dostawał on wszystkie gazety i był bardzo dobrze o wszystkich sprawach informowany. Student ruski Kocko, który zginął w czasie zajęć w uniwersytecie lwowskim, przygotował w swoim czasie cały plan ucieczki Mirosława, postarał się o wszystkie dokumenta, aby uzyskać miejsce dozorczy w więzieniu stanisławowskim! Śmierć jednak udaremniła jego zamiary. Wszyscy współwięźniowie, jak w ogóle wszyscy Rusini w Galicyi, mieli dla Mirosława ogromną cześć.

W końcu oświadczyła p. Lewicka, że wyjeżdża do Stanisławowa, gdyż obawia się, że matka jej będzie aresztowana, chociaż sama naraża się przez to na niebezpieczeństwo”.

(*Nowa Reforma*, korespondencja z Wiednia pod datą 11 listopada 1911).

Naprzód z 14 listopada 1911 daje szczegóły, wskazujące w jakim kierunku prowadzone jest śledztwo i jakie wyciąga wnioski. Czytamy pod ogólnym tytułem „Ucieczka Siczyńskiego” następujące, często sprzeczne, informacje:

SZCZEGÓŁY UCIECZKI

„Ustalono już, że Siczyńskiego wyprowadzono z więzienia między godziną 9 a 10 wieczorem w czwartek. Żołnierz, pełniący

służbę przy bramie, widział, jak o tym czasie wyszli dwaj dozorczy do miasta. Jeden z tych dozorców powrócił następnie, a drugi pozostał w mieście. Żołnierz zauważył, że powracający trzymał klucze w ręce. Był to najprawdopodobniej dozorca Malarz, który miał straż przy bramie ostatniej i w którego rękę znajdowały się klucze. O godzinie 10 obejmował przy tej bramie straż dozorca Kotianko, człowiek nieposzlakowany. Widocznie cała zmowa szła w tym kierunku, aby plan przeprowadzić przed objęciem służby przez Kotiankę.

Aresztowano czterech dozorców: Nudę, Cieslikowa, Malarza i Hawrysza”.

KORESPONDENCJA Z DOZORCĄ

Przy rewizji znaleziono u Nudy bardzo obciążające go pokwitowanie, stwierdzające odbiór rozmaitych sum, otrzymanych od Siczyńskiego. Oprócz kwitów znaleziono także karteczkę, pisaną do Siczyńskiego, na której także po drugiej stronie znajdowała się odpowiedź Siczyńskiego:

Nuda pisał na tej karteczce:

„Daj mi pan adres tego pana ze Lwowa, co pożyczył 500 koron. Muszę się z nim koniecznie widzieć, bo sprawa jest bardzo pilna. Czy pan zaczeka na ratę? Odpowiedź na tej samej kartce po drugiej stronie i daj znajomemu. N.”

Odpowiedź Siczyńskiego opiewała:

„Poczekam na ratę. Ten pan przyjdzie do pana, a przedtem napisze ze Lwowa i podpisze się „brat”. Będzie czekał na ostatniej ławce w alei Lipowej. S.”

Tego rodzaju dowodów ma sąd podobno bardzo dużo.

BUNT DOZORCÓW?

Rozeszła się pogłoska, że wybuchł bunt dozorców w więzieniu i że wypowiedzieli oni gromadnie służbę z powodu aresztowań, oraz że dozorców zastąpiono wojskiem. Pogłosce tej jednak zaprzeczono.

Dozorców jest w stanisławowskim więzieniu 60% Rusinów.

PRZEBIEG KRYTYCZNEJ NOCY

Krytycznej nocy odprowadzony został o godz. 6 wieczorem Siczyński z warsztatu do swej celi, mieszczącej się na II. piętrze. Okna celi wychodzą na podwórze spacerowe więźniów. O godz.

9 wieczorem skontrolowano w myśl reguły więziennej i celę Siczynskiego i o tej porze podobno po raz ostatni go widziano. Od chwili tej rozpoczęła się zagadka.

Kiedy w piątek rano, o godzinie 6 przyniesiono Siczynskiemu śniadanie, okazało się, że więźnia nie ma. Natomiast spostrzeżono na łóżku Siczynskiego zwiniętą pościel, przykrytą kocem celem upozorowania rzekomo śpiącego jeszcze więźnia.

Rozpoczęto natychmiast gorączkowe poszukiwania, jednak bez dodatniego skutku. Indagowany w tej sprawie współwięzień Siczynskiego odmówił odpowiedzi i wszelkich zeznań, twierdząc, że o niczem nie wie i nic nie słyszał krytycznej nocy.

W poszukiwaniu za zbiegiem udano się nawet na dachy, zagłądano do kominów i na strychy, wszędzie jednak bez dodatniego rezultatu. Dopiero służba więzienna, czyniąca poszukiwania w suterrenach budynku, w którym mieści się cela Siczynskiego, znalazła podrzucone ubranie uciekiniera, a to kurtkę więzienną i spodnie.

KTO UCIEKAŁ Z SICZYŃSKIM?

Sledztwo ustaliło następujący szczegół: W parku Elżbiety, położonym naprzeciwko zakładu karnego, oczekiwali na Siczynskiego późnym wieczorem dwaj mężczyźni z podniesionymi kołnierzami zarzutek i w naciśniętych na czoło kapeluszech. Jeden z nich miał nosić cwikier. Dozorca, który odebrał od Nudy Siczynskiego i prowadził go przez ostatnią bramę aż do alei parkowej, mężczyzn tych zobaczyć nie mógł, bo szerokie krysy kapeluszy zasłaniały im twarze, a w pobliżu nie było latarni.

Gdy Siczynski się do nich zbliżył, uściskali się, a jeden z nich rzekł: „Skinczyła sia wże twoja nużda”, poczem wszyscy trzej oddalili się szybko w głąb alei parkowej, która z ulicy Lipowej prowadzi obok parku Elżbiety do parku bar. Romaszkana.

Stwierdzono, że w ulicy Lipowej nie było żadnej dorożki ani też samochodu w krytycznym czasie. Prawdopodobnie Siczynski z towarzyszami przedostał się potem na równoległą do Lipowej ulicę Kazimierzowską, gdzie już czekać musiały konie. Z ulicy Kazimierzowskiej prowadzą drogi do Łyśca, Bohorodczan, i Nadwórny, co dało podstawę do przypuszczeń, że Siczynski umknął na Węgry.

NARZECZONA SICZYŃSKIEGO

Aresztowana w Kałuszu manipulantka jednej z tamtejszych kas ruskich, p. Hanka Polikówna, została wypuszczona na wolność. Aresztowanie jej nastąpiło na tej podstawie, że jeden z agen-

tów wyszedł, iż w dzień przed ucieczką jakaś kobieta miała konferować w ulicy Lipowej z dozorcą więziennym. Ponieważ na liście osób, które miały pozwolenie widywania się z Sicyńskim, była p. Polikówna — przeto przeciwko niej skierowano podejrzenia. Śledztwo nie wykazało nic obciążającego, wypuszczono ją zatem na wolność. Polikówna jest narzeczoną Sicyńskiego, zaręczyli się po oficjalnem ogłoszeniu wyroku śmierci na Sicyńskiego. Sicyński, udając się do Stanisławowa, polecił ją opiece swego przyjaciela Ceglińskiego.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Lwów. Starszy prokurator radca dworu Hintze powrócił ze Stanisławowa i dzisiaj złożył relację namiestnikowi i prezydentowi sądu Tchorznickiemu.

Jak twierdzi „Słowo Polskie”, stwierdzono, że dozorczy Nuda, Cieslikow i Malarz nie są Rusinami, lecz wyznania rzymsko-katolickiego (!?).

Co się tyczy winy zarządu, nadprokuratora nie znalazła żadnej, bo zarząd więzienia spełniał ściśle wszystkie polecenia nadprokuratora, a specjalnie co do pilnego uważania na Sicyńskiego. Dozorców dobierano o ile możliwości Polaków.

Nieprawdą jest, aby się Nuda przyznał do winy: są tylko wielkie poszlaki, a to podejrzenie, że on wyprowadził Sicyńskiego między godz. 9.30 a 10.30 wieczór z więzienia.

Ślusarze stwierdzili, że drzwi celi Sicyńskiego otwarto kluczem.

Dotąd aresztowano 4 dozorców.

ŚLADY UCIECZKI I REWIZYE

Stanisławów, 14 listopada.

Wczoraj przeprowadzono szereg rewizji i miano wpaść na ślad ucieczki. W związku z niemi pozostaje wyjazd dyrektora policyi Lukomskiego do Lwowa. Zwraca powszechną uwagę, że ze Stanisławowa znikł Teodor Oleśnicki, który pozostawał w bardzo ścisłym kontakcie z Sicyńskim.

Zona Nudy podczas zeznań nie skorzystała z dobrodziejstwa ustawy i relacjami swojemi silnie obciążyła męża. Michalina Nudzina, którą mąż bił i chciał się z nią separować, przedłożyła organom śledczym ukraińską koszulę, nad którą pracowała pilnie, przeznaczając ją z polecenia męża dla Sicyńskiego, aby miał

w czym chodzić w Ameryce. Koszulę tę zdeponowano u sędziego śledczego.

Przeprowadzono także rewizję u dozorczy Hołowenki, u Dmytrowa, który zarządzał kantyną, gdzie spodziewano się dowiedzieć, jakim sposobem dostał Siczyński wino dla współtowarzysza Chomina. Stwierdzono, iż z kantyny wina tego nie dostał.

Ponownie przeprowadzono rewizję u Cieślíkowa, oraz u czterech Rusinów z inteligencji i u nich miano znaleźć daleko idące poszlaki. Rewidowano także stolarnię, gdzie Siczyński pracował, rewidowano mieszkanie Ukraińca Bukojemskiego, b. studenta gimnazjum ruskiego, znanego z procesu o napad na księdza ruskiego pod Kołomyją.

Przebieg poszukiwań wszczętych za Siczyńskim przedstawiają następujące komunikaty prasy:

UCIECZKA SICZYŃSKIEGO

Stanisławów, 14 listopada.

Sledztwo w sprawie ucieczki Siczyńskiego idzie obecnie w dwóch kierunkach, a więc w kierunku ustalenia winy dozorców i w kierunku wyśledzenia tych osób, które zorganizowały ucieczkę. Ten drugi kierunek śledztwa skazany był początkowo na same przypuszczenia i kombinacje i dopiero wypadki dnia wczorajszego dały policji pewien poważniejszy materiał. Obecnie śledztwo w tym kierunku zatoczyło bardzo szerokie kręgi.

Policja i starostwo stanisławowskie były wczoraj w ustawicznym poruszeniu. Przeprowadzono kilka rewizyj, przeważnie takich, które dostarczyły pewnych ważniejszych danych. Dokonano także rewizyj w domach ukraińek stanisławowskich, przy czem zwrócono szczególniejszą uwagę na korespondencję. Wszystkie skonfiskowane listy zdeponowała policja w starostwie.

Już obecnie stwierdzono na podstawie tej korespondencji, że Wanda Polikówna, narzeczona Siczyńskiego, miała obecnie wyjechać w ważnym interesie za granicę. Wiadomość tę potwierdza również list, skonfiskowany u pewnej wybitniejszej ukraińki. Jakaś jej znajoma pisze właśnie, że Polikówna nie może załatwić sprawy, o którą prosiła, ponieważ ma bardzo poważne powody, aby wyjechać w najbliższym czasie za granicę. Bliższe szczegóły w tej sprawie otacza policja zupełnem milczeniem.

Wczoraj zgłosił się do kancelarii więziennej, więzień Krzywoszewski, odsiadujący karę 12 lat więzienia i zeznał, iż nauczyciel więzienny Jakubowczyk porozumiewał się w dzień ucieczki ze Siczyńskim podczas powrotu z przechadzki. Rewizya przeprowa-

dzona natychmiast w mieszkaniu Jakubowczyka pozostała bez rezultatu, pozostawionego go też na wolnej stopie.

Dyrektor policyi stanisławowskiej, p. Lukomski, wyjechał rano do Lwowa. Wyjazd jego stoi w związku ze śledztwem w sprawie ucieczki Siczyńskiego.

ZARZĄDCA WIĘZIENIA W STANISŁAWOWIE

P. Karol Kalous, starszy dyrektor więzienia w Stanisławowie, pochodzi wprawdzie z rodziny czeskiej, ale mówi po polsku zupełnie biegle i o ile wiemy, przyznaje się do polskości. Wystąpiwszy z armii, jako porucznik artylerii wstąpił do służby w zarządzie więzień. Był przez pewien czas urzędnikiem w zarządzie zakładu karnego w Wiśniczu, gdzie pozyskał sobie sympatię towarzystwa tamtejszego, następnie przeniesiony został do Lwowa, a wreszcie do Stanisławowa.

SICZYŃSKI W RUMUNII?

Czytamy w *Gazecie Narodowej*: „Z austriackiej granicznej stacji Itzkany na granicy bukowińsko-rumuńskiej przyszedł telegram z doniesieniem, że jedna osoba w ubraniu księdza, przypominająca rysami twarzy sygnalizowany opis Siczyńskiego i posiadająca zęby złotem plombowane, przejechała onegdaj w wagonie pociągu pośpiesznego Berlin-Lwów-Czerniowce-Stanisławów austro-rumuńską granicę i udała się do Burdujeni w Rumunii. Osoba ta w ubraniu księdza, w której austriackie nadgraniczne władze podejrzewają Siczyńskiego, wsiadła, jak wykazały natychmiast wdrożone dochodzenia, do pociągu dopiero na stacji Hadikfalva, niedaleko Radowiec. Domniemanemu Siczyńskiemu towarzyszyły dwie inne osoby, również w ubraniach księży. Ci dwaj towarzysze oddali konduktorowi w przedziale II klasy wszystkie trzy bilety jazdy do przestemplowania, oświadczając, że ich trzeci towarzysz udał się do klozetu. Ów trzeci towarzysz, domniemany Siczyński, przepędził też całą drogę w klozecie, z którego wyszedł dopiero tuż przed rumuńską stacją Burdujeni. Jest też podejrzenie, że Siczyński, o ile podejrzana osoba jest z nim identyczną, przez jakiś czas ukazywał się pod Czerniowcami.

Z Czerniowiec jednak donoszą, że wdrożone natychmiast przez policyę czerniowiecką dochodzenia co do rzekomego ukrywania się Siczyńskiego pod Czerniowcami i co do jego dalszej ucieczki do Rumunii, nie dały żadnego pozytywnego rezultatu”.

(Telegramy *N. Reformy* z dn. 15 listopada.)

NOWE ARESZTOWANIE

Lwów. *Słowo Polskie* donosi ze Stanisławowa:

„Wczoraj o godz. 11 w nocy aresztowano tu dozorcę więziennego Izydora Tarnawskiego, który od 22 lat jest w służbie. Obciążają go silnie zeznania dowódcy straży wojskowej, który widział Tarnawskiego, kręcącego się w podejrzany sposób po więzieniu w dniu ucieczki Siczyńskiego.

Następnie widział go ów żołnierz, wychodzącego około godziny 10 wieczór w towarzystwie jakiegoś młodzieńca bez wąsów, średniego wzrostu ubranego w mundur dozorca. Przypuszczają, że tym młodzieńcem był Siczyński”.

Prasa polska wykazuje umiar i ostrożność w wyrażaniu zrozumiałego oburzenia na ten obrót spraw, rusińska nie tai zadowolenia a nawet dumy z udanego umknienia.

Jedna przedstawia warunki jego więziennego życia jako wyjątkowo łagodne i względne, druga obrazuje je jako wyjątkowo ciężkie.

Sam Siczyński skłonny jest po latach przyznać, że miał dobre a nawet wygodne warunki więzienne.

Ale nadprokuratorya c.k. poczuła się dotknięta wymówkami jakich ówczesna prasa polska nie szczędziła na temat sytuacji wyjątkowego uprzywilejowania, którego doświadczył w więzieniu stanisławowskim Siczyński. W parę dni po ucieczce, jednocześnie z telegramem, w którym donoszą ze Stanisławowa, że „śledztwo w sprawie ucieczki Siczyńskiego gmatwa się coraz bardziej”, ukazał się w prasie galicyjskiej komunikat treści następującej:

„Lwowska nadprokuratorya państwa wykonuje zwierzchniczy nadzór nad zakładami karnymi dla mężczyzn we Lwowie i w Stanisławowie. Kompetencya tych zakładów unormowaną była pierwiej według wyznania więźniów. W roku 1908 wprowadzono co do kompetencji zmiany. Unormowano mianowicie kompetencyę tych zakładów karnych zasadniczo według trybunałów sądowych, których wyrokiem nałożone kary więzienne mają być w dotyczącym zakładzie odbywane. Od tego czasu odstawia się do zakładu karnego w Stanisławowie także więźniów rzymsko-katolickich i mojżeszowego wyznania.

Już i przedtem było w tym zakładzie wielu więźniów tych wyznań, z powodu ewakuacji zakładu karnego we Lwowie, zarządzanego po buncie więźniów. Przy mianowaniu urzędników zarządu i dozorców wymagana jest dla obu wspomnianych zakładów znajomość obu języków krajowych i ani urzędnicy ani dozorczy nie są wybierani do zakładu karnego w Stanisławowie według narodowości. Dyrektor zakładu Karol Kalous i inspektor

straży więziennej Dziubiński są Polakami i pochodzą z zachodniej części kraju, a na 80 osób straży więziennej jest tam tylko 37 dozorców wyznania grecko-katolickiego”.

Następnego dnia *Nowa Reforma* dała uzupełniający komentarz, którego fragment przytaczam:

„Siczyńskiego umieszczono w Stanisławowie ze względów na stosunki zdrowotne i bezpieczeństwa w tem więzieniu.

Siczyński pozostawał w pierwszej, tj. najostrzejszej, klasie dyscyplinarnej i podlegał wszystkim ograniczeniom tej klasy. Mógł być odwiedzany przez rodzinę co 2 miesiące. W tym odstępie czasu wolno mu było wysłać i otrzymać 1 list i wolno mu było z zarobionych pieniędzy użyć na poprawę wikt tygodniowo najwyżej 50 hal. Jak się nadprokurator Hintze podczas corocznej kontroli i obecnie podczas przeprowadzonych na miejscu osobnych dochodzeń przekonał, przepisy były ściśle do Siczyńskiego stosowane. Siczyński pracował zawsze w warsztacie stolarskim przez cały dzień i wykonywał też roboty przy uprzątnięciu więzienia razem z więźniem Wasylem Chomyszem, z którym był razem umieszczony. Więzień Chomysz jest gospodarzem, analfabetą, odsiaduje od r. 1904 karę za zbrodnię skrytobójczego morderstwa. Był karany dyscyplinarnie raz tylko za udział w buncie więźniów w r. 1904.

Odmawiano prośbom, wniesionym przez samego Siczyńskiego i jego matkę, o pozwolenie mu na czytanie gazet, a chociażby tylko urzędowej gazety, o zwolnienie go od popołudniowej pracy w warsztacie, o pozwolenie na częstsze widywanie się z rodziną i dopuszczenia więcej jak dwóch osób do odwiedzin. Nie udzielono Siczyńskiemu zgoła żadnych udogodnień ani co do wikt, ani też co do zajęcia. Odmówiono też prośbie matki Siczyńskiego o wezwanie dra Jarosiewicza do plombowania zębów jej synowi. Ani co do zachowania się Siczyńskiego, ani też dozorców wobec niego nic takiego nie doszło dotychczas do wiadomości dyrekcyi, co mogłoby być powodem wydania wyjątkowych zarządzeń, nie leżących zresztą w zakresie działania tutejszej nadprokuratoryi państwa. — Komendantem oddziału, na którym pozostawał Siczyński, był starszy dozorca Michał Wyrwa, narodowości polskiej. On dozorował służbę innych dozorców i zachowanie się Siczyńskiego. Kierownikiem warsztatu stolarskiego był dozorca Ludwik Czapski, także narodowości polskiej. Z czterech aresztowanych dozorców jest trzech, według ich zeznań, rzymsko-katolickiego wyznania”.

Starszy prokurator państwa Hintze, po zdaniu raportu namiestnikowi Bobrzyńskiemu udzielił przedstawicielowi oficjalnego *Słowa Polskiego* następujących wyjaśnień:

„Więzienie stanisławowskie wybrano dla Siczynskiego dlatego, że dawało największą rękojmię bezpieczeństwa. Zarząd otrzymał specjalne polecenie strzeżenia więźnia i dodawania mu o ile możliwości służby polskiej. Tak klucznik, jak i komendant tego oddziału są obrządku łacińskiego, a również dozorczy Nuda, Cieślików i Malarz są obrządku łacińskiego.

Nuda dotychczas nie przyznał się, jednakowoż nagromadzone przeciw niemu poszlaki stwierdzają, że tylko Nuda mógł ułatwić ucieczkę, a inni aresztowani dozorczy mogą odpowiadać tylko za brak dozoru.

Wezwani jako rzeczoznawcy ślusarze stwierdzili, że zamki otworzono kluczami oryginalnymi lub podrobionymi, a nie wytrychami. Siczynskiego prowadzono suterrenami aż do frontowego skrzydła. Pierwsze drzwi bramy aż do podwórza musiał mu otworzyć Nuda, a z faktów, że posterunek wojskowy nie zatrzymał go na bramie głównej wewnętrznej przypuszczać można, że wyszedł w mundurze dozorczy. O ile można wierzyć posterunkom wojskowym, Siczynski wyszedł z gmachu sam, bez żadnego towarzysza.

Największą trudność dla zbiega przedstawiało przejście obok bramy portyera. Pełni tam służbę człowiek nieposzlakowanej uczciwości, znający wszystkich więźniów, który z pewnością byłby Siczynskiego poznał i w przebraniu. Musiano tu więc użyć klucza podrobionego, tudzież pory po godzinie 10, kiedy portyer zamknąwszy bramę udał się na spoczynek. Portyer trzyma klucz od bramy zawsze pod poduszką i twierdzi stanowczo, że nikt nie mógł mu go wykraść. Siczynskiego wyprowadzono z więzienia najkrótszymi drogami, gdzie tylko przypadek mógł zetknąć zbiega z którymś z dozorców.

O ile dotychczas stwierdzono, nie można uczynić żadnego zarzutu zarządowi więźniów. Zarząd stosował się ściśle do polecenia nadprokuratury państwa, która zarządziła ściśle dozоровanie więźnia. Dochodzenie przeciwko dozorcóm prowadzi jeden ze stanisławowskich sędziów śledczych”.

Była to próba odpowiedzi na relacje przedstawiające pobyt Siczynskiego w więzieniu jako stan wyjątkowego uprzywilejowania. Cytuję za *Nową Reformą* z dn. 12 listopada:

„Dalecy, a nawet bardzo dalecy, od żądania pastwienia się choćby nawet nad zbrodniarzem, poddanym wyrokowi nieodwołalnemu, nie możemy wstrzymać się od narzucającego się w tym wypadku, siłą stwierdzonych faktów, pytania, co było powodem, że morderca śp. Andrzeja Potockiego tak wyjątkowo traktowany był w więzieniu stanisławowskim, iż ułatwienie mu ucieczki z tego więzienia przez dozorców kryminalnych, było właściwie następstwem tej wyjątkowości, jakiej najoczywiściej w stanisławowskim więzieniu zażywał Siczynski? Dość powiedzieć, że nie

tylko otrzymywał tutaj dzieła naukowe, co byłoby zupełnie w porządku, lecz czytał dzienniki, że pozostawał w kontakcie z otoczeniem dalszym, nie tylko rodzinnym, tak że pod murami więzienia utworzyła się cała kolonia wielbicieli tego więźnia, opiekująca się nim bardzo starannie. Wewnątrz zaś więzienia wytworzył się wśród personelu więziennego formalny kult Siczyńskiego: służba więzienna oddawała mordercy Potockiego ukłony „w pas”.

Jednym słowem więzienie stanisławowskie było dla Siczyńskiego schroniskiem szczególniejszego rodzaju. Mimowoli przypomina się więzienie ... z „Fledermausa” Straussowskiego, z którego tak bardzo zadowolony jest dozorca Frosch.

Tym nastrojem więziennym tłumaczy się łatwość, z jaką trafiono do skruszonego poczucia obowiązków dozorców więziennych. Tem się tłumaczy że nawet nie Rusini, lecz Polak, dozorca więzienny, zresztą, jak się pokazuje, podejrzanego konduity człowiek, dał się użyć za płatne narzędzie wyzwolenia Siczyńskiego z więzienia.

Tutaj więc, jak zaznaczyliśmy na wstępie, wyłania się, oprócz umknienia mordercy śp. Potockiego, kwestya nadzoru nad więzieniem stanisławowskim, nadzoru, dzięki któremu wytwarzać się tam mogły tego rodzaju wyjątkowe stosunki, o jakich teraz słyszymy. Bez względu na wynik pościgu za Siczyńskim, kwestya ta stanowczo i publicznie wyjaśniona być powinna”.

Artykuł ten rzuca również światło na warunki, w jakich żył i przygotowywał ucieczkę Siczyński. Czytamy:

„Zdarzyło się, że dozorczy i służba więzienna w Stanisławowie składają się wyłącznie niemal z Rusinów i ci od razu przyjęli Siczyńskiego nie jak zbrodniarza, ale jako „geroja”, objawiali mu cześć na każdym kroku, usiłowali mu być we wszystkim pomocnymi, robili mu wszystkie możliwe ulgi i ułatwiali mu komunikację ze światem. Ale i zarząd więzienny, chociaż mówią, że kilkakrotnie zwracał uwagę na niebezpieczeństwo takiego stosunku, między Siczyńskim a jego dozorcami, był dla mordercy bardzo względnym. Siczyński został zobowiązany tylko przedpołudniem do lekkiej pracy w więziennym warsztacie stolarskim, całe popołudnie zaś miał wolne i mógł się oddawać lekturze i pisaniu. Często też przyjmował odwiedziny i otrzymywał mnóstwo książek.

Wiadomo, że matka Siczyńskiego przeniosła się do Stanisławowa, aby „czuwać nad swoim synem” i wynajęła sobie mieszkanie najbliżej więzienia. Odwiedzała syna co dwa tygodnie, czasem częściej. Zjeżdżali się też do niej najrozmaitsi zwolennicy i ustawicznie toczyły się jakieś narady.

Że przyjaciele Siczyńskiego od samego początku snuli projekty wydobyć go z więzienia, na to wskazuje wiele faktów. Zresztą nie zbyt z tem się kryli. Pisma ukraińskie nie raz zapowiadały, że „chwila otwarcia się bram więziennych przed Siczyńskim nadejdzie prędzej”, niżeli to wyrok sądowy oznaczył. Zbierano też ustawicznie składki na fundusz im. Oleny Siczyńskiej, który miał mieć rzekomo cele kulturalne, ale z którego użycia nigdy sprawozdań nie składano. Wszystko to okazuje, że między wyznawcami Siczyńskiego istniał formalny komplot dla przygotowania ucieczki Siczyńskiemu”.

W dniu 16 listopada 1911 prasa w Galicji ciągle jeszcze poświęca całe szpalty sprawie ucieczki Siczyńskiego, nie przestając gubić się w domysłach.

Przytaczam kilka charakterystycznych komunikatów z *Nowej Reformy*:

UCIECZKA SICZYŃSKIEGO (Telefonem)

Lwów. Policja lwowska jest przekonana, że Siczyński ukrywa się dotąd w Galicji.

TAJEMNICZY AUTOMOBIL

Lwów. Do *Słowa Polskiego* donoszą ze Stanisławowa, że w policyi stanisławowskiej zgłosił się agent policyi czerniowieckiej i zeznał, że w piątek rano, to jest nazajutrz po ucieczce Siczyńskiego, widział przejeżdżający automobil, w którym siedziało dwóch ludzi, z których młodszy żywo przypominał wyglądem Siczyńskiego. Agent nie aresztował ich, ponieważ o ucieczce nic jeszcze nie wiedział. Automobil popsuł się w Czerniowcach i musiał się zatrzymać. Nieznajomi najprawdopodobniej pojechali dalej koleją.

ŚLADY W KARWINIE?

Karwina. Tego samego dnia, w którym pojawiły się w dziennikach wiadomości o ucieczce Siczyńskiego z więzienia, pojawił się w Karwinie jakiś młody człowiek, elegancko ubrany i udał się do tutejszych instytucyj z prośbą, aby mu pożyczono pieniędzy na wysłanie do domu telegramu. Podał, że w drodze z Bogumina skradziono mu paltó, w którym miał pieniądze i dokumenty. —

Zaznaczył zaś z naciskiem, że jest ruskim studentem i że dlatego nie zwraca się do Polaków. Prośbę jego spełniono, poczem student ów wyszedł, oświadczając, że będzie na dworcu czekał na telegram z domu. Kiedy jednak policya się o tym dowiedziała i przybyła na dworzec, student ów już znikł.

Władze przypuszczają, że komitet, który zajmował się przeprowadzeniem ucieczki Siczyńskiego, rozmyślnie powysyłał do różnych miast ruskich studentów, aby w ten sposób wprowadzić władze w błąd.

Lwowskie *Słowo* natomiast daje artykuł następujący:

PO UCIECZCE SICZYŃSKIEGO

Ludność rusińska nie kryje się już z objawami entuzjazmu z powodu ucieczki Siczyńskiego.

Młodzież ruska w Stanisławowie zamierza urządzać nabożeństwa dziękczynne za pomyślną ucieczkę Siczyńskiego.

17-tego listopada poruszenie trwa, ale dochodzi nowy, sensacyjny a mający do czynienia z zębami Siczyńskiego element.

Na podstawie doniesień z Stanisławowa wczoraj rano wezwano do sędziego śledczego dentystę dr. Romana Jarosiewicza i zawieszono nad nim areszt śledczy. Jest to dentysta, który plombował Siczyńskiemu zęby w więzieniu. Miano stwierdzić że Jarosiewicz przybył w piątek krytyczny do Czerniowiec i zajechał do hotelu „De Paris” w towarzystwie jakiegoś młodego człowieka. W hotelu oczekiwało ich kilku panów, którzy razem z przybyłymi wyszli na miasto. Dr Jarosiewicz wrócił do hotelu dopiero 11 listopada również w towarzystwie młodego człowieka, ale innego. Służba, której pokazano fotografie i opisano osobę Siczyńskiego, stwierdziła, że pierwszy towarzysz Jarosiewicza był podobny do Siczyńskiego.

Jarosiewicz, zajechawszy do hotelu, wypełnił natychmiast kartki meldunkowe i podpisał się własnem nazwiskiem.

W Czerniowcach miał się podobno zepsuć Jarosiewiczowi automobil, otóż Jarosiewicz opowiada, że wyjechał stamtąd po mechanika do Stanisławowa, a później do Lwowa, skąd wrócił do Czerniowiec.

Czerniowce. Właściciel hotelu „De Paris” ma być pociągnięty do odpowiedzialności za niedbałe spełnianie obowiązków, albowiem na karcie meldunkowej dra Jarosiewicza nie ma daty, co utrudnia śledztwo.

ŚLEDZTWO

Lwów. Policja czerniowiecka zawiadomiła wczoraj policję lwowską, że śledztwo, prowadzone w Czerniowcach, nie wydało dotąd żadnego pozytywnego rezultatu. Policja lwowska wysłała dotąd za Siczyńskim 80 listów gończych.

Lwów. Ze Stanisławowa donoszą do *Gazety Wieczornej*: Ze strony miarodajnej stanowczo zaprzeczają wiadomości, jakoby śledztwo w sprawie Siczyńskiego miało być zastanowione i jakoby ze strony rządu wywierano jakikolwiek nacisk na tutejsze władze celem zatuszowania sprawy. Jest nadzieja, że ucieczka Siczyńskiego zostanie w zupełności wyświetlona.

Ukraińskie *Narodne Słowo* natomiast, organ „Narodnego Komitetu” naświetla sprawę ucieczki Siczyńskiego od innej strony. Pod prowokującym tytułem „Czy schwytają Siczyńskiego?” pisze tłustym drukiem:

„Można przypuszczać, że skoro do tego wzięli się zakordonowi rewolucyoniści, to Mirosław bezpieczny. Rewolucyoniści obmyśliłi i przeprowadzili cały plan wyswobodzenia do najmniej-szych szczegółów. Oni są gotowi na każdą ewentualność; to wie każdy, kto obserwował ruch rewolucyjny w Rosyi. Od wieczora do 6 rano mogli przejść bezpiecznie którąkolwiek granicę, — a następnie poprowadzić sprawę w ten sposób, aby Mirosława nie schwytano. Ci ludzie znają się na takich sprawach i umieją każdej sytuacji zajrzeć w oczy. Nawet gdyby ich policja wykryła, to mamy dowody, że na dwu, trzech rewolucyonistów trzeba kolosalnej przewagi policji i wojska. Skoro jeszcze do tego zważy-my, że Mirosław długo opierał się zamiarowi ucieczki, to zda-je się nam, że nie ryzykowałby on tego na ślepo i teraz, gdyby nie wiedział na pewno, że żadna ludzka siła go nie schwytą”.

III

Opowiada teraz sam Siczyński:

Siedziałem przyczajony na wsi. Słyszę że mnie szukają, ale co zabaw-niejsze, że mnie znaleźli. Mówi do mnie wójt: Was już złapali, wiecie? Okazało się że aresztowali w Karpatach młodego inteligenta o piwnych oczach. Miał być podobny do mnie. Mnie wtedy ten stróż w więzieniu zapisał że mam oczy piwne. Nigdy piwnych nie miałem. Są szare, może siwe, albo nawet błękitne.

Wójt we wsi w której siedziałem twierdził że nikt mnie nie zdradzi. Tak był pewien, że wziął mnie do stodoły, gdzie byli inni ludzie i przedsta-wił mnie.

„Nikt nikomu nie ma prawa powiedzieć że on tu jest, albo że był. Nigdy, nigdy, nigdy. Jakby się wydało wszyscy będą sądzeni”.

Patrzyli na mnie wytrzeszczonymi oczami. A był tam między tymi ludźmi jeden dziad, siwy jak gołąb, ale ślepy. Jak się dowiedział kto ja jestem chciał mnie uściskać. Mówi: a wiecie, ja pamiętam jak znieśli pańszczyznę w 1848 roku.

Jednego dnia pojechaliśmy wreszcie na stację kolejową, nie najbliższą ale odległą trochę od wsi. Jechał wieśniak, wieśniaczka i nauczyciel z miejscowości Czerwoniec na Bukowinie. Nazywało się że jedziemy na sąd do Śniatynia. Nauczyciel występował jako adwokat, a my że niby świadkowie.

W Śniatyniu wziąłem fiakra żeby mnie zawiózł do Czerniowiec. W Czerniowcach trzy razy zmieniałem domy. W trzecim byłem najdłużej. Spotkałem tam siostrę, która przyjechała ze Lwowa.

Przyjechał też jeden przyjaciel Żyd, mądry człowiek. Tukidydesa po grecku czytał. Znany był w Buczaczu, choć niepokaznie wyglądał. Chciał mnie początkowo bronić w sądzie, ale nie zrobił tego, żeby nie powiedzieli że Żyd się pcha. On był ideowy socjalista. Znali go dobrze we Lwowie. I on powiedział mi teraz że mnie przewiezie do Niemiec.

Początkowo nie chciałem. Bałem się o niego. Mówię: naraża się pan na utratę zdrowia i adwokatury. Mnie dadzą to samo co już miałem. Ale panu!

Nie ustąpił. — Jestem uparty człowiek. Jak powiem że jadę to jadę.

Po nim było poznać że Żyd, a mnie trzeba było na Żyda zrobić; okulary, kozuch, aksamitny kapelusz. Puściłem sobie trochę zarostu po policzkach. Z Bukaresztu do Wrocławia na jarmarek jechaliśmy, że niby kupcy. To wyglądało nieźle. Bilet 2-giej klasy. W drugiej panów nie obszukują. W trzeciej byłoby niebezpiecznie.

Papierów nie miałem żadnych, on miał wszystko. Na granicy dał w łapę konduktorowi, przejechaliśmy gładko.

On był niezwykle i szlachetny człowiek. Tylko chłopów bronił. Już kiedy potem wojna wybuchła, w Pradze dużo było jeńców ukraińskich i rosyjskich. Była epidemia, umierali jak muchy i nikt ich nie ratował. On wtedy z Wiednia pojechał żeby się nimi zająć. Sam dostał tyfusu i umarł. Miał może lat 45. A tu w Ameryce spotkałem służącą, która służyła u jego siostry, albo brata, i była świadkiem takiej sceny. Jakaś pani na przyjęciu twierdziła, że pracodawca może użyć cielesnej kary wobec służby. On wtedy powiedział, że to haniebne prawo. Ale ta pani broniła takiego prawa. On na to: A żeby tak panią położyli i dali dwanaście kijów? Wstała obrażona i poszła.

Dowiózł mnie tymczasem do Berlina. Chciałem koniecznie zobaczyć Reichstag w czasie obrad. Ale mi nie pozwolił. Bał się, że mnie kto pozna. Dostałem bilet do Norwegii. Siadłem do pociągu i czytałem poezje Tennysona. W Szczecinie pociąg wjechał na statek i wtedy po raz pierwszy zobaczyłem morze.

W pociągu jakiś jegomość zagadał mnie po niemiecku. Widział, że nie jestem Norweg i pytał gdzie ja jadę? Miałem paszport studenta. Nazywało się że ukończyłem studia prawne i że wysłała mnie moja rodzina w świat abym dowiedział się jak to ludzie żyją w innych krajach:

— A do jakiego miasta jedziesz?

— Do stolicy.

— Nie jedź do stolicy. Tam niedobra pogoda. Jedź ze mną do mojego miasta. Nazywa się Bergen.

Miałem potem jechać do Anglii i do Kanady. Pokazał mi na mapie gdzie leży Bergen. Zobaczyłem że naprzeciw Anglii. Ale mówię że ja tam w Bergen nie znam nikogo.

— To ja już się tobą zajmę. Ja tam jestem komisarzem policji. Wracam właśnie z Niemiec gdzie studiowałem chemię kryminalną.

Pomyślałem że dobrze jest mieć takiego przyjaciela i pojechałem z nim

do Bergen. Co obiecał tego dotrzymał. Znalazł mi stancję. Mieszkalem tam przez styczeń, luty i marzec 1912 roku. Ale ciągle z myślą że pojadę do Ameryki. Potem pojechałem do Szwecji. Znalazłem tam sobie przyjaciół, nauczyłem się szybko języka.

— Ile języków pan zna?

— Policzmy: ukraiński, polski, niemiecki, norweski, szwedzki, angielski, rosyjski, z ukraińskimi błędami — nie mam praktyki. Poza tym mogę czytać po włosku i po hiszpańsku.

— Ale wracamy do Szwecji. Oni tam znali moją sprawę. Ja pisałem i mówiłem dużo, nie o sobie, ale o zagadnieniu Polska-Rosja-Ukraina. Jednym z moich przyjaciół był późniejszy premier, potem także delegat do Narodów Zjednoczonych, Sander.

Jak wojna wybuchła w 1914 r. ja miałem fantastyczny plan aby pojechać do Austrii. Spodziewałem się że wybuchnie rewolucja albo w Rosji, albo w Austrii. Chciałem być tam, gdzie będzie rewolucja. Ale jak pan wie, pośpieszyłem się trochę. Napierałem się do tego stopnia, że moi przyjaciele pomogli mi dostać paszport szwedzki, naturalnie szachrowany. Nazywało się to, że jestem Ukraińcem, przedstawicielem pisma socjalistycznego w Sztokholmie. Pojechałem z tym paszportem do Wiednia, w samą paszczę tych, od których uciekłem. Przedtem jeszcze wstąpiłem do Pragi, gdzie mieszkał mój krewny, prof. Horbaczewski, chemik. I on mi pierwszy powiedział jak sprawy wojenne idą, czy będzie rewolucja, czy Austria wygra? Pomyślałem sobie wtedy, że lepiej by było, aby Austria wygrała, bo nie warto tracić tego co już osiągnęliśmy w Galicji.

Tu wtrącić należy, że Siczyński po przyjeździe do Ameryki w roku 1915 zajął się przygotowaniem książki o ukraińskich aspiracjach niepodległościowych za pieniądze zebrane na Komitet jego obrony. Edwin Björkman, szwedzki dziennikarz, pisarz i tłumacz, przedstawiając w niej sytuację Ukraińców w Rosji stwierdza, że w r. 1913 w guberniach kijowskiej, chersońskiej i charkowskiej aresztowano 23 redaktorów, skonfiskowano 26 gazet, nałożono 85 grzywn na łączną sumę 20.525 rubli. Mimo to Ukraińcy nie nawiadzą polskich posiadzieli ziemskich bardziej niż Rosjan.

Przypomnieć warto, że na Uniwersytecie lwowskim w r. 1904 było 6 katedr z językiem wykładowym ukraińskim, a w 1915 już 14, na terenie całej Galicji zaś mieli dwa i pół tysiąca własnych szkół.

— Więc nie należało tracić tego, co już uzyskaliśmy — ciągnie Siczyński. Z tą myślą pojechałem do Wiednia. Tam był poseł mój szwagier, Eugeniusz Lewicky i on mi powiedział, że Austria przegra. A ja teraz chciałem, żeby pobiła Rosję.

Tam wtedy spotkałem Wiktora Adlera, przywódcę socjalistów w Wiedniu, redaktora pisma. Przyjął mnie jako korespondenta szwedzkiej gazety. Potem ja mu chciałem powiedzieć kim ja jestem naprawdę, ale próbowałem się upewnić jak on to przyjmie. Powiedział: — Ja jestem stary człowiek i nie mnie nie zadziwi ani nie zaskoczy.

— Więc ja na to, że nie jestem tym, który figuruje na paszporcie.

— A kto pan jest?

— Mirosław Siczyński.

Nie chciał wierzyć. Ale go przekonałem. Powiedział tylko: — *Das ist Österreich*. Że niby człowiek skazany na śmierć, a przyjechał żeby pomóc Austrii.

A potem: — Co ja teraz z wami zrobię? Was tu aresztują i dopiero będzie kłopot.

I znowu z innego końca: — A wy znacie Lenina?

Mówię że słyszałem o nim, ale go nie znam.

— A on tu w Wiedniu w areszcie. Schwycili go w Zakopanem i tu przywieźli. I ja go muszę ratować. Ale teraz to się ze mną liczą. Nie to co dawniej. Więc myślę, że ja tego Lenina uratuję.

On, Adler i mój szwagier, Lewicky, przedstawili mnie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i Wojny i dostałem stamtąd dokumenty na to moje fałszywe nazwisko, żeby mnie Niemcy przepuszczali swobodnie. A że chodziłem czytać szwedzkie gazety do szwedzkiego poselstwa, więc mnie ich poseł dał list do króla, jak się dowiedział że wracam do Szwecji. Z takim listem, wiadomo, nikt mnie po drodze nie zaczepi.

— To znaczy podróżował pan jako kurier dyplomatyczny?

— Właśnie. Jechałem przez granice jak wielki człowiek. W Berlinie na tej podstawie dostałem się do prof. Otto Hoetzscha. On był autorem książki o Rosji, specjalistą, doradcą cesarza. I ja z nim odbyłem rozmowę. Chciałem się dowiedzieć jakie są plany Niemiec na wypadek zwycięstwa z Rosją.

Przyjął mnie bardzo dobrze. Nie próbował oszukać, chociaż mógł. Ja miałem wtedy tylko 27 lat. Kto ja byłem, a kto on. I zapytałem co on myśli, co Niemcy robią z Ukrainą?

Mówił mi, że wierzy tak jak Bismarck, że Niemcy Rosji zaczepiać nie powinny. Wojna na dwa fronty niebezpieczna. Mówił: — Nie wiem jak daleko zajdziemy na wschodzie. Ale jeżeli zajdziemy daleko, odłączymy Ukrainę. Zbudujemy wam szkoły, szpitale, drogi, postawimy wielką industrię, języka nie będziemy zabraniać.

I na tym urwał.

Ja mu patrzę w oczy i chcę wiedzieć co dalej. A on nic. Też patrzy w oczy, ale milczy. Widzi pan, uczciwy człowiek.

Wtedy zrozumiałem jaki jest plan. Ukraina będzie niemiecką kolonią. Ja się na to nie mogłem pisać. Ta rozmowa miała wielki wpływ na resztę mojego życia. Od tego czasu wiedziałem, że nie można stawiać na Niemców, a tym bardziej opierać na nich ukraińskich nadziei. To przeciwstawiło mnie później wielu moim rodakom, germanofilom z przekonani i wyrachowania. Nigdy nie wierzyłem, że z tego coś dobrego dla Ukraińców wyniknie. Ostatnia wojna potwierdziła, że miałem rację.

Ale wróćmy do mojej historii. Znalazłem się znowu w Szwecji, miałem podrobiony paszport, który zdał swój egzamin i z tym paszportem pojechałem wreszcie do Ameryki.

Na Ellis Island sam się zgłosiłem. Można się było nie przyznawać do tego kim jestem i co zrobiłem, ale ja myślałem o przyszłości. Zresztą moja sprawa polityczna, nie kryminalna. Urzędnik który to przyjął powiada: wszystko co tu napisane może być prawdą, ale nam takich ludzi nie potrzeba. Mamy dość swoich.

Zeznanie poszło dalej. Przeczytał je asystent Sekretarza Pracy w Waszyngtonie, syn niemieckiego bojownika z 48 r.

Ten napisał „Admit”.



W tamtym czasie Prezydent Bukowiny, później Premier Austrii, Konrad zu Hohenlohe-Schillingfürst którego nazywano także „czerwonym księciem” powiedział marszałkowi bukowińskiego sejmku, Romanowi Smał-Stockiemu:

„Ucieczka Siczyńskiego jest dla wszystkich, Polaków, Ukraińców i Rządu najlepszą rzeczą jaką się mogła zdarzyć. Problem 'bohatera w więzieniu' został rozładowany”.

Aleksander JANTA

BIBLIOTEKA "KULTURY"

SERIA - "ZESZYTY HISTORYCZNE"

ZESZYT DZIESIĄTY

(Wrzesień 1966)

zawiera m.in. prace:

Wacława LEDNICKIEGO: *Rosyjsko-Polska Entente Cordiale 1903-1905.*

Wacława JĘDRZEJEWICZA: *Wojna przewencyjna z Niemcami.*

Edwarda PUACZA: *Powstanie Warszawskie w Protokółach PKWN.*
oraz działy: RECENZJI I POLEMIK.

Janusza LASKOWSKIEGO: *Radiostacja „Świt”* (dokończenie).

Str. 240

Cena 15 F (22/-; dol. 3.00)

PRENUMERATORÓW „ZESZYTÓW” PROSIMY O ODNAWIANIE ABONAMENTU NA ROK 1967 RAZEM Z ODNAWIANIEM ABONAMENTU „KULTURY”.

Kafka wraca do kraju

Mój szkic *Kafka w Rosji* („Kultura” z grudnia 1965 roku), odrobinę żartobliwy i paradoksalny, zawierał tylko przelotną wzmiankę o zorganizowanej w roku 1963 przez Czechów konferencji na temat twórczości Kafki. Rozporządzałem wówczas summarycznymi i nie dość ścisłymi doniesieniami prasowymi. Obecnie Włosi wydali w dużej książce tekst wszystkich dwudziestu czterech przemówień, wygłoszonych na tym osobliwym procesie: *Franz Kafka da Praga 1963. Una serie di rapporti della cultura marxista sulla vita e sull'opera di Kafka*.

Marksistowski proces publiczny na zamku w Liblicach pod Pragę, zwołany dla ustalenia czy Kafkę należy repatriować czy skazać go na wieczną banicję, odbył się dzięki staraniom Edwar-da Goldstückera, germanisty praskiego i niegdyś współtowarzysza Slanskiego na ławie oskarżonych, a więc dobrego znawcy obu języków — i rzeczywistego i symbolicznego — jakimi posługiwał się autor *Procesu* i *Zamku*. Wzięli w nim udział, prócz gospodarzy czeskich, przybysze ze wschodniego Berlina, z Wiednia, z Paryża, z Belgradu, z Budapesztu, z Warszawy. Mimo że z licznymi zastrzeżeniami, przy użyciu niewyznaczonej na głos formuły „z braku dowodów winy”, podsądnego ułaskawiono i przyznano mu pośmiertnie prawo stałego pobytu w rodzinnej Pradze. Wspaniało-myślna decyzja powzięta na zamku w Liblicach przywodzi na myśl nienapisany epilog *Zamku*, który znamy z komentarzy Broda: geometra Józef K. umiera do końca nieustępliwy, lecz zmęczony swoją długą i bezowocną wędrówką w poszukiwaniu łaski; nie była ona wszakże zupełnie bezowocna, bo oto wokół jego łoża śmierci zbierają się mieszkańcy podzamcza, a z samego Zamku nadchodzi wiadomość że jakkolwiek jego prośba o zezwolenie na stały pobyt w wiosce zamkowej nie posiada podstaw prawnych, to z uwagi na pewne okoliczności wspierające pozwała mu się zostać i pracować na miejscu. „Seria raportów kultury marksistowskiej o życiu i dziele Kafki” dostarcza takich analogii

więcej, byłoby jednak przesadną już złośliwością zaprzętać nimi umysł czytelnika.

Uczestników praskiego sądu nad Kafką można podzielić z grubsza na trzy kategorie. „Dogmatyków” czy „konserwatystów” reprezentowali przybysze z NRD, na czele z Ernestem Schumacherem: ich stanowisko dałoby się w bardzo zwięzłym skrócie określić w ten sposób, że i oni uważają co prawda Kafkę za wybitnego a może nawet wielkiego pisarza, ale ze względów pedagogicznych woleliby go chwilowo nie włączać w krwiobieg „kultury marksistowskiej”. W imieniu marksistów młodych, „nowoczesnych”, zbuntowanych przeciw ortodoksji ideologicznej i zdecydowanie „rewizjonistycznych”, wystąpili Iwan Switak i Aleksiej Kusak z Pragi oraz (do pewnego stopnia) Roman Karst z Warszawy: ich stanowisko, jako najciekawsze i najznamienniejsze, będzie obszernie omówione niżej. Marksistów „oświeconych” starszej generacji — ożywionych „liberalnymi” intencjami, ale umiarkowanych, ostrożnych i kompromisowych — reprezentowali obaj animatorzy sądu, Edward Goldstücker i Paul Reimann: w tej wersji, znowu z konieczności podanej skrótowo i uproszczonej, Kafka jest już bezspornie wielkim pisarzem i jednym z czołowych przedstawicieli literatury światowej XX wieku, a więc *eo ipso* przynależącym tyleż do „kultury marksistowskiej” co do kultury nie marksistowskiej, lecz równocześnie „rozbitkiem” wymagającym pilnie dwustronnej reinterpretacji; z jednej mianowicie strony należy „krytykom burżuazyjnym” przyznać częściowo rację, że profetyczne „wizje i „antycypacje” autora *Procesu i Kolonii karnej okazały się* prawomocne i w stosunku do hitleryzmu i w stosunku do „przejęciowych zwyrodnień” socjalizmu z okresu „kultu jednostki”; z drugiej jednak strony trzeba tymże „krytykom burżuazyjnym” wytrącić zbyt łatwą broń z ręki, wykazując jak w pierwszym rozdziale *Ameryki* i w *Zamku* Kafka zaczął stopniowo przechodzić — choć niepewnym jeszcze krokiem — na pozycje rewolucyjnego proletariatu (mała próbka rewolucyjnej egzegezy Goldstückera: geometra Józef K., czyli w oryginale niemieckim *Landvermesser*, kojarzy się z *sich vermessen* czyli „odważyć się”, a czynności *Landvermessera* nasuwają asocjacje z *Bodenverteilung*, czyli z podziałem ziemi i własności). Dla uzupełnienia obrazu kompletu sędziowskiego wypada dodać, że Ernst Fischer z Wiednia i Roger Garaudy z Paryża lawirowali ze zmiennym powodzeniem między marksistami „nowoczesnymi” i marksistami „oświeconymi”.

◆

Młody filozof Iwan Switak nadał swemu przemówieniu tytuł *Kafka filozof*. Dwa jego fragmenty wprowadzają dobrze w założenia autora. „Estetyka stalinizmu wykleła Kafkę by móc zachować i uprawomocnić swoją zdeformowaną wizję świata, ale materializm dialektyczny godny tej nazwy winien uchwycić wielkość filozoficzną jego fantastycznych wizji, winien zrozumieć całą

prawdę wiersza Hölderlina: Człowiek jest bogiem gdy śni, żebra-kiem gdy rozmyśla". I drugi: „W niedalekiej przeszłości głupcy wciągnęli Kafkę na indeks; dziś grozi niebezpieczeństwo, że zostanie on równie głupio zaakceptowany jako zwykły dokument minionej epoki. Kafka nie jest dokumentem przeszłości; jego dzieło stanowi tragiczne świadectwo sytuacji człowieka w naszej epoce. W swoich najgłębszych aspektach odzwierciedla ono na gruncie filozoficzno-literackim podstawy antropologiczne istnienia. Kafka jest poetą przyszłości. Dopóki człowiek pozostanie, przynajmniej częściowo, tajemnicą dla samego siebie, istotą otwartą, projektem żywym i wolnym (a pozostanie nim, jeśli nie zechce przekształcić się w automat), ten jego wysiłek odcyfrowania własnej zagadki w obliczu śmierci nie przestanie przyciągać uwagi tych, którzy szukają określenia walorów świata ludzkiego w danym momencie historii współczesnej”.

Nie powinien nas zrażać, w dalszym ciągu przemówienia, mało precyzyjny i trochę ezoteryczny język. Switak, mimo że nadmiernie zapatrzonej w możliwość wyswatania podstarzałego „materializmu dialektycznego” z młodziutką „antropologią filozoficzną”, podjął na zamku w Liblicach jedyną śmiałą i konsekwentną próbę wypłatania Kafki z matni zewężających (choć nie zawsze chybionych, przeciwnie — często trafnych w ramach swoistego „profetyzmu” kawkowskiego) interpretacji realistycznych i racjonalistycznych. Twórczość Kafki jest dla niego „poematem filozoficznym”. Odbywa się w niej spotkanie człowieka z zagadką swojej egzystencji, upada w niej przekonanie o wyłącznie rozumowych fundamentach sensu świata i życia ludzkiego. Będąc poezją, jest ona również — jak każda poezja — tajemnicą, po części co najmniej niezrozumiałą i nieprzeniknioną, pobudzającą do wciąż nowych „odczytań” i „wykładni”. Jak każda poezja, jest owocem przemieszania rzeczywistości z sekretem, trwa w ustawicznym zawieszeniu między zjawiskiem i istotą rzeczy, między abstrakcją i konkretem, między bytem i śmiercią; jest wizją sensu życia lecz także jego absurdu, świadectwem ludzkim i zarazem mitem. Człowiek, uwięziony między światem i zagadką, przebywa u Kafki w sytuacjach granicznych (śmierci, bólu, walki, grzechu, lęku) bliskich zdawałoby się transcendencji, a przecież naznaczonych nieuleczalnym paraliżem. Jego egzystencja jest sama w sobie antynomią, implikuje stale ryzyko zagubienia się bądź w iluzorycznej podmiotowości Ja bądź w równie iluzorycznej przedmiotowości świata. Stąd system pośredniczących znaków i szyfrów we wszystkich niemal utworach Kafki: bez nich nie byłby w stanie oddać tego ukrytego napięcia i drżenia, w jakim stoimy przed czymś co jest poza lub ponad nami, co potrafimy może niejasno przeczuć, ale czego nigdy nie zdołamy w pełni ogarnąć rozumem, ani tym bardziej skodyfikować. „Kafka przeciwstawia człowieka zsekularyzowanemu bogu, bogu który w naszej epoce zachował jedynie anonimowość tajemnicy. Człowiek znajduje się w obliczu sekretu i pragnie go odcyfrować. Literatura staje się w ten sposób szyfrem transcendencji, próbą

wyjaśnienia chaosu znaczeń świata, formą komunikacji między istniejącym i transcendentnym, między człowiekiem i bogiem. Szyfr jest mostem przerzuconym ku tajemnicy, symbolem nieznanego, językiem transcendencji niewyrażalnej inaczej i przemawiającej do nas wyłącznie kodem. Jedynym dla Kafki środkiem przedstawienia zagadki rzeczywistości, jej szyfru, jest odtworzyć ją za pomocą znaków symbolicznych. Nie wybiera on więc arbitralnie swoich kodów symbolicznych, ani jego język nie jest mechanizmem ucieczki od rzeczywistości, lecz dokładnie naodwrot. Szyfr Kafki eksponuje transcendencję, jest narzędziem tajemnicy, wprowadza człowieka w zagadkę procesów społecznych i psychologicznych. Ilustruje on zdarzenia w ich tajemniczym zawiązaniu, pozwala nam uchwycić świat w jego totalności i człowieka w tej zagadkowej totalności świata. Jest to język nieskończony, język wszystkiego, ślad tego co trwa poza nami”.

Filozof marksistowski, rewindykujący „irracjonalną stronę egzystencji ludzkiej” kosztem „płaskiego racjonalizmu Oświecenia”, jest zjawiskiem nowym i dość niezwykłym. W jakiejś mierze Switak zdaje się grawitować w swoich wywodach ku „Kafce religijnemu” Broda, naturalnie jeśli przez religijność rozumie się coś więcej niż przynależność do określonej religii. (Kafka w rozmowie z Gustawem Januchem: „Bóg jest uchwytty tylko osobście. Każdy ma swoje życie i swego Boga, swego obrócić i sędziego. Kapłani i obrzędy są szczudłami osłabionego doświadczenia duchowego”). Ale tylko w jakiejś mierze. Główny jego wysiłek zmierza — prawdopodobnie pod wpływem Lévi-Straussa — do uwolnienia marksizmu od wiary w historię jako „uprzywilejowany sposób poznania” i „jedyny autentyczny wymiar człowieka”. Na miejsce „żelaznych praw historycznych” przychodzi Kafka ze swoim: „Nasze prawa nie są powszechnie znane; niezmierznie to bolesna rzecz być rządzonym przez prawa których się nie zna”. Że po takiej operacji zostaje z tradycyjnego marksizmu bardzo niewiele, jest kwestią obchodzącą marksistów tradycyjnych. Switak odczytał po prostu z maksymalną wnikliwością „poemat filozoficzny” Kafki, nie cofając się przed wyeksplorowaniem wszystkich perspektyw jakie w nim dojrzał. Łącznie z tą, która prowadzi do odkrycia „zsekularyzowanej” transcendencji.



O marksistowską interpretację Kafki: tak brzmi tytuł wypowiedzi Aleksieja Kusaka. „Uważam Kafkę za największego, najbardziej monumentalnego realistę dwudziestego wieku, jestem zdania że lepiej niż wielu tak zwanych realistów uchwycił on cechy charakterystyczne i sytuacje naszego stulecia, odhumanizując w nich stosunki społeczne, aspekty infernalne, dehumanizację, a równocześnie tendencje przeciwne: protest, krzyk buntu, ból naładowany gniewem”. Po tej deklaracji wstępnej następuje kilka mniej ciekawych wycieczek polemicznych, między innymi przeciw Lukacswi. W konkluzji pojawia się zapowiedziana

propozycja „marksistowskiej interpretacji Kafki”, której nie można nie zacytować.

„Kafka jest największym poetą alienacji człowieka w nowoczesnym społeczeństwie przemysłowym, i w tym tkwi sekret jego aktualności i jego uniwersalności. Trzeba jednak zadać sobie trud wyjaśnienia go i zrozumienia do głębi. Nie wystarcza ogólnikowy filozoficzny klucz interpretacyjny, bo na takim gruncie poczuja się swojsko również wulgaryzatorzy Kafki. Trzeba przeniknąć do dna każdy po kolei temat jego twórczości, zbadać dokładnie występujące w niej postacie i sytuacje. Jako marksistom nie wolno nam poprzestać na zanalizowaniu wpływu, jaki miała nań rzeczywistość; musimy też rozważyć pomoc, jaką może on nam dać w rozwiązaniu zagadki rzeczywistości. Jednym słowem, należy obnażyć poetykę kafkowską; i jeśli potrafimy ją odczytać w kategoriach marksistowskich, nie ma powodu byśmy nie poszli w ślad za nią w naszym życiu. W swojej sztuce Kafka zogniskował jak w soczewce uczucie absurdu istnienia, wyraził to zjawisko które nazywamy utratą czy zanikiem rzeczywistości. W naszym życiu dzieje się coś osobliwego, coś czego nie umiemy zdefiniować inaczej niż odwołując się do przymiotnika „kafkowski” i mówiąc o wymiarze kafkowskim. Jak gdyby za naszymi plecami rzeczy sprzysięgły się przeciwko nam. Nie z winy naszej nieporadności; nie żeby rzeczy wymykały nam się z rąk, bo mamy niezręczne palce; przeciwnie, to nasza sprawność i nasza doskonała organizacja wpędziły nas w tę absurdalną sytuację. Jest błędem tłumaczyć aktualność Kafki zasadą długowieczności wielkich dzieł sztuki, gdyż traci się w ten sposób z oczu jego specyficzne znaczenie dla naszych czasów. Fakt że jest on również poetą naszych absurdów, że sytuacje kafkowskie są symbolem sytuacji dobrze znanych także w krajach socjalistycznych w okresie kultu jednostki, dowodzi jak genialnym wyczuciem typowości operował jego kunszt artystyczny. W swoich parabolach Kafka pokazał jak pewien stopień matowej nieprzenikalności w stosunkach społecznych i absolutyzacja władzy mogą dzień w dzień rodzić sytuacje absurdalne, w których oskarża się niewinnych o zbrodnie niepopołnione, w których konieczność zastępuje prawdę, w których kłamstwo zasiada na tronie najwyższego prawa rządzącego społeczeństwem”.



U Kusaka występuje słowo „alienacja”, którego Switak świadomie zapewne unikał. Było to słowo najczęściej używane podczas procesu na zamku w Liblicach. Odmieniano je we wszystkich przypadkach, przerzucano się nim jak zaklęciem magicznym zdolnym odpędzić albo co najmniej ubłagać groźne widmo. Należy mu się zatem prymat także w komentarzu omawiającym powrót Kafki do Pragi.

Pisząc o książce Schaffa *Marksizm a jednostka ludzka*, Zbigniew Jordan zwrócił uwagę że słowo „alienacja” jest terminem

wyjątkowo wieloznacznym, nie ostrym, metaforycznym. Marks uświadamiał sobie przypuszczalnie śliskość zapożyczonego pierwotnie od Hegla pojęcia alienacji metafizycznej czy uniwersalnej, skoro porzucił je w końcu na rzecz skromniejszej ale „wy-mierniejszej” alienacji socjologicznej. Coś odwrotnego obserwujemy u dzisiejszych marksistów mniej lub więcej nonkonformistycznych. Jordan powiada: „Schaff oznacza terminem alienacja tak wielką liczbę tak różnorodnych zjawisk, iż pozbawia ten termin określonego sensu. Gdy jakieś słowo oznacza wszystko, wówczas nic ono nie znaczy. Na domiar złego alienacja zachowuje u Schaffa swój pierwotny metafizyczny sens i wymiar, obcy socjologicznemu pojęciu alienacji u Marksa”. Analogicznie, jeśli nie identycznie, poczyną sobie z alienacją większość uczestników praskiego sympozjonu. U Kusaka, jak widzieliśmy, mowa jest wręcz o „rzeczach które sprzysięgły się przeciw nam za naszymi plecami”, a nawet oczekuje się od „poetyki kafkowskiej” że „odczytana w kategoriach marksistowskich” stanie się dla błądzących i przejętych trwogą czymś w rodzaju gwiazdy przewodniej, światła w alienacyjnych ciemnościach. Skąd się to bierze? Jak to się dzieje, że do współczesnych marksistów w Warszawie i w Pradze przemawia bardziej młodzieńca alienacja metafizyczna Marksa, a drogowskazów szukają na kartach *Procesu i Zamku*?

By odpowiedzieć na te pytania bodaj w przybliżeniu, trzeba Kafce zadać pewien gwałt i sprowadzić go do elementów najprostszych. O alienacji widzialnej (nazwijmy ją dla uproszczenia „aktualną”) wspomina on dwukrotnie, w rozmowach z Januchem: gdy za plecami maszerujących w pochodzie robotników dostrzega już „nowoczesnych sułtanów” panowania nad proletariatem; oraz gdy skarży się że „jesteśmy popychani, potrącani, przewracani”, że „przytłacza nas historia”, że „człowiek wyrzeka się uczestnictwa w świecie i odpowiedzialności za świat”. Ale i tutaj widać przelotny tylko refleks właściwego tematu jego twórczości, którym jest samotność człowieka w obliczu wrogich, obcych i *nieznanych mu* sił, czyli alienacja metafizyczna i uniwersalna. Cokolwiek by się sądziło o procederze ujawniania przez biografę nienapisanych przez autora epilogów, jedno jest pewne: pierwszy Józef K. nie miał zająrzeć nigdy w twarz władcy Zamku, drugi Józef K. nie miał dotrzeć nigdy przed oblicze Sądu Najwyższego. U Kafki więc przestrzeń dzieląca człowieka od ukrytych i „alienujących” go mocy jest nieskończona, niemożliwa do przebycia.

W miarę jak pogłębia się i zaciemnia dystans między mieszkańcami krajów „socjalistycznych” a państwem czy władzą, w miarę jak „konieczność wypiera prawdę” a kłamstwo obrasta w atrybuty prawa nadrzędnego, następuje podświadome „umetafizycznienie” alienacji totalnej i strukturalnej, dokonuje się podświadomy transfer samotności opisanej w dramatach teologicznych Kafki na życie społeczne. Każdy niemal przybysz z Europy wschodniej, zapytany o sprawę niezwiązaną bezpośrednio z jego

życiem codziennym, odpowiada z reguły: nikt nic nie wie. Właśnie ta powszechna tajemnica, ta atmosfera zaszyfrowanego państwa i jego instytucji, tłumaczy skłonność warszawskich czy praskich marksistów to do uniwersalizowania i swoistego demonizowania alienacji społecznej, to do urągania „rzeczom które knują nieustannie za ludzkimi plecami” czy „doskonałym organizacjom które wpędzają człowieka w absurdałne sytuacje”. Bez wątplenia, coś z tego istnieje i na Zachodzie (Silone słusznie mówi o współczesnej „demokracji szyfrowanej”), ale nie w takim nasileniu. Dlatego Kafka „aktualny” czytany jest na Zachodzie często z niepokojem, a na Wschodzie prawie zawsze z przerażeniem.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Komunikaty

Canberra, 17 listopada 1966 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Półtora roku temu opublikował Pan wiadomość o planie utworzenia księgozbioru polskiego w bibliotece Australijskiego Uniwersytetu Narodowego w Canberra. Jako inicjator tej akcji poczuwam się do obowiązku poinformowania Czytelników o tym co do tej chwili zostało zrobione.

1. Wyniki zbiórki funduszków i książek przesły wszelkie oczekiwania. Na ręce tut. Komitetu Millenium wpłynęło łącznie \$A 1.320. Większą część tej kwoty zebrano wśród Polaków w Canberra i pobliskim Quenbeyan; reszta pochodzi z darów nadesłanych przez polskie organizacje, redakcje pism oraz jednostki w innych skupiskach Polonii australijskiej. Równocześnie zaczęły napływać dary w postaci książek i periodyków. Znaczną ilość cennych książek nadesłały: Biblioteka Jagiellońska, Biblioteka Uniwersytetu Warszawskiego, Biblioteka Polska w Londynie, Biblioteka Polska w Paryżu, Polski Instytut Historyczny w Rzymie, Polski Instytut Naukowy w Ameryce oraz Polski Instytut Literacki w Paryżu.

Instytucje naukowe i pojedyncze osoby w Kraju i we wszystkich skupiskach Polonii pośpieszyły z darami. Szczególnie cenne dary książkowe otrzymaliśmy od p. Tadeusza Biernakiewicza z Anglii i p. Lecha Paszkowskiego z Australii. Fundusze zebrane przez Komitet zostały w całości poświęcone na zakup dodatkowych książek w antykwiariatach i, księgarniach. W ten sposób zgromadziliśmy po dziś dzień ponad trzy tysiące tomów.

2. Dnia 8 listopada księgozbiór pod nazwą *Polish Collection* wręczony został Rektorowi Australijskiego Uniwersytetu Narodowego w czasie uroczystości połączonej z wystawą Millenium Polski. Przyjmując nasz dar rektor, Sir Leonard Huxley, oświadczył, że księgozbiór polski umożliwi uruchomienie

lektoratu studiów o Polsce (*Lectureship in Polish Studies*) na Narodowym Uniwersytecie. Historia Polski, literatura, geografia, etnografia Ziem polskich jak również wkład Polaków do filozofii, nauk społecznych — to główne działy księgozbioru. Stanowi więc on podstawę do rozpoczęcia pracy dydaktycznej i badawczej na pierwszej w Australii wyższej uczelni.

3. Utworzenie księgozbioru polskiego to dopiero początek studium o Polsce w Canberra. Nadal potrzebne są książki, które uzupełnią to, co zgromadziliśmy do tej pory. Ponawiam więc za Pańskim pośrednictwem prośbę o dalsze dary, które należy kierować do *Polish Collection, Menzies Library, The Australian National University, Canberra, Australia*. Dyrekcja biblioteki chętnie zwróci opłaty pocztowe. Szczególnie potrzebne nam są dzieła obrazujące rozwój myśli politycznej i gospodarczej w Polsce od połowy XIX wieku, literatura Młodej Polski, okresu międzywojennego oraz Polski Ludowej, historia polityczna i gospodarcza. W razie wątpliwości co do potrzeb — proszę pisać (można po polsku) na adres, jak wyżej.

Łączę wyrazy poważania,

Jerzy ZUBRZYCKI

Department of Sociology,
Institute of Advanced Studies,
The Australian National University,
Canberra.



Stockholm, listopad 1966.

Po raz pierwszy Polak został profesorem skandynawskiego uniwersytetu. Wybitny polski językoznawca, dr Józef Trypućko, 29 października 1966 został uroczystie promowany profesorem języków słowiańskich Uniwersytetu w Uppsali, najstarszej wszechnicy Szwecji.

W końcu ub. stulecia Stanisław Roźniecki, syn powstańca 1863 r. mianowany był profesorem slawistyki na Uniwersytecie w Kopenhadzie. Ale Roźniecki był już urodzony w Danii, był on też od początku obywatelem duńskim a kontakty jego z Polską były bardzo luźne.

Nominacja dra Trypućki na profesora języków słowiańskich została podpisana przez Króla już 21 stycznia 1966 r. Ale uroczysta instalacja miała dopiero miejsce 29 października. Gdy sprawa zgłaszania kandydatów na profesora slawistyki w Uppsali stała się aktualna, sekcja językoznawcza wydziału humanistycznego postawiła jednomyślnie wniosek o powołanie dra Trypućki na katedrę, co jest specjalnym wyróżnieniem, rzadko zdarzającym się w szwedzkim systemie uniwersyteckim. Wyróżnienie takie Trypućko zdobył dzięki swej wyjątkowo bogatej twórczości naukowej i pracowitości. Należy on do czołowych specjalistów w zakresie historii języka polskiego, a poza krajem zajmuje w tej dziedzinie stanowisko zupełnie wyjątkowe.

Józef Trypućko urodził się na Wileńszczyźnie w r. 1910. Ukończył Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie w r. 1934 z tytułem magistra filozofii i polskiej filologii. W latach 1936-1939 był lektorem na polskim Uniwersytecie w Helsinkach, w 1939 r. lektorem Uniwersytetu w Sztokholmie a począwszy od r. 1940 był najpierw lektorem a potem docentem języków słowiańskich na Uniwersytecie w Uppsali. W r. 1947 promowany został doktorem filozofii Uniwersytetu w Uppsali.

nadesłał Norbert ŻABA

KONKURS NA UTWÓR POETYCKI O N. MARYI PANNIE

Instytut Polski Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii rozpisuje

Konkurs na utwór poetycki o Najśw. Maryi Pannie.

Inicjator Konkursu przeznaczył na nagrody kwotę £ 100.

W a r u n k i :

1. Do udziału w konkursie Instytut zaprasza poetów polskich zamieszkałych w Kraju i na obczyźnie.

2. Dotychczas nie publikowane utwory, przepisane na maszynie należy nadsyłać *do dnia 31 marca 1967 r.* pod adresem Instytutu: 8, Alma Terrace, Allen Street, London, W.8. — England. Do utworu podpisanego godłem należy dołączyć zalepioną kopertę, opatrzoną tym samym godłem i zawierającą kartkę z nazwiskiem i adresem autora.

3. Przewiduje się dwie nagrody w wysokości £ 60 i £ 40. W razie nieprzyznania żadnej nagrody jury zastrzega sobie — w porozumieniu z fundatorem — wyróżnienie wybranych utworów.

4. Wynik konkursu będzie ogłoszony w maju 1967 roku.

Stanisław Jerzy Lec (1909-1966)

Chciałem powiedzieć światu tylko jedno słowo. Ponieważ nie potrafiłem tego, stałem się pisarzem.

Pierwszym warunkiem nieśmiertelności jest śmierć.

Irzykowski w jednym ze swych aforyzmów zauważył, że „Aforyzm świeci i kłamie krótkością”, a F. H. Bradley powiedział, że „Aforyzm jest prawdziwy, gdy utwierdza wrażenie rzeczywistego doświadczenia”. Obaj mają rację. Czym aforyzm jest błyskotliwszy, czym bardziej zaskakuje niespodziewanym skojarzeniem, tym mniej zawiera prawdy. Najczęściej prawda da się najlepiej wyrazić bezpośrednio. Dlatego stale aktualne są maksymy La Rochefoucauld, który rzadko ulegał pokusie uwydatniania swych myśli poprzez metafory i porównania. Zazwyczaj mówi wprost: „Wszyscy mamy dość sił, by przetrwać nieszczęścia innych”, „Jeśli udaje się nam oprzeć namietnościom, dzieje się to raczej dzięki ich słabości, niż naszej wytrwałości”, „W wypadku większości ludzi bezpieczniej jest im szkodzić niż okazywać zbyt wiele dobroci”. A kiedy autor odwołuje się do porównań, widać, że mają one funkcję czysto utylitarną, podkreślając w nieoczekiwany sposób myśl, którą można wyrazić bez retorycznej dekoracji: „Ani słońcu ani śmierci nie potrafimy się przyglądać nie mrużąc oczu”, „Nieobecność przygasza poślednie namietności i potęguje wielkie: podobnie wiatr gasi świece, a roznieca ogień”.

La Rochefoucauld będąc przede wszystkim moralistą operuje porównaniem, Lec, będąc także poetą najczęściej posługuje się metaforą:

- (1) Pluskwy mieszczą się nawet w ramach obrazu świata.
- (2) Niejednemu zeru wydaje się, że jest elipsą, po której świat się kręci.

- (3) Wielu próbowało stworzyć kamień filozoficzny przez petryfikację myśli.
- (4) Na żadnym zegarze nie znajdziesz wskazówek do życia.
- (5) Pion z poziomem mają z sobą krzyż.
- (6) Nie wysyłajcie daltonistów po niebieskie migdały. Mogą wrócić z niczym.

Żadnej z tych myśli nie napisałby La Rochefoucauld: sens ich jest nierozdzielnie złączony z obrazem, poprzez który zostały wyrażone. Ich kompozycja jest pokrewna metaforze poetyckiej. Jest to oczywiste w wypadku myśli, które się autorowi nie udały. Chybiony aforyzm moralisty poznajemy po jego banalności, nieudane myśli Leca są te, w których oryginalne skojarzenia słów, powiedzień i obrazów nie znajdują rzeczowego odniesienia. Taką niesprawdzalność widzimy w myślach (4) - (6).

(4) powstaje w wyniku skojarzenia zegar-wskazówka, ale kto i w jakim sensie szuka wskazówek (porad) na tarczy zegara? Może Lec chciał po prostu powiedzieć: nie szukajcie nauk życiowych w nieodpowiednich miejscach. Jeżeli tak, to obraz z zegarem i domniemaną aluzją do uciekającego czasu, jest nie tylko zbyt czyny, ale zupełnie mylący.

(5) przedstawia efektowny obraz i sugestię leżącą głębiej prawdy: krzyż nie jest dla nas tylko czystą formą, podobnie pion i poziom mają przenośny sens moralny. Ale gdy te trzy pojęcia zestawimy tak, jak to czyni Lec, jakież znaczenie uda nam się z takiej konfrontacji wyciągnąć? Interpretację utrudnia jeszcze bardziej fakt, że podczas gdy pion ma w języku moralnym sens wyłącznie dodatni, z poziomem bywa różnie: mówimy „wysoki poziom”, mówimy też „niski poziom”.

W (6) zestawienie daltonistów i niebieskich migdałów wydaje nam się świeże i dowcipne. Ale coż poza tym „obrazkiem” znaleźć tu możemy, jaki morał? Że od ludzi, którzy nie dostrzegają pewnych zjawisk (mniej o to, czy zasługują tym na pochwałę, czy nie — Lec i tak nam tego nie mówi) nie należy wymagać, by znajdowali rzeczy urojone? Daltonista jest tu więc może realistą, który nie daje się uwieść mitom i legendom. Ale czy ta interpretacja jest pewna, czy nasuwa się z nieodpartą siłą? Zagadka nie wynika tu bynajmniej z faktu, że sam obraz jest nieco złożony. Niemniej złożone metaforycznie są takie myśli Leca:

Przywarli do siebie tak blisko, że nie było już miejsca na żadne uczucia.

Wiem skąd legenda o bogactwie żydowskim: Żydzi płacą za wszystko.

Ciało ludzkie nie może jednocześnie pomieścić w sobie alkoholu i antysemity: wystarczy by weszło w nie niewiele spirytusu, a już wyłazi antysemita.

Przyjmujemy je dlatego, że chwila namysłu upewnia nas, że mają pokrycie w rzeczywistości. Co więcej, jakaś dwuznaczność czy wieloznaczność w tych sformułowaniach nie pomniejsza ich

trafności. Podobnie dobra metafora poetycka budzi echa i skojarzenia, których nie sposób w pełni skodyfikować w artykule analitycznym. W *Myślach* warstwy znaczeń i skojarzeń stanowią o ich bogactwie i inwencji, pod warunkiem, że sobie na wzajem nie przeczą.

Tu też kryje się dziwny paradoks twórczości Leca. Wydawałoby się, że wyobraźnia, która potrafi konstruować takie błyskawiczne skróty jak:

*Gdybyż jeszcze kozła ofiarnego można było doić!
Na każdym szczycie jest się nad otchłanią.
Z szeregu zer łatwo stworzyć łańcuchy.
Błoto stwarza czasem pozory głębi.*

okaże się niezastąpionym narzędziem twórczości poetyckiej. Tym bardziej, że choć metafora w poezji także podlega prawom rzeczowej sprawdzalności, są to jednak prawa mniej ścisłe (*licentia poetica...*) niż te, którym muszą się podporządkować myśli... nawet nieuczesane: wiersz o daltonistach i niebieskich migdałach mógłby się udać. Ale właśnie ta zdolność do zaskakujących skojarzeń, która w *Myślach* często z taką precyzją obrazuje jakąś prawdę, w poematach redukuje się do mechanicznie kojarzonych ogólników. Łańcuchy kojarzeń stają się celem samym w sobie, otrzymujemy utwory wewnętrznie rozchwiane. Oto typowy przykład:

*Był czas potopu też
Arka Niezgody
płynęła pełna
dzikiego zwierza
Noe z rodziną
wyrzucony w morze
poszedł do pieca
co dymił nad Potopem.
Kilku z nas dopłynęło
do góry Ararat.
Bezprawnie!
Gdzie karta pływacka?
Tęcza nas nie objęła.*

Najlepsze wiersze Leca są te, które najbardziej zbliżają się do aforyzmów i fraszek:

*Patrzył na wszystko
przez palce.
W pewnej chwili
zaciśnął pięść.*
— — — — —
*A ci, co go ścigali,
chwalą się później
nie bez powodu:
stąpaliśmy jego
śladowami!*

Decydującym sprawdzianem jest pytanie: czy dany aforyzm powstał w wyniku zaangażowania moralnego, w wyniku pasji mocno utwierdzonego przekonania, czy też jest niedomyślanym do końca kalamburem, pustym skojarzeniem werbalnym. Wiemy jak czuł i co czuł Samuel Johnson odrzucając niewczesną pomoc Lorda Chesterfielda: „JW Panie, czyż mecenas nie jest podobny temu kto przygląda się obojętnie człowiekowi, który walczy o życie w wodzie, a gdy ten wreszcie dopłynie do lądu, obarcza go pomocą?” Natychmiast orientujemy się w stanowisku Norwida, wyrażonym w liście do Marii Trembickiej: „...lepiej jedno stracić życie pod rozłamanym drzewem, które się kiedyś zaszczepiło — niżeli błędzić po pustyni i na fata morgana jako na sady swoje patrzeć”.

Istotne osiągnięcie Leca znajdziemy więc w tych myślach, które nie opierają się na kruchym werbalizmie i które nie są wyrazem dość nieporadnego „filozofowania” w rodzaju:

Kto wyciąga losy ludzkie? Cóż za gigantyczna myszka czy papuga kosmiczna! Kto stoi przy katarynce? Jedynie melodie znamy.

Są oczywiście tematy, które pobudzały pasję Leca, do których obsesyjnie powracał. W nich występuje naraz poeta, moralista i kronikarz naszych czasów. On sam najlepiej zdefiniował zakres swego pola działania, pisząc „Każdy wiek ma swoje średniowiecze”. W tym naszym średniowieczu „jak pchły skaczą myśli z człowieka na człowieka, ale nie wszystkich gryzą”. Lec domaga się „ośmiogodzinnego dnia myślenia” i konstatuje, że „niektórym ludziom należałoby wytoczyć proces myślenia”, gdyż „głupota nie zwalnia od myślenia”.

Jesteśmy jednak jeszcze w sferze ogólników. W innych myślach Lec precyzuje nasze średniowiecze. Podobnie jak historyczne Średniowiecze, jest ono zbudowane na skostniałej ideologii:

*Gdy mit zderzy się z mitem, jest to bardzo realne zderzenie.
Któż pytał tezy i antytezy czy chcą zostać syntezą?
Gdy mit zmienia się w rzeczywistość, czyje to zwycięstwo?
Materialistów czy idealistów?*

Są to, wbrew pozorom, zjawiska złowrogie, gdyż „w walce idei giną ludzie”. Może w innych czasach uwaga że „konstytucja państwa powinna być taka, żeby nie naruszała konstytucji obywatela” i przestroga, że „wszystko należy poświęcić człowiekowi, tylko nie innych ludzi” uznane byłyby za banalne. Ale w „średniowieczu”, które Lec przeżył, te najpospolitsze prawdy przestały obowiązywać: „były czasy gdy niewolników trzeba było legalnie kupować”, dziś „analfabeci muszą dyktować”. Stąd nuta przerażenia, makabry i groteski w wielu aforyzmach:

*Nie opowiadajcie swoich snów. A może przyjdą do władzy
freudyści!*
*Nie wiem, kto jest praworządny. Już sam znak paragrafu
wygląda jak narzędzie tortury.*
Straszne są słabostki siły.
*Wymiar niesprawiedliwości jest zawsze we właściwych
rękach.*
*Wzięli go za kogoś innego, ale oddali lojalnie jego własnego
trupa.*

Będąc świadkiem rządów totalitarnych i wszelkiego rodzaju nadużyć władzy, Lec, rozczarowany rewolucjonista i idealista, przestrzega: „gdy krzykną 'Niech żyje postęp!' pytaj zawsze postęp czego?” i „nie każda salwa zwiastuje rewolucję”.

Nie dziw więc, że jednym z tych groteskowo-makabrycznych obrazów, który stale przewija się przez myśli Leca, jest szubienica („Niejeden, co pchał się na świecznik, zawisł na latarni”, „Skazaniec nigdy nie dorasta do szubienicy”...). Ale jednak najczęściej powraca i jest przedmiotem największej inwencji obraz-symbol pomnika. Lec, który znał z doświadczenia różne „minione okresy” był najwidoczniej zafascynowany rytuałem, jakim jest stawianie i burzenie pomników. „Figury” są przecież „z kamienia”, ale wbrew oczekiwaniom, jak kruche, nietrwałe jest ich istnienie! „Pomnik może być doskonałym zegarem słonecznym. Nawet później, gdy go nie ma wie się co za godzina wybiła”. Lec radzi jednak: „burząc pomniki, oszczędzajcie cokoły. Zawsze mogą się przydać”. Fortuna kołem się toczy, nigdy nie wiadomo czyj pomnik padnie strzaskany i kto zajmie miejsce na pustym cokole: „dziwny jest człowiek: czasem, mordując się jako skazaniec w kamieniołomach, upatruje już sobie jakiś blok z granitu na własny pomnik”.



Jeżeli odległa jest nerwowa, błyskotliwa, powierzchowna nie-raz, inteligencja Leca od, na przykład, racjonalnej, systematycznej umysłowości La Rochefoucauld, z drugiej strony zdradza ona duże zbieżności z aforystyką Lichtenberga (1742-1799). Lec odczuł kolejno na własnej skórze działalność dwóch totalizmów, Lichtenberg komentował ekscesy władzy świeckiej i duchowej i podobnie jak Wolter, kładł nadzieje w liberalizmie angielskim. Pisał:

Skoro nie udało im się nasadzić mu głowy katolickiej, ucięli mu przynajmniej głowę protestancką.

Istnieje typ transcendentalnego bruchomówstwa, który nakłania ludzi, by wierzyli, że słowa wyrzeczone na ziemi pochodzą z nieba.

Można żyć z przepowiedni, ale nie z mówienia prawdy.

Król zarządził pod karą śmierci, że kamień jest diamentem.

Podobnie jak Lec był też rozczarowanym idealistą, zrozumiał, że „nie każda salwa zwiastuje rewolucję”: „Rewolucja francuska jest dziełem filozofów, ale co za skok od *cogito ergo sum* do okrzyku 'Do Bastylii!' rozbrzmiewającym w pałacu królewskim”. Wiedział też, że „święci z kamienia są bardziej wpływowi od świętych z krwi i kości”.

Może najbardziej przypominają Leca nadzwyczaj skoncentrowane, brawurowe myśli, oparte nieraz na zmetaforyzowanym języku. Podobnie jak w *Myślach nieuczesanych*, znajdujemy tu drwinę, szyderstwo, nieraz makabrę i groteskę wypływające z kalamburów, jeżeli nie słownych, to wzrokowych:

Malują zera nad głowami świętych.

Przemiana w byka, to jeszcze nie samobójstwo.

Lepsza byłaby sekta, która nie pluje od sekty, która nie jada fasoli.

Sekcja zwłok nie wykrywa jakie bóle ustają w chwili śmierci.

Lec przekładał fraszki Goethego, Grillparzera i in. Ciekawe, czy znał aforyzmy Lichtenberga, których technika i treść często są zaskakująco podobne do jego dojrzałej, bardzo indywidualnej twórczości w okresie powojennym.

Adam CZERNIAWSKI

“Poeci polskiego Baroku”

Wydana w roku 1965 antologia poezji polskiego Baroku jest kontynuacją przedsięwzięcia wydawniczego rozpoczętego publikacją w roku 1959 antologii poezji Renesansu. Obecna antologia jest czterokrotnie obszerniejsza od poprzedniej. Poeci Baroku byli liczni i płodni, ale wielu z nich spoczywało dotąd w rękopisach i dawno wyczerpanych wydaniach. Obecna antologia jest więc nie tylko świadectwem ich płodności, ale też wyrazem generalnej rewaluacji sądów o Baroku.

Zapewne pietyzm, z jakim dzisiaj traktowana jest poezja Baroku zadziwiłby na przykład Ignacego Chrzanowskiego, który nie ukrywał bynajmniej pogardy dla tej zmanieryzowanej twórczości, która nastąpiła po „prostej i naturalnej” poezji Jana Kochanowskiego. Ale nie trzeba nawet sięgać wstecz 60 lat. Jeszcze w przedmowie do *Poetów Renesansu* Jadwiga Sokołowska, która razem z Kazimierą Żukowską, zredagowała również antologię Baroku, cytuje słowa Jana Parandowskiego z roku 1930, uważając

je za „do dziś aktualne”. „Romantyzm — powiedział wówczas Parandowski — nowa i oszałamiająca poezja, która objęła całą aktualność uczuciową Polski, odcięła nadchodzące pokolenia od starej literatury”.

W Anglii i Francji, na przykład, poezja romantyków dawno już znalazła swoje właściwe miejsce, ale w polskiej literaturze i tradycji kulturalnej Romantyzm jest nadal i na długo chyba pozostanie prądem zasadniczym mimo różnych prób, moim zdaniem zresztą bardzo pożądanym, podważenia tego prymatu. Dlaczego? Dlatego, że nie mamy takich poetów jak Dante, Szekspir, Racine, Milton, Donne, Marvell czy Pope, by przeciwstawić ich dominującym postaciom naszego Romantyzmu. Obecna antologia, mimo że są w niej przecież utwory Naborowskiego, Morsztynów i Opalińskich, tej ogólnej panoramy polskiej poezji nie zmienia w jakiś radykalny sposób.

Ale dzięki zafascynowaniu literaturą romantyczną powszechna jest wciąż niesprawiedliwa tendencja przypisywania wszelkich osiągnięć poetyckich romantykom i odmawiania jakiegokolwiek uznania poezji na przykład Baroku.

Wspomniany już Chrzanowski grzmi: „poeci (Baroku) coraz mniej rozumieli tę prawdę, że najwyższe nawet piękno nie unika, tylko przeciwnie, szuka prostoty i naturalności. Najwspanialszym dowodem tej prawdy jest poezja Mickiewicza...”. Założywszy na chwilę, że poezja rzeczywiście zawsze winna dążyć do naturalności, weźmy wiersz „Wiosna” Andrzeja Morsztyna, w którym czytamy:

*Już się jaskółka, już i bocian wraca,
Już się przybliża bytłu nowa praca,
Już kwiatki trawy przeżyły zielone...
Tyś sama, panno, lata niepamiętna...
U ciebie twardy mróz serce muruje.
Czemu nas zdradzasz, mając lata gońce,
W świeżych jagodach wiosnę, w oczach słońce?*

Czy można twierdzić, że obrazowanie tego wiersza jest bardziej sztuczne niż w tych, barokowych chciałoby się powiedzieć, zwrotkach pana Adama:

*Słońce błyszczy na wschodzie w chmur ognistych wianku,
A na zachodzie księżyc lice mroczy,
Róża za słońcem pączki rozwinione toczy,
Fiołek kłęczy zgjęty pod kroplami ranku.*

Czy kłęzący fiołek jest pojęciem mniej absurdalnym od wielu wymyślnych metafor barokowych, które tak raziły Chrzanowskiego? Oczywiście Mickiewicz porzucił z czasem kunsztowny styl liryków miłosnych i „Sonetów Krymskich” na rzecz surowej prostoty wierszy lozańskich, ale twórczość Mickiewicza musiała przecież mieć gdzieś swoje korzenie: znajdujemy je właśnie w sie-

lankowej liryce Oświecenia, która wywodziła się bezpośrednio z konwencji poetyki Baroku.

A konwencje Baroku nie są znów tak różne od praktyki rasyowych twórców Renesansu, których w imię prostoty wyróżnia Chrzanowski. Właśnie Daniel Naborowski przekładał sonety Petrarke, gdyż widać podziwiał nie ich prostotę, ale raczej ich finezyjną retorykę, drogą wrażliwości poetów Baroku:

*Pokoju mieć nie mogę, wojska nie szykuję,
Bojaźń, otuchę, ogień, lód widzę u siebie
I czołgam się po ziemi, i latam po niebie:
Cały świat zagarnąwszy, nic nie obejmuję.*

Tegoż Petrarke tłumaczył przecież i wzorował na nim swą wczesną lirykę właśnie Mickiewicz.

A jeżeli słusznie wytyka się poetom Baroku ich czężą nieraz wirtuozerię, przypomnijmy, że oni sami zdawali sobie z tego sprawę. W poemacie satyrycznym „Poeta nowy” Łukasz Opaliński potępia utwory zbudowane na żonglerce słownej:

*Nie to poeta, co zliczył sylaby
I na to tylko pilno patrzy, aby
Jako pod cyrkuł wszystkie równe były...*

Opaliński zaznacza, że erudycja poecie nie jest potrzebna, ale że musi on jednak mieć coś do powiedzenia: „Próżno, jeśli słów siła, a wątku / Mało i jeżeli rzecz nie ma rozsądku”. Opaliński domaga się „Aby ile słów, tyle było rzeczy”, prawie tak samo jak Norwid, gdy przeszło dwieście lat później karmił sentymentalne gadulstwo romantyków!

Historia wciąż się powtarza. Każda rewolucja w sztuce rodzi się pod hasłem prostoty i powrotu do natury. Istnieje przeświadczenie, że prostota i bezpośredniość są zawsze lepsze od kunsztowności i bogactwa. Dlatego właśnie wszelkie prądy w sztuce, które posługują się przepychem formy i wybujałością wyobraźni, wciąż ulegają fluktuacjom uznania, podczas gdy tak zwana prostota klasyczna trwa niewzruszenie ponad dysputami krytyków. Klasyk, to przecież artysta, którego dzieło wytrzymało próbę czasu. Dlatego też, jak Sokołowska i Żukowska podkreślają we wstępie antologii, sztuka Baroku, to znaczy nie tylko literatura, ale także architektura i malarstwo w Polsce i w innych krajach, bywa częstym przedmiotem zasadniczych sporów estetycznych.

Zastanawiające jednak jest to powszechne upodobanie prostoty i naturalności w sztuce. Sztuka przecież z konieczności jest przeciwstawieniem do natury. Ale skoro wedle wciąż wałkowanego hasła starożytnych, sztuka jest imitacją, artysta winien odtwarzać, to co widzi i czuje i winien robić to w sposób naturalny. Jednakże sztuka wymaga przecież opanowania rzemiosła. Pomysł wiersza przychodzi może w momencie natchnienia, ale nad tym surowym materiałem trzeba później cierpliwie pracować. Zresztą,

dla skomplikowania zagadnienia, warto zauważyć, że i poetom Baroku pojęcie spontaniczności i natchnienia nie było obce. Opaliński twierdził, że dobremu poecie „Samo przychodzi snadnie i tak miło, / że się zda, jakby to się urodziło”.

Mimo przeświadczenia o spontaniczności pracy twórczej, nie można zaprzeczyć, wbrew Opalińskiemu i wielu innym, że naturalność w sztuce jest efektem, który się uzyskuje z wielkim trudem. A jeżeli dany utwór nie ukrywa swej „sztuczności”, nie ma w tym przecież nic złego. Sztuka wymaga wysiłku, więc dlaczego mamy akurat wyróżniać dzieła które łudzą nas spontanicznością? Ci, którzy każą nam takie utwory podziwiać, sami mimo woli przyznają, że istnieje przepaść między naturą a sztuką. Więc po co udawać i upierać się, że zadaniem artysty jest odtwarzać otaczający nas świat? Jaki jest sens dublować to co i tak znamy? Od tego jest wyobraźnia artysty, by nam pokazywała światy, których normalnie nie widzimy. O tyle, o ile poeci Baroku to zadanie spełniają, o tyle są dobrymi poetami.

Adam CZERNIAWSKI

Czerwień beskidzkiej jesieni

Co roku powtarza się w Beskidach czas jesieni. Ale nie każda jesień stroi się tu w złoto, srebro i purpurę jednakowo. W tym roku Beskidy okryły się jednak barwami wszechczerwieni tak hojnie, że daremnie szukam porównania. Nie znajduję żadnego. Każde tłumiloby jedynie blask waszej wyobraźni. Właśnie wczoraj powróciłem do domu, z dłuższej wędrówki po czeskich i słowackich „wyrchach”. Niczym się one nie różnią od naszych, polskich „gróni”. Nawet ludzie, którzy je zamieszkują mówią tym samym dialektem lub — jak kto woli — gwarą: cieszyńską. Mnóstwo w tej gwarze szlachetnych kamieni, pereł kochanowszczyzny i rejdowszczyzny. Tkwią niby kruszec w rodzimej, skromnej śląskiej glebie lecz jakoś nie rażą. Skumały się z góralską swojszczyzną i jest im tu dobrze. Spłóviały te starodawne słowa w literackim języku, zatracając swe pierwotne lśnienie lecz tu, na beskidzkiej wysoczyźnie, niby w skarbcu, zachowały surowe cechy pierwotności. Bo w Beskidach jakoś nikt i nic nie chce się starzeć.

Wędruję z Mostów koło Jabłonkowa w stronę Girowej czyli „góry bohaterów”. Towarzyszem moim jest wielki znawca folkloru beskidzkiego, „najroztomilejszy” człowiek za Olzą, ceniony tu poeta, autor kilku tomików poezji — Henryk Jasiczek. Niestety w Polsce wie się o nim bardzo mało, choć mieszka tuż za graniczną miedzą, w Czechosłowacji na tak zwanym Zaozlziu.

Człowiek ten przedziwnie wyczuł piękno Beskidów i wyczarował je w swoich wierszach. Do niego to należy ten dziwny dwuwiersz z tomiku poetyckiego pt. „Pochwała życia”:

*„Hej, w Beskidach — prawda to, czy niedorzeczność;
Wieki płyną jak chwile — a chwila trwa wieczność!”*

Ale może przy innej sposobności opowiem więcej o Jasiczku, bo ciepłe jeszcze listopadowe słońce nastraja raczej do rozmyślań. Gwarzymy sobie tak z serca do serca i jest nam naprawdę dobrze. Chcielibyśmy, aby świat był tak pełen złocien, jak tu właśnie. Płomienia się i wichrzą dęby krwawo-purpurowe. Podążają za nimi graby — dostojne i zadumane. Złoto ich jesiennych liści jest jednak inne. Jakby owiane chłodem, pomieszczone z gasnącą zielenią, ledwie tli w słonecznym blasku. Tuż koło nich ustały się jawory. Zdrowe, mocne, mienia się rudą złotością o platynowych odcieniach. Towarzyszą im buki. Całe kolumny buków. Maszerują w równym pochodzie okryte miedzią i surową brunatnością. Drepczą im po piętach wiotkie osiki, jasnowłose markietanki, oblane rumieńcami wszechbarw-żółtości, brązu i czerwieni. Pierwsze wpadają w brzozową dolinę, gdzie czerstwa jeszcze zieleni zastygła w wiosennym rozmarzeniu, gdzie białą malowane pnie wyrastają z ciemno zielonego tła świerków i jodeł. Pod stopami szepczą szelestami borówczane liście, poplamione rudością i karminem. Wydaje się, że zazielenia się na nowo.

Idziemy wśród ognia barw i szlachetnych złocien. Kładzie się ten obraz gdzieś na dno serca w słonecznej ciszy dogasającego zachodu. A tu jeszcze płomienia się omdlałym cynobrem kasztany, zasadzone przed pół wiekiem wokół góralskiej chatyny. Białe ramy kalenicy wyłamują się z harmonii czerwienno-żółtych rozkolorowań, przekreślają nastrój jesienny, odrywając myśl od odwiecznych prawd natury.

Było późne, ciepłe popołudnie, gdy wraz z nami schodziły z gór pierwsze cienie przedwieczera. Raczej wyczuć je można z chłodnych powiewów, niż wyznaczyć na ziemi. Nagle w polu, wśród zagonów, wyrosły dwa cyprysy. Pochyliły się nad pomnikiem, który tu na skraju głuszy, razi dysonansem swej kamiennej struktury. Gładko wyciosany głaz ustrojono złotymi literami. Jeszcze w naszych oczach nie wygasły ognie płonących drzew, a tu takie dziwne, nieokiełzane uczucie. Pomnik zwrócony twarzą ku Polsce, ku Stożkowi, Czartorii, ku Baraniej Górze kojarzy nieoczekiwanie myśl z rodakami na obczyźnie. Wystawili go wszak Polacy z odległej Ameryki. Napis na pomniku głosi: Józef i Maria Lipowscy w Ameryce nie mogą zapomnieć ukochanej Ojczyzny. Rok 1938.

Już po napisaniu moich jesiennych refleksji z wędrowki po Beskidach wpadła mi w ręce, nie, otrzymałem ją przecie od autora, książka, powiedziałbym dokument*. Jest w niej dużo

* Paweł Łysek, *Przy granicy*. Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”, Londyn 1966.

słońca ale i dużo zadumy a przede wszystkim jest w niej prawda beskidzkiej góralszczyzny. Jest coś czego nie można wymierzyć słowem, ale co trzeba ogarnąć sercem całym, tak stęsknionym do rodzinnych stron, jak to, które bije w piersi autora. Wyszedł w świat ze skromnej rodziny góralskiej, która po dziś dzień zachowała starodawny obyczaj, manifestujący się nie tylko w świątecznych misteriach, ale w tym co najbardziej ludzkie; co jest wyrazem ludzkiej dobroci. Nieskażona jeszcze pełnią cywilizacyjnego dorobku zachowała ona to, co w człowieku najpiękniejszego: miłość do drugiego człowieka.

Autor, Paweł Łysek wyśpiewał więc w swojej książce wszystko, co jest treścią beskidzkiej góralszczyzny. Dziw, że barwią się w niej jeszcze, niby kwiaty, zerwane z „gróńniowych” łąk, starodawne, często już przeszłe w zapomnienie, melodie dawnych lat. Urok książki tkwi więc w jej autentyzmie, w rzetelności spojrzenia, w którym czai się serdeczność i szczerść. I cóż: trzeba zadumać się nad tą surową pięknoscią słowa. Zadumać i może westchnąć, zapytując samego siebie: Są jeszcze ludzie na świecie, którzy potrafią tak blisko żyć z górami i jej mieszkańcami, zaprzeczając myśli, że ginie folklor? Po przeczytaniu książki Pawła Łyska rodzą się wątplenia czy rzeczywiście piękno beskidzkiej góralszczyzny stapia się z codziennością, czy znika i usycha jeśli są jeszcze ludzie, nawet za dalekim oceanem, którzy mimo oddalenia pozostali częścią beskidzkiego, pięknego krajobrazu?...

Władysław OSZELDA
(Cieszyn)

Tołstoj a Polska

Skomplikowany problem stosunku Tołstoja do spraw polskich nie od dziś zajmuje badaczy. Najwybitniejszy rusycysta polski okresu między dwiema wojnami, Wacław Lednicki, poświęcił mu ongiś rozprawę „Tołstoj a Polska” w *Przeglądzie Współczesnym* (czerwiec-lipiec 1929) oraz książkę „*Quelques aspects du nationalisme et du christianisme chez Tolstoï*” (Kraków, 1935). Do zagadnienia tego powrócił ostatnio prof. Lednicki w angielskiej pracy „*Tolstoy between War and Peace*” (Mouton, London, The Hague, Paris, 1965).

W roku bieżącym adiunkt Uniwersytetu Warszawskiego, rusycysta Bazyli Białokozowicz, wydał pracę pt. „*Lwa Tołstoja związki z Polską**”. Jest ona częściowo poświęcona polemice z

* Bazyli Białokozowicz: *Lwa Tołstoja związki z Polską*, Warszawa, 1966, Książka i Wiedza, s. 397 + 3 nlb.

prof. Lednickim i stara się złagodzić niektóre jego sądy, zdaniem autora, zbyt jednostronne. Oczywiście nie jest moim zamiarem przychodzić w wątpliwy sukurs rusycyście z Berkeley; natomiast pragnąłbym zwrócić uwagę na niezaprzeczone zalety omawianej książki.

Jedną z nich jest przede wszystkim imponująca dokumentacja. Białokozowicz wyzyskał 90-tomowe wydanie dzieł Tołstoja (1928-1958) obejmujące 450 utworów, 13 tomów Dziennika oraz 31 tomów korespondencji; w zbiorach muzeum Lwa Tołstoja w Moskwie i w Jasnej Polanie zapoznał się z 60 tysiącami kart bibliograficznych i 20 tysiącami listów; wreszcie zbadał odnośne archiwa Moskwy, Leningradu i Wilna. Mamy więc do czynienia z podstawą dokumentacyjną niesłychanie rozszerzającą całość kształt naszej wiedzy o genialnym pisarzu. Można by oczywiście zastanawiać się czy pomnożenie dokumentów wpływa decydująco na wytworzenie ostatecznego obrazu; wiadomo, że przypuszczenia oparte na częściowej analizie danych (np. w odniesieniu do wyborów) pozwalają bez większych omyłek przewidywać definitywne rezultaty. W nauce obowiązuje jednak troska o możliwie kompletne zbadanie materiału.

Część pierwsza: „W atmosferze różnorodnych wrażeń. Kształtowanie się poglądów Tołstoja na sprawy polskie” analizuje jego dzieciństwo w kręgu „obsesyjnej nienawiści do ruchu narodowo-wyzwoleńczego” (s. 15), przelotny kontakt z Polakami na uniwersytecie w Kazaniu (50 studentów w r. 1839-40; nazwiska trzech z nich znajdują się później w dziełach Tołstoja) oraz lata kaukaskie. O ile bezpośrednio po powstaniu listopadowym około 10 tysięcy Polaków zostało wcielonych za karę do armii kaukaskiej, zdaniem Białokozowicza, za czasów Tołstoja Polaków reprezentowali tam jedynie nieliczni oficerowie. Według pisarza kasta ta składała się z „1) najemników 2) grabieżców 3) amoralnych łepaków”. Przytoczony fakt pozwala złagodzić sąd Lednickiego, że w „Opowiadaniach Sewastopolskich” przejawiało się ówczesne uprzedzenie pisarza do Polaków. Chciał on, twierdzi rusycysta warszawski, jedynie napiętnować butą i lizusostwo oficerów Polaków, z którymi się spotkał. Nie trzeba niemniej przypominać, że równocześnie szereg niezwykle ideowych oficerów (np. Sierakowski, Padlewski, Traugott) zdobywał w armii rosyjskiej swą wiedzę wojskową. Źle usposobiony do swych kolegów, z którymi stykał się wyłącznie grając w karty lub przy hulanekach, Tołstoj nie poznał tego typu wojskowych.

Wizyta u Lelewela w Brukseli wiosną 1861 r., w czasie drugiego pobytu Tołstoja za granicą, stanowi prawdopodobnie punkt zwrotny w antypolskich poglądach pisarza. Portret historyka znajdował się w Jasnej Polanie wśród podobizn postaci najdroższych Tołstojowi. Być może istniały także kontakty pisarza z Polakami w Tule; nie obejmowały one jednak wybitniejszych jednostek. W „Wojnie i pokoju” odbija się przede wszystkim niechętny stosunek pisarza do Napoleona. Wierni mu Polacy cierpią w ten sposób za emocjonalne, bezkrytyczne oddanie cesarzowi.

Z drugiej strony potępienie bezmyślnej, brawurowej odwagi, widoczne np. w opisie przeprawy polskich ułanów przez Wilię, pozostaje w zgodzie z poglądami Tołstoja.

Końcowy wniosek tej części pracy brzmi: „Tołstoj nigdy nie był wojującym nacjonalistą” (s. 73). Można się z nim zgodzić z jednym zastrzeżeniem: zarówno w „Opowiadaniach Sewastopolskich” jak i w „Wojnie i pokoju” trudno znaleźć jakąkolwiek pozytywną ocenę Polaków. Pisarz zdawał sobie z tego sprawę; stwierdził m.in.: „W dzieciństwie rozwijano we mnie nienawiść do Polaków” (s. 15). Pod koniec życia wypowie się zdecydowanie: „W młodości nie lubiłem Polaków. Za to teraz mam dla nich bardzo dużo sympatii. Widocznie są to wyrzuty sumienia za dawne uprzedzenia” (s. 272).

Część druga: „Sprawy polskie w aspekcie etyczno-religijnego systemu Tołstoja. Przewyciężenie własnych założeń teoretycznych w utworach literackich” przedstawia ewolucję poglądów pisarza. W związku z zamachem Hryniewickiego i jego towarzyszy na Aleksandra II, Tołstoj zwraca się do Aleksandra III z prośbą o darowanie życia obwinionym. Postawa taka jest rezultatem ostrej krytyki państwa i instytucji; pisarz uważa odtąd rozbiory Polski za zbrodnię caratu. W „Zmartwychwstaniu” Polacy stają się zdecydowanie ofiarami terroru carskiego. W powieści „Hadzi-Murat” Tołstoj surowo osądza prześladowanie unitów. Koroną propolskiego nastawienia mędrca z Jasnej Polany jest znane opowiadanie „Za co?”.

Białokozowicz, potwierdzając dowodami dawniejsze, trafne przypuszczenie Lednickiego, rozszerza znacznie stan wiadomości o genezie tego utworu. Mianowicie Tołstoj, zapoznawszy się z opowieścią o niezwyklej próbie ucieczki uczestnika powstania listopadowego, Migurskiego, wywiezionego przez żonę w trumnie z głębi Rosji, zwrócił się do znanego językoznawcy Baudoin de Courtenay z prośbą o polskie książki dotyczące powstania. Studiowanie tych dzieł zajęło pisarzowi sporo czasu; cztery, kolejne redakcje utworu świadczą o trosce, by głęboko wczuć się w psychologię żony Migurskiego i osób działających. Zasluguje na uwagę fakt, że pomimo nieznajomości zasadniczego dzieła-klucza, „Pamiętników” Migurskiego, wydanych we Lwowie w 1863 r., Tołstoj bądź to dzięki niecodziennej intuicji bądź to dzięki przeprowadzonym badaniom nadzwyczaj trafnie zarysował swe postacie; analiza ich postępowania dowodzi niezwykłego mistrzostwa w dziedzinie psychologii. Ta nowela, będąca szczytowym osiągnięciem Tołstoja w dziele ekspiacji dawnych poglądów, stawia go w szeregu autentycznych, rzadkich „przyjaciół-Moskali”.

Część trzecia: „Korespondencja Tołstoja z Polakami” przynosi bardzo wiele nowego materiału. Na podstawie znajomości około 8.500 listów (lub ich kopii), z których połowa była do niedawna nieznana, Białokozowicz omawia stosunkowo obfitą korespondencję Polaków. Obejmuje ona w przybliżeniu 1.000 listów i przedstawia wartość głównie dla socjologa. Są tam równocześnie pisma wielbicieli i przeciwników ideologii Tołstoja, są również nie-

uniknione prośby o pomoc pieniężną. Większość grupuje się około trzech zagadnień: 1) żywe przyjęcie „Zmartwychwstania” na ziemiach polskich wywołało pierwszą falę zachwytów i dyskusji, 2) korespondencja z prof. Marianem Zdziechowskim i związany z nią problem stosunków polsko-rosyjskich spowodowały żywą reakcję przeciw Tołstojowi ze strony jego rodaków, 3) od tego momentu wzrasta niebywale autorytet pisarza u polskich czytelników i dochodzi do szczytu w jubileuszowym roku 1908; wizyty w Jasnej Polanie stanowią widoczny przejaw popularności. Grono znanych pisarzy i uczonych uświetnia owe masy korespondentów-Polaków; poza Zdziechowskim, wyróżnia się świetny językoznawca Baudoin de Courtenay.

Białokozowicz zbadał także czwarty aspekt związany z dziełem pisarza. Mianowicie ostatnia część jego pracy nosi tytuł „Kultura polska w percepcji Tołstoja”. Mickiewicz, Sienkiewicz (ceni w nim przede wszystkim autora „Bez dogmatu” i „Rodziny Połanieckich”), Konopnicka, Orzeszkowa, Prus, Reymont, Żeromski, Stanisław Witkiewicz, Sieroszewski — oto nazwiska, które pojawiają w rozmowach i w dzienniku pisarza. Zasługuje również na uwagę kateryoryczne potępienie Przybyszewskiego. Oczywiście znajomość literatury polskiej była u Tołstoja niepełna i przypadkowa. Natomiast jeden artysta zdobył jego całkowite uznanie; był nim Chopin, uwielbiany za prostotę i wyrazistość pozbawioną trywialności. Pisarz posunął swój zachwyt aż do paradoksalnego wyrażenia: „Polaków można lubić choćby tylko za to, że mieli Chopina” (s. 278).

Powyższe pobieżne streszczenie zasadniczych stwierdzeń Białokozowicza pozwala skonstatować, że, niezależnie od pewnych zastrzeżeń i usterek, otrzymaliśmy pracę bogatą w materiały i cenną. Mimo niewątpliwych tendencji, by mnożyć przykłady przyjaźni polsko-rosyjskiej i łagodzić sens wypowiedzi nieprzychylnych, należy uważać książkę Białokozowicza za udaną próbę spojrzenia na całokształt zagadnienia: Tołstoj wobec Polski.

Rozporządzający olbrzymim materiałem dokumentacyjnym, młody uczony (jest to jego praca doktorska) nie zawsze potrafił oprzeć się pokusie poparcia swych wywodów drugorzędnymi szczegółami. Surowsza selekcja informacji, choćby za cenę umieszczenia ich w przypisach, położenie silniejszego nacisku na fakty większej wagi uwypukliłyby lepiej myśl przewodnią książki.

Drugie zastrzeżenie dotyczy stylu. „Skazany” na rozczytywanie się w pracach rusycystów sowieckich i krajowych, Białokozowicz, zapewne bezwiednie, ulega czasem wpływom środowiska i jego języka. Jest on często mieszaniną „naukowo” brzmiących wyrazów międzynarodowych (percepcja, recepcja, problematyka i tp.) oraz obowiązującego „żargonu” czerpiącego wzory z publicystyki sowieckiej. W niektórych fragmentach książki (część III i IV) razi nadużywanie strony biernej, coraz częstsze we współczesnej polszczyźnie krajowej. Z myślą o dalszych wydaniach niezwykle pożytecznej książki sygnalizuję tę usterkę.

Wreszcie trudno zgodzić się z określeniem: „Petrażycki, praw-

nik rosyjski pochodzenia polskiego" (s. 262). Ów świetny specjalista z zakresu filozofii prawa był profesorem uniwersytetu rosyjskiego, podobnie jak Tadeusz Zieliński, Jan Łoś czy Jan Baudouin de Courtenay i wielu innych, zanim niepodległość Polski pozwoliła mu wykładać w kraju. Szczególne warunki naszego życia umysłowego w czasie zaborów lecz także i w chwili obecnej sprawiły, że liczba uczonych polskich na katedrach za granicą była i jest imponująca. Olbrzymia większość z nich nie zerwała nigdy więzów uczuciowych z ojczyzną — najważniejszych, jeśli idzie o poczucie przynależności narodowej.

Zygmunt MARKIEWICZ

Dwie cywilizacje

Prasa i książki coraz częściej podejmują tematy związane z rosnącym w znaczenie polityczne i ekonomiczne kontynentem Ameryki Iberyjskiej. Szczególnie pilnie obserwuje ten rozwój Ameryka Północna, głównie Stany Zjednoczone, które położenie geograficzne skazuje na sąsiadowanie z tak odrębnym pod wieloma względami konglomeratem państw.

Jedną z najnowszych książek poświęconych kwestiom obu Ameryk napisał profesor Western Michigan University, Edmund S. Urbanowski. Skończywszy gimnazjum w Polsce, studiował on następnie w Szwecji, Meksyku i Stanach Zjednoczonych doktoryzując się z historii i literatury iberoamerykańskiej. Spędziwszy bez mała dziesięć lat w krajach Ameryki Łacińskiej, zna je z autopsji i poświęcił im szereg publikacji publicystyczno-literackich i archeologicznych.

Dociekania naukowe na temat sąsiadujących z sobą cywilizacji reasumuje poniekąd obecna książka, której ukazanie się zbiegło się z dwudziesto-pięcioleciem działalności naukowo-wykładowczej na uniwersytetach amerykańskich. Autor widzi swój zamysł ogarnięcia całości, opracowania poglądu na cały kontynent w miejsce wąskich prac specjalistycznych, jako potrzebę chwili. W swej próbie komparatystycznej uwzględnia nie tylko powszechnie stosowane kryteria polityczno-historyczne ale poświęca także uwagę aspektom antropologiczno-socjalnym i psychologicznym. Interesują go praktyczne implikacje. Jak pogodzić pragmatyczną i liberalną mentalność angloamerykańską z dogmatycznością i emocjonalnością Iberoameryki? Klucza chce szukać w konfrontacji zarówno podobieństw, jak różnic, aby po ich weryfikacji szukać drogi dla poprawy stosunków międzyamerykańskich z obopólnym poszanowaniem i uczciwością.

Tematyczna rozpiętość rozdziałów biegnie od „Pojęć cywilizacji i kultury”, po „Rzeczywistość hispanoamerykańską w poezji dokumentalnej”, przez studia różnic w kolonizacji, składu etnicznego poszczególnych państw,

Angloamérica e Hispanoamérica. Analisis de dos civilizaciones. E. S. Urbanski. Ediciones Studium. Madrid, 1965.

ich ustroju, rozwoju ekonomicznego, religijnych i społecznych tradycji. Z jednej strony mamy techniczną prężność, z drugiej, statyczny kraj rolniczy. Jak wydobyć go z zacofania, aby wyżywił ludność o najwyższym przyroście naturalnym na świecie, która do roku 2000 ma się potroić? Na domiar zła, Ameryka Południowa nie otrzymuje skutecznych bodźców w postaci licznych fal emigrantów, którzy w Stanach Zjednoczonych czy Kanadzie ciągle wzbogacają życie gospodarcze i intelektualne. Gruntowne reformy rolne każą wciąż czekać na siebie, a przykład Meksyku czy Boliwii pokazuje, że wobec reakcyjnej mentalności latyfundystów tylko radykalizm niesie nadzieję na rewolucję społeczno-ekonomiczną.

Polityka panamerykańska lansowana przez Stany Zjednoczone zmierza do uregulowania stosunków i sprowadzenia szumnych deklaracji do praktyki dnia codziennego. Czy nazywała się polityką dobrego sąsiada czy sojuszem dla postępu, bywa ona podejrzewana o cele w gruncie rzeczy ekonomiczne. Stawszy się po zrzuceniu hegemonii hiszpańskiej przez Iberoamerykę natchnieniem i wzorem, Stany Zjednoczone, przez niefortunne posunięcia polityczne i gospodarcze są obecnie uosobieniem wrogiego imperializmu. W rzeczy samej chodzi im nade wszystko o zabezpieczenie własnego dobrobytu a droga do tego wiedzie poprzez polepszenie bytu swych południowych sąsiadów. Niemniej, coraz liczniejsze więzy osobiste i zawodowe zaczynają łączyć obie Ameryki usiłując zatrzeć pamięć o rywalizacji, o popieraniu wygodnych dyktatorów czy złej dystrybucji pomocy gospodarczej. Brak stabilizacji wewnętrznej, który dawniej nie tylko utrudniał postęp, ale także stosunki z zagranicą, w dużej mierze należy już do przeszłości i nowy ład powinien ułatwić współżycie obu kontynentów. Domagają się tego trzeźwo myślący politycy i intelektualiści. Wybitny historyk Américo Castro słowami „Jakkolwiek forma sprawiedliwej i ludzkiej zgody jest pożyteczniejsza od ignorancji i wzajemnej pogardy”, zdaje się wyrażać realistyczną postawę, na której można budować przyszłość.

Należy się cieszyć, że w dyskusji nad problemem tak poważnym nie zabrakło głosu polskiego uczonego. Rozsiane po czasopismach studia zebrane teraz w jednym tomie i wydane po hiszpańsku winny w jakimś, choćby najskromniejszym, stopniu przyczynić się do wzajemnego poznania się i szanowania odmiennych narodów i cywilizacji.

Z kronikarskiego obowiązku odnotuję także pionierską pracę profesora Urbańskiego na uniwersytecie w Meksyku, gdzie zorganizował pierwszy lektorat języka i kultury polskiej. Z owego okresu pochodzą jego obszerniejsze prace poświęcone Słowianom i literaturze polskiej.

Florian ŚMIEJA

Nadesłane nowości wydawnicze

NARBUT-ŁUCZYŃSKI (A. J.). *U kresu wędrówki. Wspomnienia*. Str. 466 i 7 szkiców. (Wyd. Gryf Publications, Ltd., Londyn, 1966).

SOSNKOWSKI (Kazimierz). *Materiały historyczne*. Zebrali i przypisami opatrzył Józef Matecki. Str. 688. Indeks. Nakładem Instytutu

- Józefa Piłsudskiego, Nowy Jork-Londyn (Wyd. Gryf Publications, Ltd., Londyn, 1966).
- Teki Historyczne*. Tom XIII. Str. 265. Nakładem Polskiego T-wa Historycznego na Obczyźnie. (Londyn, 1964/1965, cena 25 sh.).
- WIERZYŃSKI (Kazimierz). *Moja prywatna Ameryka*. Str. 244 i 4 nlb. Na obwołucie rysunek Wierzyńskiego — Zdzisław Czernański; Układ graficzny książki i projekt obwołuty — Tadeusz Filipowicz; Rysunki w tekście — Marian Kościakowski (Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1966, cena 30 sh.).
- BRZEKOWSKI (Jan). *Wyprawa do miasteczka*. Opowiadania. Str. 111 i 1 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1966).
- JENNE (Beniamin Józef). *Próba oceny krytycznej Camusa*. Str. 48. (Wyd. Oficyny Poetów i Malarzy, Londyn, 1966).
- BRAUN (Jerzy). *Tysiąclecie chrześcijaństwa w Polsce*. Str. 63 i 1 nlb. (Wyd. Odnova, Londyn, 1966).
- POPIEL (Karol). *Na mogiłach przajaciół*. Str. 189 i 1 nlb. (Wyd. Odnova, Londyn, 1966).
- POLAK (Wojciech). *Tysiąc lat Polski Chrześcijańskiej*. Str. 64 (Wyd. Hosianum, Rzym, 1966, cena 1 dolar).
- W obronie prawdy historycznej*. Głosy i opinie o książce „Lewa wolna”. Str. 82 i 2 nlb. (Nakł. Stow. Polskich Kombatantów, Londyn, 1966).
- 966—1966. *Millennium Poloniae Christianae*. (Wyd. The Polish Committee in Scotland for the Commemoration of Poland's Millennium of Christianity, Scotia, November 1966).
- BORWICZ (Michel). *L'Insurrection du Ghetto de Varsovie*. Str. 256. (Wyd. Julliard, dans la collection „Archives”, Paryż, 1966, cena F. 6,00).
- Übersetzungen aus der Deutschen Sprache*. (Tłumaczenia z języka niemieckiego) Seria bibliograficzna, wydawca Richard Mönnig, Inter Nationes E. V. Bonn. Tłumaczenia polskie 1948-1965. Str. 50. (Wyd. Göttingen — Vandenhoeck & Ruprecht, 1966).
- WYRWA (Tadeusz). *Gestion Administrative de la propriété socialisée en Pologne Populaire*. Str. 391-404. (Odbitka z „Rechtsgeleerd Magazijn Themis, Nr 4, 1966, Zwolle, Holandia).
- WYRWA (Tadeusz). *Pologne. — Loi du 12 novembre 1965 sur le droit international privé*. Str. 323-328. (Nadbitka z „Revue critique de droit international privé”. Nr 2, Paris, 1966).
- GUMPERT (Jobst). *Polen-Deutschland. Bestandsaufnahme einer tausendjährigen Nachbarschaft*. Str. 180. Mapy. (Wyd. Verlag Georg D. W. Callwey, Monachium, 1966, cena DM. 12,80).
- LEWYTZYKJ (Borys). *Erziehungs- und Bildungstendenzen in der UdSSR*. Str. 15. (Odbitka wykładu wygłoszonego w czasie Akademickiego Tygodnia w Bad Wildungen, w kwietniu 1965. Wyd. Verlag dr Max Gehlen, Bad Homburg, Berlin, Zürich, 1966).
- University of Cracow. Documents Concerning its Origins. With an Introduction by Leon KOCZY. Str. 95 i 3 nlb. z ilustracjami w tekście. (Wyd. 966-1966 Millennium Poloniae Christianae, Scotia, 1966).
- CZAPŁENKO (Wasył). *Adihejski mowy — klucz do tajemnic naszego substratu*. Str. 56. (New York, 1966).
- WOROSZYLSKI Wiktor: *I Ti biesz postati indijanac*. Str. 196. Przekł. na sersko-chorwacki Petar Vujicica. „Młado Pokolenie”.
- CZUGUJEW Władimir: *Arion*. Str. 31. (London 1965, nakładem autora).

DATA	POLITYKA
16 listopad 1966	Przemawiając na Zjeździe Bułgarskiej Partii Komunistycznej w Sofii Breżniew poparł projekt Żiwkova międzynarodowej konferencji komunistycznej. PZPR reprezentował na Zjeździe Strzelecki.
17 listopad 1966	Węgry zwróciły się o przyznanie im statusu obserwatora w GATT — Ogólnym Porozumieniu Taryfowo-Handlowym w Genewie. Polska jest członkiem stowarzyszonym GATT.
18 listopad 1966	Okolo 2000 studentów demonstrowało na ulicach Monachium przeciw neo-nazizmowi. Doszło do bójek ulicznych ze zwolennikami NPD. Do studentów przemawiał znany pisarz Guenther Grass.
19 listopad 1966	
20 listopad 1966	Kraje Bloku Sowieckiego uzgodniły wspólną politykę wobec NRF. Warunkiem nawiązania stosunków dyplomatycznych ma być uznanie granicy na Odrze i Nysie, uznanie NRD i wyrzeczenie się broni nuklearnych — pisał <i>Le Monde</i> i <i>Die Welt</i> .
21 listopad 1966	Wojska amerykańskie w Wietnamie zostaną w przyszłym roku wzmocnione o 100 tys. żołnierzy — donosi z Sajgonu <i>New York Times</i> .
22 listopad 1966	Generalissimus Franco ogłasza program zmian w kierunku demokratyzacji kraju. 5 Jugosłowian, którzy wraz z Mihajlo Mihajlowem planowali założenie pisma opozycyjnego w Jugosławii, zostało aresztowanych.
23 listopad 1966	De Gaulle wezwał 5 krajów Wspólnego Rynku do odłożenia decyzji w sprawie przyjęcia Austrii do EWG. Uważane to jest za gest w stronę Sowietów, które sprzeciwiają się przystąpieniu Austrii do Wspólnego Rynku.

KULTURA I NAUKA

Prof. H. Jabłoński zostaje ministrem nowoutworzonego resortu Oświaty i Szkolnictwa Wyższego.

Ogólnopolski Zjazd młodych pisarzy w Lublinie. Uchwalono przez aklamację rezolucję przeciw cenzurze.

Wielka wystawa wszystkich dzieł Picasa w Grand & Petit Palais w Paryżu.

Październikowy numer włoskiego czasopisma *Filmeritica* poświęcony jest filmowi polskiemu.

W młodzieńczym i pełnym nadziei ruchu filmowym w Europie Środkowej i Wschodniej Czesi zajmują miejsca Polaków — pisze *The Guardian* w recenzji z Festiwalu.

Grupa uczonych ukraińskich pod kierownictwem prof. Kubijowicza pracuje w Monachium nad opracowaniem 4 tomu Encyklopedii Ukrainoznawstwa.

Polski zespół Big Beat „Biało-Błękitni” zdobył 1-szą nagrodę na międzynarodowym konkursie zespołów muzyki „mocnego uderzenia” w Paryżu.

Praskie *Literarni Noviny* zamieściły obszerny artykuł o „polskim październiku” gdy do głosu doszli „ekonomiści, socjologowie i filozofowie”.

RÓŻNE

W Londynie rozpoczyna działalność Trybunał „badania zbrodni amerykańskich w Wietnamie”. W skład wchodzi m.in. Sartre, Dedijer, P. Weiss i I. Deutscher.

Obywatel amerykański urodzony w Czechosłowacji, Kazan, został aresztowany w Pradze, gdy samolot, którym leciał z Moskwy lądował tam niespodziewanie.

Papież Paweł VI skrytykował zakon Jezuitów za skłanianie się ku świeckości i brak posłuszeństwa.

W Czechosłowacji odzywają się głosy by za przykładem Sowietów i Polski oprzeć produkcję samochodów na licencjach zachodnich, rezygnując z własnych modeli.

Kardynał Wyszyński ogłasza w Białymstoku zakończenie uroczystości Milenijnych. Dochodzą wiadomości o sporze między Kardynałem a biskupem Klepaczem z Łodzi.

Modele sukni sowieckich uznane zostały w Sztokholmie i Oslo za najmodniejsze i najelegantsze. Spodziewane są duże zamówienia.

W półtorej godziny po ucieczce z więzienia londyńskiego szpieg sowiecki, Blake, opuścił samolotem W. Brytanię i znajduje się prawdopodobnie w Berlinie Wschodnim.

Z inicjatywy C. King'a w Londynie odbyło się spotkanie redaktorów naczelnych gazet z Anglii, Holandii, Czechosłowacji i Polski. Udział wzięli m.in. Koroński, Rakowski i Kasman.

Wieczór poświęcony pamięci gen. Bora-Komorowskiego w ratuszu dzielnicy Kensington w Londynie. Przemawiał b. szef SOE, gen. Sir Colin Gubbins.

DATA	POLITYKA
24 listopad 1966	Do Rzymu przybył stały przedstawiciel Jugosławii przy Watykanie prof. V. Cvrlje. Z Rosji nadchodzą wiadomości o stałym powiększaniu działek przyzagrodowych. Robi to wrażenie likwidacji kołchozów. W zakresie mleka, drobiu i jajek ich produkcja przewyższa produkcję kołchozów.
25 listopad 1966	Na zjeździe Ruchu Pokoju czechosłowackich księży katolickich, z udziałem ponad tysiąca delegatów, główny mówca Plojhar zaatakował kardynała Wyszyńskiego i „tych biskupów polskich, którzy prowokują konflikty między Kościołem a Państwem”.
26 listopad 1966	9 Zjazd węgierskiej partii komunistycznej. Po 4-tygodniowym kryzysie rządowym w NRF Chrześcijańscy Demokraci i Socjaliści utworzyli koalicję rządową z Kiesingerem jako kanclerzem na czele.
27 listopad 1966	Sowiecka <i>Prawda</i> wystąpiła z najostrzejszym od przeszło dwóch lat atakiem na Mao Tse-tunga, oskarżając go o arogancję i szowinizm. Z Rosji nadchodzą wiadomości o największej od czasów wojny koncentracji wojskowej na granicy chińskiej.
28 listopad 1966	Naczelný dowódca wojsk amerykańskich w Południowym Wietnamie gen. Westmoreland wypowiedział się za obsadzeniem przez wojska amerykańskie linii komunikacyjnych w Laosie, by zatrzymać zaopatrzenie płynące z Północnego Wietnamu na południe.
29 listopad 1966	Samoloty izraelskie zestrzeliły nad terytorium Izraela dwa odrzutowce egipskie typu MIG. Zgromadzenie Ogólne ONZ wypowiedziało się 57 głosami przeciw 46 przeciw przyjęciu Chin do ONZ.

KULTURA I NAUKA

Wieczór poezji A. L. Sowulewskiego w Nowym Jorku staraniem Związku Akademików. O twórczości poety mówili: prof. J. Kulisiewicz i dr I. Szczepkowski.

I-szy Zjazd Naukowców polskiego pochodzenia ze Stanów Zjednoczonych i Kanady, zorganizowany przez Polski Instytut Naukowy w Nowym Jorku, pod protektorem Uniwersytetu Columbia. 460 uczestników, 138 referatów, prace w 15 komisjach.

Fundacja im. A. Jurzykowskiego przyznała w tym roku nagrody w łącznej sumie 16.000 dol. następnym osobom: Zb. Brzeziński, H. Koprowski, W. Lednicki, A. Tarski, St. Ulam, W. Gombrowicz, Kaz. Iłkiewicz, Al. Janta, J. Parandowski, A. Rudnicki, St. Vincenz, J. H. Rosen, H. Stażewski, W. Lutosławski, A. Panufnik. Za przekłady: K. A. Jeleński, Clark Mills-McBurney.

Nagroda Kościelskich została w r.ub. przyznana G. Herling-Grudzińskiemu za całokształt twórczości, W. Odojewskiemu za „Zmierzch Świata” i H. Grynbergowi za „Żydowską Wojnę”.

Inauguracyjne posiedzenie Rady Kultury i Sztuki w Warszawie. Przewodniczącym prezydium został z urzędu min. Motyka a zastępcami: J. Iwaszkiewicz, W. Lutosławski, M. Wejman i C. Wiśniewski.

Brytyjskie Królewskie Towarzystwo Geograficzne zorganizowało seminarium poświęcone Tysiącleciu państwa polskiego.

RÓŻNE

Stowarzyszenie Techników Polskich w Londynie przekazało swe nieruchomości Polskiemu Ośrodkowi Społeczno-Kulturalnemu w Londynie.

W Warszawie przebywa 11 tys. niepracujących mężczyzn, których źródłem utrzymania są przestępstwa — z danych MO.

Inż. E. Makula otrzymał medal Lilienthala — najwyższe odznaczenie Międzynarodowej Federacji Lotniczej FAI. Od 1938 przyznano medale 19 pilotom w tym 3 Polakom.

Prof. R. Szewalski z Gdańska opracował projekt turbiny o mocy 2 tys. megawatów. Największe turbiny produkowane na Zachodzie mają moc 500 megawatów.

Chiny podpisały umowę z zachodnioeuropejskim konsorcjum międzynarodowym na dostawę 3 mil. ton nawozów sztucznych.

DATA

POLITYKA

30 listopad 1966

Brytyjska kolonia Barbados uzyskuje niepodległość po 3 wiekach panowania Anglii.

Chińska Czerwona Gwardia ostrzelała statki sowieckie na granicznej rzece Amur.

1 grudzień 1966

Stany Zjednoczone i Niemcy Zachodnie mają wspólnie podjąć produkcję myśliwca bombowego o starcie pionowym. Samolot ma być oddany do użytku w 1970 r.

2 grudzień 1966

Premier W. Brytanii, Wilson, spotyka się z premierem rebelianckiego rządu Rodezji, Smithem, na pokładzie brytyjskiego krążownika Tiger.

Premier sowiecki Kosygin konferuje w Paryżu z prezydentem de Gaullem. Kosygin przestrzega przed nacjonalizmem niemieckim — po wyborach w Bawarii.

3 grudzień 1966

U Thant wybrany ponownie na stanowisko Sekretarza Generalnego ONZ oświadczył, że najważniejszą sprawą jest doprowadzenie do pokoju w Wietnamie.

4 grudzień 1966

Nowy Kanclerz NRF Kiesinger wypowiedział się za normalizacją stosunków z krajami Europy Wschodniej „pod pewnymi warunkami”. Dodał on, że nie ma mowy o uznaniu Niemiec Wschodnich.

5 grudzień 1966

Spotkanie szefów rządów Europejskiego Zrzeszenia Wolnego Handlu w sprawie nowej brytyjskiej próby przystąpienia do Wspólnego Rynku.

6 grudzień 1966

Rząd rodezyjski Smitha odrzuca projekt porozumienia z W. Brytanią. Londyn zwraca się o sankcje przymusowe do ONZ.

7 grudzień 1966

Rząd krajowy Słowenii podał się do dymisji po porażce w parlamencie. Komentatorzy zachodni stwierdzają, że jest to wypadek w kraju komunistycznym bez precedensu.

8 grudzień 1966

Stany Zjednoczone i Sowiety zawierają traktat zabraniający używania broni nuklearnych w przestrzeni kosmicznej.

KULTURA I NAUKA

Rank Organisation nakręca film krótkometrażowy z serii *Look at Life* o Polakach w Anglii, którego punktem wyjściowym jest sprawa Biblioteki Polskiej.

4 konserwatorów polskich wyjedzie do Florencji by pomóc w ratowaniu zniszczonych rzeźb i obrazów.

Polskie Towarzystwo Historyczne na Obczyźnie przyznało nagrody za prace w dziedzinie historii. Nagrody otrzymali: Dr M. Kujawski, mgr S. Wojstowski i dr A. Michalek.

Dwumiesięcznik Acta Universitatis Carolinae w Pradze publikuje monografię: *Historia Kultu Jednostki w Czechosłowacji*.

Stowarzyszenie Muzyków Polskich w Londynie zorganizowało koncert w Festival Hall z udziałem H. Szerynga — na fundusz pomnika Szopena.

14 czołowych uczonych brytyjskich występuje na łamach *Times'a* z obroną Biblioteki Polskiej w Londynie. List podpisali m.in. Alan Bullock, H. Trevor-Roper i Seaton-Watson.

Brytyjska Rada Sztuki przyznała po raz pierwszy stypendia 15 pisarzom.

Londyński Royal Court Theatre wystawia sztukę dramaturga nigeryjskiego, W. Soyinka, pt. *Lew i Klejnot*. Sztuka oparta jest na ostrzeżeniu by Murzyni nie kopiowali zachodniej kultury lecz tworzyli własną.

RÓŻNE

W Wilmington (Delaware) odbył się koncert muzyki polskiej z okazji Tysiąclecia, zorganizowany przez burmistrza tego miasta, Johna A. Babiarza.

Telewizja *Westdeutscher Rundfunk* nadała obiektywny reportaż z Gdańska.

Biskup F. Costa, ze Stolicy Apostolskiej zakończył rozmowy z Kardynałem Wyszyńskim i powrócił do Watykanu.

Zmarł gen. dyw. W. Bortnowski, b. d-ca Armii Pomorze w kampanii 1939 r.

Zarówno biskupi polscy jak i niemieccy zwrócili się do Papieża o beatyfikację franciszkanina Ojca M. Kolbe — oświadczył Kardynał Wyszyński.

Zona Mao Tse-tunga została doradcą kulturalnym „Chińskiej Armii Wyzwolenia”, a armia przejęła opiekę nad zespołami operowymi i orkiestrowymi Chin.

Spśród 90 partii komunistycznych, 47 poparło propozycję zwołania międzynarodowej konferencji partii komunistycznych w sprawie sporu z Chinami.

DATA

POLITYKA

9 grudzień 1966

Komunikat francusko-sowiecki wydany po zakończeniu wizyty Kosygina stwierdza, że warunkiem zwołania europejskiej konferencji w sprawie bezpieczeństwa jest usunięcie zasadniczych przyczyn napięcia w Europie.

10 grudzień 1966

Nowy minister spraw zagranicznych NRF, Willy Brandt, zapewnił „bardziej stanowczo niż kiedykolwiek przedtem”, że Niemcy Zachodnie nie dążą do posiadania broni nuklearnych.

11 grudzień 1966

Amerykański sekretarz stanu, Rusk, zaapelował do krajów Paktu Atlantyckiego o udzielenie Ameryce pomocy w Wietnamie.

13 grudzień 1966

Sekretarz Generalny NATO, Brosio, oświadczył, że Rada Paktu Atlantyckiego obradować będzie nad możliwościami polepszenia stosunków z Europą Wschodnią.

14 grudzień 1966

Mimo bojkotu grup opozycyjnych około 90% wyborców głosowało w referendum na temat zmian konstytucyjnych w Hiszpanii.

Kancelarz NRF Kiesinger stwierdza, że Polska ma prawo do „bezpiecznych” granic, ale ostateczna linia graniczna może być zatwierdzona tylko przez rząd ogólnoniemiecki.

15 grudzień 1966

Agencja TASS oskarża Amerykę o bombardowanie dzielnic mieszkaniowych w Hanoi i zapowiada zwiększenie sowieckiego budżetu obronnego „z powodu niebezpieczeństwa agresji amerykańskiej”.

KULTURA I NAUKA

Uniwersytet w Birmingham gotów jest przejąć zbiór naukowy książek Biblioteki Polskiej w Londynie w ilości 60 tys. tomów. Rada Biblioteczna odrzuca tę propozycję.

Szkody spowodowane powodzią we Florencji są większe niż przypuszczano. Eksperci amerykańscy obliczyli, że zniszczeniu uległo 885 obrazów, rzeźb i fresków.

RÓŻNE

Rodzina złożona z 5 osób, w tym 2 małe dziewczynki, uciekła ze Wschodniego Berlina, przez mur i druty kolczaste, do Zachodniego Berlina.

Dochód Jugosławii z turystyki wyniósł w tym roku 200 milionów dolarów.

Konsorcjum międzynarodowe mające koncesje na wydobycie ropy naftowej w Persji zgodziło się na podniesienie produkcji i pozwoliło Persji na sprzedaż nadwyżek na rynkach Europy Wschodniej.

W Silverspring koło Waszyngtonu zmarł Stanisław Mikołajczyk, lat 65, b. premier rządu polskiego w Londynie.

13 turystów polskich zeszło ze statku bułgarskiego Nesbar w Neapolu zwracając się do władz o prawo azylu.

Czesław Bednarczyk, poeta i redaktor Oficyny Poetów, stwierdza (w dziale płatnych ogłoszeń „Dziennika”) że nie wchodzi w skład redakcji „Kroniki”.

NOTA BIOGRAFICZNA

Janusz RYCHLEWSKI, ur. w 1915 r. w Wielkopolsce, po gimnazjum w Bydgoszczy i podchorążówce w Grudziądzu, studiował prawo w Poznaniu i Wilnie. W czasie wojny członek Armii Krajowej. W końcu 1943 roku musi uciekać z Warszawy, przedostaje się na Węgry z zamiarem przejścia na zachód. Plany te jednak krzyżują Niemcy (Anschluss w marcu 1944 r.). Tropiony przez Gestapo z paru możliwości wybiera powrót do kraju do którego wraca przez „zielone granice” i to na trzy miesiące przed Powstaniem Warszawskim. „Zielone Granice” taki też tytuł nosi jego z tych lat książka. Wyjście pierwszej jej wersji (1949) poprzedziło ukazanie się nakładem „Gebethnera i Wolffa” jego „Człowieka z Gutaperki”. Obie na indeksie w okresie stalinowskim. Osiadłszy w podwarszawskiej Podkowie Leśnej wydał kilka powieści jak „Admirał i junga”, „Czapka Frygijska”, „Habit i Czako” oraz kilka widowisk historycznych i sztuk. Po „październiku” poszerzył i wznowił „Zielone Granice”, wyszło „Otwarte niebo” (tom opowiadań) oraz „Sombrero”, ukazała się też drukiem jego nagrodzona a nie grana sztuka pt. „Hasło: Korridor”. Przez dwa ostatnie lata Rychlewski bawił w Stanach Zjednoczonych, obecnie zaś wrócił do Europy. „Dno Stuleci” stanowi jedno z ogniw gotowego do druku tomu pt. „KATHARSIS”.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London. W. 4. — Telefon: CHIswiek 1860



Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI.
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.



Kanadyjski korespondent „Kultury”. Wacław IWANIUK.
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 1^{er} Trimestre 1967.

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolikowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	10 sh. (A)	£ A. 2.13.00	£ A. 5.00.00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300.000 F. b.	560.00 F. b.
BRAZYLIA : Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetininga 221, s. 1203, Cx. Postal 30.750, Sao Paulo, tél. : 35-5584.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : M. Barczyk, P. Calandlaan 50, Amsterdam; tél. : 1533311; Konto pocztowe Nr 617512.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto 3, Ont, K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. Montreal 28, Quebec, Tél. : HU 8-5224; M. Krol, 781 Beaverbrook, Winnipeg, Man.; « ZWIAZKOWIEC », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; T. Drymer, 31, Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél. : LE 33407. S. L. Lemanski, 273 1/2 Selkirk Ave., Winnipeg 4, Man.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss. ..	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärgsgatan 3/IV Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : J. Bienkowski, 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; S. Dobczynski, Alma Shipping C°, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 N° Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Av., Hollywood 46, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Cleveland, Ohio 44107; Ch. M. Kretowicz, 4477 Wilson Ave., San Diego, Cal., 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083; Polish Amer, Book C° 1136 Milwaukee Av., Chicago Ill. 60622; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa. 19125; The Polish Book Importing C°, Inc., 156 Fifth Ave., New York, N.Y. 10010; R. J. Sas-Babczynski, 311 West Wilson St., Apt. 3, Costa Mesa, Cal. 92627; Jan Wojcik, 131, Gold Street, New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel. : 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W. 11.....	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-77-241	700 L	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

**INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18.228-56.**

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM CXXXVIII

WITOLD GOMBROWICZ

DZIENNIK (1961-1966)



OPERETKA

Str. 256.

Cena F 16,50 (24/6; dol. 3,50)



TOM CXXXIX

ALEKSANDER HERTZ

**REFLEKSJE
AMERYKAŃSKIE**

Analiza współczesnej rzeczywistości amerykańskiej opracowana przez autora „Amerykańskich stronnictw politycznych”.

Str. 260.

Cena F 16,50 (24/6; dol. 3,50)

Cena 7,50 F